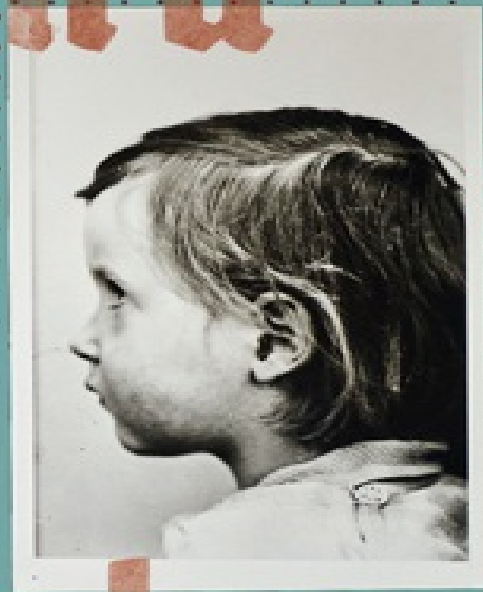
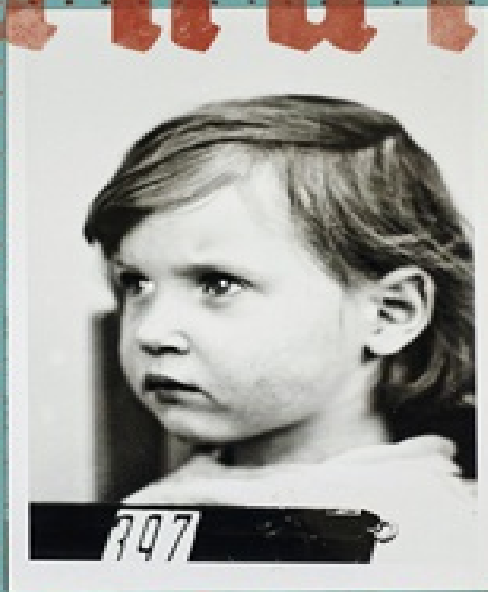
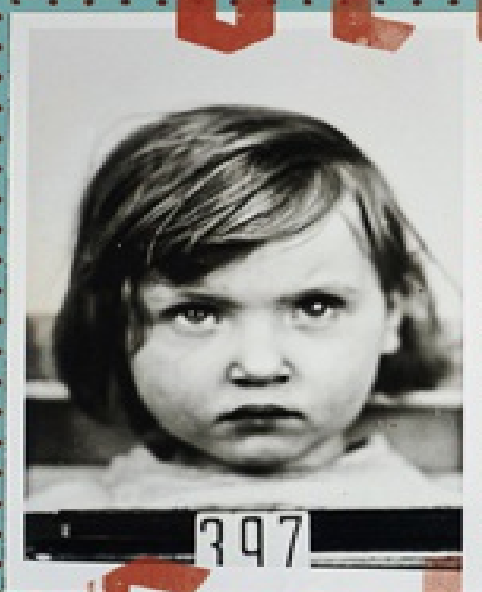


ANNA MALINOWSKA

brunatna



Kotyśanka

Historie uprowadzonych dzieci



Anna Malinowska

BRUNATNA KOŁYSANKA

Historie uprowadzonych dzieci

Redakcja: Ariadna Machowska
Korekta: Sylwia Jastrzębska
Projekt graficzny okładki: Krzysztof Rychter
Projekt makiety i skład: Elżbieta Wastkowska
Fotoedycja: Maciej Jaźwiecki
Przygotowanie zdjęć do druku: Paweł Bajer

Zdjęcia (odwołania do numerów stron dotyczą wydania papierowego książki): Archiwum rodzinne Barbary Paciorkiewicz – reprodukcja: Tomasz Stańczak/Agencja Gazeta okładka, s. 8, 24, 44, 48, 49, 52; domena publiczna s. 10; WILLIAM C. ALLEN/AP/EAST NEWS s. 13 (góra); AKG-IMAGES/EAST NEWS s. 13 (dół), 103; Narodowe Archiwum Cyfrowe s. 18; Archiwum IPN – reprodukcja: Grzegorz Celejewski/Agencja Gazeta s. 25; MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI/EAST NEWS s. 29; Photo 12/UIG/Getty Images s. 33; AP/EAST NEWS s. 34; DPA/AFP/EAST NEWS s. 36; Muzeum Historii Katowic s. 40, 60; Tomasz Stańczak/Agencja Gazeta s. 51; Archiwum rodzinne Alodii Witaszek-Napierały – reprodukcja Łukasz Antczak/Agencja Gazeta s. 56, 58, 68; Cezary Aszkiełowicz/Agencja Gazeta s. 63, 267, 269; Grażyna Marks/Agencja Gazeta s. 73; Marcin Stępień/Agencja Gazeta s. 75, 211; Archiwum rodzinne Janusza Bukorzyckiego – reprodukcja: Marcin Stępień/Agencja Gazeta s. 78, 84; Universal History Archive/Universal Images Group/EAST NEWS s. 94; Bettmann Archive/EAST NEWS s. 98; SIPA/EAST NEWS s. 114; Archiwum rodzinne Janusza Karpuka – reprodukcja: Grzegorz Celejewski/Agencja Gazeta s. 120, 125, 127, 128, 129; Archiwum rodzinne Anieli Kosmali – reprodukcja: Grzegorz Celejewski/Agencja Gazeta s. 121; Grzegorz Celejewski/Agencja Gazeta s. 134, 135, 184; zbiory Ośrodka KARTA, Pogotowie Archiwalne – przekazali Dorota i Tomasz Wojciechowscy s. 140; Archiwum rodzinne Alojzego Twardeckiego – reprodukcja: Adam Stępień/Agencja Gazeta s. 155, 158, 161, 178, 180; Adam Stępień/Agencja Gazeta s. 157, 314, 329; Archiwum rodzinne Bogumiła Uniowskiego – reprodukcja: Grzegorz Celejewski/Agencja Gazeta s. 189; Archiwum rodzinne Zdzisława Oberbeckiego – reprodukcja: Marcin Stępień/Agencja Gazeta s. 199; Archiwum rodzinne Renaty Juras – reprodukcja: Dawid Chalimoniuk/Agencja Gazeta s. 218, 221, 223; Dawid Chalimoniuk/Agencja Gazeta s. 226; Archiwum rodzinne Jerzego Walaszka – reprodukcja: Dawid Chalimoniuk/Agencja Gazeta s. 238, 240; Archiwum rodzinne Elżbiety Rogowskiej s. 252, 253, 256, 261; Krzysztof Karolczyk/Agencja Gazeta s. 263; Keystone-France/Gamma-Keystone/Getty Images s. 272; ullstein bild/Getty Images s. 277; Keystone/Hulton Archive/Getty Images s. 286; Andrzej Rybczyński/CAF/PAP s. 290; Dominik Gajda/Agencja Gazeta s. 301; Archiwum rodzinne Wandy Cofały – reprodukcja: Dominik Gajda/Agencja Gazeta s. 303, 305; Archiwum rodzinne Lucjana Poznańskiego – reprodukcja: Adam Stępień/Agencja Gazeta s. 315, 322; Archiwum rodzinne Anny Zielińskiej s. 336



ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
www.wydawnictwoagora.pl

WYDAWNICTWO KSIĄŻKOWE:

Dyrektor wydawniczy: Małgorzata Skowrońska
Redaktor naczelny: Paweł Goźliński
Koordinacja projektu: Katarzyna Kubicka

© copyright by Agora SA 2017
© copyright by Anna Malinowska 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone
Warszawa 2017
ISBN: 978-83-268-1944-5 (epub), 978-83-268-1945-2 (mobi)



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści

CZĘŚĆ I. PO WOJNIE

Dobra krew

Przed nami wielka niewiadoma

Dziecko szczęścia

Byłaś młodsza, byłaś blondynką

Musicie służyć swojemu Führerowi

Mali świadkowie

Chrzestna z Indersdorf

Bilet do Katowic? Nie ma takiego miasta

CZĘŚĆ II. POZORNA STABILIZACJA

Ja, dumny Niemiec, zostałem swoim własnym wrogiem

Wielkanoc bez muzyki

Jesteś fałszywym synem

Dwie Renaty

Zmarli nie noszą okularów

Dzieci z bańką na mleko

CZĘŚĆ III. WOJNA WCIĄŻ TRWA

Bad Polzin

Szukam Hrabara

Wanda ma tylko Wojtka

Koszula musi być w kratkę

Czy jestem córką mojej Mutti?

Epilog

Podziękowania

Bibliografia

CZEŚĆ I

PO WOJNIE

Dobra krew

W Lemgo mieszka dziewczynka, której pierwszym wspomnieniem jest duża łąka ciągnąca się za oknem. W rzeczywistości był to zwykły trawnik, ale zawsze będzie myślała o nim jak o łące.

Często przesiaduje na parapecie dużego, półkoliście zwieńczonego okna. Tak jak inne dzieci. Nie bawią się, nie śmieją. Siedzą. Nawet rozmawiać ze sobą nie mogą. Gdy próbują, zaraz przychodzą opiekunki i biją.

Dzieci muszą się nauczyć nowego języka. Jest trudny, więc lepiej w ogóle się nie odzywać.

Opiekunki biją też za inne rzeczy. Dziewczynka czasem w nocy moczy się do łóżka. Za karę lanie dostają wszystkie dzieci. Jak jedno zaczyna płakać, w lament uderzają też inne. Wtedy opiekunki robią im zastrzyki. Dzieci potwornie się ich boją. Po zastrzyku wpadają w otępienie. Nie chce im się już płakać, siedzą przy oknie.

Dziewczynka nie ma pojęcia, że nazywa się Basia Gajzler i przebywa w ośrodku Lebensbornu Pommern w Bad Polzin. To dawny dom zdrojowy Luisenbad. Uzdrowisko Bad Polzin (czyli Połczyn-Zdrój) podarowało go 30 października 1937 roku Führerowi, a ten przekazał Lebensbornowi. Do 1939 roku budynek został przerobiony – dobudowano do niego nowy gmach z mieszkaniami, biurami i garażem. Ośrodek dysponuje 60 łózkami dla matek i 75 dla dzieci. Z raportu z 1941 roku wynika, że pierwsze dziecko w Pommern przyszło na świat 23 maja 1938 roku. Do 1 września 1941 roku przyjęto 541 matek, z czego 45 procent to były kobiety zamężne.



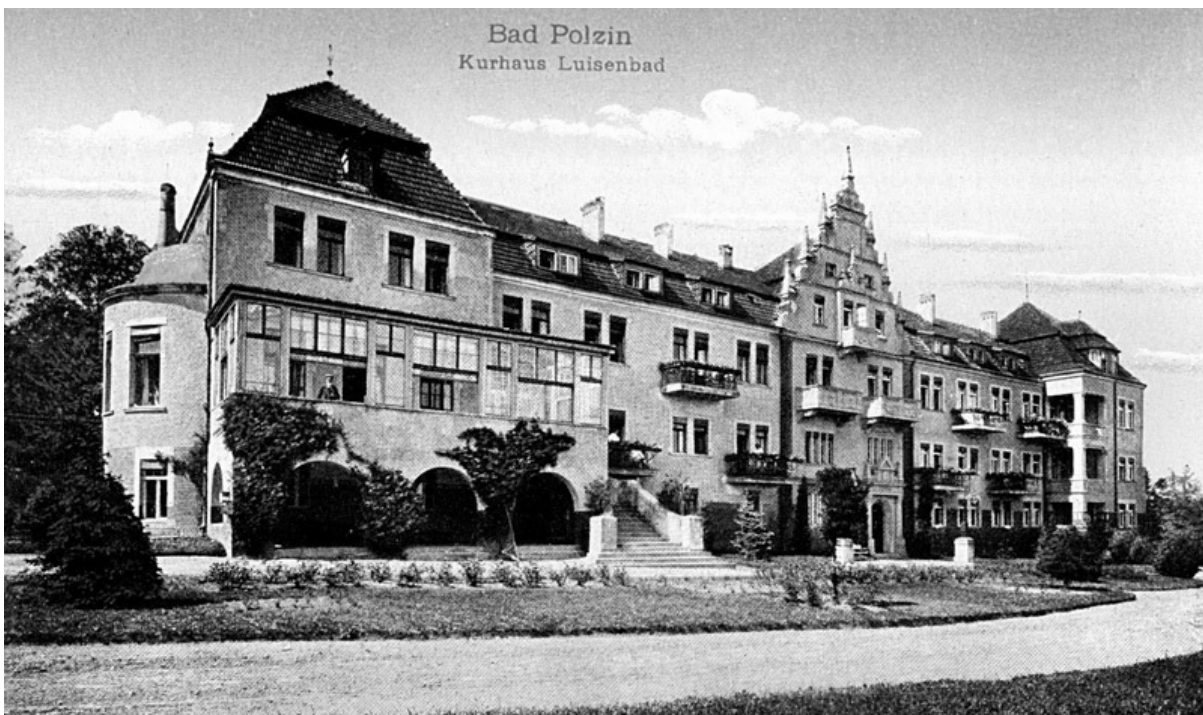
Basię Gajzler odpowiednio zbadano – zmierzono jej obwód czaszki, rozstaw oczu. Obfotografowano i nadano jej numer 397

Pobyt matki trwał przeciętnie 71 dni. W raporcie nie ma słowa, że w Pommern przebywają również polskie i czeskie dzieci przeznaczone do Niemczenia.

W dokumentach ośrodka Basia figuruje jako Bärbel Geisler urodzona 2 lutego 1939 roku. W rzeczywistości urodziła się 1 lutego 1938 roku w Gdyni. Mama dziewczynki zmarła w pierwszych dniach wojny na zawał serca. Ojciec zaginął podczas kampanii wrześniowej. Reszta rodziny została z Gdyni wysiedlona. Basia z babcią trafiły do Łodzi. Zamieszkały w starej oficynie przy ulicy Lipowej. W lutym 1942 roku babcia dostała wezwanie z Jugendamtu. Miała stawić się ze swoją czteroletnią wnuczką na badania. Komisja zainteresowała się drobną blondyneczką. Babci powiedziano, że trzeba zrobić dodatkowe badania. Do domu wróciła sama. Wnuczki już nie zobaczyła.

Z dokumentów wynika, że Barbara Gajzler została odwieziona do łódzkiego domu dziecka przy ulicy Przędzalnianej. Przebywała tam od 21 lutego do 9 marca 1942 roku. Następnie została przeniesiona do domu dziecka przy ulicy Lokatorskiej, a 27 maja 1942 roku przesłana do Bruczkowa. Stamtąd pojechała do Bad Polzin.

Basia, tak jak inne dzieci, przeszła odpowiednie badania rasowe. Zmierzono jej obwód czaszki, rozstaw oczu. Obfotografowano i nadano numer 397.



Dom zdrojowy Luisenbad w Bad Polzin (Połczyn-Zdrój) został zmieniony w ośrodek Lebensbornu Pommern

* * *

Dzień mija za dniem. Dziewczynka siedzi przy oknie, śpi, je, dostaje zastrzyki, a od czasu do czasu lanie. We wrześniu 1942 roku do ośrodka przejeżdża starszy mężczyzna. Do pokoju, w którym siedzi, opiekunka wprowadza grupkę dzieci. Są w majteczkach i koszulkach. Mężczyzna wskazuje na Basię. Ściąga marynarkę, otula

czterolatkę i zabiera ją ze sobą.

Dziewczynka płacze. Znowu ją gdzieś zabierają! Poza tym nikt jej nie chce ubrać w ulubione białe futerko z królików. Dziewczynka nie wie, dlaczego tak lubi tego „królika”. Nie wie, że właśnie w tym futerku babcia odprowadziła ją w Łodzi na badania. Futerko jest jedyną pamiątką, wspomnieniem związanym z domem i rodziną.

Maria i Wilhelm Rossmannowie stracili córeczkę. Dziewięcioletnia Ursel ciężko zachorowała i zmarła. Dwaj dorośli synowie służyli na froncie. Małżeństwo zdecydowało się wziąć dziecko na wychowanie.

Wilhelm zabiera Bärbel Geisler do domu w Lemgo. W drzwiach witają ją dwie starsze kobiety. Płaczą i przytulają Basię. Kąpią, karmią i kładą w dziecięcym łóżeczku. – Dobranoc, Bärbel – mówią.

Dziewczynka płacze, ale budzi się szczęśliwa. Ma tatę, mamę i babcię. Za chwilę dowie się, że są jeszcze starsi bracia. Zaczyna się najszczęśliwszy czas w jej życiu. Dom jest duży, elegancko umeblowany. Bärbel ma swój pokój. Wszyscy domownicy są mili, rozmawiają, przytulają, ale gdy dziewczynka coś spsodzi, karzą. Bärbel nie buntuje się przeciwko karom. Wie, że źle zrobiła, a rodzice tak naprawdę bardzo ją kochają.

Jedynym cieniem na jej życiu kładzie się postać z dużego portretu, który wisi na ścianie. To Ursel. W domu słyszy czasem, jaka ona była wspaniała. Bärbel chce być jak Ursel. Czuje się do tego zobowiązana, bo nosi jej sukienki. Gdy skacze na skakance i skusi, myśli: „Skup się, Ursel nigdy by nie skusiła”. Nieżyjąca dziewięcioletka staje się niedoścignionym wzorcem.

* * *

Bärbel nie może mieć pojęcia, że jest malutkim elementem szaleńczego pomysłu Heinricha Himmlera, jednego z najpotężniejszych ludzi III Rzeszy, szefa SS, Gestapo, niemieckiej policji, ministra spraw wewnętrznych. Ten człowiek opętany teoriami rasowymi i ideą „dobrej krwi” w 1934 roku napisał do dowódców SS: „Wszyscy walczylibyśmy na próżno, jeśli zwycięstwa militarne nie uzupełnimy zwycięstwem narodzin dobrej krwi”. Jak zaznaczył, rodzenie dzieci nie jest czyjąś prywatną sprawą, ale obowiązkiem wobec przodków i narodu. Parom, które nie mogły mieć dzieci, Himmler zalecał: „Każdy dowódca SS powinien zaadoptować wartościowe pod względem rasowym oraz genetycznym dzieci i wychowywać je w duchu narodowego socjalizmu”.

Rok później Himmler powołał do życia instytucję Lebensborn – Źródło Życia. Nie bez znaczenia dla okoliczności jej powstania była duża liczba aborcji przeprowadzanych w Niemczech oraz dzieci urodzonych ze związków pozamałżeńskich.

W latach 30. panna z dzieckiem ciągle stanowiła przykład niemoralnego prowadzenia i była skazana na społeczny ostracyzm. Lebensborn miał zapewnić samotnym matkom możliwość uniknięcia hańby. Po cichu, w tajemnicy kobieta mogła wydać na świat pełnowartościowe, aryjskie dziecko, które odpowiednio indoktrynowane przez nowych rodziców miało wiernie służyć Führerowi. Oczywiście z dyskretnych usług Lebensbornu mogła skorzystać odpowiednia rasowo kobieta.

Sprawdzano również aryjskość ojca. Nie bez znaczenia były przynależność do SS, NSDAP oraz narodowosocjalistyczny światopogląd.

Lebensborn niedługo po powstaniu zaczął otwierać ośrodki dla przyszłych matek: Hochland niedaleko Monachium, Harz w Wernigerode, Kurmak w Klosterheide czy Pommern w Połczynie-Zdroju. Dobrze wyposażone, z miłym personelem. Urodzone tam dzieci trafiały do rodzin zastępczych lub adopcyjnych. Zdarzało się jednak, że matki po pewnym czasie zabierały je ze sobą.

Czego więcej mogła chcieć kobieta, która miała wybór między nielegalną w III Rzeszy aborcją a życiem w potępieniu?

Dla Himmlera Lebensborn miał znaczenie wojskowo-polityczne. To ta instytucja miała zapewnić Wehrmachtowi stały dopływ żołnierzy. Miała produkować niebieskookich blondynów i blondynki – stuprocentowo oddanych obywateli nowego, lepszego świata.

O ośrodkach Lebensbornu jeszcze długo po wojnie będzie się mówić, że były to swoiste „domy rozrodcze”. Że kopulowano w nich na potęgę, byle tylko jak najwięcej dzieci przychodziło na świat. Czy rzeczywiście? Dowodów na to nie ma.

* * *

Ale Lebensborn ma też drugie, okrutne i zbrodnicze oblicze.

Już 25 listopada 1939 roku Himmler otrzymał raport opracowany przez Urząd Rasowo-Polityczny NSDAP dotyczący dawnych ziem polskich włączonych do Rzeszy. „Znaczna część rasowo wartościowych, ale z narodowych względów niezdatnych do zniemczenia warstw polskiego narodu będzie musiała zostać wysiedlona na pozostały polski teren. Jednak należy próbować wyłączyć z przesiedlenia rasowo wartościowe dzieci i wychować je w starej Rzeszy w odpowiednich zakładach wychowawczych. (...) Wchodzące w rachubę dzieci nie mogą liczyć więcej jak osiem do dziesięciu lat, ponieważ z reguły tylko do tego wieku możliwe jest prawdziwe przenaarodowienie, tzw. ostateczne zniemczenie. Warunkiem jest całkowite zaprzestanie utrzymywania jakichkolwiek stosunków z ich polskimi krewnymi. Dzieci otrzymają niemieckie nazwiska, które także w źródłosłowie muszą być jednoznacznie germańskie. Ich rodowód będzie prowadzony przez specjalną placówkę. Wszystkie rasowo wartościowe dzieci, których rodzice polegali na wojnie lub zmarli później, będą od razu przejęte przez niemieckie domy sierot. Z tego względu należy wydać zakaz adoptowania takich dzieci przez Polaków”.



Spacer pielęgniarek z dziećmi w jednym z domów Lebensbornu



Gabinet lekarski w domu Lebensbornu w Steinhöring niedaleko Monachium

Akcja germanizacji dzieci obcych narodów była oczkiem w głowie Himmlera. „Wszelką dobrą krew – to jest pierwszym założeniem, o którym musicie pamiętać – gdziekolwiek ją na wschodzie napotkacie, możecie albo zdobyć, albo zabić. (...) Gdziekolwiek napotkacie dobrą krew, macie ją zdobyć dla Niemiec albo postarać się o to, by przestała istnieć. W żadnym wypadku nie może ona znajdować się po stronie naszych wrogów” – mówił w przemówieniu do wyższych oficerów SS z 16 września 1942 roku. Rok później w mowie o narodach słowiańskich w Bad Schachen zaznaczał: „Jest jasne, że w tej mieszaninie narodów pojawiać się będą zawsze pewne typy

bardzo dobre pod względem rasowym. W tym wypadku – sędzę – naszym zadaniem jest zabrać ich dzieci do nas – oderwać od środowiska, choćbyśmy mieli dzieci te zabrać albo ukraść. Albo zdobędziemy dobrą krew, którą możemy spożytkować u siebie i wprzęgnąć w nasze szeregi, albo – moi panowie – możecie to nazwać okrucieństwem, ale natura jest okrutna – zniszczymy tę krew. Nie możemy usprawiedliwić przed naszymi synami i potomkami pozostawienia tej krwi po drugiej stronie” – mówi Himmler.

* * *

Na Śląsku badania rasowe nie były konieczne, bo tutejsza ludność uważana była za etnicznych Niemców. W tak zwanym okręgu Warty i na Pomorzu odbywała się selekcja rasowa. Dzieci szukano w zakładach opiekuńczych i rodzinach zastępczych. W Generalnej Guberni działalność skierowano przede wszystkim na dzieci rodzin pochodzenia niemieckiego, które nie zadeklarowały się jako folksdojczy, i wobec dzieci rozstrzelanych zakładników.

W uproszczeniu postępowaniem objęto następujące kategorie dzieci:

- Dzieci rodziców opierających się germanizowaniu. Chodzi tu przede wszystkim o osoby pochodzenia niemieckiego. Na przykład wieś Orłów na Podkarpaciu została założona w końcu XVIII wieku, za czasów cesarza Józefa II przez kolonistów niemieckich jako Schoenanger. Z czasem mieszkańcy wioski spolonizowali się. W 1942 roku ze wsi wysiedlono rodziny Józefa Szwakopfa i Juliana Hamera. Dzieci z tych rodzin zostały odebrane rodzicom. „Dano panu trzymiesięczny termin przyłączenia się, ze względu na pańskie niemieckie pochodzenie, do niemieckiej wspólnoty narodowej. Ponieważ pan tego nie wykorzystał, niniejszym wydalam pana wraz z pańską żoną z Schoenanger. Równocześnie zabraniam panu i pańskiej polskiej żonie wstępowania kiedykolwiek do wsi Schoenanger po dniu 4 lipca 1942 roku. Jeśli mimo tego spotkano by was w Schoenanger, wówczas zostanieie umieszczeni w obozie koncentracyjnym. Wasze nieletnie dzieci zostają zabrane na wychowanie w zakładach opieki społecznej” – brzmi decyzja władz okupacyjnych.

- Dzieci małżeństw mieszanych pod względem narodowościowym. Na terenach włączonych do Rzeszy za niepolską ludność uważano też Kaszubów, Ślązaków, Mazurów. Małżeństwa mieszane pozostawały pod stałą obserwacją, bo nie dawały gwarancji wychowania dziecka w duchu niemieckim. W razie stwierdzenia jakichkolwiek uchybień dziecko można było odebrać.

- Dzieci z rozwiedzionych małżeństw mieszanych. W przypadku orzeczenia rozwodu lub unieważnienia małżeństwa polskiego rodzica pozbawiano zawsze prawa opieki nad dzieckiem. Również w przypadku wcześniej zawartych rozwodów przeprowadzano rewizję i przyznawano opiekę rodzicowi niemieckiemu.

- Dzieci przebywające w zakładach opiekuńczych. To była najłatwiejsza droga pozyskiwania dzieci cennych rasowo. Przykłady można mnożyć. W Tychach przed wojną swoją ochronę przy ulicy Nowokościelnej 56 (dziś Ośrodek Świętej Faustyny) prowadziły siostry elżbietanki. W styczniu 1941 roku zakład został przejęty przez NSV (Narodowosocjalistyczne Towarzystwo Opieki Społecznej). Polski personel został

zwolniony, a dzieci podzielono na trzy grupy. Mniej zdolne, średnio zdolne i najzdolniejsze. Z pierwszej grupy dzieci zostały wywiezione do Generalnej Guberni. Średnio zdolne przewieziono do zakładu w Bielsku. Najzdolniejsze dziewczynki wywieziono do Gliwic, niemowlęta do Miechowic. Sierociniec przekształcono na HJ-Jugendheim wyłącznie dla chłopców. Na początku 1945 roku było ich około 40. Wywieziono ich do miejscowości Gablenz. Wszystkie ich dokumenty zostały zniszczone albo wywiezione do Niemiec.

- Dzieci przebywające w rodzinach zastępczych. Procedura odbierania była stosunkowo prosta. Aby nie wywołać zaniepokojenia u rodzin, należało je informować, że dzieci będą umieszczane w szkołach z internatem lub zakładach wypoczynkowych. Nie należało zabierać dzieci tym rodzicom zastępczym, którzy nadawali się do zniemczenia. Policja donosiła na przykład urzędowi do spraw młodzieży w Piotrowicach koło Katowic: „W tutejszym rewirze stwierdzono, że szewc Edward Cinalski zamieszkały w Piotrowicach, ulica Hrabiego Redena 7, przyjął w roku 1940 pod swoją opiekę dziecko, Urszulę Muthwill, urodzoną 19 lutego 1940 roku w Katowicach. Rodzice przybrani nie zostali przyjęci do niemieckiej listy narodowej i są uważani za Polaków. Mąż Edward Cinalski nie zna języka niemieckiego. Żona jego mówi łamaną niemieczyzną. Jest rzeczą wskazaną umieścić dziecko w niemieckiej rodzinie zastępczej”.

- Dzieci pozostające pod opieką polskich opiekunów. Notatka urzędowa z 29 lipca 1942 roku odnaleziona w aktach NSV (NTOS) w Katowicach. Dotyczy ona polskich opiekunów, którym odebrano dziecko i umieszczono je w zakładzie niemieckim. „Z kierownictwa okręgu doniesiono telefonicznie, że małżeństwo Krzestan, a w szczególności pani Krzestan, usiłują stale zbliżyć się do dziecka, które swego czasu znajdowało się pod ich opieką. Odwiedzają je często w zakładzie, a gdy kierownik zakładu nie zezwala na to, starają się wywabić dziecko przez innych chłopców. Przynoszą mu jedzenie, jak gdyby nie otrzymywał on nic w zakładzie. Stwierdzono, że Zygmunt po każdych takich odwiedzinach był negatywnie nastawiony. Przed mniej więcej dwoma tygodniami, po krótkim pobycie sam na sam z panią Krzestan okazał się całkowicie zamknięty i uparty. Podczas rozmowy z kierownictwem okręgu przyznał, że jego poprzedni opiekunowie wywierają na niego inny wpływ niż zakład i że nie wie, jak ma się zachować. Do wezwań zabraniających odwiedzania zakładu pani Krzestan nie stosuje się. W związku z tym wezwałem panią Krzestan 25 lipca i zwróciłem jej stanowczo uwagę, że musi ona raz na zawsze zaprzestać odwiedzać Zygmunta i całkiem się od niego odsunąć. Wyraziła ona na to wielkie oburzenie i zachowywała się tak, jak gdyby zarzuty jej czynione były całkiem nieuzasadnione. Zrobiła wrażenie typowej kobiety polskiej z tak zwanych lepszych sfer. Na moje stanowcze wezwania przyrzekła w końcu, wielce urażona, uczynić to, czego się od niej żąda. Zygmunt ma być całkiem inteligentnym i miłym chłopakiem, byłaby szkoda, gdyby mu stale przeszkadzano w jego dalszym rozwoju”. 20 października 1942 roku opiekunem Zygmunta został ustanowiony Niemiec.



Młodzi Polacy na apelu w obozie wychowawczym Policji Bezpieczeństwa w Łodzi

- Dzieci rodziców deportowanych, pomordowanych lub wysiedlonych. Oczywiście kryterium rasowe było istotne, jednak w tym wypadku pod uwagę brano też same okoliczności sierocenia dzieci i obawę, że w przyszłości mogą się mścić za śmierć rodziców. To najbardziej tragiczny splot wydarzeń. Dzieci rodziców pomordowanych przez Niemców były oddawane pod ich troskliwą opiekę.

- Dzieci w obozach. W 1942 roku opracowano plany uruchomienia obozu koncentracyjnego dla małoletnich w Łodzi przy ulicy Przemysłowej wraz z filią w Dzierżąni. Przeciętnie w obozie było około tysiąca osób. Dzieci zabierano do obozu bez żadnych innych kryteriów jako „młodocianych przestępców”. Na pewno zesłanie do obozu było elementem szantażu wobec rodziców, którzy opornie odnosili się do podpisania niemieckiej listy narodowościowej. Na przykład wniosek o zesłanie trzynastoletniej Erny Jureczko ze Śląska został cofnięty, gdy jej opiekuna wpisano do drugiej grupy folklisty. W obozie dokonywano selekcji wartościującej dzieci do dalszej germanizacji.

- Na Śląsku z kolei utworzono sieć Polenlagrów – obozów dla ludności polskiej. Były to obozy dla ludności wysiedlonej, która miała zrobić miejsce dla przesiedleńców niemieckich. Spory odsetek w obozach stanowiły dzieci i młodzież. Obozy były wizytowane przez komisje ekspertów rasowych. Obozowa dokumentacja została zniszczona, nie można więc ustalić, ile dzieci w Polenlagrach zostało poddanych germanizacji.

- Dzieci urodzone w Niemczech lub odebrane w Niemczech. Do 1943 roku Niemcy

nie podejmowali żadnych decyzji odnośnie ciężarnych robotnic. Po 1943 roku mogły one poddać się aborcji. Zwłaszcza gdy ojciec dziecka nie miał germańskiego pochodzenia. Jednak w miarę coraz większych strat wojennych Niemcy zdecydowali się odbierać dzieci urodzone przez robotnice i wychować je jako dzieci niemieckie.

- Dzieci deportowane na roboty. Do Niemiec w czasie wojny wywieziono dziesiątki tysięcy dzieci i młodzieży. Deportacja miała pozyskać potrzebną siłę roboczą, ale też umożliwić przysposobianie przez naród niemiecki rasowo cennych jednostek.

- Dzieci zabrane na podstawie zarządzeń specjalnych. W czasie akcji wysiedleńczej na Zamojszczyźnie dzieci cenne rasowo trafiały pod opiekę Lebensbornu. W ramach akcji specjalnych wywozem objęte były też szkoły na przykład we Lwowie, Radomiu czy Tomaszowie Mazowieckim.

Badania rasowe przeprowadzali eksperci, którzy wypełniali specjalne formularze. Określano w nich dokładnie wielkość i kształt poszczególnych części ciała, kolor włosów i oczu. Do formularzy załączano fotografie dziecka w trzech pozach. Przeprowadzano też badania lekarskie i psychologiczne. Również po wywiezieniu do Niemiec.

W testach psychologicznych Zdzisława Denuszka urodzonego 14 września 1934 roku można przeczytać: „Denuszek, jeżeli otrzyma dobre kierownictwo, może stać się dobrym Niemcem. Ponieważ jest młody, obiecuje wiele, gdyż rozporządza dobrymi właściwościami charakteru”.

W opinii o Agnieszce Miszewskiej urodzonej 12 października 1931 roku: „Ponieważ jest bardzo młoda, obiecuje na przyszłość wiele, gdyż rozporządza bardzo dobrymi cechami charakteru i zdolnościami umysłowymi. Ogólne wrażenia jest bardzo dobre”.

Z kolei o Leszku Macu z Łodzi: „Nie dostosował się on do zbiorowego życia w obozie. W drugim tygodniu uciekł nocą, gdyż jak oświadczył, gołębie jego zginęłyby z głodu w domu. Poza tym okłamywał nas stale w sposób dość wyrafinowany. W nauce jest jednak wcale rozgarnięty i inteligentny. Nie zasługuje jednak na powrotne zniemczenie”.

* * *

Wielu dokonań Lebensbornu związanych z germanizacją polskich dzieci nie poznamy nigdy. Już pod koniec wojny ślady działań zaczęli niszczyć sami pracownicy tej organizacji. Niezbyt ostrożnie podchodziły do nich też wojska okupacyjne. Większość dokumentów zgromadzono w Urzędzie Stanu Cywilnego Lebensbornu w Monachium. Po wkroczeniu aliantów zostały one zapakowane do sześciu skrzyń, które załadowano na ciężarówkę. Nie wiadomo, gdzie były przewożone. Wiadomo, że w kilka miesięcy po kapitulacji ciężarówka została zatrzymana na drodze przez jednostkę amerykańską pod dowództwem kapitana Kaufmana. Po sprawdzeniu ładunku kapitan kazał dokumenty wrzucić do rzeki. Można przypuszczać, że papiery nie przedstawiały dla niego żadnej wartości. O niefrasobliwej decyzji amerykańskiego kapitana Kaufmana wiadomo dzięki jugosłowiańskim oficerom, którzy byli

akredytowani w amerykańskiej strefie. To oni zauważyli w rzece pływające dokumenty. Część z nich wyłowili. Gdy zorientowali się, że zawierają słowiańskie imiona i nazwiska dzieci, zaalarmowali władze okupacyjne.

Przed nami wielka niewiadoma

Bärbel świetnie opanowała niemiecki. W swojej miejscowości ma już koleżanki. Lubi zwłaszcza towarzystwo Helgi Schinneker. Obie dziewczynki nie wiedzą, jak wiele mają ze sobą wspólnego. Helga Schinneker to Halinka Jachemska. Podobnie jak Basi zmierzono jej czaszkę, rozstaw oczu i nosa. Miała pięć i pół roku, gdy została zabrana z domu. W ośrodku, w którym była, panował ostry rygor. Za każde polskie słowo dzieci bito lub zamykano w ciemnym pokoju. Do końca życia będzie pamiętała, jak za to, że zatrzasnęła się w umywalni i nie mogła sama otworzyć drzwi, oblano ją zimną wodą. Mokra musiała stać na chłodzie parę godzin. Los Halinki odmieniła Auguste Schinneker z Lemgo, która została jej przybraną matką.

Bärbel już w ogóle nie myśli o tym, co działo się w ośrodku. Ma rodziców i braci, którzy przyjeżdżają na przepustkę. Jeden z nich się żeni. Bärbel pęka z dumy, gdy przed młodą parą sypie kwiatki.

Skończyła się wojna. Bärbel nie wie, że w Łodzi babcia dziewczynki o imieniu Basia zgłasza zaginięcie wnuczki.

W domu Bärbel życie toczy się normalnie. Czasem jednak dziewczynka widzi, że dorośli przerywają rozmowę, gdy wchodzi.



Bärbel – pierwsza z lewej, sypie kwiatki na ślubie brata

Zaczyna się rok 1948. Bärbel słyszy od rodziców, że być może za jakiś czas pojedzie na wycieczkę. Mama zaczyna płakać. Bärbel nie rozumie, co się dzieje. Czuje tylko, że nic dobrego.

* * *

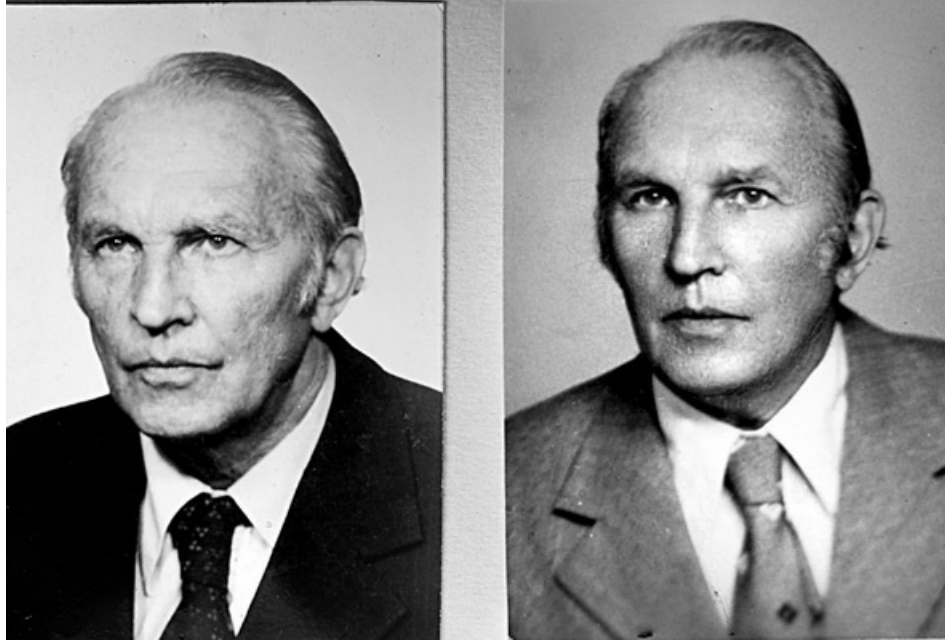
W ostatnich dniach stycznia 1945 roku przed gmachem Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach zatrzymują się ciężarówki, które przywożą z Krakowa urzędników. Wśród nich jest Roman Hrabar, 36-letni prawnik pochodzący z Kołomyi na Kresach. Wysoki, przystojny, po polsku mówi z miękkim, wschodnim akcentem. Zna też świetnie niemiecki, angielski i francuski.

Ojciec Romana, też adwokat, był wielkim fanem opery. W swoim domu rodzinnym Roman poznał wielu ludzi związanych ze sztuką. Śpiewaków Adama Didura i Ignacego Dygasa oraz kompozytora Ludomira Różyckiego. Kiedy miał siedem lat, rozpoczął naukę gry na fortepianie.

Matka interesowała się malarstwem i sama malowała. Zabierała Romana do Włoch, gdzie całymi dniami zwiedzali galerie sztuki. Odwiedzali Jana Stykę, malarza, który osiadł na Capri.

Roman uczył się w Wiedniu. Tam świetnie poznał niemiecki, a z czasem inne języki. Studiował we Lwowie, a później w Krakowie. Prawo ukończył w 1931 roku.

Nie wiadomo dokładnie, kiedy i dlaczego rodzina Hrabarów zdecydowała się opuścić Kołomyję i przenieść na Śląsk, do Katowic. Ale można się domyślać. Od 1922 roku, gdy do Polski przyłączono część Górnego Śląska – w tym Katowice, do miasta ściągano polską kadrę urzędniczą, nauczycieli, księży. Kuszono ich wysokimi zarobkami i różnymi dodatkami. Miasto ich potrzebowało, gdyż zdecydowana większość Ślązaków miała wykształcenie podstawowe, a wykształceni Niemcy wyjeżdżali z Katowic. W mieście powstały nowe urzędy, takie jak Urząd Wojewódzki, Sejm Śląski czy Wyższy Urząd Górniczy.



Zdjęcia paszportowe Romana Hrabara

Sam Roman w 1934 roku odbywał aplikację w Prokuraturii Generalnej Rzeczypospolitej Polskiej w Warszawie. Z zachowanych dokumentów nie wynika jednak, czy przystąpił do egzaminu.

Wybuch wojny zastał Romana na kresach. Przedostał się on przez Bug i wrócił do Warszawy. Chodził na tajne zajęcia do profesora Jana Namitkiewicza, u którego napisał pracę doktorską z prawa cywilnego. Po powstaniu przeniósł się z Warszawy do Krakowa. Tam też zastało go wyzwolenie.

Jak to się stało, że tak szybko znalazł się w grupie urzędników, którzy mieli zorganizować nową śląską administrację? Dokładnie nie wiadomo. Być może po prostu przeczytał wywieszoną na ulicy odezwę do urzędników, aby zgłaszali się do pracy. Gruntowne wykształcenie, znajomość prawa i języków, a zwłaszcza niemieckiego, musiały być niezwykle pomocne. Takich ludzi nowa władza potrzebowała. Pewnie nie bez znaczenia był fakt, że Katowice poznał jeszcze przed wojną.

Hrabar otrzymuje duże mieszkanie w eleganckiej kamienicy przy ulicy Rymera.

* * *

Miasto wygląda, jakby było nietknięte wojną. Ruiny są tylko na rynku. Spłonęło tam kilka budynków podpalonych przez czerwonoarmistów, którzy plądrowali piwnice w poszukiwaniu alkoholu i kobiet. Nie było prądu, więc drogę oświetlali sobie płonącymi szmatami.

O atmosferze tamtych dni pisze Gertruda Pawlak-Finderowa, przedwojenna komunistka i jedna z uczestniczek śląskiej grupy operacyjnej, w skład której wchodzili

wojskowi i cywile-urzędnicy. Pawlak-Finderowa w niedzielę 28 stycznia 1945 roku przybyła do Katowic, by rozpocząć budowę nowej władzy na tym terenie: „Na Śląsk przyjechaliśmy może jakieś osiem godzin po wypędzeniu stamtąd Niemców przez armię radziecką. Jak tylko przyjechaliśmy do Zagłębia, od razu rozeszła się wiadomość o naszym przybyciu. Widziano naszych towarzyszy w polskich mundurach i tłumy Zagłębiaków wyszły na ulice. Nasze samochody zostały zatrzymane, otoczono gen. Zawadzkiego, wyciągnięto oficerów, którzy mu towarzyszyli, z samochodów i podrzucano ich w górę. Każdy chciał się z nimi przywitać, ucałować nas, przy czym największe powodzenie mieli wojskowi. Sytuacja radykalnie się odmieniła, gdy przekroczyliśmy granicę ze Śląskiem. Na Śląsku zastaliśmy okna i drzwi zamknięte, na ulicach nie było ludzi. W oknach wywieszonych było sporo białych i biało-czerwonych flag. Jak nam później wyjaśniono, ludzie się bali, nie wiedzieli, czy zrobimy ich odpowiedzialnymi za czyny Niemców i za to, co działo się podczas okupacji. Samochody nasze pojechały pod siedzibę dawnego Sejmu Śląskiego. Naokoło gmachu i wewnątrz leżały rozrzucone czapki oficerskie i esesowskie, pozrywane dystynkcje oficerskie, bielizna damska, małe rewolwery, z których zresztą w pierwszym okresie korzystaliśmy. Widać było, że Niemcy uciekali stąd w wielkim pośpiechu. Stanęliśmy na placu. Po bardzo krótkim czasie od chwili naszego przyjazdu z domów zaczęło wychodzić trochę ludzi. Przynieśli nam naczynia z gorącą kawą i jedzenie. Powoli nawiązał się kontakt z ludźmi, od których czerpaliśmy niezbędne informacje”.

Tam, gdzie przed wojną była Polska, od stycznia 1945 roku rządzą Polacy. W części niemieckiej władzę sprawują Rosjanie. Niemal wszyscy Ślązacy, z powodu podpisania folkslisty, mają status grupy niepewnej, bez obywatelstwa polskiego. Najlicniejszej grupie – z trzecią kategorią folkslisty – obywatelstwo zostanie przyznane dopiero w sierpniu 1945 roku. Do tego czasu ludzie nie wiedzą, czy nie zostaną uznani za Niemców i wysiedleni.

Do obozów, w których jeszcze do niedawna rządzili Niemcy, trafiają nowi osadzeni. Folksdojczycy i oskarżeni o „niechęć do władzy komunistycznej”. Wśród Ślązaków głośno o obozach Rosengarten w Mysłowicach czy Zgoda w Świętochłowicach. Może tam trafić każdy.

Do Katowic spływają rozkazy z Warszawy. Określają, że należy walczyć z wrogami politycznymi oraz folksdojczami uznanymi za winnych zdrady kraju podczas wojny. Nie ma wprost mowy o Górnos Ślązakach. Jak ubecy ustalają, kto będzie siedział jako folksdojcz, a kto jako wróg ustroju? Wybór czasem jest przypadkowy.

2 lipca 1945 roku wojewoda Aleksander Zawadzki wydaje zarządzenie zakazujące osobom narodowości niemieckiej zamieszkiwania na terenie województwa śląsko-dąbrowskiego. Rozpoczyna się akcja oczyszczania regionu. „Odniemczanie” polega na tym, że nie wolno używać języka niemieckiego, imiona i nazwiska są polonizowane, pozostałości kultury niemieckiej usuwane. Jeszcze wiosną 1948 roku w Katowicach osiem osób zostanie ukaranych za posługiwanie się niemieckim. Ukarani zostaną też kupcy: szesnastu za używanie bloczków kasowych z napisami niemieckimi i dziewięciu za wystawianie na widok publiczny towarów w opakowaniach niemieckich. Do końca kwietnia tego roku do oddziałów karno-administracyjnych sądu w Katowicach zostanie skierowanych 596 spraw celem

przykładnego ukarania właścicieli mieszkań za nieusunięcie skrzynek pocztowych z napisami „Briefe”.



Wizyta prezydenta RP Bolesława Bieruta w Katowicach, 8 marca 1945 rok

W 1945 roku Górny Śląsk staje się terenem wędrówki ludów. Ludność niemiecka zmuszana jest do wyjazdów na Zachód lub wywożona do ZSRR. Na miejsce wyjeżdżających napływają ludzie z innych regionów Polski. Katowice, Bytom, Gliwice, Zabrze są miastami etapowymi dla rzeszy przesiedleńców ze wschodu, którzy zmierzają dalej na ziemie odzyskane, do Wrocławia lub Zielonej Góry. Ale na wschód są też wywożeni rdzenni Ślązacy. Sowieci wywieszają niewinnie brzmiące afisze wzywające mężczyzn w wieku od 18 do 50 lat do zgłaszania się do prac porządkowych. Zamiast tego ludzie są wywożeni „krowiakami” na wschód, do łagrów.

Pod koniec stycznia 1945 roku Sowieci zabierają z domów pracowników Huty Baildon w Katowicach. Mają pracować przy rozładunku wagonów na dworcu. 400 mężczyzn żołnierze ładują do wagonów i wywożą. Po trzech latach niewolniczej pracy w ZSRR do domów wróci tylko pięciu z nich.

Liczba deportowanych na wschód jest sporna, sięga 80–90 tysięcy, z czego około 25 tysięcy to osoby narodowości polskiej.

* * *

Mimo chaosu, wywózek, obozów w miastach toczy się w miarę normalne życie. Kilkanaście dni po wyzwoleniu w Katowicach jest już prąd, działają wodociągi. Do miasta wracają dawni mieszkańcy. Wśród powracających jest czternastoletni Leszek Dzięgiel, przyszły profesor etnologii. Jego rodzina okupację spędziła we Lwowie. Dla nastolatka Katowice wyglądają mizernie. Jest szaro, poznikały przedwojenne neony. „Katowice latem 1945 roku wydały mi się miastem nie tylko małym, ale – z wyjątkiem ścisłego centrum – jakimś sennym, spokojnym i... brudnym. Mroczne, wielopokojowe, rozległe mieszkania w starych, ozdobionych płaskorzeźbami i ornamentami kamienicach niejednokrotnie były zatłoczone. Mieszkało w nich po parę rodzin, tocząc kłótnie przy węglowych kuchniach i gazowych piecykach” – wspomina Dzięgiel.

Miasto przypomina wielki plac przeładunkowy. Z Katowic wysyłane są w Polskę pociągi z węglem, wracają z kartoflami.

Na dworcu kolejowym kwitnie handel. Mieszkańców przyciąga restauracja Astoria, w której można posłuchać orkiestry na żywo. Gości przyjmują hotele Monopol i Centralny. Wtajemniczeni wiedzą, że można w nich wynająć „tajne gabinety”, czyli pokoje na godziny. Pieniądze nie mają znaczenia, za wszystko płaci się towarem.

Ludzie szukają się nawzajem. Nakleją karteczki z nazwiskami i adresami na słupach ogłoszeniowych. Najbardziej oblegany jest słup przed Teatrem Śląskim. Ale też przy trafice na ulicy Stawowej, na ocalałych kamienicach przy rynku. Tysiące karteczek, a każda niesie nadzieję na odnalezienie krewnych.

Mecenas Hrabar zaczyna pracę w Urzędzie Wojewódzkim. Zostaje przydzielony do komórki, która ma zorganizować w województwie opiekę społeczną.

W lipcu 1945 roku Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej przesyła do Urzędu Wojewódzkiego pismo z prośbą o sporządzenie spisu dzieci wywiezionych do Niemiec. Potrzebne są nie tylko personalia, ale także informacje: co się stało z rodzicami, w jaki sposób dziecko zostało zabrane, jakie są o nim ostatnie wiadomości.

* * *

Skąd Hrabar ma to wiedzieć? Niemcy nie zostawili przecież śladów. Prosi o pomoc dziennikarzy. Jakiś czas później Polska Agencja Prasowa publikuje listę nazwisk 49 dzieci z dokumentu, którego oryginał znajduje się w archiwum Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. To lista sporządzona przez pełnomocnika Reichsführera SS jako komisarza Rzeszy do spraw umocnienia niemieczyny. Spis zawiera polskie nazwiska dzieci, ich daty urodzenia i nadane im imiona niemieckie z nazwiskami i adresami przybranych rodziców w okręgach Salzburga i Markt-Pongau w Austrii.

W sierpniu lub wrześniu 1946 roku do drzwi biura mecenas Hrabara puka niespodziewany gość. Szczupła, wysoka starsza kobieta o przenikliwym spojrzeniu zza okularów. Przedstawia się: Eileen Blackey, Amerykanka, dyrektorka Głównej Kwatery Poszukiwań dzieci UNRRA na Europę. Przyjaciółka Eleonor Roosevelt, żony zmarłego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Blackey nie owija w bawełnę: sprawa jest pilna, przy poszukiwaniu dzieci w Niemczech potrzebna jest możliwie pełna dokumentacja.

W Polsce pomocy w szukaniu krewnych udziela tylko Polski Czerwony Krzyż. W niemieckich strefach okupacyjnych działają jego delegatury. Ale sprawą zajmuje się też UNRRA. Zanim pod koniec 1945 roku powołano Organizację Narodów Zjednoczonych, w 1943 roku powstała *United Nations Relief and Rehabilitation Administration* (Administracja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy). UNRRA miała odpowiadać za to, by po zakończonej wojnie i kapitulacji Niemiec nie doszło do katastrofy humanitarnej. Zdawano sobie sprawę z tego, że naziści uprowadzili miliony ludzi. Rozpoczną się ich migracje. Towarzyszyć temu będą głód i choroby. Zaraz po wojnie UNRRA zaczęła odpowiadać za dostarczanie żywności, pomoc medyczną i repatriacje dipisów z Niemiec.

Dipisi. Skrót od angielskiego DP – *displaced persons*. Robotnicy przymusowi, jeńcy wojenni, uwolnieni więźniowie obozów koncentracyjnych. Nie wracają po wyzwoleniu od razu do domu. Zostają umieszczeni w specjalnych obozach. Wielu z nich po latach niewolniczej pracy pała żądzą zemsty.

Marta Korwin, polska pracownica socjalna w kwietniu 1945 roku znalazła się w mieście Bocholt w zachodnich Niemczech. Tamtejszy obóz dla dipisów urządzono w budynku fabrycznym. „Smutny był to widok. Mieszanka ludzi najróżniejszych narodów, brud, zagubienie, powszechne grabieże, większość pijana w sztok, nieodpowiednie wyżywienie” – opisuje w swoich wspomnieniach. W obozie w Bocholt są przesiedleńcy z Europy Zachodniej, Polacy deportowani z Warszawy po powstaniu, Rosjanie wysłani na roboty, włoccy jeńcy wojenni. „Podczas niewoli w Niemczech stworzyli przeciwwagę dla niezwykle trudnej, a czasem wręcz koszarnej rzeczywistości, snując fantazje o przyszłym życiu... Wszystkie cierpienia pójdą w niepamięć. Wolność przeniesie ich do krainy, gdzie nie ma zła... do raju, gdzie wszyscy ludzie są dobrzy” – opisuje Korwin. Rzeczywistość tymczasem wygląda inaczej. Po niewoli zostają stłoczeni w obozach. Żyją w ciężkich warunkach. Wielu z nich szuka ucieczki w alkoholu lub seksie.

Wielu dipisów z Europy Wschodniej wcale nie myśli o powrocie do domu. Na przykład Polacy, Ukraińcy, Białorusini, których miejscowości po zmianach granic znalazły się na terenie Związku Radzieckiego. Nie chcą wracać też Estońcy, Łotysze, Litwini. Siedzą w obozach, czekają nie wiadomo na co. Badania lekarskie przeprowadzone w obozie polskich dipisów w miejscowości Wildflecken po ponad rocznym pobycie wykazują, że szesnaście procent mieszkanek (w tym dziewczynka, która grała rolę Matki Boskiej w obozowych jasełkach) ma rzeżączkę.



Pielęgniarka z armii amerykańskiej z grupą dzieci w obozie dla polskich dipisów w Bensheim

UNRRA organizuje też specjalne centra opieki nad dziećmi. Pierwsze powstaje w lipcu 1945 roku w klasztorze Indersdorf w Bawarii. Trafiają tam sieroty z obozów i gospodarstw, w których ich rodzice pracowali jako przymusowi robotnicy. Niektórych z nich nie można zidentyfikować. Wiele dzieci jest w szoku. Nie potrafią niczego konkretnego opowiedzieć. Inne są zbyt małe, by cokolwiek wiedzieć. Jeszcze inne w ogóle milczą. Cieszą się tylko, że mają gdzie mieszkać i co jeść.

Pracownicy UNRRA zabrali się za rejestrowanie dipisów żyjących poza obozami – w sierocińcach i w domach prywatnych. Natrafili na wiele dzieci pochodzących spoza Niemiec. Personel UNRRA z Bawarii raportował, że Niemcy pytani o dzieci odpowiadają wymijająco, czasem odmawiają wyjaśnień lub reagują wrogo. Dzieci traktują jak własne. Z drugiej strony pracownicy UNRRA wciąż spotykają rodziców innych narodowości, którzy swoich dzieci poszukują.

W UNRRA zorganizowano Centralne Biuro Poszukiwawcze. Jego pracownicy badają archiwa, sprawdzają dokumenty. Penetrują sierocińce, sprawdzają też domy prywatne, w których mogą mieszkać zniemczone dzieci.



Polki w jednym z obozów dla dipisów

Jeszcze przed spotkaniem z Hrabarem Eileen Blackey spotkała się z polskimi władzami w Warszawie. Pojechała do Łodzi, gdzie udostępniono jej archiwalne dokumenty – odnalezione listy z danymi dzieci, które zostały wywiezione do Niemiec. Amerykanka jeszcze raz odwiedza Hrabara w Katowicach. W listopadzie 1946 roku przyjeżdża do Polski upewnić się, czy kraj jest odpowiednio przygotowany na to, aby zadbać o powracające dzieci.

Hrabar uważa, że trzeba wprowadzić nowe procedury, poszukiwania należy zindywidualizować. Odnajduje na Śląsku akta NSV. Obfity materiał. W małym biurze prawnika akta sięgają sufitu.

– Trzeba się dobrze zorientować w tych dokumentach i wydzielić informacje, które mają praktyczne znaczenie – mówi Hrabar współpracownikom. Jedzie do Grodkowa na Opolszczyźnie po kolejne papiery. W tamtejszym zakładzie wychowawczo-poprawczym, który podlegał nadzorowi SS, są resztki kartotek dzieci zsyłanych tam z różnych miejscowości na Śląsku. Nie wiadomo, dokąd wywieziono je z Grodkowa.

* * *

Więść, że Hrabar szuka dzieci, szybko roznosi się po województwie. Coraz częściej

przychodzą do niego rodzice, krewni przysyłają listy – bardzo do siebie podobne. Na przykład taki: „Nie było mnie w domu. Po powrocie nie zastałam już mojego synka Krzysztofa. Miał osiemnaście miesięcy. Dwóch gestapowców pobiło mojego starego ojca i dwie siostry, którzy bronili się przed oddaniem dziecka. Wywieziono go samochodem. Od tego czasu nie mam żadnej wiadomości o dziecku”.



Dzieci wśród dipisów zmierzających do ośrodka Firedland, 3 marca 1950 rok

Albo taki: „Córeczka moja zachorowała. Udałam się do apteki, co trwało dłuższy czas. Po moim powrocie sąsiedzi ze strachem opowiadali, że jacyś ludzie w mundurach niemieckich z pielęgniarką wyważyli drzwi do mojego mieszkania i zabrali spazmujące dziecko do samochodu. Widziano przez szyby, jak samochód szybko odjechał. Nigdzie nic o dziecku nie mogłam się dowiedzieć”.

Niekiedy do opisu dołączona jest fotografia uśmiechniętego malca.

Spraw jest już tak dużo, że od władz centralnych Hrabar otrzymuje pełnomocnictwo do prowadzenia działalności związanej z rewindykacją dzieci polskich z Niemiec.

Z Polski jednak nie wyjeżdża od razu. Najpierw trzeba w kraju skoordynować działania Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, Spraw Zagranicznych, Oświaty, Generalnego Pełnomocnika do spraw Repatriacji, Zarządu Głównego PCK.

„Nie posiadamy żadnych informacji, jak poszukuje się dzieci. Przed nami wielka niewiadoma” – odnotowuje Hrabar przed wyjazdem do Niemiec. Pakuje ze sobą dokumenty, m.in. kartotekę dzieci z Urzędu Rasy i Osadnictwa SS w Łodzi z numerami

dzieci na fotografiach.

Wiosną 1947 roku pełnomocnik polskiego rządu opuszcza kraj. Do Niemiec podróżuje Orient Expressem. Przejeżdża przez Petrovice, Pragę, Pilsno, Mariańskie Łaźnie, Cheb. Pociąg mija Norymbergę, Stuttgart, dojeżdża do Karlsruhe. Tu Hrabar przesiada się do pociągu do Heidelbergu. Już latem tego roku w polskiej prasie ukażą się pierwsze informacje o poszukiwanych i odnajdywanych przez niego dzieciach.

Dziecko szczęścia

Hrabar nie ma pojęcia, że zbliża się do poznania tego, jak działał Lebensborn. Z czasem, krok po kroku uda mu się poskładać zdobywane informacje i zrekonstruować cały proceder. Na razie z Polski mecenas dociera pociągiem do niemieckiego Heidelbergu w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Na miejscu wita go Eileen Blackey. Przedstawia pozostałych uczestników akcji poszukiwania dzieci. To przedstawiciele m.in. Czechosłowacji, Belgii, Jugosławii, organizacji charytatywnych amerykańskich i żydowskich.

Warunki pracy w Heidelbergu są fatalne. Hrabar opisuje, że kwatera mieści się na terenie zajmowanym przez wojsko. Pokój Hrabara jest ciasny, brakuje miejsca na akta i maszynę do pisania.

Pierwsza misja w Bawarii. Hrabar wertuje kartoteki ewidencyjne przebywających tam dzieci. Na specjalnych drukach spis danych personalnych. W wielu przypadkach kwestionariusz świeci pustkami. Jest sporo dzieci o nieustalonej narodowości. Prawnik podróżuje małym jeepem do Regensburga. W tamtejszej kwaterze UNRRA można przeglądać rejestry. Hrabar znajduje w nich nazwiska około czterech tysięcy dzieci ze Śląska. Ale w wielu miejscach kwestionariusze są niepełne. Często tylko adnotacja:



Powitanie polskich dzieci wywiezionych do Rzeszy w czasie wojny

„Dziecko nie pamięta swojego nazwiska. Nie może sobie przypomnieć rodziców”;

„Mówi, że nazywa się Stronk, ma 6 lat. Ojciec był wysoki. Mieszkał przy ulicy, po której jeździł tramwaj”;

„Mówi, że miała brata i siostrę. Siostra nazywała się Anna. Imienia brata nie pamięta. Wiadomo, że przyjechała w 1944 roku transportem z innymi dziećmi ze wschodu”;

„Zna niektóre polskie słowa, jak kot, pies, dobry, tak, nie, cukierek. Mówi, że jest z Polski. W języku niemieckim kończy jednak: *Ich bin ein Deutscher*”.

„Z postępowaniem analizy akt zaczyna nas niepokoić jedno zjawisko: zniekształcenie pisowni imion i nazwisk” – notuje Hrabar. Karwinowski stawał się Karpersem, Mikołajczyk – Mickerem, a Sosnowska – Sosemann. Niektóre polskie nazwiska były tłumaczone na niemiecki: Olejnik – Oelmann, Młynarczyk – Mueller, Ogrodowczyk – Gaertner. Jeśli natomiast dziecko nosiło nazwisko o słowiańskim brzmieniu, nadawano mu typowe nazwisko niemieckie: Cieślak – Schueller, Rzamiak – Kramer, Cześławski – Zallinger.

* * *

Po raz pierwszy Hrabar spotyka polskie dzieci w Deggendorfie. Grupa chłopców i dziewczynek w różnym wieku czeka w ośrodku na repatriację. Zagaduje chłopaka, czternastolatka.

– Cieszysz się na powrót do Polski? – pyta Hrabar.

– Nie wiem jeszcze, czy pojedę. Może zostanę tu, może pojedę w świat.

Hrabar martwi się, bo obowiązują wytyczne, że dzieci powyżej czternastu lat, a nawet dwunastoletnie nie mogą być repatriowane bez własnej zgody. „Takie stanowisko jest dla nas nie do przyjęcia. Powrót do kraju nie może być zależny od żądzy przygód małoletniego lub czyjejś inspiracji” – pisze Hrabar w specjalnej depeszy do Warszawy.

Kolejny przystanek w Monachium. Problemy rosną. Amerykanie uważają, że dzieci folksdojczów są niemieckie, chociaż ich rodzice nadal przebywają w Polsce. Hrabar próbuje wyjaśnić, że na Śląsku za odmowę podpisania folkslisty groziła wywózka do obozu koncentracyjnego.

Hrabar znowu spotyka się z Eileen Blackey. W szczerzej rozmowie Amerykanka przyznaje, że wśród ważnych ludzi, którzy zajmują się teraz Niemcami, ścierają się różne poglądy na repatriację dzieci. Coraz częściej mówi się, że UNRRA będzie zlikwidowana. I że ona sama już wkrótce będzie musiała opuścić Europę. Hrabar nie dopytuje o przyczyny odwołania Blackey, nie pozwala mu na to przedwojenna kindersztuba.

Na chwilę jedzie do Polski, przywozi dokumenty, które pozwalają odzyskać 146 dzieci, wszystkie zostały zidentyfikowane i są poszukiwane przez rodziców. Tak samo jak dzieci śląskie, które nie mogą zostać wydane, bo „mówią wyłącznie po niemiecku”. Mali Ślązacy przebywają w zakładzie opiekuńczym Schloss Hubertus. Hrabarowi udaje się udowodnić, że mają rodziców w Polsce. Udaje mu się odzyskać 25 dzieci.

Kolejna wyprawa Hrabara, tym razem nad jezioro Starnberg w Bawarii. W nadbrzeżnych rezydencjach działają zakłady opiekuńcze. Polak nie ma odpowiedniej przepustki, ale ryzykuje. Na jednej z plaż dostrzega grupkę bawiących się dzieci. Pilnują ich wychowawczynie. Hrabar widzi, że jeden z chłopców odbiega od grupy, szuka czegoś za drzewami. Hrabar rusza za nim z tabliczką czekolady w rękę. – Pięknie tu u was – zagaja po niemiecku. Chłopak dziękuje za słodycze, a Hrabar dopytuje: – Masz mamusię?

- Mam.
- Gdzie jest teraz?
- Na Śląsku.
- Nie chciałbyś do niej pojechać?
- Bardzo, ale mówią tutaj, że mamusia do mnie przyjedzie.
- Jest tu więcej dzieci z twoich stron?
- Jest więcej, są chłopcy i dziewczynki.
- Jak się nazywasz i ile masz lat?
- Ryszard, mam dziewięć lat.
- A nazwisko?
- Sinko.

Hrabar powiadamia UNRRA, ale odpowiedź nie jest pomyślna: „Ryszard Sinko nie jest nigdzie zarejestrowany”. Hrabar domaga się wszczęcia postępowania. Do kraju pisze list z prośbą o odszukanie rodziny małego Ryszarda.

Nie wiadomo, czy Ryszard Sinko wrócił do mamy, na Śląsk. Hrabar w swoich publikacjach nie wspomina, czy udało się odnaleźć jego rodzinę. Być może trafił do transportu, którym dzieci wracały do Polski, a Hrabar zapomniał to odnotować.

Do kraju zaczynają napływać całe grupy małych repatriantów. Hrabar jedzie tymczasem do brytyjskiej strefy okupacyjnej. Tam odwiedza m.in. miejscowość Lemgo, w Nadrenii Północnej-Westfalii na zachodzie Niemiec, w której mieści się siedziba Głównej Kwatery UNRRA na tę strefę. „Jak zwykle zaczynam od odczytu dla całego zespołu Głównej Kwatery i zaproszonych przedstawicieli Zarządu Wojskowego. Akcentuję mocno, że wszystkie zrabowane dzieci muszą powrócić do ojczyzny – nie tylko zresztą polskie – by częściowo wyrównać krzywdy wyrządzone potworną okupacją hitlerowską... W Lemgo identyfikujemy ujęte w tutejszej ewidencji dzieci” – notuje Hrabar.

* * *

W styczniowy dzień 1948 roku do domu Rossmannów puka kobieta w amerykańskim mundurze. Rodzice mówią Bärbel, że musi się ubrać. Płaczą. Bärbel wsiada do wojskowego jeepa i odjeżdża.

Wilhelm Rossmann pisze do Łodzi, do babci Basi: „O Bärbel wiedzieliśmy tylko, że nosiła nazwisko Geisler. Pomimo pytań nie uzyskaliśmy informacji o jej krewnych. Przyjęliśmy ją do domu jak własne dziecko i tak ją traktowaliśmy i wychowaliśmy. W tym okresie nosiła nasze nazwisko. Zawsze czuła się tu bardzo dobrze. Chodziła do szkoły. Bärbel jest bardzo zdolna, ale brak jej koniecznej do nauki wytrwałości.

Przejawia pilność w rysowaniu i malowaniu, i w tym też jest niezmordowana”.



Siostra Basi – Krystyna Gajzler na spacerze z mamą Kazimierą Gajzler (pierwsza z lewej) i babcią Anną Gajzler

Bärbel ma dziesięć lat i dowiaduje się, że jest Polką. Z Lemgo zostaje przewieziona do jakiegoś miasteczka, gdzieś na południu Niemiec. W tamtejszym ośrodku jest grupka dzieci. Z magazynu UNRRA dostają ubrania. Same cuda. Bärbel wkłada kolorowe sukienki, lakierki. Codziennie z innymi dziećmi zajada się czekoladą i południowymi owocami – nigdy wcześniej takich nie jadła. W maju 1948 roku wraz z dwójgiem innych dzieci zostaje przewieziona do Augustdorf. Jest tu obóz z barakami, w których mieszkają ludzie różnych narodowości. Wszyscy czekają na transport do swojego kraju. Bärbel słyszy, że ma jechać do Polski.

Na początku czerwca wraz z innymi dziećmi wyrusza w podróż pociągiem. W wagonach stoją piętrowe łóżka. Pociąg często zatrzymuje się i stoi całymi dniami w szarym polu. Dziewczynka myśli, że podróż nigdy się nie skończy. W końcu dojeżdża do Katowic. Z dworca dzieci są zabierane do kolejnego ośrodka.

– Jesteś Barbara Gajzler, a nie Bärbel Rossmann – słyszy od opiekunek. Dziewczynka nie rozumie po polsku. Z nikim nie rozmawia. Czekają. Ale na kogo? Przecież jej rodzice zostali w Lemgo.

Widzi, że po inne dzieci przychodzą dorośli. Płaczą, są szczęśliwi i zabierają je stamtąd. – Co ze mną będzie? – myśli. Wreszcie pojawia się mężczyzna, który mówi, że jest jej wujkiem. Na robotach nauczył się trochę niemieckiego. Dla Bärbel to miła odmiana. Wujek zabiera dziewczynkę do Gdańska. Tam będzie jej nowy dom.

Miasto jest zrujnowane. Na myśl o ślicznym, czyściutkim Lemgo łązy napływają dziewczynce do oczu. Idą do starego domu. Nie ma w nim łazienki, a nawet bieżącej wody! Są ludzie, których dziewczynka nie może zrozumieć. Nowa rodzina – ciocia i dwie kuzyneczki w wieku trzy i pięć lat. Po miesiącu ciocia rodzi jeszcze synka. Jest już wrzesień i Basia musi iść do szkoły. W klasie przedstawia się: „Ich bin Bärbel Rossmann” i od razu wzbudza ciekawość. Edukację zaczyna od pierwszej klasy. Uczy się polskiego. Na przerwie dzieci biorą ją w kółko. Trzymają się za ręce i śpiewają „Stary Hitler mocno śpi”. Bärbel niby się śmieje, ale tak naprawdę umiera z tęsknoty za Lemgo, za rodzicami. Czuje się Niemką. Wujek wyjaśnia, że trzeba to zmienić, bo jest Polką, a Niemcy dużo złego robili Polakom. I zabiera Basię na Westerplatte. – Zobacz, tu zaczęła się wojna – wyjaśnia. Później jadą do obozu koncentracyjnego w Stutthof. – Co ja mam z tym wspólnego? Jestem Bärbel, nie Basia – myśli dziewczynka.

Ciocia oczekuje, że Basia pomoże jej przy dzieciach. Nie rozumie, że ona sama potrzebuje opieki. Basia znów zaczęła się moczyć w nocy. Po dwóch latach pobytu w Gdańsku jedzie do babci do Łodzi. Mieszka z nią przez jakiś czas, ale później zostaje odesłana do kolejnej ciotki, a później jeszcze do kolejnej. Dziewczynka czuje, że nikt jej nie chce. Zwłaszcza po wizycie w Pabianicach, dokąd zabrała ją jedna z ciotek. Tam mieszka druga babcia. Okazuje się, że nie sama. Tylko ze starszą o sześć lat siostrą Basi. Kiedy się spotykają, Basia ma lat czternaście, siostra jest dorosła. Żadna z nich nie poczuła siostrzanej miłości. Po spotkaniu każda wróciła do swojego życia. Później rzadko będą się ze sobą kontaktować.

* * *

W końcu w 1952 roku Basia trafia do domu dziecka. Babcia odwiedza ją w niedzielne popołudnia. Basia powoli zapomina niemieckiego, mówi już płynną polszczyzną. Chce być samodzielna, zaradna. Dobrze się uczy. Postanawia, że będzie dobrą Polką. Dużo rysuje, dostaje się do szkoły plastycznej. Uczy się na technika sztuk plastycznych. Będzie rysować, projektować wzory na tkaniny. Nauka i rysunki pochłaniają ją całkowicie. Nie chce chodzić na randki. Chłopcy jej nie interesują. Już sama myśli, że miałyby z kimś być blisko, napawa ją wstrętem. Basia jest przekonana, że za mąż nie wyjdzie. Już tyle lat jest sama i zawsze będzie. Bo jak będzie z kimś, to ten ktoś znowu ją zostawi. I historia się powtórzy. Lepiej mieć tylko koleżanki i kolegów.

Basia najbardziej lubi małego Antoniego. Osiem lat młodszy od niej też mieszka w domu dziecka. Ale Antoni ma mamę. To pielęgniarka, która tam pracuje. Popołudniami, bo rano wychodzi do pracy w szpitalu. Basia lubi się opiekować Antonim. Jest dla niej jak młodszy brat. – Kiedyś będziesz moją żoną! – mówi chłopiec, kiedy Basia mu rysuje. Dziewczyna kręci głową. Ale przecież to tylko żarty, a Antoni jest taki serdeczny, optymistycznie patrzy na świat. Nie to co ona. Nieufna, zamknięta,

wiecznie przekonana, że nigdy nic się nie uda.

Basia po skończonej szkole znajduje pracę, ale przeszłość daje o sobie znać.

W 1958 roku dostaje list od przybranych rodziców z Lemgo. Dowiaduje się, że listów było więcej, Rossmannowie szukali jej, ale ciocia w Gdańsku listów Basi nie przekazała. Basia nigdy jej nie zapyta, dlaczego to zrobiła. Nie ma z tą rodziną kontaktu. I już mieć nie będzie.

Po osiemnastu latach, w 1966 roku 28-letnia Basia jedzie do Niemiec. Wcześniej dwukrotnie odmówiono jej wizy. Kobieta nie jest pewna, co zastanie na miejscu. Zbliża się Boże Narodzenie. Całe Lemgo jest pięknie rozświetlone. Jak tu inaczej niż w szarej Łodzi! Basia skrada się przez ogród do domu. Zagląda przez okno. Widzi, że Mutti siedzi na kanapie, ogląda telewizję. Czy mnie poznają? Zaakceptują? Basia na dobre zapomniała niemiecki. „Bärbel!” – krzyczą domownicy, gdy staje w drzwiach willi. Znowu wszyscy wybuchają płaczem. Basia chce mówić. Łapie za słownik. W pamięci odgrzewa stare, zapomniane słowa.

Basia ma wizę na trzy miesiące. Udaje jej się przedłużyć na trzy kolejne. Przyszywani bracia pomagają znaleźć zajęcie w pracowni jednej z fabryk. Basia wykonuje kilka projektów tkanin. Słyszy, że są bardzo dobre! Nie może w to uwierzyć. Przecież ona nic dobrego nie potrafi. Ciężko Ursel znowu się odzywa. Basia nie potrafi siebie samej docenić, ale ma ambicje. Przed rodziną Rossmannów nie chce występować ponownie w roli biedaczki. – Zostań z nami. Jesteśmy twoją rodziną – przekonuje przyszywana matka. Ale Basia wraca do Polski. – To był dom mojego dzieciństwa, ale nie mój prawdziwy – myśli.

* * *

Do Polski wraca odmieniona. Coraz cieplej myśli o Antonim. Już dawno przestał być małym chłopcem. To przystojny dwudziestolatek. Zawsze uśmiechnięty, podtrzymujący na duchu. Basię nazywa Bajką i wciąż deklaruje jej swoje gorące uczucie. – Bajka, nie martw się! Trzeba cię otworzyć na życie – przekonuje.

Basia decyduje się wyjść za niego za męża. Kiedy była drugi raz w Lemgo, już jako dorosła kobieta, widziała szczęśliwą rodzinę. Zrozumiała, że to jest możliwe. A nikt nie rozumie jej tak dobrze jak Antoni.



Barbara z mężem Antonim

Jego matka jest Niemką. Została w Polsce po wojnie. Nikt nie wie dlaczego. Ojciec jest polskim lekarzem. Pracuje w Wieluniu. Z żoną i dzieckiem widuje się od czasu do czasu. Antoni też się czuje samotny. Matka wiecznie zapracowana, nigdy nie miała czasu, żeby syna przytulać. Niespecjalnie też chciała. W obcym kraju, bez wsparcia bliskich, zachowuje wobec wszystkich dystans, nie okazuje uczuć, ciepła. A Antoni chce mieć własną, kochającą się rodzinę.

Na świat przychodzi najpierw Artur, po pięciu latach Aneta. Basia dobrze czuje się w nowej roli. Z Antonim dzielą się domowymi obowiązkami. Ale dwa lata

po narodzinach drugiego dziecka Antoni ginie w wypadku samochodowym. Dawne, zapomniane uczucie pustki, samotności wraca ze zdwojoną siłą. Basia musi przewyciężyć ból ze względu na dzieci.

Mieszka z teściową. Matka Antoniego jest już na emeryturze. Wnuki uwielbia. Ale zawsze ma odmienne zdanie na temat ich wychowania. Basi się wydaje, że chce zająć jej miejsce. Nie wie, jak się teściowej przeciwstawić. Na głowie ma utrzymanie domu. Bierze do domu prywatne zlecenia. Dużo projektuje, na rynku trwa boom na koszulki z nadrukami. A w domu prócz pracy ma pranie, gotowanie, dzieci i teściową wciąż zazdrosną o wnuki.



Barbara z Mutti

Kilka lat po śmierci męża przechodzi załamanie nerwowe. Trafia do szpitala.

Pomaga jej niemiecka rodzina. Piszą listy, zapraszają. Barbara jedzie z dziećmi do Lemgo. Zaczyna opowiadać dzieciom o swoim życiu.

One są jej wytchnieniem i rekompensatą. Artur więcej czasu spędza w domu niż z kolegami. Razem z Anetą pomagają matce, jak mogą. Dają korepetycję, dorabiają w czasie wakacji.

Basia też cały czas pracuje. Nie myśli o własnym życiu. Tym bardziej o nowym związku, poznaniu jakiegoś mężczyzny.

Kiedy teściowa umiera, Barbara płacze. Choć mieszkały razem, nigdy nie stały się sobie bliskie. Ona też miała swoją historię, myśli Basia. Do końca życia nie pozbyła się

twardego, niemieckiego akcentu. Czuła się tu obca. Była twarda i krytycznie do Barbary nastawiona. A Barbara w jej słowa wierzyła. Bo przecież nigdy nic jej w życiu nie wychodziło.

Po raz kolejny Barbara czuje się opuszczona, gdy z rodzinnego gniazda wyfruwają dzieci. Aneta skończyła germanistykę i została tłumaczką. Wychodzi za mąż za Niemca. Artur na szczęście zostaje w Łodzi. Na świat przychodzą wnuki.

Barbara chciałaby w końcu mieć czas tylko dla siebie: czytać, odpoczywać, jeździć na wczasy. Ale angażuje się we własną przeszłość i przejmuje prowadzenie Zrzeszenia Dzieci Polskich Germanizowanych przez Reżim Hitlerowski. Pomaga innym w poszukiwaniu dokumentów. Dzięki jej staraniom na budynku przy ulicy Piotrkowskiej w Łodzi zostaje wmurowana tablica: „W tym budynku w latach 1940–1944 hitlerowcy dokonywali badań i selekcji rasowej polskich dzieci w celu ich germanizacji”.

* * *

Dziś Barbara mieszka w jednym z łódzkich dziesięciopiętrowców. – Mieszkałam na czwartym piętrze bloku bez windy. Z czasem coraz trudniej było mi wchodzić po schodach. Zaczęłam się zastanawiać nad zamianą mieszkania. W moje urodziny syn z rodziną urządzili mi przyjęcie. Dostałam małe pudełeczko. Otwieram, a w środku klucze! Artur mówi, że to do mojego mieszkania! Mówię: „Ubierajcie się, idziemy zobaczyć”. Założyliśmy kurtki, buty. Wychodzimy, ale Artur prowadzi nie do windy, a do innego mieszkania. Otwiera drzwi i mówi: „To twój nowy dom, mamó”. I tak zostałam sąsiadką własnego syna. Byłam przestraszona, że może mieszkamy zbyt blisko. Ale nie wchodzimy sobie w paradę – Barbara uśmiecha się.



Barbara Paciorkiewicz w swoim mieszkaniu w Łodzi

Mieszkanie jest elegancko i nowocześnie urządzone. Wszystko starannie poukładane: listy, wydruki, zdjęcia. Całe życie pani Barbary.

– Ja naprawdę byłam dzieckiem szczęścia! – opowiada. – Mogłam trafić do złych ludzi. A oni mnie przyjęli, kochali.

Oglądamy stare zdjęcia. Mała Basia-Bärbel przy choince z przyszywaną mamą, w szydełkowych sukienkach po Ursel i z wielką białą kokardą na jasnych włosach.

– Mam też zdjęcia prawdziwej mamy – pokazuje zdjęcia eleganckiej kobiety w szykownych kapeluszach albo w modnym, nieco śmiałym jak na tamte lata stroju kąpielowym. – Jak mogłam ją zapamiętać? Moja córka też dziś nie pamięta swojego ojca. Ale ona miała mnie. A ja nie miałam nikogo. Zniszczono nam psychikę. Celowo mówię „nam”. Przecież nie jestem jedynym dzieckiem, które podczas wojny zostało wywiezione do Niemiec. Jest nas sporo. Wielu już nie żyje. Nasza psychika, psychika tych dzieci jest jak złamana gałąź, która nigdy się nie zrośnie. Nic nie przywróci człowiekowi życiowej równowagi.

– A pani koleżanka Halinka? – pytam.

– Już nie żyje. Spotkałyśmy się w Łodzi, miałyśmy cały czas ze sobą kontakt, przyjaźniłyśmy się. O, tu jest na zdjęciu – pokazuje.



Basia z Mutti w domu w Lemgo

Oglądamy kolejne dokumenty. Na przykład list Wilhelma Rossmanna do babci z 1948 roku. Ten sam, w którym pisze, że „Bärbel jest bardzo zdolna, ale brak jej koniecznej do nauki wytrwałości. Przejawia pilność w rysowaniu i malowaniu, i w tym też jest niezmiernie dobra”. – Gdyby Niemcy mnie nie zabrali, bardziej wierzyłabym w swoje możliwości, których nie wykorzystałam do końca. Byłabym bardziej pewna siebie – mówi pani Barbara.

Wilhelm i Maria już nie żyją. Starszy syn Rossmannów zmarł lata temu. Młodszy w marcu 2016 roku. Miał 91 lat. Pani Barbara pojechała do Lemgo na jego pogrzeb.

– Nie wiem, skąd Rossmannowie wiedzieli o ośrodku Lebensbornu. To nieistotne. Ważne, że mnie stamtąd zabrali. Skończyły się te potworne zastrzyki. Mówi się, że one miały nam zamazać pamięć. To raczej mało prawdopodobne. Dawali nam pewnie luminal, jakieś środki na uspokojenie. Żebyśmy nie płakali, nie krzyczeli – mówi pani Barbara. I po chwili dodaje. – Rozumiem, że po wojnie polskie dzieci musiały wrócić z Niemiec. Często przecież czekali na nich prawdziwi rodzice. Ale gdy rodziców nie było, a ci nowi je kochali, dziecko nigdy nie powinno zostać im odebrane. Nie, nie powinnam być zabrana od Rossmannów – dodaje.

Czy poczucie samotności z biegiem lat minęło?

– Ciągle czuję się niechcianym dzieckiem. Ono wciąż jest we mnie. Teraz, kiedy

jestem starsza, dużo bardziej niż kiedyś.

Byłaś młodsza, byłaś blondynką

16 maja 1945 roku ulicami Poznania wędruje kobieta z plecakiem na ramieniu. To Halina Witaszek, żona Franciszka, matka pięciorga dzieci, obozowy numer 39447. Przeżyła Auschwitz i Ravensbrück. Idzie na Osiedle Grunwaldzkie, do mieszkania swoich krewnych Kubiaków. Mają tam na nią czekać Daryjka i Alusia, ukochane córeczki.

Ale dziewczynek nie ma. – Dwa lata temu zabrali je od nas Niemcy – mówi na progu Kubiakowa. To nie koniec złych wiadomości. Halina dowiaduje się, że jej mąż Franciszek od ponad dwóch lat nie żyje.

Franciszek przed wojną pracował jako asystent Zakładu Higieny i Medycyny Społecznej w Poznaniu. W czasie okupacji zaangażował się w konspirację. Został dowódcą Związku Odwetu (organizacji wchodzącej w skład Związku Walki Zbrojnej, a potem AK). Grupa Witaszka zajmowała się specyficzną działalnością. W jednym z mieszkań prowadzono laboratorium, które dostarczało bakterie groźnych chorób zakaźnych. Witaszkowi udało się wynaleźć preparat, który nie wywołując objawów zatrucia, powodował w organizmie spustoszenie. Nawet po jednorazowej dawce niszczył śledzionę lub nerki, co nieuchronnie prowadziło do śmierci. Inna substancja wynaleziona przez Witaszka doprowadza do zatrzymania akcji serca. Jego grupa opracowała też środek wywołujący ropienie skóry, powstawanie trudno gojących się ran. W innym laboratorium produkowano miniaturowe bomby termiczne. Wytwarzano też wynalezioną przez Witaszka substancję, która powodowała szybką korozję w metalach silników spalinowych. Albo specjalne gwoździe do przebijania opon samochodowych na drogach.



Rodzina Witaszków

W grupie Witaszka byli naukowcy, lekarze, laboranci, aptekarze, inżynierowie. Ale też kolejarze i szoferzy. Szczególną rolę odgrywali kelnerzy, którzy dzięki temu, że pracowali w lokalach, mieli możliwość dolewania specyfików i likwidowania gestapowców lub konfidentów.

25 kwietnia 1942 roku Franciszek Witaszek został aresztowany. Zabrano go z jego gabinetu lekarskiego. Niemcy wiedzieli, kogo zatrzymali. Przy kawie i papierosach zaproponowali mu współpracę. Propozycja była konkretna: swoje specyfiki miał wytwarzać dalej, ale już w berlińskich laboratoriach. Odmowa oznaczała wyrok

śmierci. 8 stycznia 1943 roku po odrzuceniu propozycji współpracy i torturach Witaszek został powieszony. Wraz z nim zginęło 30 członków organizacji – 24 mężczyzn i sześć kobiet. Zwłokom Witaszka Niemcy odcięli głowę i włożyli ją do słoja z formaliną i napisem: „Kopf eines intelligenten polnischen Massenmörders”, czyli „Głowa inteligentnego polskiego masowego mordercy”.

Niedługo po aresztowaniu Franciszka Niemcy zatrzymali Halinę. Wcześniej udało jej się ukryć trójkę dzieci u brata w Ostrowie Wielkopolskim. Mariola, Iwona i Krzysk powinni być bezpieczni. Daryjkę (trzylatkę) i Alusię (pięciolatkę) zostawiła pod opieką Kubiaków.



Daria (z lewej) i Alodia

Halina jedzie do Ostrowa do brata Zygmunta Muszyńskiego i jego żony Ireny. Znajduje szczęśliwie trójkę pozostawionych u niego dzieci. Zaczyna szukać zaginionych córek. Pisze listy do Czerwonego Krzyża, ale nie dostaje żadnych konkretnych odpowiedzi. Przez przypadek w jednej z gazet czyta artykuł o tym, jak hitlerowcy porywali polskie dzieci. Autorem tekstu jest Roman Hrabar.

Halina szuka kontaktu z mecenasem. W lipcu 1947 roku pisze do niego list, prosi o pomoc w szukaniu dziewczynek. Do listu dołącza dwie fotografie. Hrabar otrzymuje go w Niemczech, w Ludwigsburgu. Z koperty wyciąga zdjęcia. Widzi dwie uśmiechnięte blondyneczki.

* * *

O powrotach polskich dzieci z Niemiec coraz głośniejsze w kraju. W sierpniu na ekranach kin Polska Kronika Filmowa wyświetla krótki filmik *Dzieci odnajdują rodziców*. Na czarno-białym ekranie widać nadjeżdżający pociąg. Po chwili tłum dzieci i dorosłych. „Mała stacyjka Koźle była widownią wzruszającego powitania dzieci polskich wywiezionych w głąb Rzeszy” – słychać głos lektora. Jakiś urzędnik w garniturze i z papierosem przegląda plik papierów. Być może sprawdza spis przywiezionych dzieci. Przed nim stoi nastolatek, obok małe dziecko w furazerce na głowie. „Dzieci odbierają żywność i kierowane są do ośrodków PCK, gdzie odbierają je szczęśliwi rodzice. Ale nie wszystkie czeka radość i ciepło domu rodzinnego. Oto Henio Lenczewski. Rodzice jego zginęli pod niemieckimi bombami” – na ekranie widać uśmiechniętego nastolatka. Obok niego krótkowłose kilkulatki w ogrodniczkach. Trzyma go na rękach jakiś mężczyzna. „Ten małe urodził się w Kocinie koło Łodzi. O rodzicach jego nic nie wiadomo” – informuje lektor. Na ekranie widać już jasne główki dzieci bawiących się w piaskownicy. Ufnie uśmiechają się do kamery. Kolejne sceny to dorośli, którzy ściskają, przytulają dzieci. Widać starszą kobietę w czarnej chustce na głowie. „Ta kobieta przyjechała aż z Białej po wnuczęta”. Przybyłe dzieci w Koźlu odwiedza pisarz Kornel Makuszyński. Rozmawia o czymś z kobietą w czarnej chustce, z jej wnukami. Dzieci odchodzą z dorosłymi. Machają do kamery na pożegnanie.



Powitanie w Katowicach

Czy Halina Witaszek film ogląda? Nawet jeśli nie, na odnalezienie córek nie traci nadziei.

Hrabar swoje poszukiwania zaczyna od analizy nazwisk. Zna już zarządzenie szefa Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa SS z 17 września 1942 roku w sprawie niemczania nazwisk dzieci. Zaleca ono zachowanie trzech, czterech liter pierwotnego nazwiska dziecka. Chodzi o to, żeby brzmiało ono choć trochę podobnie, żeby dziecko było przekonane, że od zawsze tak się nazywało. Witaszek, a więc Wit, być może Wita. Sprawdza, czy są takie nazwiska wśród dzieci nieokreślonej narodowości w ewidencji aliantów. Udaje mu się znaleźć tylko kilka nazwisk, ale jedno powtarza się dwa razy. Wittke! Noszą je dwie dziewczynki. Zgadzą się podane daty urodzenia.

„Natychmiast po otrzymaniu listu Pani, którego treścią zostałem głęboko przejęty, przystąpiłem do badania dokumentów i materiałów spisowo-poszukiwawczych. Wynik badań okazał się niezwykle pomyślny, gdyż obie córeczki Pani figurują na liście dzieci z Gaukinderheim w Kaliszu pod polskim nazwiskiem, zaś na liście z Lebensbornu już pod nazwiskiem niemieckim” – pisze Hrabar do Haliny Witaszkowej we wrześniu 1947 roku. Ustala, że Alodia Witaszek to Alice Wittke urodzona 3 stycznia 1938 roku. Została oddana 24 kwietnia 1944 roku do rodziny Wilhelma Dahl w Stendal, niedaleko Berlina. Daria Witaszek to Dora Wittke urodzona 10 października 1939 roku. Oddana 20 maja 1944 roku do rodziny Edmunda Schoelna do miasteczka Weitra w Austrii.

Hrabar nie ma wątpliwości, że Alice to Alodia, a Dora to Daria i obie przeszły przez młynek Lebensbornu. Zadbano o to, żeby zmienić ich miejsce urodzenia. Zamiast Poznania w dokumentach figuruje odpowiednio Stendal i Weitra. „W sprawie Alodii dałem placówce PCK w Berlinie polecenie natychmiastowej rewindykacji dziecka, względnie przeprowadzenia dalszych dochodzeń, o ile by ono w obecnej chwili nie przebywało już w Stendal. W sprawie Darii zwróciłem się pisemnie do Poselstwa Polskiego w Wiedniu, celem repatriacji jej. Nie jest wykluczonym, że Daria nie przebywa już w Weitra, gdyż według posiadanych przeze mnie informacji większa grupa dzieci z Austrii, które podobnie jak Daria przeszły przez instytucje Lebensbornu, w roku 1945 zostały przez szwajcarskie organizacje charytatywne zabrane do Szwajcarii, gdzie do tej chwili przebywają. Jest możliwe, że Daria jest między nimi. Oczekuję ze Szwajcarii listy imiennej tych dzieci” – donosi Hrabar w tym samym liście.

* * *

Co działo się z Alodią i Darią? Wiadomo, że cała piątka Witaszków w czasie okupacji trafiła na badania do urzędu do spraw rasy. Niemcy byli zadowoleni: piękne dzieci, prawdziwie nordycka rasa. Mariola, Iwona i Krzyś pewnie podzieliliby los Darii i Alodii, ale zdołano je ukryć. Los dziewczynek w Poznaniu był przesądzony. Niemcy zabrali je do obozu „Polenjugendverwahrlager” – obozu koncentracyjnego dla dzieci w Łodzi. Dziewczynki spały na drewnianej pryczy, przykrywały się szarym kocem.

W obozie było dużo dzieci. Niektóre moczyły się w nocy, były za to karane. Ulę Kaczmarek Niemcy polewali wodą na dworze, aż zamarzła. Ale Alodia i Daria zostały wysłane do domu dziecka w Kaliszu. Prowadziły go siostry zakonne. Nie wolno tam było mówić po polsku. Dziewczynki musiały uczyć się nowego języka – niemieckiego. Siostry mówiły, że ich mama i tatuś nie żyją, ale żeby dziewczynki nie były smutne, bo dostaną nowych rodziców.

Z Kalisza Alodia i Daria zostały po raz kolejny przewiezione, tym razem do ośrodka Lebensbornu w Bad Polzin, czyli do Połczyzna-Zdroju. Był styczeń 1944 roku. Z ośrodka zapamiętają półokrągłą, oszkloną werandę i rzędy łóżeczek z białą pościelą. Na tarasie czasem pojawiały się wózki z niemowlakami.

Najpierw Niemcy zabierają z ośrodka Alodię. Dziewczynka jest adoptowana przez małżeństwo Dahlów ze Stendal pod Berlinem. Luise Dahl pracuje jako sekretarka, jej mąż Wilhelm przebywał we Francji, w obozie jenieckim.



Ośrodek Lebensbornu Pommern – dziś sanatorium Borkowo w Połczynie-Zdroju

Darię zabrała rodzina Edmunda Schoelna z Weitra. Schoelnowie byli prostymi ludźmi. On – malarz pokojowy służył w wojsku, ona zajmowała się domem. Daria-Dora zapamięta swoją mutti jako kobietę spokojną, miłą, o wiecznie podkrążonych oczach. Małe, spokojne miasteczko. Stary zamek, kościół, a dookoła góry. Dora dostała zabawki, lalki, a dziadek zrobił jej z drewna kołyskę i wózek.

Alice, choć trafia do skromnego domu, traktowana jest jak księżniczka. Mutti wciąż ją przytula, na drutach dzierga dla niej prześliczne sukieneczki. Alice nie brakuje niczego. Uczy się pływać, jeździć na nartach. Mutti zapisuje ją na balet.

Jesienią 1947 roku dziewczynki dowiadują się, że muszą wrócić do Polski.

– Żebyś tylko nie poszła do domu dziecka! Boże, tylko nie do sierocińca! – rozpacza Luise Dahl, pakując rzeczy małej Alice. Dziewczynka jedzie z transportem do Polski. 7 listopada siostra z PCK odwozi ją do Haliny w Ostrowcu.

Alice dzwoni do drzwi. Otwierają Mariola z Krzysiem. – Mamuniu, ktoś przyjechał! – krzyczą. W drzwiach staje ładnie ubrana dziewczynka. Na płaszczyku ma tekturową tabliczkę z imieniem, nazwiskiem i adresem, pod jaki zmierzała. Uśmiecha się niepewnie. Widzi szczupłą, posiwiałą panią.

– Du warst junger und blondine – mówi dziewczynka do swojej matki. „Byłaś młodsza i byłaś blondynką” – tłumaczy w myślach Halina. Witaszkowa na szczęście zna niemiecki. A więc Alusia mnie pamięta! Nie ma jednak uścisków, przytulania. Alodia na Halinę patrzy jak na obcą. Podobnie na pozostałe dzieci. Rodzeństwo? Jakie rodzeństwo? Przecież jestem jedynaczką. Z dziećmi nie może się dogadać po niemiecku,

więc nic nie mówi.

20 listopada Hrabar do Witaszkowej wysyła list. „Alodia została odnaleziona we wskazanym miejscu przeze mnie w strefie sowieckiej i według zawiadomienia delegatury PCK w Berlinie, repatriowana w dniu 6 listopada 1947 roku pociągiem do PCK w Poznaniu. Sądzę, że córeczka znajduje się już u Pani w domu. O ile chodzi o Darię, to PCK w Wiedniu wyśle ją niewątpliwie najbliższym transportem do kraju. Proszę uprzejmie o doniesienie mi o powrocie córek i o krótkie opisanie reakcji dzieci przy pierwszym spotkaniu oraz o ich samopoczuciu w początkowych dniach pobytu”.

Dora pociągiem z Wiednia jedzie do Polski cztery dni. Halina jedzie do Katowic odebrać córkę z pociągu. 5 grudnia stoi w tłumie na peronie i czeka. Pociąg przyjeżdża, tłum gęstnieje, ludzie przepychają się, nawołują. Halina wypatruje. Gdy tłum rzednie, widzi, jak z wagonu wychodzi mała dziewczynka. Ma na głowie czerwoną czapkę – prawdziwy krasnoludek!

– Moja córka – biegnie do dziecka Halina. Dora dowiaduje się, że na imię ma Daria i pierwsze słowo, jakiego się uczy, to „mamunia”.

* * *

O cudownym znalezieniu i sprowadzeniu Witaszków piszą wszystkie gazety.

Halina po powrocie do domu pisze do Hrabara: „Nie potrafię w słowa ubrać tego bezmiaru wdzięczności. Jeśli się weźmie pod uwagę długi, dwuipółletni okres bezefektywnego poszukiwania ich poprzez niezliczone instancje, bodaj we wszystkich krajach, trzeba tu mówić o cudzie. Kiedy je zabrałam do Poznania, gdzie się urodziły i żyły do chwili zabrania, wszystko doskonale pamiętały. W ogóle uradowane są z powrotu i zakończenia swojej gehenny. Cieszą się z nadmiaru i dobroci naszych pokarmów, bo faktycznie były niedożywione. Tak jak ze zgrozą wspominają przeżyte miesiące w SS-Heimach, tak miło opowiadają o swoich opiekunach niemieckich. Jednak nie tęsknią. Czują, że są u prawdziwej matki. Absolutnie zapomniały języka polskiego. Uczęszczają codziennie na lekcje języka polskiego i jako słuchaczki do powszechnej szkoły. Przyswajanie sobie rodzinnego języka sprawia im jednak trudności. W szkole traktują je jak dwie małe bohaterki i dzieci oraz nauczycielki są dla nich bardzo czułe. Mimo wszystko Alusia po dwóch miesiącach pobytu zrobiła duże postępy i w szkolnych Jasełkach była aniołkiem, deklamując sześciowrotkowy wiersz polski z pełnym zrozumieniem”.

Naprawdę było tak różowo? Czy Halina chciała trochę ubarwić rzeczywistość? Czy podkoloryzował ją Hrabar, wspominając list Haliny w swoich publikacjach?

Dziewczynki rzeczywiście intensywnie uczą się polskiego. Alodia mówi z twardym, berlińskim akcentem, Daria bardziej śpiewną austriacką niemczyzną. Halina rzeczywiście od razu zapisała je do szkoły. Ale dzieci się z nich śmieją. Przezywają je niemrami. A Halina musi ciężko pracować, by utrzymać dom z piątką dzieci. Po Franciszku – akowcu państwo nie przyznaje im żadnego zasiłku. Alodia bardzo przeżywa, gdy mama pruje jej wełnianą sukienkę, w którą Mutti ubrała ją na podróż. Sukienki nie ma, ale Halina z włóczki robi dwa sweterki.

Pewnego dnia dziewczynki namawiają się, że pojedą razem do Niemiec i Austrii.

Przez kilka dni szepczą o ucieczce. Podśłuchuje je Iwona. Trochę zna niemiecki i o wszystkim mówi matce. Gdy dziewczynki idą na dworzec, Halina biegnie za nimi. Zabiera je do domu.

Zmiana następuje w 1954 roku. Halina z dziećmi przenosi się do rodzinnego Poznania. Nikt ich tu nie zna, a Daria i Alodia już mówią płynnie po polsku. Ale Alodia nie zapomina o przeszłości. Mutti ciągle pisze z Niemiec. Do Haliny. Halina odpisuje.

W 1957 roku Alodia dostaje paszport, wizę i jedzie do Niemiec. Do Mutti. Następuje czułe przywitanie. Mutti przekonuje ją, żeby studiowała w Berlinie, ale Alodia już zapomniała niemiecki. Wraca do Poznania. Później z wizytą przyjeżdża Mutti. Witają się z Haliną jak przyjaciółki. O Alodię nie rywalizują. Ona sama czuje, jakby miała dwie matki. Kończy biologię na Uniwersytecie Poznańskim. Daria studiuje na politechnice, chce być inżynierem. Ale już po studiach będzie nauczycielką w technikum kolejowym. Znajdują sobie mężów, zakładają rodziny.

* * *

Daria umiera w 2003 roku. Alodia z Poznania przeprowadza się do Bydgoszczy. Za córką, która jest lekarzem.

– Dziś z perspektywy czasu nie wyobrażam sobie, żeby moje życie potoczyło się inaczej – mówi. – W tym sensie, że w nieświadomości zostałam w Niemczech. Niemką się nie czuję. Jeżdżę tam kilka razy w roku. Zaprasza mnie Fundacja im. Maksymiliana Kolbego z Fryburga. Organizują spotkania z młodzieżą, opowiadam im swoją historię. Dzięki tym wyjazdom mam w Niemczech sporo znajomych, z którymi się spotykamy, odwiedzamy. Ale nigdy nie mogłabym tam zamieszkać. Nie wyobrażam sobie, że nigdy nie poznałabym własnej matki, własnego imienia i nazwiska. Choć w przeszłości czasem wściekałam się na tę prawdę, dziś wiem, że bez niej byłabym pusta.

– Można mieć dwie matki?

– Można! One obie mnie kochały.

– Jak to możliwe, że nie były o siebie zazdrosne?

– Mama pewnie była wdzięczna Mutti za to, że mnie pokochała, że włos mi z głowy nie spadł podczas naszej rozłąki. Mutti była wdzięczna, że mama nie ma nic przeciwko naszym kontaktom. Obie się rozumiały. Zresztą, proszę popatrzeć na to zdjęcie – Alodia pokazuje czarno-białą fotografię. Dwie uśmiechnięte kobiety obejmują się. – Która jest która? – pyta.

– To Mutti – wskazuję na jasnowłosą kobietę o miękkich rysach twarzy.

– Pomyłka, bo to mama. Obok jest Mutti – Alodia wskazuje na kobietę w rogowych okularach. – Mutti miała ciemne włosy. Nawet kiedyś mówiła mi, że jak mnie zabrała, to trochę się martwiła, że tak bardzo się różnimy. Ja stuprocentowa blondynka, a ona i wati (tatuś) byli ciemni. Ale stałam się ich córką. U mnie było inaczej niż u Darii. Jej rodzice byli bardziej oschli. Krzywda jej się nie stała, ale potrzebowali bardziej kogoś do pomocy w domu niż własnego dziecka. Kiedy nauczyłyśmy się już dobrze po polsku, mama powiedziała, żebyśmy w tym języku

napisały do rodzin, u których byłyśmy. Moja Mutti od razu pobiegła do tłumacza i odpisała. Rodzina mojej siostry nie zareagowała w ogóle. Nigdy więcej Daria nie miała z nią żadnego kontaktu.



Luise Dahl (z lewej) z Haliną Witaszkową

– A pani?

– Po raz pierwszy pojechałam w odwiedzinach do Mutti w 1957 roku. Ona do Polski przyjechała w 1969 roku. Byłam już mężatką, miałam dwójkę dzieci. Mieliśmy typowe, małe mieszkanie w bloku. Mąż z dziećmi pojechał na wczasy, żeby nie było ciasnoty, i Mutti nie czuła się skrępowana. Zmarła w 1971 roku. Nie byłam na pogrzebie. Nie zdążyłam dostać wizy. Przecież wtedy na wizę, paszport trzeba było czekać. Vati zmarł w 1981 roku. Do jego śmierci mieliśmy kontakt.

– Czy niemieccy rodzice próbowali kiedyś tłumaczyć, co stało się z panią w czasie wojny? Wspominali o Lebensbornie?

– Kiedy Mutti dowiedziała się, że jestem Polką, i to w dodatku skradzioną prawdziwej matce, była w szoku. Zabierała przecież małą Niemkę, sierotę. O niczym nie miała pojęcia! Później już nie rozmawiałyśmy na ten temat. Wiedziała, że miała dobre intencje. Nie miała nic wspólnego z ideologią Lebensbornu. Chciała mieć dziecko. Dostała je i pokochała. O tym, że była dobrym człowiekiem, najlepiej świadczy to, że mnie oddała. Nie ukrywała mnie, nie kombinowała. Dowiedziała się, że poszukuje mnie polska, prawdziwa mama, bała się tylko tego, że mogło dojść do jakiejś pomyłki i że trafię do sierocińca. Wtedy na pewno zrobiłaby wszystko, żeby mnie stamtąd zabrać. Potem wciąż mnie kochała. Dla niej wciąż byłam córką. Moje

dzieci traktowała jak babcia. Wie pani, mnie wcale nie było gorzej niż mojemu rodzeństwu, którego Niemcy nie zabrali – Alodia wyciąga z jednego z segregatorów maszynopis.

To wspomnienia najstarszej siostry – już nieżyjącej Marioli. Z całej piątki rodzeństwa zostały dziś tylko Alodia i Iwona. Najmłodszy Krzysiek zmarł w wieku 48 lat. Czytam. „15 stycznia 1943 roku około godziny 22.00 usłyszałam warkot kilku zajeżdżających samochodów. Zatrzymały się w pobliżu domu, w którym mieszkaliśmy. Nie spałam jeszcze, ponieważ myśli moje były zaprzątnięte tragedią, jaka wydarzyła się w Pompejach. Po odmówieniu wieczornej wspólnej modlitwy i nowenny do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w intencji szczęśliwego powrotu ojca (bardzo nie lubiłam tych wspólnych modłów, bo były długie i nudne) oraz po zaśnięciu młodszego rodzeństwa mama opowiadała mi o zasypaniu Pompei przez popiół wulkaniczny i tragicznym losie jej mieszkańców. Musiała tłumaczyć mi, że nam podobne kataklizmy nie grożą.

Za chwilę usłyszałam ciężkie kroki na schodach i pukanie do drzwi. Kiedy mama je otworzyła, do pokoju weszło dwóch Niemców, którzy kazali mamie szybko się ubrać i pójść z nimi. Gdy Niemcy wyprowadzili mamę, miałam osiem i pół roku. Zostałam sama ze śpiącymi: sześciolatnią Iwoną, pięcioletnią Alą, trzyletnią Darią i rocznym Krzysikiem” – pisze Mariola. Następnego dnia w mieszkaniu Witaszków zjawiła się synowa sąsiadów ze swoimi dziećmi. Kazała im zabrać wszystkie zabawki Witaszków. „»Oni już ich nie będą potrzebowali«. Te słowa jeszcze dziś dźwięczą mi w uszach”. Mariola na zabranie zabawek nie pozwoliła. Być może pomogło w tym nagłe wejście do mieszkania wujka dzieci, Antoniego Kubiaka. Halina Witaszkowa prosiła wcześniej sąsiadkę – tę samą, której synowa pojawiła się z dziećmi po zabawki – żeby gdyby coś się z nią stało, rozdzielić dzieci. Mariola miała zamieszkać u państwa Spychałów, Iwona u swojej matki chrzestnej panny Okrassówny, Daria i Alodia u Kubiaków, a Krzysiek jeszcze u kogoś innego. O prośbie matki wiedziała najstarsza Mariola. „Powtarzałam dorosłym słowa mamy, ale w ogóle na to nie reagowali. (...) Wujek Zygmunt oznajmił, że zabiera do Ostrowa Wielkopolskiego Krzysia i Iwonę. Ala i Daria pozostaną u wujostwa Kubiaków, a ja zamieszkać u panny Okrassówny (...)”.

Mariola u panny Okrassówny nie pobyła długo. Szkołę, do której chodziła, odwiedził gestapowiec. Poszukiwał Marioli Witaszek. Dziewczynce w porę udało się uciec. „Mimo że panna Okrassówna oraz jej siostra zapewniły mnie, że tu do domu nikt nie przyjdzie, nadal wymiotowałam i trzęsłam się ze strachu (...). Gdy obudziłam się następnego dnia, w pokoju był już wujek Zygmunt, wezwany telegraficznie, a moje rzeczy spakowane. Zaraz też wyjechaliśmy do Ostrowa Wielkopolskiego. U wujostwa Zygmunta oprócz ich dwuletniego synka był już Krzysiu i Iwona”. Potem przez krótki czas Mariola mieszkała w pobliskiej wsi u gospodarzy, znowu wróciła do Ostrowa, a w październiku 1943 roku obie z Iwoną zostały zabrane przez ciotkę Kaję do Kielc. Na miejscu okazało się, że zostaną rozdzielone. Iwona została u Kai, a Mariola została zabrana przez innych krewnych – ciotkę Lusię i jej męża. „Jeśli w ciągu dziesięciu miesięcy siedem razy zmienia się dom, to nawet dziewięcioletnie dziecko obojętnie na warunki, w jakich zamieszka (...). Byłam zawszona, a ciało moje pokrywały wrzody. Już pierwszego dnia ciocia Lusja zrobiła awanturę wujkowi za to, że przed zabraniem mnie nie obejrzał tej przybłądy. Ciocia oznajmiła mi, że brzydzi się

mnie i dlatego będę jadła oddzielnie. Jadałam więc w kuchni i tylko to, co otrzymywałam na swoje kartki żywnościowe. Cukier, masło i wędlina były przede mną zamykane na klucz. Obiady też jadałam inne niż wujostwo. Były to przeważnie zupy, ugotowane w dużym garnku raz na kilka dni. Kiedy raz zaoponowałam, że za długo jem ten sam krupnik, który już skwaśniał, otrzymałam odpowiedź, że ciocia ugotuje mi coś innego, jak opróżnię garnek. Chciałam więc część oddać psom, ale to mi się też nie udało. A ciocia zaczęła mnie bić za to, że chciałam otruć psy. Wtedy też dowiedziałam się, że w każdej chwili mogę odejść i zrobiłabym to zaraz, ale nie wiedziałam, dokąd odejść, bo nikomu nie byłam potrzebna”. Mariola ciągle chodziła głodna, podczas gdy inne dzieci w szkole jadły drugie śniadanie. „Zaczęłam więc kraść zmagazynowane w domu nici, sprzedawać na bazarze i kupować sobie drożdżówki. Kiedy to się wydało, zostałam zbita bykowcem. Ciocia Lusia posłała mnie do cukierni po ciastka, a następnie zjadła je razem z psami. Ja musiałam asystować i słuchać, że nie zasłużyłam sobie na żadne ciastko, ponieważ jestem złodziejką. Stale żyłam pod wrażeniem, że znalazłam się w piekle, z którego nie ma wyjścia. Za wszystko, co dotyczyło mojej osoby, byłam bita. Za to, że potrzebowałam na nowy zeszyt, że buty się rozleciały, że pies zagryzł kanarka w mojej obecności (...). O moją odzież też nikt nie dbał. Ubierałam się w to, co przywiozłam, często za małe i zbyt zniszczone, tak że w ciągu roku nabawiłam się reumatyzmu i ciężkich odmrożeń. Duży szok przeżyłam, kiedy pewnej nocy obudziłam się w czasie bombardowania i stwierdziłam, że jestem zupełnie sama w mieszkaniu. Ponoć wujostwo zapomnieli o mnie, zbiegając do schronu, ale nie zapomnieli o zabranii kanarków (...). W październiku 1944 roku zachorowałam na szkarlatynę i oddana zostałam do szpitala dziecięcego w Kielcach”. Krewni dziewczynki nie chcieli ich dłużej trzymać. Wujek Zygmunt otrzymał z Kielc list, że Mariola i Iwona zostaną odesłane do sierocińca, bo Halina Witaszkowa „prawdopodobnie nie przeżyła pobytu w Oświęcimiu, a one obie trudne są do wychowania”. Wujek odtelegrafował: „Przysłać zaraz dziewczynki do Ostrowa”. Mariola i Iwona na początku marca 1945 roku zostały odwiezione do wujostwa.



Alodia Witaszek-Napierała w swoim mieszkaniu w Bydgoszczy

– Ja trafiłam do Niemców i byłam kochana, rozpieszczana. Moja siostra została w Polsce u rodziny... Czy to nie ironia losu? – zastanawia się Alodia.

– Czy o tym, co się stało w czasie wojny, rozmawiała pani ze swoją polską mamą?

– Mama ciągle pracowała, bo musiała na nas zarobić. Została sama z piątką dzieci. W domu była bieda. Każdy miał obowiązki. Ja musiałam pilnować obiadu. Mama wszystko wcześniej szykowała, a ja tylko stawiałam do gotowania ziemniaki czy inne jedzenie. Daria, Mariola i Iwona odpowiadały za przynoszenie węgla z piwnicy itd. Mama zmarła w 1985 roku. Przez te wszystkie lata nie miałyśmy czasu, żeby usiąść i o tym wszystkim rozmawiać, analizować. Zresztą też chyba nas specjalnie do tego nie ciągnęło. Żyłyśmy bieżącymi sprawami, kłopotami.

– Kim dziś by pani była, gdyby pani nie zabrano?

– Nie wiem! Dla mnie i Darii wojna nie skończyła się po kapitulacji Niemiec. Ona trwała, gdy wróciłyśmy do domu. Nie mówiłyśmy po polsku. Wtedy wszystko, co kojarzyło się z Niemcami, było czymś najgorszym, ohydny. Dzieci ze mnie i Darii się śmiały. Nam nie było do śmiechu. Żal, wstyd przeżywałyśmy i zamykałyśmy się w sobie. A wcześniej byłam śmiałym dzieckiem. Brak pewności siebie pozostał we mnie. Pewnie byłoby inaczej, gdyby mnie nie zabrali.

Musicie służyć swojemu Führerowi

W pokoju na półeczkach stoją małe figurki aniołów. – Ten jest dla pani – 83-letni Janusz Bukorzycki wręcza mi małą, białą figurkę. – Każdy powinien mieć swego Anioła Stróża.

On jest przekonany, że miał i nadal ma swojego. To Anioł Stróż sprawił, że ktoś zabrał go z ulicy, wyciągnął z piekła w austriackim Oberwies, zawiózł do słonecznej Hiszpanii, spotkał z Zofią. – Kochanieńka, właśnie wróciłem ze szpitala, wszczepiono mi rozrusznik serca. Trzeba szybko rozmawiać i wszystko zapisać – mówi Janusz.



Janusz Bukorzycki

Żwawo krząta się po mieszkaniu. Wyciąga zdjęcia, dokumenty. Biorę pierwszą fotografię z brzegu. Twarz małego chłopca: duże, przerażone oczy i niesforny kosmyk włosów, który sterczy przy każdym ujęciu. Z jednego boku, z drugiego i *en face*.

* * *

Jest rok 1933. Na rogu ulicy Zawadzkiej (dziś Próchnika) i Zachodniej w Łodzi

przechodnie znajdują na chodniku kwilące zawiniątko. Na szczęście jest wiosna, dość ciepło. Bo w zawiniątku jest malutkie dziecko. Między jedną a drugą szmatką kartka: „Janusz Bukorzycki urodzony 3 maja 1933 roku”. Znalezione dziecko wraz z kartką trafia do łódzkiego sierocińca. Janusz nigdy nie dowie się, kim byli jego prawdziwi rodzice. Nie będzie też pamiętał pobytu w domu dziecka. Ma dwa lata, kiedy zabierają go Anna i Józef Konieczni. Typowa rodzina robotnicza, taka, w której dzieci się nie rozpieszczą. Józef jest cieślą, pracuje w fabryce, Anna sprząta i pierze po ludziach. Januszka wychowują twardą ręką. Jak nabroi, w kącie jest już przygotowany groch, na którym trzeba klęczeć. W 1940 roku Koniecznym rodzi się córka Marysia. Janusz bardzo się cieszy z siostry, pomaga się nią zajmować.

Trzy lata później do Koniecznych przychodzi wezwanie. Mają przyjść z Januszem na badania lekarskie. Blondynkowi o niebieskich oczach mierzą czaszkę, rozstaw oczu, potężną strzykawką pobierają mu krew. Wyniki badań są pozytywne. Dziecko nadaje się na Niemca. Janusz Bukorzycki przestaje być Januszem Bukorzyckim. To już Johann Buchner. Ale chłopak ma już dziesięć lat. Wie, że to kompletna bzdura.

Prosto z badań zabierają go do budynku, w którym są już inne dzieci. Nie ma pojęcia, gdzie jest. Miejsce przypomina mu opuszczoną fabrykę. W dużej hali ustawiono żelazne łóżka. Na nich położono sienniki ze słomą i stare koce. Okna są zabite deskami. Od góry przez szpary przepuszczają trochę światła. Dzieci próbują wspiąć się do tych szparek. Chcą popatrzeć na ulicę. Może stoi tam i czeka na nie ktoś z rodziny. Płaczą. Są coraz bardziej głodne, coraz bardziej brudne. Na śniadanie dostają kromkę czarnego chleba i czarną kawę. Na obiad – zupę z brukwi, w której czasem można wyłowić kawałek ziemniaka.



Janusz zbadany przez specjalistów z Lebensbornu

W ogromnej sali można być tylko w nocy i podczas deszczu. W ciągu dnia dzieci siedzą na podwórku. Zupełnie beczynnie. Nie wolno się do siebie odzywać. Za każde polskie słowo dostają po twarzy. Lepiej więc nie gadać.

Janusz próbuje liczyć dni. Wydaje mu się, że w tej opuszczonej fabryce jest już dwa miesiące. Wtedy pilnujący ich żołnierze odliczają z grupy dwadzieścioro dzieci. Wśród nich jest Janusz. Przewożą ich do ośrodka w Kaliszu. Warunki takie same: zakaz mówienia po polsku, za karę bicie. Janusz jest ciągle głodny. Nie pamięta, kiedy ostatnio naprawdę się najadł. Na obiad znowu dostaje mętną ciecz. W środku pływają nadgnięte ziemniaki. Janusz łyżką wyławia pływający ziemniak. Chce nim gdzieś rzucić, ale gdzie? Widzi na ścianie w jadalni olbrzymi portret Adolfa Hitlera. Z całej siły wali ziemniakiem prosto w twarz Führera. Cieszy się, bo nie spudłował. Ale w tym samym momencie ktoś ciągnie go z tyłu za kołnierz. To jedna z opiekunek. Kobieta z całej siły rzuca dziesięciolatkiem o podłogę i bije go rękami. Janusz za wszelką cenę stara się nie płakać. Pozwala sobie na to dopiero, kiedy go zamykają w ciemnym pokoju. Nie wychodzi z niego przez trzy dni. Nie dostaje w tym czasie nic do jedzenia. Tak głodny nie był nigdy w życiu.

* * *

Z Kalisza przewożą go do domu dziecka w Oberweis w Austrii. Opiekunki czasem budzą w nocy grupę chłopców. Muszą pędem biec do łazienki na drugim końcu korytarza. Na posadzce łazienki ciągle stoi woda. Czasem aż po kostki. – Padnij, powstań! – ryczą opiekunki. Dzieci ćwiczą. Kolej na przysiady. Żeby było trudniej, trzeba wziąć na ramiona kolegę. Janusz nie raz w ciągu takiej nocy czuje, że brakuje mu sił. W sali łóżka są przewracane. Zanim dzieci się położą, muszą jeszcze zrobić porządek.

Janusz zauważa, że do domu dziecka przyjeżdżają dorośli. Zabierają ze sobą dzieci. Jego nikt nie zabiera. Zamiast tego przenoszą go do kolejnego ośrodka. Nie ma pojęcia, gdzie jest. Wydaje mu się, że z Oberweis jechali samochodem około godziny. W nowym miejscu mieszkają sami chłopcy. To już prawdziwy obóz przetrwania.

Wszyscy chodzą w mundurkach Hitlerjugend. – Musicie służyć swojemu Führerowi! – słyszą. – Sieg heil! – krzyczą w szeregu.

– Esesmani mówili nam, że pojedziemy walczyć na wschód, aby bronić III Rzeszy – opowiada Janusz. – Ale wtedy nie mieliśmy pojęcia, co to znaczy: że nas szykują na mięso armatnie. Pamiętam jednego z nich dobrze. Nazywaliśmy go Śmaja Łapa. Bo prawą rękę miał sztywną, ale lewą jak przylał, to od razu człowiek na ziemi lądował. To był wyjątkowy sukinkot. Żołnierze ganiłi nas od rana do nocy. Marszobiegi po lesie. Strzelanie z ostrej amunicji do tarcz. Broń była ciężka. Ciężko było ją trzymać. W ogóle nie wiem, o czym wtedy myślałem. Robiliśmy wszystko jak automaty. Ja i moi koledzy – Jurek Filipiak, Mirek Olborski. Obaj już nie żyją.

Któregoś dnia Janusz widzi snującego się po korytarzu malca. Chłopiec nie może mieć więcej niż pięć lat. – Czego szukasz? – pyta po polsku. – Siusiu mi się chce – szepcze mały. Janusz popełnia błąd, bo zamiast iść z malcem do łazienki, melduje o tym opiekunce. Tłumaczy chłopcu po polsku, że kobieta go zaprowadzi. Za używanie

polskiego zamykają go na wiele godzin w wielkim popielniku pieca.

* * *

W ośrodku mieszkają też niemieckie sieroty. Mają lepsze warunki i dobre wyżywienie. I nienawidzą tych nowych, Polaków. Nie raz w nocy robią im kocowy. Ale nowi trzymają razem. Wśród polskich dzieci są chłopcy starsi, nawet czternastoletni. – Musimy trzymać się razem – mówią młodszym. Tłumaczą, że są Polakami, że Polska jest ważna.

8 maja 1945 roku niemieccy opiekunowie znikają jak kamfora. Janusz i inni chłopcy zrywają swastyki i flagi w całym budynku. Biegną do części dla Niemców. – Za Polskę! – krzyczą. Z pięściami nacierają na niemieckie dzieci. Biją się, ile wlezie. Nikt ich nie rozdziela, nie przeszkadza. Niemcy uciekają.

Polacy czują się wolni. Wciąż ubrani w mundurki Hitlerjugend organizują sobie życie po swojemu. Rządzą najstarsi chłopcy. W jednym z pokoi opuszczonego budynku znajdują pistolet. – Drzwi zamykamy, bo jeszcze mogą wrócić Niemcy – zarządzają. – Przy drzwiach wyznaczamy dyżury. Dyżurny ma zawsze pistolet, nikogo nie wpuszczamy.

W kuchni szybko topnieją racje żywnościowe. Najstarsi wychodzą na miasto. Przynoszą chleb, konserwy. Janusz słyszy, że część jedzenia wyżebrali. Część ukradli w kilku sklepikach. Następnym razem idą łowić ryby.

Na kolejne łowy żywnościowe zabierają ze sobą Janusza. Na ulicy stoi amerykański jeep. Chłopcy podchodzą do auta. Widzą w środku puszki z prowiantem. Ale amerykański żołnierz pali papierosa i patrzy niechętnie. – Chodźcie, chłopaki, nic tu nie wskóramy – mówi Janusz.

Żołnierz rzuca papierosa i podbiega do Janusza. – Kim jesteście?!

– Polak?! – chłopcy otaczają go wianuszkami. Potwierdza. – Ale skąd wy jesteście? Co tu robicie? W mundurkach wyglądacie jak Niemcy – pyta.

Uściskom nie ma końca. Chłopcy opowiadają, że mieszkają w ośrodku i jak sobie zorganizowali życie. Żołnierz każe im się pakować do jeepa i wszyscy razem jadą na miejsce. Polak zostawia jedzenie i obiecuje, że o nich nie zapomni. Słowa dotrzymuje, bo po kilku dniach po chłopców przyjeżdżają amerykańscy żołnierze.

* * *

Janusz i jego koledzy z ośrodka Hitlerjugend zostają zidentyfikowani jako Polacy właściwie przez przypadek.

Trzy lata później – szukając skradzionych dzieci – Roman Hrabar będzie się wciąż przekonywał, jak często to przypadek decydował o odnalezieniu dziecka. Przykłady można mnożyć. Adam Zdzisław, urodzony 25 listopada 1931 roku w Polsce, został przez Niemców przerobiony na Adama Маха. Chłopiec zwrócił uwagę służb, gdy oskarżono go przed niemieckim sądem o zabicie niemieckiego trzynastolatka. Od zarzutu został uwolniony. Przy okazji okazało się, że chłopaka do Niemiec przywieziono z Polski. Został umieszczony w gospodarstwie, w którym miał pomagać. Adam Zdzisław nie

umiał pisać, czytać, nie posłano go do szkoły. Opowiadał, że chłopcy z sąsiedztwa często wciągali go w bójki, dokuczali mu, że jest Polakiem.

Anders Johre, urodzony 29 listopada 1942 roku w Norwegii, mieszkał z rodziną zastępczą. Uwagę UNRRA na dziecko zwrócili sąsiedzi, którzy donieśli, że jest ono źle traktowane. Przybrana matka miała dwunastoletnią córkę, która dokuczała chłopcu, biła go.

Bruno Łazirko, urodzony 3 lipca 1944 roku w Niemczech z matki Ukrainki. Jego niemiecką rodziną zainteresował się niemiecki urząd młodzieżowy. Okazało się bowiem, że matka była prostytutką leczącą się na syfilis, a jej mąż za kradzież siedział w więzieniu. Urząd młodzieżowy odebrał im własne dziecko i pozbawił ich władzy rodzicielskiej. Przy okazji okazało się, że w rodzinie przebywa też Bruno.

Bogdan Marzek, urodzony 7 października 1944 roku na Śląsku. Dziecko nauczycielki wywiezionej na roboty. Bogdan został w Niemczech przekazany kobiecie, której mąż przebywał w obozie jenieckim. Gdy wrócił do domu, żona – jeszcze młoda kobieta – zdecydowała, że chce mieć własne dzieci. Bogdana postanowiła więc oddać.

Max-Willi Reynaud, Francuz urodzony 23 września 1944 roku w Niemczech. Uwagę służb przykuł fakt, że jego rodzina zastępcza mieszka w wilgotnej piwnicy zbombardowanego domu.

Jadwiga Supalkova, urodzona 1 lutego 1934 roku w Czechosłowacji. Niemiecka rodzina, u której przebywała, nie chciała dłużej opiekować się czeskim dzieckiem i sama poprosiła o zabranie jej z powrotem do Czechosłowacji.

* * *

Czerwiec 1945 roku. Janusz z grupą chłopców zostaje wysłany przez Amerykanów do kolejnego ośrodka, w Salzburgu. Lokują ich w jakimś baraku. Spędzają w nim lato, jesień i zimę.

Przed Wielkanocą 1946 roku zostają przewiezieni do klasztoru we Włoszech. Tam opiekują się nimi siostry zakonne. Potem znowu wyjeżdżają, tym razem na rekonwalescencję do Hiszpanii, do Barcelony. Janusz wreszcie przestaje chodzić głodny. Dostają mandarynki, pomarańcze. Wszyscy jedzą cytrusy pierwszy raz w życiu. A Janusz pierwszy raz widzi morze. Chodzą codziennie na plażę, a w niedzielę do kościoła. Do ośrodka zagląda starsza pani. To Polka Maria Górczyńska, mieszkająca od lat w Barcelonie. Chłopakom każe do siebie mówić „babcia”. Młodszym opowiada bajki. Ze starszymi rozmawia poważnie o życiu.

Ośrodek prowadzi Wanda Tozer, działaczka antynazistowskiego ruchu oporu w Hiszpanii, po wojnie sekretarz polskiego konsulatu honorowego w Barcelonie. Uczy dzieci z powrotem mówić płynnie po polsku. Notuje, że niektóre dzieci nie chcą wracać do Polaków, o których słyszały od Niemców same potworności. „Czasem tylko muzyka, polskie kołysanki lub kolędy potrafiły przedrzeć się do zamkniętych przestrzeni pamięci i wykrzesać iskrę wspomnienia – pisze. – Rozwinęły w sobie instynkt przetrwania będący następstwem przebywania w środowisku nieprzyjaznym czy wrogim, są nieufne, aroganckie i egoistyczne. Starsze dziewczynki, zniemczone w większym stopniu, są opryskliwe, nieposłuszne i pyskate, stanowią zły przykład dla

młodszych i buntują je”.

Dzieci pod materacami chowają kawałki chleba na czarną godzinę. Nieraz przeszukują śmietniki czy ogałającą drzewka cytrusowe w sąsiedztwie. Ale nigdy nie okradają się nawzajem. Mają koszmary nocne, popadają w depresję, w środku nocy w piżamach uciekają z ośrodka przed bombardowaniem.

Wanda Tozer musi borykać się też z innymi problemami. „Brakuje mleka na śniadanie, bo nie ma pieniędzy. Ciągła rotacja personelu, będąca wynikiem nieregularnych wypłat, odbija się na dzieciach. Pilnie potrzeba ubrań i obrusów. Sukienki z perkalu są podszyte wiatrem i dzieci łatwo się zaziębiają. Szewc odmawia naprawy butów, dopóki nie zostaną uregulowane zaległe należności” – notuje.

Z czasem udaje się znaleźć krewnych części dzieci. „Została już tylko setka. Ela odnalazła swoją matkę w Anglii, Mietek jedzie do Francji” – pisze Wanda Tozer.

Późną jesienią w 1946 roku Janusz Bukorzycki dostaje kartkę z życzeniami wielkanocnymi z Polski. Szła za nim pół roku. Polski Czerwony Krzyż powiadał, że Janusza poszukują polscy opiekunowie. Chłopak ma już trzynaście lat. Nigdy tak naprawdę nie chodził do szkoły. Czuje, że wiele rzeczy w życiu musi nadrobić. Rozmawia o tym z „babcią” Gorczyńską. Na pamiątkę dostaje od niej obrazek z Matką Boską i dedykacją. Obrazek będzie miał już zawsze przy sobie. Po latach zalaminuje go, żeby się nie zniszczył.



Janusz z przybranymi rodzicami – Anną i Józefem Koniecznymi i ich córką Marysią

Janusz wraca do Łodzi. Na dworcu radośnie wita się z Koniecznymi. Ale radość szybko mija i wkracza proza życia. W domu się nie przelewa. Janusz na podwórku nie raz dostaje łomot od chłopaków, kiedy nieopatrznie wtrąci słowo po niemiecku. Po podstawówce pracuje jako goniec. Ale chce się uczyć dalej. Pamięta słowa „babci” Garczyńskiej, że w życiu potrzebne jest solidne wykształcenie. Zapisuje się do szkoły wieczorowej dla pracujących. Tam poznaje Zofię, swoją przyszłą żonę.

O swojej historii Bukorzycki opowiada tylko jej. Zofia też ma „niedobrą przeszłość”. Jej rodzinę Rosjanie wywieźli na wschód, na Syberię. Rozmawiają o tym tylko

w domu, po cichu. Tym bardziej że Janusz decyduje się zostać zawodowym wojskowym. Czy po Hitlerjugend nie ma awersji do munduru? Wręcz przeciwnie. To dla niego rodzaj terapii. Teraz nosi swój mundur, polski. Zaczyna pracę jako magazynier w Gałkówku w centrali zaopatrzenia czołgowo-samochodowego. Awansuje na sierżanta sztabowego. Zofia pracuje jako pielęgniarka. W 1957 roku na świat przychodzi syn Andrzej, w 1964 roku rodzi się Piotruś.

* * *

– Żyliśmy sobie zwyczajnie, spokojnie. Poznałem, co to ciepły dom. Wspomnienia odżyły z całą siłą dopiero w 1990 roku. Wtedy do Łodzi przyjechał mój brat – Janusz pokazuje zdjęcie. Przy zastawionym stole Bukorzycki siedzi z mężczyzną w podobnym wieku.

– Kto to?

– Polak. A właściwie Niemiec. Roman Roszatowski. Hermann Lüdeking.

Hermann podobnie jak Barbara mieszkał w Lemgo w Nadrenii Północnej-Westfalii. Nigdy się tam jednak nie spotkali. Niemcy, którzy wzięli go na wychowanie, stracili syna na froncie w Grecji w 1941 roku. Oboje byli członkami NSDAP. On był oficerem w Wehrmachcie, nigdy jednak nie był na froncie. Ona – zasłużoną działaczką Bund Deutscher Mädel. To żeński odpowiednik Hitlerjugend.

W ośrodku Lebensbornu, do którego się zgłosili, w dokumentach małego Hermanna odnotowano jedynie, że jest sierotą i nie wiadomo, kim byli jego rodzice. Chłopczyk miał sześć lat, kiedy do nich trafił. Nie pamiętał wiele z wcześniejszego życia. Jedynie zamazane wspomnienia z sierocińców. Był grudzień 1942 roku, gdy mały Hermann spędził pierwsze normalne święta Bożego Narodzenia. Chłopiec był pilnym uczniem. W wieku jedenastu lat przeskoczył klasy i zaczął naukę w gimnazjum.

Pierwszy raz spokój rodziny burzy denazyfikacja. Matka Hermanna, jako wysokiej rangi funkcjonariuszka BDM, nie może być już nauczycielką.

W 1949 roku do Lüdekingów przyjechali amerykańscy żołnierze. Wypytywali rodziców o Hermanna. Kilka dni później przyjechali z tłumaczką. Świszczącym, dziwnym językiem próbowała rozmawiać z chłopcem. Niczego nie rozumiał. Pytany po niemiecku zapewniał, że kocha mamę i tatę i najlepiej czuje się w rodzinnym domu. Potem nikt już Lüdekingów nie niepokoił.

O tym, że jest adoptowany, matka powiedziała Hermannowi, gdy miał szesnaście lat. Nigdy więcej nie wrócili do tej rozmowy.

W trzydzieści lat od przybycia do Lemgo Hermann porządkował dokumenty po zmarłych rodzicach. Jeden z pożółkłych papierów przykuł jego uwagę. Po przeczytaniu poczuł coś, o czym będzie później opowiadać, że było jak swędzenie mózgu. Z dokumentu dowiedział się, że dziecko adoptowane przez Lüdekingów było Polakiem i nazywało się Roman Roszatowski. Od tamtej pory odwiedzał archiwa, próbował ustalić, kim jest, kim byli jego prawdziwi rodzice.

– Poznałem go w 1990 roku, gdy przyjechał do Łodzi. Skontaktował się ze mną przez urzędników. W Urzędzie Miejskim w Łodzi odnalazł swój akt urodzenia. Z dokumentu wynika, że dwa lata po mnie został znaleziony jako niemowlak na ulicy. W tym

samym miejscu co ja! Przy ulicy Zawadzkiej, pod budynkiem nr 11! Da pani wiarę?! Śmialiśmy się, że podrzuciła nas ta sama osoba – nasza matka. I dlatego mówimy, że jesteśmy braćmi. Bo ani ja, ani on, nic o swoich prawdziwych rodzicach nie wiemy. Nasza historia jest tak podobna. Choć on ani słowa po polsku nie powie, a ja cały swój niemiecki już dawno zapomniałem. Różni nas tylko to, że ja miałem kartkę z imieniem i nazwiskiem. Romkowi imię i nazwisko nadano urzędowo. I to, że jego zabrała niemiecka rodzina. A mnie nikt nie chciał i hodowano mnie na żołnierza – mówi Bukorzycki.

* * *

Sprawą Romana Roszatowskiego zajmował się w 1947 roku Roman Hrabar. Podczas pobytu w Niemczech w jednym z archiwów znalazł metrykę chłopca. Dysponował też zachowaną listą z filii Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa SS w Łodzi. Lista zawierała nazwiska i adresy przybranych rodziców, zniemczone nazwiska dzieci, daty ich urodzenia i poprzednie, polskie nazwiska. Nie był to jednak pełny dokument. Ale to właśnie w nim prawdopodobnie znajdowało się imię i nazwisko: Roman Roszatowski. Hrabar za wszelką cenę próbował chłopca wyciągnąć od rodziny Lüdekingów. „Romana Roszakowskiego [w nazwisko wkradł się błąd – aut.] ochrzczono od razu Hermanem Lüdekingiem. Na takie imię i nazwisko wystawiono mu „metrykę” urodzenia, dodając, że urodził się 20.01.1937. Gdzie się urodził? Gdzie się znajdują jego rodzice? Nie wiadomo! Wiadomo tylko, że jest to dziecko polskie, pochodzące z okolic Łodzi, którego Lüdekingowie oddać nie chcą. Jeżeli żyją rodzice Roszakowskiego lub też jego krewni, niech się zgłoszą” – takie ogłoszenie pojawiło się 14 sierpnia 1947 roku na łamach „Dziennika Zachodniego”. Jak łatwo się domyślić, nikt się po Romana nie zgłosił.

Sam Hrabar notował: „Metryka urodzenia Romana Roszakowskiego [znowu literówka – aut.] wystawiona przez urząd stanu cywilnego Lebensbornu na nazwisko Hermann Lüdeking poza fikcyjną datą urodzenia (20 stycznia 1936) nie zawiera żadnych danych o rodzicach, zaś jako miejsce urodzenia ustala Brucków (Bruckau), który był jednym z ośrodków germanizacyjnych i z którego Lebensborn wywoził dzieci w głąb Niemiec”.

Dlaczego Hrabarowi nie udało się zabrać Romka Roszatowskiego do Polski? Z Lemgo zabrano przecież Barbarę i Halinkę Jachemską. Ale o Barbarę upominano się już w 1948 roku. Po Hermanna żołnierze przyszli dopiero rok później. Dzieci znajdowały się w brytyjskiej strefie okupacyjnej, a nieufność między aliantami była coraz większa. Stosunki zaczęły się psuć już na początku 1946 roku, po tym, gdy w słynnym przemówieniu marcowym w Fulton Winston Churchill powiedział: „Od Szczecina nad Bałtykiem do Triestu nad Adriatykiem opuściła się żelazna kurtyna w poprzek Europy”.

W 1947 roku Roman Hrabar czuje już w Niemczech klimat zbliżającej się zimnej wojny. Nie raz w czasie oficjalnych spotkań z udziałem przedstawicieli UNRRA czy władz okupacyjnych słyszy, że zabieranie dziecka ze środowiska, z którym się żyło, jest ze względów humanitarnych niesłuszne. „Trudno mi się opanować. Takie

stanowisko jest legalizowaniem zbrodni hitlerowskiej... Jakim jednak prawem wciągamy się do gry politycznej dzieci? Czy prawem zimnej wojny, której oznaki zaczynamy już lekko odczuwać” – pisze Hrabar. Odnotowuje też, że w radzieckiej strefie okupacyjnej w momencie ustalenia narodowości dziecka władze nie wysuwają żadnych zastrzeżeń co do jego repatriacji. W zachodnich strefach, zauważa, niektóre landy wydały z pominięciem władz okupacyjnych zarządzenia, na podstawie których wystawiono dzieciom niewiadomego pochodzenia nowe metryki.

„Zaprzestaje się też powoli gromadzenia dokumentów, analizy szlaków deportacyjnych, śledzenia poszczególnych grup dzieci. Powiewy »zimnej wojny«, napięcie w Berlinie, »most powietrzny« – wszystko to wyczuwalnie wpływa i na naszą sprawę. Dochodzą do nas wieści, że gdzieś wyżej mówi się o »niepowiększaniu siły biologicznej« potencjalnych przeciwników, mając na myśli dzieci z krajów Europy Wschodniej. W takiej atmosferze trudno o konstruktywną współpracę” – notował Hrabar.

Barbara i Halinka też nie mówiły po polsku. Barbara kochała niemieckich rodziców i była przywiązana do swojego niemieckiego domu. I w Polsce miała tylko babcię. Dziewczynka nie trafiła zresztą od razu do niej, wędrowała po ciotkach. Co zdecydowało, że akurat Romek został w Niemczech? Łapówka, przypadek, upór i wpływy adopcyjnych rodziców? A może amerykańskie służby uznały, że skoro nikt z rodziny go nie szuka, lepiej, żeby został w kochającej niemieckiej rodzinie? Jak potoczyłoby się życie Romka po powrocie do Polski? Znalazłby się prawdopodobnie w domu dziecka. Czy jego życie byłoby lepsze w samotności czy w kłamstwie? Czy lepiej, że miał adopcyjnych rodziców, nawet jeśli zataili przed nim jego pochodzenie, czy gdyby wiedział o sobie tylko tyle, że jest podrzutkiem?

Hermann Lüdeking pytany o swoją narodowość mówi krótko: – Ponieważ wychowany byłem w Niemczech, zawsze czułem się Niemcem.

* * *

Ale Janusz Bukorzycki współczuje Romanowi-Hermannowi. – Nie zna ani słowa po polsku. Całe życie przeżył wśród obcych. Ja ze swojego powrotu do Polski zawsze się cieszyłem, bo tu jestem u siebie. W Niemczech czy Austrii nie wytrzymałbym ani minuty. Mam uraz. Co innego Hiszpania – uśmiecha się i wyciąga plik zdjęć. 2008 rok – Barcelona. Pokazuje ulotki.

Konsulat Generalny RP w Barcelonie i Rada Miasta Barcelony gościły około 20 ze 130 polskich dzieci, ofiar hitlerowskiego programu Lebensborn, które wkrótce po zakończeniu wojny zostały przewiezione przez Czerwony Krzyż z obozów dla uchodźców w Niemczech oraz Austrii i zostały w stolicy Katalonii aż do 1956 roku. 4 grudnia polskie dzieci zostały przyjęte przez burmistrza Barcelony Jordiego Hereu. W uroczystościach uczestniczyła Krystyna Tozer, córka Wandy Tozer.

– Można było wziąć osobę towarzyszącą. Więc oczywiście pojechała ze mną moja Zosia. Spełniłem swoje wielkie marzenie. Znowu zobaczyłem piękne morze, poczułem słońce. Barcelona zawsze w mojej głowie była niczym raj – wspomina Janusz.

Zofia Bukorzycka zmarła w 2015 roku. Przeżyła z Januszem pięćdziesiąt osiem lat.

Dwa lata wcześniej na zawał serca zmarł ich syn Andrzej.

Janusz mieszka w Łodzi z synem Piotrem.

– Kim by pan był, gdyby pana do Niemiec nie zabrano?

– Tym samym Januszem Bukorzyckim. Ale nie miałbym do nikogo pretensji. A tak przez całe życie noszę w sobie żal. Pamiętam bicie, kopanie, głód, upokarzanie. Nie potrafię tego wybaczyć. I na to się też wściekam! Bo lubię ludzi, nie jestem mściwy, nigdy nie byłem agresywny. Wiele zawdzięczam Zosi, mojej żonie. Ona była moim motorem do życia! Napędzała mnie. Zawsze miałem czym innym głowę zajętą, nie rozpamiętywałem przeszłości. Ale czasem wracały wspomnienia, obrazy. Wzruszałem się na wspomnienia, cicho, po kryjomu popłakiwałem. Chciałbym wybaczyć, ale nie potrafię. Takie uczucie ciąży. Powoduje, że też czuję się winny. Bo nie potrafię wybaczyć, nie stać mnie na to. Jestem wierzący. Z Zosią zawsze razem chodziliśmy do kościoła. Teraz sam chodzę. Po mszy idę na jej grób i rozmawiamy sobie. Nie raz mówię, że Bóg kazał wybaczać, a ja nie mogę. Hermannowi też mówiłem: „Wiesz, ja mogę coś takiego powiedzieć, że zapomniałem, pogodziłem się, darowałem. Ale to będą tylko słowa. Nieszczere”. Zadra nie znika.

– Chciałby pan kary dla tych, którzy pana wywieźli, bili?

– To nic by nie zmieniło! Czy ból byłby mniejszy, gdybym widział, jak Śmaja Łapa jest katowany? Bo zostaje pytanie, dlaczego to wszystko w ogóle się stało. Przecież mogłem żyć u moich przybranych rodziców. Biednie przeczekać okupację, dożyć wyzwolenia. Iść do szkoły, do pracy, spotkać Zosię i wychować dzieci. Żyć spokojnie, bez wspomnień. Nie wiedzieć, że ludzie mogą być dla siebie tak okrutni. Nie musiałem tego wiedzieć. Nic dobrego mi to nie dało. O to mam pretensje. Co kilkuletni chłopiec zawinił, że musiał być tak traktowany? Bo miał niebieskie oczy, jasne włosy? Nigdy nie zrozumiem. I nigdy nie będę mógł wybaczyć.

Mali świadkowie

W 1947 roku Hrabar jedzie do Monachium. Chce odwiedzić siedzibę Lebensbornu. Znajduje ulicę Maxa Herzoga w centrum miasta, w pobliżu dworca kolejowego, i dom numer 5/7. Notuje: „Wypalona ruina niewielkiego, trzypiętrowego budynku. Nie zachowało się żadne pomieszczenie, jedynie fasada z czerwonej cegły łądzi pozorem bytu. Zadowolenie z losu, jaki spotkał to łajdackie gniazdo, nie trwa długo. Byłoby lepiej, gdyby ten dom ocalał – wraz z aktami. Szukam jakiegoś dozorcę, odwiedzam lokatorów sąsiadujących domów. Zapytuję, czy ze spalonego budynku uratowały się akta, czy jest ktoś z personelu Lebensbornu, kto zajmuje się nieruchomością. Nikt nic nie wie. Wydaje mi się, że ludzie ci wolą milczeć. Na każdym niemal zresztą kroku w Niemczech, gdy dotknie się sprawy reżimu hitlerowskiego, nikt nic nie wie, nikt nic nie słyszał”.

Pełnomocnik polskiego rządu współpracuje z polskimi gazetami. W 1947 roku o przypadkach, które Hrabar bada w Niemczech, informuje „Dziennik Zachodni”.

„Rozalia Klaczyńska urodziła się 20.08.1937. Jej matka Magdalena urodziła się 13.11.1912. Tyle tylko szczegółów udało się ustalić z akt. Rozalia Klaczyńska została oddana Niemcowi Gotliebowi Dieber. 5.11.1943 Gotlieb Dieber wysłał pismo do kierownictwa wydziału zdrowia przy Lebensbornie – dra Ebnera. W piśmie tym żali się, że matka małej Rozalii cierpiała na epilepsję. Obawia się zatem, że dziecko jest dziedzicznie obciążone i może cierpieć na tę samą chorobę. Czy wobec tego, jeżeli jego przypuszczenia są słuszne, nie należałoby dziecka odesłać. 16.11.1943 dr Ebner odpowiedział na piśmie, że rzeczywiście epilepsja jest chorobą dziedziczną, wskutek tego dziecko nie jest czyste rasowo i do akcji germanizacyjnej absolutnie się nie nadaje. Tyle zdołano stwierdzić w aktach. Po Rozalii Klaczyńskiej nie ma śladu. Gdzie jesteś, Rozalio? Gdzie cię odesłano? Do Oświęcimia, do Ravensbrück, do Belsen?”.



Jeden z domów Lebensbornu

Albo: „Krystyna Mrozik urodziła się 29.11.1935 roku w Murckach. Dziecko podaje, że matce było na imię Paulina, ojcu Karol. Ojciec był prawdopodobnie górnikiem. Nic nie wiadomo, co stało się z rodzicami Krystyny Mrozikówny. Ona sama znajduje się teraz u Niemca Lattnera w Schönau. Lattner twierdzi, że Krystyna Mrozikówna nie posiada rodziców. Rzekomo zrzekli się oni praw do niej i że zostały przeprowadzone wszystkie formalności prawne, związane z adopcją. Dziecko mówi dziś tylko po niemiecku. Do Polski wracać nie chce. Jego zgermanizowanie udało się. Czy należy się dziwić? Od kilku lat Krystyna Mrozikówna słyszała i mówiła tylko językiem

niemieckim. To, co umiała po polsku – zdołała zapomnieć, a nie chce wracać po prostu dlatego, że nie chce iść tam, gdzie mieszkają *die Saupolaken*, jak nas Niemcy określają w tej chwili. Ale może żyje jeszcze ojciec Krystyny. Może szuka dziecka i nic nie wie o tym, że w tej chwili toczy się zacięty bój o jego duszę. Karolu i Paulino Mrozkowie, jeżeli żyjecie, odezwijcie się!”.

* * *

W czerwcu 1947 roku UNRRA zostaje zlikwidowana. Jej agendy przejmuje Międzynarodowa Organizacja Uchodźców – IRO.

Hrabar w poszukiwaniu polskich dzieci odwiedza wszystkie strefy okupacyjne. Teraz jednak ma do wykonania pilniejsze zadanie. Jedzie do Norymbergi. Miasto mu się nie podoba. O zbombardowanym średniowiecznym centrum pisze, że to ponure rumowisko. Mniej zniszczeń jest w sąsiedztwie Pałacu Sprawiedliwości, którego gmach nie został zniszczony. To w nim siedzibę ma Międzynarodowy Trybunał. Hrabar wchodzi do wielkiego, czerwonego budynku i przemierza labirynt korytarzy. Jest umówiony na spotkanie z prokuratorem Edmundem Schwenkiem. Prokurator jest niemieckim Żydem. Z III Rzeszy w porę uciekł do Stanów Zjednoczonych. Jego rodzice zginęli w Auschwitz.

W Polsce udało się zdobyć dowody ważne dla sprawy, nad którą obaj pracują. W Sądzie Okręgowym w Łodzi zeznania złożył Nestor Chadaj: „Przed wojną mieszkałem we wsi Dobromil koło Przemyśla, do roku 1944. Zabrali nas Niemcy wprost ze szkoły z lekcji. Wzięto wtedy ze szkoły około 20 chłopców i dziewczynek... Była to wiosna 1944 roku. Wieźli nas pociągiem przez Kraków, gdzie było badanie lekarskie. Z Krakowa jechaliśmy wagonem, gdzie byli chłopcy i dziewczynki w wieku od ośmiu do dziesięciu lat. Mówiłem z dziewczynkami. Mówiły, że tak jak i ja miały swoich rodziców, których zostawiły w domach... W Niemczech umieścili nas w obozie w Zwikau... Co drugi dzień wszyscy chłopcy szli do fabryki stolarskiej, w inne mieliśmy jakby lekcje, uczyli nas niemieckiego. Uczył nas jakiś esesman; jak mówiliśmy po polsku, to nas bili. Tak samo w fabryce nie wolno było mówić po polsku. Dziewczęta... pracowały w kuchni i tak samo jak my uczyły się... Niekiedy nasi chłopcy, zabrani z Dobromila, mieli na rękach swastyki. Chodziliśmy na boisko, tam ćwiczyliśmy, maszerowaliśmy, śpiewaliśmy. Spotykałem też innych chłopców z okolic Przemyśla, którzy byli w innych lagrach w okolicy Zwikau. Spotykałem na przykład chłopców z Jarosławia. Prowadzili nas zawsze do fabryki, na boisko czy do kina esesmani... Dziewczęta także chodziły na ćwiczenia, ubrane w ciemne spódnice i białe bluzki. Na rękawach miały jakieś znaki...”.

27 sierpnia 1947 roku w Poznaniu przed Okręgową Komisją Badania Zbrodni Niemieckich piętnastoletni Ryszard Strójwąs zeznał: „Zaraz po urodzeniu, po śmierci matki, wzięła mnie na wychowanie babka. W roku 1942, gdy miałem dziesięć lat, jakaś Niemka z opieki społecznej zabrała mnie babce i przekazała do sierocińca w Pokrzywnie. Po zlikwidowaniu sierocińca w Pokrzywnie dzieci w wieku od siedmiu do dwunastu lat odłączono i przekazano do zakładu w Zaniemyślu. Było nas tutaj 27 chłopców i dziewcząt. Traktowano nas tutaj gorzej jak w Pokrzywnie, bijąc i odbierając

jedzenie za każde przewinienie, m.in. za mówienie po polsku. Zbliżanie się wojsk radzieckich spowodowało, że ewakuowano nasz zakład w styczniu 1945 roku. Dojechaliśmy do miejscowości Soldin (Myślibórz) i dalej jechać nie mogliśmy, gdyż wojska rosyjskie nas okręwały. Wróciliśmy do Torunia, a stamtąd do Soldin... W Soldin zastały nas wojska radzieckie. Stąd też wróciłem ja pierwszy, a za mną inne dzieci do Poznania”.

Hrabar przekonuje Schwenka, że podobnych zeznań złożono w Polsce więcej.

* * *

Jednym z najważniejszych problemów, jaki stanął przed aliantami po zakończeniu wojny, była decyzja: co zrobić z ludźmi, którzy ją wywołali. W lipcu 1945 roku sojusznicy postanowili, że zbrodniarze wojenni zostaną postawieni przed sąd i skazani. Szybko jednak uświadomiono sobie, jak karkołomne to zadanie. Co zrobić z tymi, którzy byli jedynie trybikami maszyny III Rzeszy? Co zrobić z członkami partii faszystowskiej czy oddziałów szturmowych? Warto przypomnieć, że partia nazistowska liczyła w Niemczech osiem milionów członków.

Na osądzenie zbrodniarzy wybrano Norymbergę. Nieprzypadkowo. To właśnie w tym mieście w 1933 roku świętowano dojście Hitlera do władzy, tam uchwalono w 1935 roku tzw. ustawy norymberskie – pozbawiające Żydów obywatelstwa Rzeszy, ochrony prawnej i własności.



Proces norymberski

Pierwszy proces norymberski rozpoczął się 20 listopada 1945 roku. Z pozostałych przy życiu najwyższych rangą przywódców nazistowskich na ławie oskarżonych zasiedli m.in. Hermann Goering – marszałek Rzeszy, Joachim von Ribbentrop – minister spraw zagranicznych, dowódcy wojskowi: Wilhelm Keitel – feldmarszałek Rzeszy, szef Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu i Alfred Jodl – szef sztabu w Naczelnym Dowództwie Wehrmachtu, a także Alfred Rosenberg – ideolog partyjny NSDAP. Ribbentrop, odpierając zarzuty, napisał w oświadczeniu: akt oskarżenia jest skierowany przeciwko niewłaściwym ludziom. Keitel z kolei zaznaczał, że dla żołnierza rozkazy są rozkazami.

Ernst Kaltenbrunner – szef Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (w tym gestapo) zapewniał: „Nie czuję się winny żadnych zbrodni wojennych. Wykonywałem tylko swoje obowiązki w ramach prac wywiadu i protestuję przeciwko pociąganiu mnie do odpowiedzialności w miejsce Himmlera”.

Główny architekt Lebensbornu już nie żył. Himmler został zatrzymany przez Brytyjczyków 22 maja 1945 roku. W sali przesłuchań popełnił samobójstwo, zażywając cyjanek potasu.

Wyrok w procesie zapadł 30 września 1946 roku. Z dwudziestu jeden oskarżonych trzech uznano za niewinnych. Pozostali zostali skazani na śmierć przez powieszenie lub więzienie.

Później, przed sądem w Norymberdze stawali m.in. dowódcy wojskowi, oskarżeni o popełnienie zbrodni wojennych, główni bossowie gospodarki, którzy korzystali z pracy niewolniczej, oraz ci wszyscy, którzy związani byli w sensie politycznym i wykonawczym z „ostatecznym rozwiązaniem kwestii żydowskiej”.

10 października 1947 roku rozpoczyna się ósmy proces norymberski. Tym razem na ławie oskarżonych znajdują się członkowie hitlerowskich organizacji zajmujących się nazistowskimi programami rasowymi, na czele z Głównym Urzędem Rasy i Osadnictwa SS, czyli Rasse- und Siedlungshauptamt.

Wśród oskarżonych są też przedstawiciele Lebensbornu:

– Max Sollmann, Standartenführer SS, szef Lebensbornu. Studiował grafikę w Akademii Sztuki Bischoff w Monachium. Był m.in. korespondentem zagranicznym jednego z wydawnictw. Wstąpił do NSDAP już w 1921 roku i otrzymał niski numer legitymacji członkowskiej – 14528. Za udział w puczu Hitlera otrzymał Order Krwi. W 1937 roku wstąpił do SS.

– Gregor Ebner, Oberführer SS, szef głównego departamentu zdrowia w Lebensbornie. W 1930 roku wstąpił do NSDAP. W tym samym roku poznał Himmlera i przez wiele lat był jego domowym lekarzem. W 1931 roku wstąpił do SS. W 1937 roku zrezygnował z praktyki lekarskiej i zaczął pracę dla Lebensbornu.

– Günter Tesch, Sturmbannführer SS, szef głównego departamentu prawnego Lebensbornu.

– Inge Viermetz, która w Lebensbornie odpowiadała m.in. za adopcje. Do Lebensbornu trafiła dzięki pośrednictwu pracy jako stenotypistka. W 1942 roku Sollmann powierzał jej do wykonania specjalne zadania m.in. w Rumunii, Kraju Warty, Krakowie, Warszawie, Belgii, Holandii oraz Francji. Później kierowała

ośrodkiem Lebensbornu Ardennen w belgijskiej miejscowości Wegimont. Z pracy została zwolniona, gdy przełożeni odkryli, że w ośrodku Inge Viermetz robi prywatne interesy, m.in. wysyłała do Rzeszy żywność przeznaczoną dla ośrodka.

Oskarżenie obejmuje trzy zasadnicze grupy przestępstw: zbrodnie przeciwko ludzkości, zbrodnie wojenne i przynależność do zbrodniczych organizacji. Zbrodnie rabunku dzieci należą do pierwszej grupy przestępstw.

W punkcie 11 oskarżenia mowa jest o szerokim planie porywania dzieci „rasowo wartościowych” dla osłabienia narodów wrogich i wzmocnienia ludności Niemiec.

Punkt 13 dotyczy zbrodni odbierania dzieci robotnikom przymusowo wywiezionym do Niemiec.

W punkcie 18 aktu zarzuca się wywóz małoletnich na roboty do Niemiec z zamiarem ich późniejszej germanizacji.

Na pytanie sądu, czy oskarżeni przyznają się do winy, wszyscy, w tym przedstawiciele Lebensbornu, mówią: „Jestem niewinny”.

* * *

Rozprawa zostaje odroczonej do 20 października 1947 roku. Wtedy głos zabiera amerykański prokurator James McHaney. „Zbrodnie trzynastu mężczyzn i jednej kobiety są wynikiem szerokiego i opracowanego z premedytacją planu zniszczenia grup narodowych w krajach okupowanych przez Niemców. Ten program ludobójstwa stanowi część hitlerowskiej doktryny o totalnym prowadzeniu wojny, wojny przedsięwziętej właściwie raczej przeciwko ludności, aniżeli państwom i siłom zbrojnym. Program ten opierał się przede wszystkim na dwóch hitlerowskich koncepcjach: rasy i Lebensraumu”.

Kolejny głos należy do prokuratora Edmunda Schwenka: „Hitlerowcy planowali, bez względu na to, czy wojna będzie wygrana czy przegrana, iż naród niemiecki w okresie powojennym będzie mógł postępować z ludnością innych krajów europejskich z dominującej pozycji pod względem liczebnym, biologicznym i umysłowym. Politykę germanizacyjną stosowano wobec wszystkich krajów podbitych, lecz przeprowadzono ją z największą bezwzględnością i konsekwencją na terytoriach wschodnich. Polska, jako pierwszy podbity kraj, stała się w pewnym sensie polem doświadczalnym dla praktycznego zastosowania tych ludobójczych planów”.

Kolejny prokurator Harold Neely uprzedza z kolei, że w toku postępowania zapewne często będzie można usłyszeć, że dzieci były dobrze traktowane, otaczano je opieką. I być może jest to prawda. „Lecz nie stanowi to obrony kidnapera, jeśli mówi, że traktował dobrze swoją ofiarę. Ważniejsze jest, dlaczego były one dobrze traktowane. Odpowiedź jest prosta: te niewinne dzieci uprowadzono do wprężenia ich w hitlerowską ideologię i wychowania dobrych Niemców. Jest to okoliczność obciążająca, a nie łagodząca zbrodnię”.

„Wojna jest surową i gwałtowną okupacją” – od słów cytujących Fryderyka Schillera zaczyna mowę adwokat Carl Haensel, jeden z obrońców. Jego wywód koncentruje się wokół tego, że za wszystko, co się działo, odpowiedzialni są osobiście jedynie główni oskarżeni w pierwszym procesie norymberskim. Obrońca przytacza też

sprawozdanie pruskiego generała Bogusławskiego. W dokumencie stwierdza się, że w drugiej połowie XIX wieku 200 tysięcy Niemców zostało spolonizowanych w prowincji poznańskiej. Przywołuje również oświadczenie brytyjskiego premiera Lloyd George'a na konferencji pokojowej w 1919 roku, że w wyniku oddania niemieckich wschodnich terytoriów Polsce około 2,2 miliona ludności niemieckiej dostało się pod kontrolę Polski.

* * *

Po raz pierwszy w sądzie dzieci pojawiają się pod koniec października. To mali Czesi z Lidic. 10 czerwca 1942 roku Niemcy w ramach represji po zamachu na Reinharda Heydricha dokonali w tej wiosce masowej eksterminacji ludności. Maria Hanfova opowiada, jak 9 czerwca niemieccy żołnierze otoczyli wieś i zbudzili wszystkich mieszkańców o trzeciej nad ranem. Następnie ze szkoły, gdzie ich zgromadzono, wywieziono dzieci z matkami do Kladna. Tam dzieci oddzielono od matek i wywieziono do Łodzi. Po jakimś czasie zabrano je do zakładu w Puschkau (Puszczykowie). Były tam też dzieci mówiące po polsku. W zakładzie zabraniano mówić po czesku i karano, gdy ktoś mówił w tym języku. Potem umieszczono Marię w miejscowości Dessau w rodzinie Niemca Richtera i odtąd nazywała się Marga Richter.

– Czy mówiono ci coś o tym, że jesteś Czeszką? – pyta prokurator.

– Tak, że jestem z Czechosłowacji i mam teraz słuchać Niemców, że zostanę Niemką, że mam być przeciwko Czechom.



* * *

Przed rozpoczęciem procesu Hrabar przywiózł prokuratora Schwenka do Polski. Odwiedzili m.in. Łódź i tamtejszą Komisję do Badań Zbrodni Hitlerowskich. Jej pracownicy pomogli Hrabarowi wybrać troje dzieci, które na procesie norymberskim wystąpią jako świadkowie. Do Norymbergi jadą pociągiem pod opieką Leokadii Szymańskiej z łódzkiego wydziału opieki społecznej.

6 listopada w sądzie w Norymberdze stawiają się: Alinka Antczak, Basia Mikołajczyk i Sławek Grodomski-Paczesny. Na pierwszy ogień idzie piętnastoletni Sławomir. Przesłuchanie prowadzi prokurator Neely.

- Gdzie świadek jest urodzony?
- W Łodzi.
- Kiedy świadek się urodził?
- 11 listopada 1931 roku.
- Czy matka i ojciec żyją?
- Tak, żyją.
- Czy w 1942 roku przysłała jakaś kobieta do waszego domu i zabrała cię do domu dziecka?
- Tak, na ulicę Kopernika.
- Czy pamiętasz nazwisko tej kobiety?
- Nie, nie pamiętam.
- Czy twoi rodzice mieli w tym czasie środki na utrzymanie ciebie?
- Tak, mieli.
- Czy chorowałeś w tym czasie?
- Nie.
- Czy twoi rodzice byli chorzy?
- Nie, nie byli.
- Ile dzieci było w tym zakładzie, do którego zostałeś zabrany?
- Czterdzieścioro.
- Czy chorowałeś kiedyś w zakładzie?
- Nie.
- Czy byłeś badany w Łodzi?
- Tak, byłem.
- Czy robiono ci zdjęcia?
- Tak, robiono.
- Jakie to były zdjęcia?
- W trzech pozycjach.
- Czy badano cię i notowano dane o kolorze twoich oczu i włosów?
- Tak, robiono to.
- Czy pamiętasz, kto cię badał?
- Tak, doktor Grohmann.
- Czy był ktoś jeszcze z doktorem Grohmannem w tym czasie?

- Tego nie pamiętam.
- Czy ojciec starał się wydostać ciebie z tego zakładu?
- Tak, chciał mnie zabrać.
- Co powiedziano ojcu, gdy starał się o zabranie ciebie z zakładu?
- Tego ja nie pamiętam.
- Czy matka odwiedzała cię kiedyś w tym zakładzie?
- Tak.
- Czy mogłeś z nią rozmawiać?
- Tak, mogłem, ale tylko przez płot.
- Nie mogła przyjść i rozmawiać z tobą wewnątrz budynku. Czy tak było?
- Nie mogła. Jedynie w niedzielę, jak nie było dozorczy.
- Dokąd cię wysłano po opuszczeniu zakładu w Łodzi?
- Do Kalisza.
- Ile tam było dzieci?
- Około trzydzieścioro.
- Czy w Kaliszu uczono cię mówić po niemiecku?
- Tak.
- Czy dzieciom polskim pozwalano rozmawiać między sobą po polsku?
- Nie wolno było, ale robiliśmy to po kryjomu.
- Jeżeli ktoś z dzieci mówiło po polsku, co się wtedy działo? Czy było karane?
- Tak, było.
- Czy byłeś kiedyś karany?
- Tak, byłem.
- Co ci zrobiono?
- Zamknięto mnie w pokoju i nie dano mi ani obiadu, ani kolacji.
- Czy twoja matka przyjechała do ciebie, by zobaczyć się w Kaliszu?
- Tak, przyjechała.
- Czy rozmawiałeś z matką?
- Inne dzieci ją widziały.
- Ale ty jej nie widziałeś?
- Nie.
- Jak długo przebywałeś w Kaliszu?
- Sześć miesięcy.
- Dokąd cię wysłano z Kalisza?
- Do Luksemburga.
- Ile dzieci było z tobą w Luksemburgu?
- Piętnaścioro.
- Czy byli to sami chłopcy, czy były też dziewczęta?
- Chłopcy i dziewczęta.
- Jak długo byłeś w Luksemburgu?
- Jeden miesiąc.
- Dokąd cię wysłano z Luksemburga?
- Do Salzburga.
- W czasie, gdy byłeś w Salzburgu, mówiono ci, że zostaniesz oddany do rodziny niemieckiej?

- Początkowo nie.
- Czy mówiono ci, że nie wrócisz do Polski i masz o wszystkim zapomnieć?
- Tak, mówiono.
- Czy w Salzburgu dano ci kartkę z nowym nazwiskiem?
- Tak.
- Jakie otrzymałeś nazwisko?
- Karl Grohmann.
- Czy wiesz, kto dawał te kartki? Czy byli to ludzie w mundurach?
- Tak, w mundurach.
- Jakiego koloru były te mundury?
- Czarne.
- Czy używałeś tego nazwiska Grohmann cały czas po tym, jak ci go nadano?
- Tak, musiałem.
- Czy po otrzymaniu tego nazwiska umieszczono cię w niemieckiej rodzinie?
- Tak, od razu.
- Jak nazywała się ta niemiecka rodzina?
- Nie mogę sobie przypomnieć.
- Czy był to farmer, co on robił?
- Tak, to był farmer.
- Czy pracowałeś u niego?
- Tak, pracowałem.
- Czy pamiętasz, gdzie ten gospodarz mieszkał?
- Tak.
- Jak długo tam byłeś?
- Cztery miesiące.
- Czy mówiono ci, że masz nazywać gospodarzy ojcem i matką?
- Tak.
- A po opuszczeniu tego gospodarza, dokąd wyjechałeś?
- Do Bischofshofen.
- Pamiętasz nazwisko tego gospodarza?
- Tak, pamiętam.
- Czy znasz powody, dla których cię zabrano od pierwszego gospodarza i umieszczono w drugim miejscu?
- Tak, znam.
- Powiedz nam, proszę, dlaczego tak się stało.
- Ponieważ mówiono, że u pierwszego gospodarza spotykałem się z Polakami.
- Czy masz na myśli spotkanie z polskimi dziećmi w sąsiedztwie?
- Nie. Byli to serbscy żołnierze, którzy mówili po polsku.
- Jak nazywał się drugi gospodarz, u którego przebywałeś?
- To była kobieta.
- Jak się nazywała?
- Maria Stiller.
- Jak wróciłeś do Polski po zakończeniu wojny?
- Polscy żołnierze przyszli do gospodyni.
- Czy mieszkasz teraz z matką i ojcem w Polsce?

- Tak, mieszkam.
- Czy dobrze ci jest teraz?
- Tak, jestem bardzo szczęśliwy i zadowolony.
- Jeszcze jedno pytanie. Gdy byłeś poza Polską, czy mogłeś pisać lub kontaktować się z rodzicami?
- Nie zawsze.
- Czy mówiono ci, że nie wolno pisać listów? Czy zgadza się?
- W Kaliszu nie wolno było mi pisać listów, tak samo nie wolno mi było tego robić w Salzburgu.
- Ale robiłeś, tak samo, jak z mówieniem po polsku, gdy nie pozwalano ci na to, robiłeś to? Czy zgadza się?
- Tak, robiłem.
- Oskarżenie nie ma więcej pytań.

Hrabar kopiuje stenogram z zeznania. To suchy zapis, brakuje didaskaliów. Ale łatwo można sobie wyobrazić chłopaka – już nie dziecko, a jeszcze nie młodzieńca, który spięty wysłuchuje tłumaczenia pytań. Nie wiemy, czy głos mu drży, czy na pytania odpowiada głośno i pewnie.

* * *

Polskie dzieci są też zapraszane na spotkanie poza salą sądową. 10 listopada 1947 roku jadą z Hrabarem do Ludwigsburga. W gmachu Głównej Kwatery Poszukiwań Dzieci zgromadzili się m.in. przedstawiciele zarządu wojskowego Badenii-Wirtembergii, pracownicy PCK i innych organizacji społecznych. Hrabar prosi, by głos zabrali polscy mali świadkowie.

Wstaje Basia Mikołajczyk. Stremowana, cichym głosem opowiada:

- Urodziłam się w Łodzi. W 1942 roku, gdy miałam dwanaście lat, zabrano mnie z domu do niemieckiego biura, gdzie badał mnie dr Grohmann. Oglądał oczy, uszy, włosy. Przed zabraniem nie chorowałam. Po ośmiu dniach pobytu w zakładzie przewieziono mnie do Bruczkowa. Tu uczono mnie czytać, pisać i mówić po niemiecku. Nie wolno było mówić po polsku. W zakładzie było jeszcze trzydzieścioro dzieci, które gdy tylko mogły, mówiły ze sobą po polsku. Z Bruczkowa przewieziono nas do Heimschule w Achern-Baden. Tu przebywaliśmy około roku. Musieliśmy należeć do BDM, nosić mundury i pozdrawiać się „heil Hitler”. Zakazano nam mówić po polsku i nauczyciele bili nas, gdy tylko się dowiedzieli, że rozmawiamy w tym języku. Mówiono nam, że jesteśmy Niemcami i że mamy zapomnieć, że Polska istniała. Z Achern-Baden zabrano nas do jakiegoś obozu w Salzburgu. Tam przebywałyśmy około dwóch miesięcy, tam też otrzymaliśmy nowe nazwiska. Mnie nazwano Barbara Micker i umieszczono w niemieckiej rodzinie. Mówiono mi, żeby nazywać ich ojcem i matką. Nie mogłam tak jednak mówić. Starłam się kontaktować z rodziną w Polsce, co jednak nie było dozwolone. Gdy przyszły wojska amerykańskie, zaraz zgłosiłam się i powiedziałam, że jestem polskim dzieckiem i chcę natychmiast wracać do domu.

Z sali spośród zebranych gości padają pytania.

- Czy byłaś traktowana jak więzień?
- Nie.
- Czy narzucono ci religię?
- Nie, jestem katoliczką i niemiecka rodzina była katolicka.
- Czy rodzina niemiecka wiedziała, że jesteś polskim dzieckiem?
- Tak, wiedziała o tym doskonale.
- Czy rodzina miała jeszcze inne dzieci?
- Tak, jedną dziewczynkę.
- Czy traktowano ją inaczej niż ciebie?
- Traktowano ją trochę lepiej – zeznaje Basia.

Po wielu latach zmieni zdanie i przyzna w rozmowie ze mną, że większej różnicy nie było.

Ojca Basi Niemcy z Łodzi wywieźli na roboty. W domu została mama. Basia po powrocie do Polski nie zobaczyła już rodziców. Ojciec zmarł na robotach, mama w Łodzi, nie doczekała powrotu córki. Basię w Łodzi przygarnęła ciotka.

Dwunastoletnia w 1942 roku dziewczynka zapamiętała, jak do domu, w którym mieszkała z mamą, przyszło pismo, że mają się zgłosić na badania. Mówili, że ma ładny nos, niebieskie oczy. Kazali podciągnąć sukienkę do góry, żeby sprawdzić, czy nie ma krzywego kręgosłupa. Po kilku dniach miała się znowu zgłosić. Wtedy widziała mamę po raz ostatni. Pamięta dom w Austrii, w którym kazano jej mieszkać. Przez gardło nie mogło jej przejść słowo „mama” albo „ciocia” do obcej kobiety. Mówiła więc bezosobowo. Pani domu była w sumie miła. Basia ciągle płakała, mówiła, że chce wracać do swojej mamy. – Nie płacz, pojedziesz, jeszcze pojedziesz – pocieszała ją niemiecka opiekunka. Pocieszała ją też Liza, cztery lata młodsza córka gospodyni. Basia bardzo tęskniła. Pojęcia nie miała, że i mama, i ojciec już nie żyją.

Wyjazd do Norymbergi był dla Basi miłą odskocznią od domu ciotki. Zakolegowała się z Alinką i Sławkiem. Mieszkali w eleganckim hotelu. Cała trójka była co wieczór zapraszana na dobre kolacje. Dorośli ostrzegali tylko, żeby samemu nigdzie z hotelu nie wychodzić. Bo miejscowi wiedzą, że w procesie są świadkami i może im się przytrafić coś złego. Basia ani myślała wychodzić sama. Norymberga wydawała jej się brzydka. W niczym nie przypominała austriackich krajobrazów, które poznała.

* * *

Po Basi swoją opowieść zaczyna uśmiechnięta blondynka Alinka Antczak:

- Zabrani zostaliśmy z moją siostrą i bratem do niemieckiego urzędu. Tam badano nas dokładnie, patrzono w oczy, mierzono usta, nos. Jakiś czas przebywaliśmy w zakładzie w Łodzi, a następnie wysłano nas do Heimschule w Achern-Baden. Tu rozdzielono mnie z bratem Bogdanem i od tego czasu nic więcej już o nim nie słyszałam. Nie wolno nam było pisać do Polski. Raz nauczycielka złapała mój list pisany do rodziców i go odebrała. Od dziewczynki, która sprzątała pokój nauczycielki, wiem, że był do mnie list z Łodzi, ale później został spalony. W Achern-Baden przebywałam około roku, musiałam należeć do BDM i nosić mundur. Raz widziałam Himmlera, który zwiedzał nasz zakład. W ogóle odwiedzali nas różni przywódcy SS

i Lebensbornu. Na procesie w Norymberdze rozpoznałam Maşa Sollmanna, którego widziałam w Achern-Baden. Przy opuszczaniu Heimschule powiedziano mi, że nazywam się Hilda Anziger. Następnie umieszczono mnie w rodzinie Mehnert w Petershein. Był sierpień 1943 roku. Rodzina niemiecka nie miała dzieci. Kazano mi do nich mówić „ojcze” i „matko”. Nie mogłam jednak tak mówić i nazywałam ich „ciocią” i „wujkiem”. Razu pewnego moja opiekunka otrzymała list z Lebensbornu i powiedziała mi, że dostała wiadomość, że mój ojciec nie żyje. Nie wierzyłam jednak temu i potajemnie przeczytałam ten list. Pisano w nim, że ojciec mój nie żyje i żeby opiekunka powiedziała mi, że moja matka też nie żyje, to wtedy ja nie będę myśleć o rodzicach i szybciej przyzwyczaję się do opiekunów. Gdy zmarł opiekun, musiałam ciężiej pracować. Opiekunka często krzyczała, biła mnie i w złości wołała „ty polska świnió”. Moja siostra Wiesława, która nazywała się teraz Anna Maria Anziger, przebywała w tej samej miejscowości, w innej rodzinie. Nie zawsze wolno mi było się z nią widywać. Po wojnie UNRRA umieściła nas w zakładzie w Aglasterhausen. Rodzice moi otrzymali list od brata, którego wywieziono do Hiszpanii i jeszcze się nie odnalazł i do nas nie powrócił.

– W jaki sposób rodzice w Polsce wiedzieli, dokąd pisać do ciebie?

– Udało mi się do nich raz napisać potajemnie.

Alinka wymienia nazwiska i imiona niektórych polskich dziewcząt zamieszkałych w okolicach Hielderbegu. Jedna z nich, która była jej przyjaciółką, zmarła.

– Co było przyczyną jej śmierci?

– W rodzinie tej było wiele dzieci, musiała ciężko pracować. Było to gospodarstwo rolne. Jednego dnia przeziębła się i po chorobie umarła.

* * *

22 i 23 stycznia 1948 roku przed sądem występują dzieci powołane jako świadkowie obrony. Zeznaje Lucie Bergner. Hrabar przypuszcza, że nazywa się Górską. Ale miejscowości jej pochodzenia ani innych danych nie był w stanie ustalić.

– Gdzie mieszkasz obecnie?

– W Planckstadt koło Heidelbergu.

– Czy przypominasz sobie prawdziwych rodziców?

– Nie, nie mogę sobie przypomnieć.

– A kogo możesz sobie przypomnieć?

– Tylko moją babcie.

– Czy mieszkałaś z babcią?

– Tak.

– A czy pamiętasz gdzie?

– To było w Polsce, koło Poznania.

– Co pamiętasz o babci?

– Pamiętam, że babcia mówiła mi, że moi rodzice zmarli, a ona zawsze chciała, żebym została umieszczona w rodzinie zastępczej.

– W jakim języku rozmawiałyście z babcią?

– Ona mówiła po polsku, ale znała też niemiecki.

- Czy babcia zgodziła się, żeby cię przeniesiono do zakładu?
- O tak, jej się to bardzo podobało – zapewnia Lucie. Na kolejne pytania odpowiada, że w ośrodkach nie było żadnych kar, dzieci mogły ze sobą rozmawiać po polsku bez żadnych problemów. Chwali nowych rodziców. Zapewnia, że nie byli nazistami. Wie o tym dobrze, bo rodzina otrzymała list z sądu denazyfikacyjnego. Miała go w swoich rękach i czytała.
- Twoja babcia była, powiedzmy, nieco uboga, czy nie?
- Tak, była.
- Ale była dobra dla ciebie, czy dbała o ciebie jak o własne dziecko?
- Tak, dbała.
- Czego pragnęłaś najbardziej: dobrego jedzenia i dobrej opieki, czy tak? Czy to wolałaś od swojej babci?
- Tak, oczywiście.
- Chciałaś być jak inne dzieci, mieć ładne sukienki i ładne mieszkanie, bawić się z innymi dziećmi? To jest to czego chciałaś?
- Tak. To jest to, czego właśnie chciałam.

W sądzie zeznają kolejni świadkowie.

10 marca 1948 roku sąd ogłasza wyrok. Max Sollmann, Gregor Ebner i Günter Tesch zostają uznani winnymi przynależności do organizacji zbrodniczych. SS-Standartenführer Sollmann i SS-Oberführer Ebner otrzymali wyroki po dwa lata więzienia tylko za członkostwo w SS. Sąd na poczet kary uznał okres, który spędzili w więzieniu przed procesem i w jego trakcie. Inge Viermetz zostaje uniewinniona.



Emmy Göring, żona Hermanna Göringa, z ich córką Eddą dostają list od obrońcy męża

„Z materiału dowodowego jasno wynika, że stowarzyszenie Lebensborn, które powstało na długo przed wojną, było instytucją dobroczynną i w pierwszym rządzie ośrodkiem położniczym. Początkowo opiekowało się matkami, zarówno zamężnymi, jak i niezamężnymi, jak również ślubnymi i nieślubnymi dziećmi. (...) Lebensborn w ogóle nie wybierał i nie badał żadnych cudzoziemskich dzieci. We wszystkich przypadkach, kiedy cudzoziemskie dzieci zostały przekazane Lebensbornowi, zawsze były bardzo zadbane i nigdy, w żaden sposób, nie były źle traktowane. Z materiału dowodowego wynika, że wśród wszystkich organizacji w Niemczech, które zajmowały się sprowadzonymi do Niemiec cudzoziemskimi dziećmi, Lebensborn był jedynym miejscem, gdzie czyniono wszystko, żeby otoczyć te dzieci należytą opieką i żeby strzec prawnych interesów dzieci pozostawionych pod jego opieką” – uzasadnił sąd.

Co wtedy czuł Hrabar? Nie trzeba się domyślać. W swojej książce *Janczarowie XX wieku* zachowuje dużą dozę dyplomacji. „Ustalenia wyroku w odniesieniu do Lebensbornu stanowią dla nas wszystkich duże zaskoczenie. Komentujemy żywo w głównej kwaterze ten fragment rozstrzygnięcia, którego prawne motywy nie są dla nas zrozumiałe. (...) Jeżeli przywódcy Lebensbornu wiedzieli, że dzieci zostały uprowadzone, a nawet posiadali wiadomość, że niektóre mają żyjących rodziców –

co Trybunał przyjął za udowodnione – to wykonywanie opieki nad takimi dziećmi jest co najmniej karalnym pomocnictwem. Pominęto również zawarty w dokumentach dowodowych fakt zacierania przez Lebensborn śladów pochodzenia dziecka, zmiany nazwisk, świadomego fałszowania metryk urodzenia” – pisze Hrabar.

Dopiero w 1950 roku Trybunał Denazyfikacyjny w Monachium uzna działalność Lebensbornu za zbrodniczą. Stanie się tak po uchwaleniu przez Zgromadzenie Ogólne ONZ 9 grudnia 1948 roku w Nowym Jorku konwencji międzynarodowej w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa. Ostatnim z wymienionych w niej czynów ludobójczych jest „przymusowe przekazywanie dzieci członków grupy do innej grupy”.

* * *

Sławek, Basia i Alinka wracają do Polski. Basia – do domu ciotki w Łodzi. Na dzień dobry słyszy, że ciotka załatwiła jej pracę. W drukarni.

– Ja chciałem pracownicę, a mi tu dzieciaka przysłali! – denerwuje się kierownik na widok dziewczyny. Ale Basia zaczyna pracować. Przez kolejne trzydzieści pięć lat drukuje książki, czasopisma, okładki. W pierwszych latach ręce drętwieją jej każdej nocy. W domu się nie przelewa. Śniadania i kolacje to najczęściej chleb z masłem.

Barbarze w końcu udaje się usamodzielnic, wyprowadzić od ciotki. Nie chce już nigdy w życiu niczyjej łaski. – Nigdy nawet przez chwilę nie żałowałam powrotu. Marzyłam, żeby wrócić do Polski, i moje marzenie zostało spełnione. A że życie miałam ciężkie? Nie wiem, czy ciężkie. Po prostu uczciwie pracowałam. Trochę jestem naznaczona samotnością. Mąż mój zmarł dwadzieścia lat temu na raka. Nie mieliśmy dzieci. Drugi raz wychodzić za mąż nie chciałam – opowiada.

Barbara umiera kilka miesięcy po naszej rozmowie. W czerwcu 2016 roku. Sąsiedzi nie widzieli jej od dłuższego czasu i zaalarmowali policję. Wyważono drzwi. Barbara już nie żyła. Na jej pogrzeb przyszło tylko kilka osób.

Próbuję odnaleźć Alinę i Sławomira.

Barbara Paciorkiewicz (dawna Bärbel Rossmann) wyjaśnia: – Alina była w Zrzeszeniu Dzieci Polskich Germanizowanych przez Reżim Hitlerowski. Ale jest już schorowana, od lat nie chce już z nikim o przeszłości rozmawiać.

W książeczce *Z kart historii polskich janczarów XX wieku*, którą zrzeszenie wydało w 2000 roku, jest krótkie wspomnienie Aliny, świadka procesu norymberskiego, z wywózki do Niemiec. „Dzisiaj więcej nie chcę wspominać tamtych lat, ale pragnę, aby historia polskich dzieci germanizowanych została zapamiętana i nigdy się nie powtórzyła” – pisze.

A Sławomir? O pomoc w poszukiwaniach proszę łódzki oddział IPN. – Z dostępnych dokumentów wynika, że Sławomir Grodowski był dzieckiem przysposobionym przez małżeństwo Andrzeja i Elżbietę Paczesnych. Od nich został zabrany przez Niemców. Adopcja formalnie została przeprowadzona już po wojnie, gdy Sławomir wrócił do Łodzi. Wiadomo, że w Łodzi kończył szkołę średnią. Niestety, o dalszych jego losach nic nie wiadomo – mówi Artur Ossowski z łódzkiego IPN.

Chrzestna z Indersdorf

Sześćcioletni Janusz Karpuk patrzy przez okno. Siostra powiedziała, że mama umarła. Za oknem widać tylko zaśnieżone podwórko gospodarstwa. Czapy śniegu leżą na stodołach, chlewach i prowadzącej na podwórze bramie. Jest silny mróz. Choć w izdebce jest ciepło, Janusz ziąb czuje. Mama umarła. Co to znaczy? Powiedzieli, że już jej nie będzie, nie wróci ze szpitala. Czy tak wygląda smutek? Janusz zastanawia się nad tym nieznanym uczuciem. Od czasu do czasu odkręca stojący obok okna słoik. W środku jest miód. Janusz nabiera palcem słodki ulepek. Mama miała ten słoik w szpitalu. Zjadła tylko trochę. Miód ze szpitala zabrała siostra. Już zawsze Januszowi smak miodu smak będzie kojarzył się z tą chwilą.

Jest luty 1945 roku. Miejscowość Urfar koło Malching w Bawarii. Janusz trafi tu z mamą i starszą o cztery lata siostrą Zosią z Pińska. Wcześniej mieli dom w Dymitrowicach, 50 km od Białowieży. Janina Karpuk z dziećmi została zabrana na roboty w 1943 roku. Nie wiadomo, co się stało z ojcem, Janem Karpukiem. Wiele wskazuje na to, że zginął w partyzantce.

Gospodarstwo, do którego trafili Karpukowie, prowadzi wdowa. Jej jedyny syn walczy na froncie wschodnim, do domu przyjeżdża na przepustki. Gospodyni daje Karpukom pokój w domu, w którym sama mieszka. W gospodarstwie pracują też inni robotnicy. Jest Polka – nastoletnia Zosia Borowiecka, jest Jugosłowianin. Bauerka wszystkim daje jeść we własnej kuchni, przy jednym stole.



Janusz Karpuk i jego siostra Zosia Karpuk

W trakcie którejś wizyty syn gospodyni ostro pije w kuchni. W pewnym momencie wyciąga finkę i rzuca. Ostrze trafia w rękę Janusza. Nie wiadomo, czy żołnierz rzucił w niego celowo, czy finka trafiła go przez przypadek. Blizna na ręku zostanie do końca życia.

Janina Karpuk zachorowała jesienią 1944 roku. Zbierała w sadzie gruszki i jabłka. W pewnym momencie przewróciła się, wypadał jej z rąk kosz z owocami. Od razu została przewieziona do szpitala w Rotthalmünster. To 7 km od Urfar. Zosia, siostra Janusza, odwiedzała ją tak często, jak mogła. Jeździła na rowerze albo szła piechotą. Janusza nie zabierała, bo był mały.

Janina Karpuk zmarła na dwa miesiące przed wkroczeniem Amerykanów.

W czasie gdy Janina jeszcze dogląda bydła w Bawarii, Aniela Gogolin – Ślązaczka z Chorzowa, przyjaźni się z Niemką Bärbel. Poznały się w szkole. Ojciec Bärbel jest inżynierem górnictwa. Został, razem z rodziną, specjalnie sprowadzony z Niemiec do Chorzowa. Rodzina mieszka w ładnej willi z ogrodem. Aniela często tam bywa. Bärbel zaprasza ją, bo nie ma się z kim bawić. Aniela idzie chętnie. Lubi towarzystwo Bärbel, podobają jej się też elegancka willa i zadbane ogród. Mama koleżanki zawsze

częstuje budyniem albo kisielom. Tego w domu Aniela nie ma.



Dzieci wypoczywają w Szwajcarii. Aniela stoi w ostatnim rzędzie, druga od prawej. Tuż przed nią stoi Janusz

Gogolinowie zajmują pokój z kuchnią w kamienicy przy ulicy Wolności. To główna ulica w Chorzowie. Od 1939 roku nazywa się Adolf Hitler Strasse. Rodzina mieszka na Śląsku od pokoleń. Jeden z dziadków Aniela urodził się w Świętochłowicach, drugi w Pszowie. Mama – w Zabrze. Po plebiscycie, gdy Zabrze zostało po niemieckiej stronie, rodzina przeniosła się do polskiego Chorzowa. Tam w 1933 roku urodziła się Anielka. Jej ojciec Edmund jest górnikiem.

Kiedy Niemcy zajęli miasto, Anielka miała sześć lat, jeszcze nie chodziła do szkoły. Ale poznawała już litery z elementarza Mariana Falskiego. Rok później w szkole zaczęła się uczyć po niemiecku. Żeby było jej łatwiej, rodzice i babcia też mówią po niemiecku. Ale najczęściej w domu mówi się śląską gwarą. Babcia nie lubi niemieckiego. Anielka słyszy kiedyś, jak sąsiad zwraca jej na podwórzu uwagę. Mężczyzna nosi mundur, ale nie jest wojskowym. – Ty podciepie! Tyś mi szczoł na kolana! Godej se po niemiecku, jo byda jak jo chca – denerwuje się babcia. To chyba jedyny sąsiad, na którego babcia się zdenerwowała. Reszta żyje w zgodzie. – Roza, dej mi pół szolki cukru! – krzyczy przez okno do matki Aniелki sąsiadka Truda.

– Weź se. Nie zawarłach doma – odkrzykuje Rozalia.

Rodzina Gogolinów podpisała folklistę. Mają kategorię trzecią, jak większość Górnślązaków. Aniela – najstarsza z czworga rodzeństwa – słyszy, że w domu coraz częściej mówi się o wojnie. Rozalia narzeka, że wszystko na kartki trzeba kupować. Edmund przegląda gazetę. Najwięcej miejsca zajmują w niej nekrologi. Ojciec

wyczytuje znajome nazwiska. – Jerunie, tylu synków już nie ma – łapie się za głowę.

Na początku stycznia 1945 roku w szkole Anieli nauczyciele ogłaszają, że będzie zorganizowany wyjazd na zimowisko szkolne. Pojadą pociągiem do Erlenburga (Puszyny) na Opolszczyźnie. Dwunastoletnia Aniela bardzo chce jechać. Jeszcze nigdy nigdzie nie wyjeżdżała! Edmund nie chce córki puścić. Ale w końcu Rozalia podpisuje zgodę. 9 stycznia na dworcu w Chorzowie Batorym odbywa się zbiórka. Na zimowisko jedzie ponad trzydzieścioro dzieci. Aniela jest jedną z młodszych. Nie pożegnała się ze swoją przyjaciółką Bärbel. Przecież za trzy tygodnie wróci!

Dwunastolatka nie ma pojęcia, że do Chorzowa już 27 stycznia wkroczą Rosjanie. Już nie zobaczy się z Bärbel. Jej rodzina kilka dni później będzie uciekać ze Śląska. Bärbel przyniesie klucze od willi do Gogolinów. W domu będzie tylko młodszy brat Anieli. – Zostawiamy dużo rzeczy. Weźcie sobie, co chcecie – powie na pożegnanie. Brat na ulicy głośno będzie się chwalić, że ma klucze do willi. Ludzie klucze mu wyrwą i całą willę wyszabrują.

W tym czasie grupa uczniów pod opieką kierowniczkę i jej pomocnicy wysiada na stacji w Opolu. Tam wsiadają w sanie i jadą do wioski Erlenburg. Aniela z pobytu będzie pamiętać tylko zamek. Potem po dzieci przyjeżdża ciężarówka. Cała grupa wyjeżdża. Po drodze mijają Głuchołazy. – Gdzie nas wieziecie? Co się dzieje? – dopytują uczniowie. Kierowniczkę wyjaśnia, że muszą uciekać, bo zbliżają się Rosjanie. „Ruscy” szepczą dzieci. Każde z nich w domu nasłuchiwało się opowieści o tych strasznych ludziach. Pałą i niszczą wszystko, co napotkają na drodze. Anielka się boi. Nie chce wpaść w ich ręce.

Ciężarówka zawozi chorzowskie dzieci do Pragi. Po jakimś czasie jadą dalej. W kolejnej miejscowości śpią w jakiejś willi. Anielce zaczyna podobać się taka podróż. Tyle się dzieje, widzi nowe miejsca, nowe twarze. Już zapomniała, że uciekają. Tym razem wsiadają do pociągu. Kierowniczkę mówi, że jadą na Zachód. Ale pociąg gwałtownie staje. Ktoś krzyczy, że lokomotywa zbombardowana. Wśród pasażerów wybucha panika. Ludzie chcą wyjść. Ale nad pociągiem krążą samoloty. W końcu wszyscy uciekają. Dzieci łapią się za ręce, idą za wszystkimi. Dochodzą do jakiejś wsi. Ściemnia się. Któryś z gospodarzy zgadza się, by spali na sianie w oborze. Rano idą dalej drogą. W kolejnym miasteczku ktoś daje im koce i coś do jedzenia. Cały czas trzymają się w grupie, boją się choć na chwilę rozłączyć. Od czasu do czasu dziewczynki płaczą. Śpią w szpitalu. W kolejnej wsi kierowniczkę mówi, że spróbują zostać tu na dłużej. Każde z dzieci śpi u innego gospodarza. Gospodyni Anieli – wysoka, siwa wdowa – jest miła. W domu jest jeszcze trójka dzieci, ale Anielka orientuje się, że kobieta jest ich macochą. Obiad cała rodzina je ze wspólnej miski. Anielka nie je. Kiedy gospodyni pyta dlaczego, mówi, że u niej w domu tak się nigdy nie jadło. Dostaje więc talerz. W końcu najada się do syta.

Od wyjazdu z Chorzowa minęło sporo czasu. Nie ma już śniegu. Przyszła wiosna. Drzewa są zielone, kwitną kwiaty. Dzieci spotykają się we wsi i naradzają: – Podobno wojna się skończyła. Trzeba wracać do domu.

Anielka i kilka starszych dziewczynek nie chcą czekać. Następnego dnia docierają do najbliższego miasteczka, znajdują dworzec i wsiadają do pierwszego pociągu. Nie mają pieniędzy, biletów, żadnych dokumentów. – Jedziemy do domu, na Śląsk – mówią konduktorowi. Ten wyjaśnia, że tym pociągiem nie dojadą. Bo jadą w głąb

Niemiec. I każe im wysiąść na najbliższej stacji. Stamtąd jacyś ludzie prowadzą dziewczynki do wielkiego gospodarstwa. Jest tam mnóstwo ludzi: Rumuni, Węgrzy, ale też Polacy. Do dziewcząt podchodzi niewiele starszy od nich chłopak, Stasio. Pyta, skąd są, gdzie są ich rodzice. Po pewnym czasie przyprowadza ze sobą kilka osób, które do gospodarstwa przyjechały wojskowym gazikiem. Wśród nich jest kobieta w mundurze. – Umiecie pacierz po polsku? – pyta jeden z cywili. Dziewczyny recytują nie tylko *Ojcze Nasz*, lecz także *Wierzę w Boga Ojca* i *Aniele Boże*. – To nasze dzieci – słyszą. Mają wsiadać do samochodu.

Do tej pory nie wiadomo, dlaczego niemieckie władze szkolne zabrały dzieci z Chorzowa na zimowisko. Decyzji podjętej w tamtym czasie i okolicznościach nie można tłumaczyć wywózką na roboty czy planowaną germanizacją. Chorzów i Górny Śląsk był zresztą włączony do Rzeszy. Mieszkańcy tych terenów byli uważani za Niemców.

* * *

Gdy kończy się wojna, po Janusza Karpuka i jego siostrę Zosię do gospodarstwa przyjeżdża gazik z wojskowymi. Jadą do miejscowości Indersdorf. Kilka dni mieszkają w jakichś barakach. Kolejny samochód zabiera ich do potężnego budynku w tej samej miejscowości. Janusz widzi strzeliste wieże, podcienia, krużganki. W środku olbrzymie sale, wysokie sufity, rzeźby. To klasztor. Przybyłe dzieci wita kobieta w mundurze. To Greta Fischer, Żydówka z Moraw. Pomaga Amerykanom zbierać przebywające w Bawarii dzieci. W klasztorze jest już cała grupa uwolnionych z obozu w Dachau. To kilkanaście kilometrów od Indersdorf. Pozostałe, jak Janusz i Zosia, to sieroty po przymusowych robotnikach.



Kąpiel Janusza i Zosi w klasztorze w Indersdorf

Janusz słabo się czuje. Ciągłe chce mu się spać, chyba gorączkuje. Opiekunki umieszczają go w izolatce. Na szafce obok łóżka kładą czekoladę i owoce, których Janusz nie zna – pomarańcze.

Do Indersdorf przyjeżdża też Anielka Gogolin ze szkolnymi koleżankami. Bada je pielęgniarka, okazuje się, że dziewczynki są bardzo zawszone. Po spryskaniu włosów jakimś preparatem i kąpeli pielęgniarki dają im miękkie, pachnące piżamy. Aniela, zanim ją włoży, długo trzyma ją w rękach, tuli, wacha. Nowa piżama jest spełnieniem marzeń. Na kolację dostają białe pieczywo, szynkę, miód, czekoladę i pomarańcze. Aniela zasypia szczęśliwa w czystym, pachnącym łóżku. Jest jak w bajce.

Nazajutrz dziewczynki wybierają sobie sukienki, buty, bieliznę. Wystrojone wychodzą na dziedziniec wypełniony dziećmi.

Jest ciepły dzień. Anielka wystawia twarz do słońca. Dostrzega dziewczynkę w podobnym wieku, której spódnicy trzyma się jasnowłosy chłopczyk. Ani na krok jej nie odstępuje. Anielka podchodzi do nich. – Jestem Zosia, to mój brat Janusz – przedstawia się nowa koleżanka. Opowiada, jak się tu znaleźli.

Janusz przypomina Anieli o młodszym rodzeństwie. Czy żyją? Czy są w domu? Co robią rodzice? Bierze Janusza na ręce, nosi, opowiada bajki. – Będę dla ciebie jak chrzestna – obiecuje.



Greta Fischer z Januszem i Zosią

Dzieci znowu przechodzą badania lekarskie. Anielka ma anemię. Nie lepiej wygląda stan zdrowia Janusza i Zosi. Greta Fischer organizuje im rekonwalescencję. Aniela, Zosia i Janusz jadą – w grupie innych dzieci – do Szwajcarii. Mieszkają w pięknej willi w Alpach. Dostają dużo słodyczy, owoców, zabawek. Janusz pierwszy raz widzi wielkie pluszowe misie. Dzieci bawią się, chodzą na górskie wycieczki. W Szwajcarii spędzają Boże Narodzenie.

W 1946 roku, po kilku miesiącach spędzonych w szwajcarskim sanatorium, rodzeństwo Karpuków wyjeżdża do Polski. Z pięknej willi nie wracają już

do Indersdorf. – Pamiętaj, jestem twoją chrzestną – żegna Anielka Janusza. Karpuków gazik odwozi na dworzec. Z grupą nieznanymi dziećmi jadą do Polski.



Dzieci w klasztorze w Indersdorf

Anielka w Szwajcarii jest jeszcze miesiąc. Stamtąd wraca do klasztoru. A w lipcu 1946 roku dowiaduje się, że ona też pojedzie do Polski. Na dworcu w Kędzierzynie-Koźlu czeka na nią mama. Padają sobie w objęcia. Aniela ma ze sobą worek marynarski pełen ciuchów. Są w nim nawet eleganckie buciki na bardzo wysokim obcasie. Rozalia sprzedaje je na targu, bo w domu się nie przelewa. Aniela przywozi też ze sobą zapas mydła, czekolady, jedzenia. Wracają już nie do dawnego mieszkania przy Wolności, ale do familoku przy ulicy Cieszyńskiej. Gogolinowie zajmują tam dwa pokoje z kuchnią.

* * *

Pociąg z Zosią i Januszem przyjeżdża do Kędzierzyna--Koźla. Na peronie czeka delegacja PCK i tłum rodziców. Dzieci wybiegają z wagonów, szukają ojców i matek. Na Karpuków nikt nie czeka. Jakiś urzędnik zabiera ich do samochodu. Znowu jadą do Katowic, a właściwie do Szopienic, które dopiero w 1960 roku staną się dzielnicą miasta. Tam ośrodek dla sierot prowadzą siostry Boromeuszki. W gmachu z czerwonej cegły rodzeństwo musi zacząć nowe życie.



Mali Karpukowie w drodze do Polski

Janusz obojętnie przyjmuje zamiany. Dla niego to po prostu kolejne miejsce, w którym musi żyć.

W czasie gdy Karpukowie aklimatyzują się w Szopienicach, Hrabar jest wciąż w niemieckim Ludwigsburgu. „Nabrzmiwać zaczyna problem dzieci polskich urodzonych w Niemczech z matek zesłanych na roboty przymusowe. W Würzburgu odnalazły się hitlerowskie dokumenty o niezwyklej wadze, z których wynika, że decyzje odebrania rasowego dziecka zapadały już wtedy, gdy znajdowało się ono jeszcze w łonie matki! (...) Uzyskujemy materiały dotyczące 5181 dzieci polskich

urodzonych na terenach objętych obecną strefą amerykańską. Przesyłamy je stopniowo do kraju celem dalszego opracowania. Ogółem w strefach amerykańskiej i brytyjskiej jest w tej chwili do dyspozycji około 40 tysięcy metryk dzieci urodzonych w Niemczech z polskich robotnic. Odszukanie i ustalenie tożsamości tej kategorii dzieci należy do najtrudniejszych zadań, niemal beznadziejnych. Wśród zawieruchy wojennej i masowych ruchów ludności każdy mógł zgłosić obce niemowlę jako swoje” – notuje pełnomocnik polskiego rządu.

W Szopienicach za domem dziecka jest wyrobisko piasku, na który miejscowi mówią „bagry”. Tu chłopcy najchętniej się bawią. W Szopienicach wszyscy dorośli pracują w hucie, nie mówi się, ale godo. Janusz uczy się, że synki to chłopcy, a dzieci to bajtle. Niedaleko Szopienic mieszkają wrogowie Ślązaków. To gorole z Sosnowca. Nie raz obok „bagrów” Janusz będzie bił się z gorolami.

Januszowi podoba się życie w Szopienicach. Po lekcjach gra z chłopakami w piłkę, wspina się po drzewach. Nie trzyma się już siostrzanej spódnicy.

Jest 1951 rok. Janusz ma dwanaście lat. Do domu dziecka przyjeżdża małżeństwo z Bytomią, by wziąć dziecko. Wybierają jasnowłosego Janusza. Chłopak w nowym domu wytrzymuje tydzień. Choć mieszkanie jest eleganckie, w dużej kamienicy, a małżeństwo miłe, Janusz nie potrafi żyć bez grupy, bez innych dzieci. Tęskni nawet za dyscypliną. U sióstr nie wolno się spóźniać na posiłki czy modlitwę. Nie wolno bez pozwolenia wychodzić na podwórko. Inaczej dostaje się zakaz opuszczania ośrodka, gdy dzieci mają wolne. W wakacje wyjeżdżają na kolonie. Niektórzy chłopcy uciekają, ale Janusz nie chce niczego zmieniać. Nie chce innego życia. Niedoszli rodzice odwożą go do Szopienic.

Dwa lata później ośrodek w Szopienicach opuszcza Zosia. Jest już pełnoletnia, dostaje nakaz pracy w Łodzi. Nie ma czułego pożegnania. Rodzeństwo już dawno zapomniało, co to znaczy kogoś przytulić, ucałować. Zosia bierze ze sobą walizkę, którą Karpukowie mieli jeszcze w Urfar.

Poukładany świat Janusza zmieniają jedynie święta. Po większość kolegów przychodzą wtedy ciotki, wujkowie. Jemu przypomina się za każdym razem smak miodu i zaśnieżony widok za oknem.

* * *

– Dziołcha, ty już cołkiem ni po naszymu godosz – słyszy Anielka w domu. Rzeczywiście, sama zauważa, że w Niemczech nauczyła się mówić czystą polszczyzną. W nowym mieszkaniu rodzina ma trochę więcej miejsca. Ale dalej jest kruczo z pieniędzmi. Edmund już nie pracuje na dole. Nabawił się astmy. Kopalnia przeniosła go do pracy na powierzchnię. Anielka chodzi do szkoły. Nauka sprawia jej przyjemność. Od czasu do czasu zastanawia się, co się dzieje z Zosią i jej ulubieńcem Januszem. Pojęcia nie ma, że chłopiec mieszka 15 km od niej.

Po podstawówce Aniela chce się uczyć w liceum nauczycielskim. – Nie ma mowy! – słyszy w domu. Rozalia i Edmund się nie zgadzają. W domu nie ma pieniędzy, a Aniela jest na tyle duża, że może pracować. – Nie chcę być robolem! Mam inne aspiracje! – powtarza dziewczyna, ale rodzice jej nie słuchają. Rozalia załatwia jej

najpierw pracę w firmie produkującej szyldy, potem – lepiej płatną – w sklepie mięsnym. Aniela pracuje od rana do wieczora. Czasem, gdy wraca, nie czeka na nią nawet talerz zupy. Od rodziców słyszy, że przecież w sklepie może zjeść kiełbasę. Bardzo chce się usamodzielnic. Ale ojciec przestrzega: – Ludzie powiedzą, że sama mieszkasz, bo się łajdaczysz.

Aniela jest druhną na ślubie koleżanki. Świadkiem jest Kazimierz. Może nie przystojny, ale ładnie rozmawia, inteligentny, błyskotliwy, ocenia Aniela. Kazimierz jest wojskowym. Aniela nie jest zakochana, ale chce wyprowadzić się z domu, źle układa jej się zwłaszcza z mamą. Z radością przyjmuje oświadczyzny. Kazimierz zapowiada, że pojedą do Nysy. W 1954 roku pobierają się, a Aniela Gogolin staje się Anielą Kosmałą.

* * *

W 1959 roku Janusz opuszcza dom dziecka. Uczy się już w technikum i mieszka w bursie przy ulicy Sokolskiej w centrum Katowic. Lubi sport. Trenuje rzut kulą, oszczepem, gra w siatkówkę. Po czwartej klasie w wakacje dostaje pracę jako ratownik na basenie w Wiśle. Jego uwagę przykuwa właścicielka blond warkocza. Ewa na basen przyszła z koleżankami. Lubi sport i – co najważniejsze – mieszka w tym samym mieście! Janusz zaprasza Ewę na potańcówkę.

Po wakacjach dalej się z nią spotyka. To pierwsza osoba, która go przytula. Janusz pamięta, że dawno, dawno temu w Niemczech przytulała go Zosia i ta miła dziewczyna, Aniela.

W 1963 roku biorą z Ewą ślub. Rok później rodzi im się syn, Jarek. Janusz pracuje w Fabryce Sprzętu i Narzędzi Górniczych. Ale życia domowego musi się nauczyć. Nie potrafi gotować, sprzątać. Za to w wakacje często jeździ na kolonie jako wychowawca. Zabiera ze sobą syna. Dla Jarka jest rygorystyczny. Wszystko musi być zrobione na czas. A chłopak jest delikatny, lubi się przytulać.

Janusz rzadko wspomina dzieciństwo. Ale nie zapomina, że w Niemczech została pochowana jego matka. Do Urfar po raz pierwszy jedzie w 1989 roku. Odwiedza gospodarstwo. Poznaje bramę, budynki. Na przykościelnym cmentarzu w Malching odnajduje miejsce, w którym – jak mówi mu ksiądz – mogła być pochowana jego matka.

* * *

Losami dzieci, które mieszkały po wojnie w klasztorze w Indersdorf, zainteresowała się Anna Andlauer, nauczycielka miejscowego liceum. Dzięki jej ustaleniom wiadomo, że w okresie 1945–1946 w tamtejszym sierocińcu przebywało ponad trzysta dzieci: Rosjan, Żydów, Francuzów, Polaków. Andlauer odszukała Janusza Karpuka. Do Katowic na spotkanie z nauczycielką przyjechała też jego siostra Zosia. W obfitej dokumentacji UNRRA, którą Andlauer pokazała rodzeństwu, odnaleźli też dane Anielki Gogolin. Zaczęli szukać jej obecnego nazwiska i adresu.

W 2010 roku Janusz z Zosią zapukali do drzwi jej mieszkania w Tychach.



Anieli Kosmała w swoim mieszkaniu w Tychach

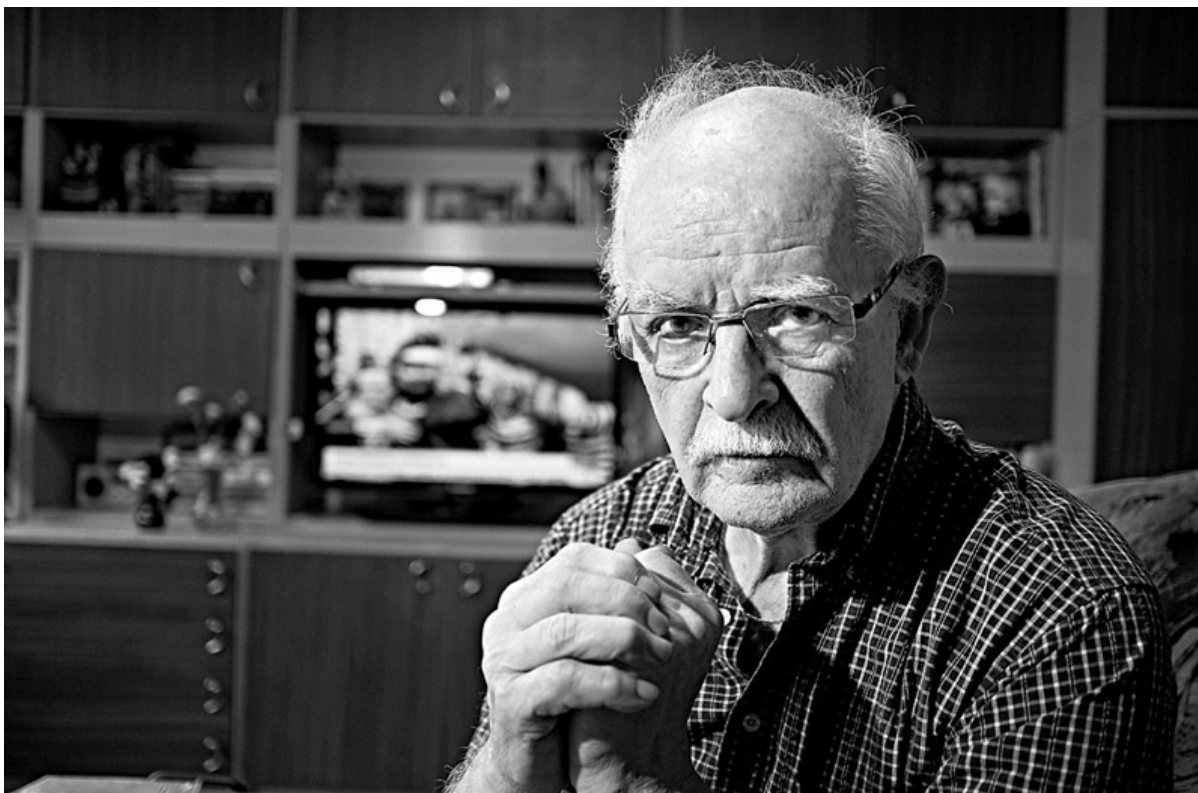
A rok później Janusz i Anieli pojechali do Indersdorf na uroczystość zorganizowaną dla dzieci, które mieszkały w klasztorze.

Janusz Karpuk z żoną wciąż mieszka w Katowicach.

– Samotność zawsze miałem w sobie – mówi. – Nigdy mi nie przeszkadzała. Dopiero żona uświadomiła mi, co to znaczy być samotnym, tęsknić za kimś.

Anieli Kosmała mieszka sama w Tychach. Jest już wdową. Z Kazimierzem przeżyła dwadzieścia trzy lata. Urodziło im się dwóch synów. Dziś ma siedmioro wnucząt. Z dumą podkreśla, że wszystkie dobrze się uczą albo już skończyły studia. – Ja też zrobiłam maturę. Zawsze o tym marzyłam – zaznacza.

Wciąż się zastanawia, po co Niemcy zabrali uczniów na zimowisko w styczniu 1945 roku. – Jedyнным logicznym wytłumaczeniem jest dla mnie cel propagandowy. Najwidoczniej chcieli pokazać ludziom: zobaczcie, nic się nie dzieje, nie wiercie w pogłoski, że Rosjanie się zbliżają – mówi. – Mieliśmy w sumie dużo szczęścia. Nie byliśmy świadomi okropności, które obok nas wtedy się działy i dodaje.



Janusz Karpuk w swoim domu w Katowicach

Jedna rzecz nie daje jej spokoju. – Gdybym przez te lata wiedziała, że Januszek jest tak blisko. Przecież bym go do siebie zabierała, odwiedzała. Tego mi najbardziej żal. W końcu kiedyś obiecałam mu, że będę jego chrzestną. Ze wszystkich osób, które spotkałam w moim dzieciństwie, wczesnej młodości, Janusz najbardziej utkwiał mi w pamięci. Dobrze pamiętam też Bärbel, ale nigdy nie zastanawiałam się, co u niej. Nie pamiętam nawet jej nazwiska.

* * *

Nic nie wskazuje na to, by Roman Hrabar, jako pełnomocnik polskiego rządu, odwiedził klasztor w Indersdorf. Miejscowość pozna dopiero w latach 80. Ale w zupełnie innym kontekście. Okazuje się, że w czasie wojny ulokowano w nim żłobek dla dzieci cudzoziemek. W sierpniu 1944 roku postawiono w Indersdorf drewniany barak. Niedługo później przywieziono do niego pierwsze niemowlę – Luise Wassilew urodzoną 26 czerwca 1944 roku w obozie Dachau. Dziecko zmarło czternaście dni później. 2 września przywieziono Antona Wozinaka z miejscowości Pfaffenhofen. Żył tylko do 30 września.

Z odnalezionej po latach dokumentacji wynika, że umierało co drugie dziecko. Jako przyczynę zgonu podawano biegunkę, osłabienie serca, chroniczne zapalenie jelit. Od 11 grudnia 1944 roku odnotowywano już tylko wrodzone osłabienie organizmu.

W styczniu 1944 roku w Bawarii pracowało 11 600 cudzoziemskich robotnic. Wśród nich 383 były w ciąży. Izby porodowe w Augsburgu i w obozie przejściowym Dachau okazały się niewystarczające. Urodzone w nich dzieci przewożono do Indersdorf. Do oddawania dzieci zmuszano też gospodarzy, u których pracowały robotnice. W gospodarstwie Jakuba Kreutmeiera w Asbach pracowała osiemnastoletnia Krystyna Strasak pochodząca z Krakowa. „U nas nastąpiło rozwiązanie, położna była przy tym. Dziecko było z nami dwa, najwyżej trzy tygodnie, kiedy zmuszono nas, byśmy wysłali je do Indersdorf. Moja matka chciała chłopca zatrzymać, ale nie pozwolono nam. Krystyna mogła odwiedzać go raz na cztery tygodnie, ale w ogóle nie doszło do tego, bo dziecko już zmarło. Moja matka nie mogła tego zrozumieć, bo tu było całkiem zdrowe” – po czterdziestu latach od wydarzeń relacjonuje Kreutmeier.

Z dokumentów wynika, że Zygmunt Strasak, syn Krystyny Strasak, zmarł po dziesięciu dniach pobytu w zakładzie. „Zmarłe niemowlęta chowano na małym cmentarzu koło obecnego szpitala w Indersdorfie, gdzieś przy starym murze” – pisze Hrabar, który obliczył, że zmarło tam co najmniej trzydzieścioro niemowląt.

Kto wie, czy żłobek w Indersdorf nie mieścił się w tym samym baraku, w którym kilka miesięcy później mieszkali Janusz Karpuk z siostrą, zanim oboje trafili do klasztoru.

Bilet do Katowic? Nie ma takiego miasta

„Od piątego do jedenastego lipca konferencja UNESCO w Trogen (Szwajcaria). Ministerstwo Pracy i Ministerstwo Oświaty deleguje obywatela jako swego przedstawiciela i prosi o opracowanie i wygłoszenie referatu: »Sytuacja dzieci polskich w świetle okupacji hitlerowskiej«”. Roman Hrabar otrzymuje depezę z Warszawy dwa dni przed konferencją. Jest 1948 rok. Wciąż jest w Niemczech, w Esslingen, w utworzonym jakiś czas temu Międzynarodowym Centralnym Biurze Poszukiwań Dzieci na Europę. W Esslingen nie widać zniszczeń. To pełne ogrodów małe miasto, kilkanaście kilometrów od Stuttgartu w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Hrabar przygotowuje odczyt i jedzie do Szwajcarii. Po przekroczeniu granicy czuje się jak na innej planecie: mieszkańcy wiodą spokojne życie w bogatym kraju niedotkniętym wojną. Jednak ceny są słone. Jak odnotowuje Hrabar, za posiłki trzeba płacić kilka razy więcej niż w okupowanych Niemczech.

Hrabar odczytuje na konferencji swój referat. Koncentruje się na kilku, jego zdaniem najważniejszych stwierdzeniach. O tym, że hitlerowskie Niemcy pozbawiły polskie dzieci prawa do nauki, prawa do normalnego rozwoju fizycznego, prawa do jakichkolwiek form życia społecznego, prawa do rodziny i ustabilizowanej egzystencji oraz prawa do narodowości i własnego życia. Na poparcie swych tez Hrabar sypie cytatami z oświadczeń Heinricha Himmlera i Hansa Franka.



Dzieci czekające w Niemczech na powrót do Polski

Referat Polaka zostaje powielony i doręczony wszystkim uczestnikom konferencji. Autor ma wrażenie, że reprezentujący różne kraje uczestnicy zrozumieli, na czym polegał dramat polskich dzieci. Zadowolony wraca do Esslingen.

Niedługo później, być może jeszcze w 1948 lub w 1949 roku, Hrabar wraca do Polski. Najpierw na szkolenie do Łodzi, później do Warszawy.

W Esslingen wciąż pozostają jego współpracownicy. Warunki pracy są coraz trudniejsze. „W związku ze zmianą metod pracy dokumenty nie są zbierane, a bez dokumentów nie ma akcji rewindykacji dzieci. Utraciliśmy wpływ na planowanie akcji” – pisze w 1949 roku z Niemiec Wiktor Pietruszka, najbardziej zaufany człowiek Hrabara.

W końcu i Pietruszka opuszcza Esslingen. 31 sierpnia 1950 roku następuje całkowita likwidacja działalności i zwinięcie biura w Esslingen oraz placówek terenowych Międzynarodowej Służby Poszukiwań. Wszystkie akta przewozi się do Bad Arolsen w strefie amerykańskiej. W mieście powstanie archiwum Międzynarodowej Służby Poszukiwań – największe na świecie archiwum danych osobowych z czasów II wojny światowej, gromadzonych przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż.

W sprawozdaniu końcowym władze Międzynarodowej Służby Poszukiwań informują, że na terenie Niemiec wciąż zarejestrowanych jest ponad trzy tysiące dzieci,

których narodowości nie można określić. Mieszkają w zakładach opiekuńczych lub w rodzinach. Hrabar uważa, że to liczba znacznie zaniżona. „Taki jest finał tej tragicznej, bolesnej sprawy” – odnotowuje już w Katowicach.

* * *

Jeszcze przed wyjazdem do Niemiec, 12 lutego 1945 roku Hrabar złożył w Katowicach podanie o wpisanie na listę adwokatów. Wypełnił też odpowiedni kwestionariusz.

„Czy brał udział w wojnie 1939–1945/gdzie, w której armii, kiedy, w jakim stopniu”: „Nie”.

„Czy brał udział w walce niepodległościowej”: „Nie”.

„Rodzaj zatrudnienia podczas okupacji”: „Na posiadzie prywatnej, aplikant Warszawa 1942–1944. Po powstaniu przebywałem w Krakowie” – wypełnił Hrabar. Do wniosku dołączył listy polecające i rekomendacje.

Nie wiadomo dlaczego 9 lipca tego samego roku Hrabar wycofał podanie o wpisanie na listę adwokatów. Mimo to 15 października 1945 roku odbyło się jego ślubowanie. Musiał więc kolejny raz zmienić zdanie, ale dokumenty nie mówią dlaczego.

Nie wiadomo też dokładnie, kiedy Hrabar rozwodzi się ze swoją żoną Heleną z domu Larisz. Znajomi adwokata powiedzą mi później, że syn Heleny, Jan, wdał się w złe towarzystwo. Z mieszkania przy ulicy Rymera poginęły cenne przedmioty. Roman był zdania, że wyniósł je Jan. Nie wiadomo, czy matka stanęła w obronie syna i czy to było przyczyną rozwodu.

Z dokumentów – wniosków paszportowych – wynika, że niedługo później Hrabar ożenił się ponownie. Jego wybranką była Janina z domu Wicherkiewicz. Ale we wnioskach Hrabar podawał dwa różne adresy: swój i swojej drugiej żony. On sam dalej mieszka przy ulicy Rymera. Ona przy ulicy Barbary, też w śródmieściu Katowic.

– To ona miała męża? Nikt jej tu prawie nie odwiedzał. To wielka dama była. Gustownie ubrana, wyperfumowana, z biżuterią. Ona nawet sobie herbaty sama nie przyrządziła. Najmowała taką kobietę, która przychodziła, wszystko u niej robiła. Ona tu zresztą długo nie mieszkała. Jacyś krewni zabrali ją do Warszawy – wspominają starsze lokatorki kamienicy, w której mieszkała Janina.

Życie prywatne adwokata ciągle owiewa tajemnica.

* * *

Po powrocie z Niemiec Hrabar rozpoczyna praktykę adwokacką. Podejmuje się różnych spraw, jak leci: rozwody, kradzieże, pobicia.

Jak odnajduje się w powojennych realiach? Katowice w marcu 1953 roku zmieniają nazwę na Stalinogród, na cześć zmarłego przywódcy Związku Radzieckiego. Decyzja w sprawie zmiany nazwy zapada dwa dni po śmierci Stalina, 7 marca 1953 roku w Warszawie. Tego dnia rano do Katowic dzwoni wicepremier Jakub Berman i komunikuje zmianę. – Ale Katowice są za starym miastem, żeby zmieniać nazwę. Może odpowiedniejsza do noszenia imienia Stalina byłaby budowana Nowa Huta.

Albo młodsze Tychy – próbuje się wykręcać Józef Olszewski, I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Wątpliwości partyjnych dygnitarzy rozwiął dopiero telefon samego Bolesława Bieruta.

Dlaczego padło na Katowice? Podobno wcześniej proponowano Częstochowę. Zorientowano się jednak, że będzie jakoś niezręcznie, gdy pielgrzymki będą szły do Stalinogrodu, a ludzie będą się modlić do Matki Boskiej Stalinogrodzkiej. Być może uważano, że robotniczy Śląsk wciąż jest niechętnie nastawiony do komunizmu. A może po śmierci Stalina trzeba było po prostu wybrać duże miasto. W dodatku przemysłowe, potężne skupisko klasy robotniczej.

W Katowicach zapada kolejna decyzja: „Dla uczczenia pamięci Wielkiego Wodza i Nauczyciela całej postępowej ludzkości Józefa Stalina” postanowiono otoczyć specjalną opieką nowo narodzone dzieci płci męskiej i nadać im imię Józef. Trudno powiedzieć, ilu chłopców spotyka taki zaszczyt. Jednym z nich jest Zbigniew Andrzej Kędzior urodzony 9 marca 1953 roku w Stalinogrodzie. Urzędnicy nadają mu jeszcze jedno imię – Józef – jako pierwszemu obywatelowi Stalinogrodu. W jego metryce jest zaznaczone, że czyni się to na wniosek ojca. W listopadzie 1956 roku rodzina dziecka zrezygnuje jednak z narzuconego imienia.

W poniedziałek 9 marca odbywa się pogrzeb Stalina. Na pięć minut zamiera praca w kopalniach, hutach, fabrykach, urzędach. Zatrzymują się pociągi, autobusy, tramwaje i auta. Na placu Feliksa Dzierżyńskiego w Katowicach (dziś Sejmu Śląskiego) odbywa się manifestacja.

Zmianę nazwy musiał jeszcze formalnie przegłosować Sejm. Wniosek w tej sprawie składa Gustaw Morcinek, śląski pisarz, poseł z ramienia Stronnictwa Demokratycznego. Błady jak ściana odczytuje przygotowany tekst. „Dlaczego Katowice, czemu nie Bytom, nie Gliwice lub Opole? Przecież Katowice obok Nowej Huty i Gdyni są najmłodszym miastem Polski. Katowice stały się w okresie międzywojennym stolicą Śląska. W Katowicach był ośrodek walki podziemnej, tu było najwięcej ofiar, tu przeżywano wszystkie zwycięstwa i tu Ślązak witał zwycięskie wojska towarzysza Stalina. Nic też dziwnego, że Śląsk, chowając w swym sercu głęboką wdzięczność dla towarzysza Stalina, to bohaterskie młode miasto pragnął przemianować na Stalinogród” – uzasadnia. Część obserwatorów nie ma wątpliwości, że starszy, schorowany Morcinek został do złożenia wniosku przymuszony.

Jak te wszystkie zmiany przyjmują mieszkańcy? Są zaskoczeni. Dzieci w piątek idą do szkoły jeszcze w Katowicach. W poniedziałek do tej samej szkoły już w Stalinogrodzie. – Nie ma takiego miasta „Katowice” – słyszą podróżni od kasjerek, gdy chcą kupić bilet.

– Za Niemca było Kattowitz. Za Polaków – Katowice. Przynajmniej podobnie – wściekają się starzy Ślązacy.

W Wojewódzkim i Miejskim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego od początku nikt nie ma złudzeń co do prawdziwych nastrojów mieszkańców miasta w tej sprawie. Antyradzieckie ulotki pojawiają się nie tylko na ulicach Katowic, lecz także w Chorzowie, Bytomiu, Tarnowskich Górach i Gliwicach. Głośna staje się sprawa uczennic z Chorzowa. Szesnastolatki: Natalia Piekarska i Zofia Klimonda wraz z rok starszą Barbarą Galas same wydrukowały i rozrzuciły ulotki krytykujące zmianę nazwy. Uczennice zostają skazane: Barbara Galas dostaje cztery lata więzienia, młodsze

– Natalia Piekarska i Zofia Klimonda trafiają do zakładu poprawczego.

Po XX zjeździe PZPR w 1956 roku mieszkańcy jednak coraz głośniejsze domagają się powrotu do starej nazwy. Na fali odwilży 21 października 1956 roku, na wspólnym posiedzeniu prezydium Wojewódzkiej i Miejskiej Rady Narodowej, uchwalono wniosek do Rady Ministrów postulujący powrót do nazwy „Katowice” i „województwo katowickie”. Dekret, który nazwę przywraca, wydano 10 grudnia 1956 roku. Sejm zatwierdza go jednogłośnie. Rozpoczyna się kolejna wymiana tablic, pieczętek i dokumentów.

* * *

W 1956 roku Hrabar ma już 47 lat. Aby kontynuować swoje dzieło, powinien panujące realia co najmniej akceptować. Bo Hrabar chce pisać o Lebensbornie, o swoich odkryciach w Niemczech. Sytuację dodatkowo komplikuje fakt, że jego starszy brat przebywa za granicą. W czasie wojny trafił do Londynu, później do RPA. Roman bardzo chce się z nim jeszcze kiedyś zobaczyć. Do brata za granicę pojedzie kilka razy. Przynajmniej tak wynika z wniosków paszportowych adwokata pozytywnie rozpatrzonych przez władze. Wyjazdy za żelazną kurtynę są mu zresztą potrzebne do pracy. Chce odwiedzać archiwa, docierać do dokumentów, których w Niemczech nie zdążył zbadać. Śledzi prasę. Interesuje go wszystko, co dzieje się w Niemczech.

Sam też dużo publikuje. „Na terenie NRF działa szereg instytucji, które zajmują się zagadnieniami wschodnimi w sposób daleki od jakiegokolwiek obiektywizmu. Istnieje tam też kilkadziesiąt wydawnictw rozpowszechniających książki wybielające hitlerizm i broniące zbrodniarzy hitlerowskich w procesach norymberskich. Obecnie, gdy na murach miast zachodniemieckich ukazują się swastyki, warto przypominać o takich i wielu innych dokumentach demaskujących zamierzone i popełnione przez hitlerizm zbrodnie przeciwko ludzkości” – pisze Hrabar na łamach „Dziennika Zachodniego” 3 lutego 1960 roku. Przywołuje przy tym Generalplan Ost – dokument, który przewidywał po wygraniu wojny ze Związkiem Radzieckim wysiedlenie na Syberię około 50 milionów Polaków, Rosjan, Białorusinów, Ukraińców i Czechów. Polacy jako „najniebezpieczniejsi ze wszystkich obcoziemców” mieli raz na zawsze zniknąć z polskich terenów. Około 15–20 procent Polaków miało być niemczonek.

Kilka miesięcy później, na łamach tego samego dziennika ukazuje się artykuł zapowiadający książkę katowickiego adwokata: *Hitlerowski rabunek dzieci polskich*. W recenzji czytamy: „Opowiada ona o uprowadzeniu przez faszystów niemieckich maleńkich dzieci polskich, który to zabieg pomyślany był jako transfuzja świeżej krwi dla zniszczonego biologicznie vaterlandu. Tego nie mieliśmy jeszcze w literaturze. Pisano o wielu zbrodniach niepojętych dla ludzkiego umysłu, pisano o masakrze dzieci, ale społeczeństwo nie dostrzegło, iż hitlerowcy zagarniali polskie istotki w jasyr. Zresztą jak, skoro strzegli ich tajemnicy, a dzieci ani wtedy, ani później odezwać się nie umiały. Prasa konspiracyjna na podstawie wywiadu alarmowała kiedyś o nowym dramacie, ale ludzie, wiedząc o poszczególnych wypadkach wywożenia dzieci, nie wiązali ich z jakąś akcją”.

Za *Hitlerowski rabunek dzieci polskich* Hrabar zostaje w 1961 roku nagrodzony przez

tygodnik „Polityka”. Adwokat jest zapraszany na spotkania autorskie. Udziela się też w palestrze – zasiada w jury konkursu krasomówczego dla prawników.

W 1968 roku otrzymuje pismo z Ministerstwa Sprawiedliwości: „Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce uprzejmie zawiadamia, że Roman Hrabar, członek Głównej Komisji, jest delegowany celem zapoznania się z dokumentacją archiwalną dotyczącą zbrodni hitlerowskich, przechowywaną w archiwach ONZ, oraz posiada wszelkie pełnomocnictwa w tym zakresie”. Hrabar leci do Stanów. To nie pierwszy – od powrotu z Niemiec – zagraniczny wyjazd. Badał dokumenty w archiwach na Węgrzech, był w Anglii i Austrii.

* * *

Hrabar gromadzi fakty. W wydanej w 1972 roku książce *Niemieckie obozy dla Polaków na Śląsku w czasie II wojny światowej „Polenlager”* opisuje Polenlagry – obozy, które były narzędziem grabienia polskiego mienia: gospodarstw rolnych, warsztatów pracy i domów przeznaczonych dla przesiedleńców niemieckich. Od 1943 roku rozszerzono krąg zsyłanych tam osób o kategorię więźniów politycznych. Polenlagry zostały zorganizowane w 1942 roku na terenie Prowincji Górnośląskiej. Było ich ponad dwadzieścia.

W 1972 roku Hrabar opisuje konkretne przypadki. Stanisławie Żebrowskiej, dentystce z Sosnowca, zaproponowano podpisanie folkslisty. Gdy odmówiła, ją i jej sześćosobową rodzinę gestapo wysłało do Polenlagru we Frysztacie.

Jedenastoletni Józef Gancarczyk z Czechowic został uwięziony z rodzicami i rodzeństwem w Polenlagrze w Gorzyczkach. Powodem była ucieczka ojca z robót w Niemczech z powrotem do rodziny.

W Żywcu za odmowę podpisania folkslisty aresztowano rodzinę Romowiczów – rodziców z piątką dzieci. Wywieźli ich do Polenlagru w Pogrzebieniu.

Z tego samego powodu ośmioosobowa rodzina Walentego Drewniaka, rolnika z Tresnej, trafiła do Polenlagru w Lyskach.

Hrabar opisuje każdy z obozów.

Kochłowice. Polenlager w budynku szkoły przy ulicy Młodzieżowej 26. Zdolnych do pracy więźniów zatrudniano w hucie Pokój, kopalniach Wirek i Pokój. Więźniów bito za różne przewinienia i zamykano w piwnicy.

Siemianowice Śląskie. Polenlager mieścił się w budynkach pałacowych i dworskich dawnej rezydencji rodziny von Donnersmarcków. Więźniów zatrudniano przede wszystkim przy pracach rolnych i w ogrodnictwie. Rodzinom raz na miesiąc wydawano jeden kawałek mydła „RIF”.

Orzesze. Obóz ulokowano w budynkach dawnego szpitala. Więźniowie pracowali w miejscowej hucie szkła, której właścicielem był Niemiec Stube, i w gospodarstwach rolnych.

Polenlager w Boguminie mieścił się w zabudowaniach dawnego majątku hrabiego Larischa-Mönicha.

Więźniowie we Frysztacie mieszkali w barakach. Przebywało tam dużo dzieci, również bez rodziców. Więźniowie chodzili we własnych ubraniach. Jeśli komuś się

zniszczyło, dostawał przywiezione z obozu w Auschwitz. Więźniom wydawano drewniane obuwie.

Lyski koło Rybnika. Obóz w budynku poklasztornym, w centrum wsi, naprzeciwko kościoła. Na bramie wisiał napis „Arbeit macht frei”. Wszyscy dorośli pracowali przy karczowaniu lasu, w ogrodnictwie i w majątku jednego z niemieckich obszarników.

Korfantów w powiecie niemodlińskim. Więźniowie mieszkali w dwóch drewnianych barakach i dużej, murowanej stodole. Z powodu braku bielizny, środków czystości, ciepłej wody szerzyła się wszawica i inne choroby. Strażnicy opryskiwali ludzi trującym środkiem „Detmolin”. Szacuje się, że zmarło po tym siedem procent więźniów.

W Gorzyczkach więźniowie mieszkali w dawnych budynkach kopalnianych. Były one zniszczone, brakowało drzwi i okien. Komendant obozu Berberich bił więźniów bykownicem, szczuł psami. Zimą 1944 roku w obozie wybuchł tyfus. Zmarło 155 osób.

Hrabar notuje nazwiska więźniów i oprawców, zbiera relacje uwięzionych. Odnotowuje również fakt, że w Polenlagrach pojawiali się specje od badań rasowych. Wyszukiwali dzieci nadające się do zniemczenia.

* * *

W marcu 1972 roku Hrabar uczestniczy w procesie jako biegły powołany przez prokuraturę. W Łodzi sądzona jest Eugenia Pol. To była nadzorczyńni obozu przy ulicy Przemysłowej w Łodzi. Więziono w nim polskie dzieci i młodzież. Hrabar ma pomóc w ustaleniu, kto i w jakiej formie sprawował nadzór nad łódzkim obozem, angażował załogę i jakimi kryteriami się kierował. Ostatecznie sąd uznaje, że Pol jest winna śmierci trzech dziewczynek. Nadzorczyńni zostaje skazana na dwadzieścia pięć lat więzienia.

„Proces ten określił istotne znamiona i cechy obozu oraz jego rolę w systemie wyniszczania narodu polskiego. Niektóre poglądy, że był to »karny obóz pracy«, »specjalny obóz karny dla dzieci« lub »obóz pracy« odbiegały od rzeczywistości obozowej, skoro przebywały tam również dzieci już dwu-, trzy-, cztero- i pięcioletnie. Nawet w reżimie hitlerowskim nie skazywano w tym wieku dzieci na pracę w obozach. W procesie tym ustalono jednoznacznie, że obóz miał charakter obozu koncentracyjnego dla dzieci i młodzieży. Zebrany w procesie materiał dowodowy, przede wszystkim w postaci oryginalnej dokumentacji niemieckiej, wypełnia wszelkie istniejące dotąd luki badawcze, dając pełny obraz zbrodni popełnionych przeciwko ludzkości” – pisze mecenas w materiale przygotowywanym na sesję naukową, która odbywa się w Łodzi w czerwcu 1979 roku z okazji obchodów Międzynarodowego Roku Dziecka.

W książce *Przeciwko światu przemocy* wydanej w 1982 roku Hrabar opisuje nieznaną do tej pory szerzej historię szpitala psychiatrycznego w Lublińcu między Częstochową a Tarnowskimi Górami. 17 września 1939 roku kierownictwo tej placówki objął doktor Ernst Buchalik. Do szpitala przysyłano dzieci głównie w wieku od roku do czternastu lat. Wszystkie były przez kilka miesięcy obserwowane na oddziale A. Później podejmowano decyzję, czy są: „minimalnie upośledzone”, „trudne

do prowadzenia”, czy dotknięte „nabytym bądź wrodzonym niedołęstwem”. W trzecim przypadku dzieci były kierowane na oddział B, gdzie w większości były uśmiercane. Spośród 256 pacjentów oddziału B zmarło 194.

Po wojnie udało się odnaleźć w szpitalu zeszyt zatytułowany *Medizin-Kinder-Abteilung B*. Z jego zapisów wynika, że dzieciom podawano lek uspokajający – luminal. Dziesięcioletni Henio Zielonka przy dopuszczalnej dawce leczniczej 0,13 g na dobę otrzymał dawkę 0,30 g. Zmarł po dziesięciu dniach. Pięcioletni Jaś Labuda otrzymał dawkę przeszło trzykrotnie większą od leczniczej. Też zmarł po dziesięciu dniach.

Hrabar cytuje opinię polskich lekarzy, Kazimierzy Marken i Hipolita Latyńskiego: „Dzieci reagowały na luminal w rozmaity sposób. Silniejsze, lepiej odżywione były odporniejsze niż słabsze i małe. Niektóre dzieci tygodniami i miesiącami otrzymywały duże dawki luminalu i mimo to żyły. Słabsze umierały po krótkim czasie, czasem nawet po kilku dniach. Dzieci po luminalu wymiotowały, były oszołomione. Inne reagowały silniej. Blade, bezwładne, leżały w półśnie. Po pewnym czasie pojawiała się wysoka gorączka, przestawały już w ogóle jeść, z ich ust wydobywała się krwawa piana, umierały”.

Nie wszystkie dzieci, które trafiły do Lublińca, rzeczywiście były upośledzone. Renata Elżbieta Rusek urodziła się w 1938 roku w Zabrze. Miała wadę wzroku i skrzywioną prawą stopę. Matka leczyła ją u specjalistów w Gliwicach i we Wrocławiu. W styczniu 1944 roku otrzymała z Wydziału Zdrowia w Zabrzu polecenie oddania dziecka do placówki w Lublińcu. Mimo protestów dziewczynka została jej odebrana. W szpitalu zmarła 2 maja 1944 roku.

Szczęście miał inny z pacjentów – Jurek Redlich. Gdy znalazł się w Lublińcu, miał dziewięć lat. Jego ojciec zginął na froncie. Matka w Legnicy wyszła drugi raz za mąż za Niemca. To ojczym osobiście wystarał się u doktora Buchalika o umieszczenie Jurka w Lublińcu. Nad zupełnie zdrowym chłopcem ulitowała się jedna z pielęgniarek, która dopilnowała, żeby nie brał „leków”. Po wojnie Jerzy Redlich zamieszkał w Katowicach. Skończył szkołę, pracował jako kierowca. Urodziła mu się dwójka zdrowych dzieci.

Waltera Włoszczyka z Katowic zabrano ze szkoły po bójce z klasowym aktywistą Hitlerjugend. Jego też ocaliła pielęgniarka. Pilnowała, by nie brał „lekarstw”. Po wojnie Walter wrócił do Katowic. Pracował w kopalni Wieczerek w Nikiszowcu.

W czasie sądenia lekarzy w Norymberdze nie wiadomo nic o eutanazji przeprowadzanej w szpitalu w Lublińcu. Doktor Ernst Buchalik nie zasiadł na ławie oskarżonych. Roman Hrabar ustalił, że w 1945 roku udało mu się przedostać do Niemiec. Bez problemów rozpoczął praktykę lekarską. Nie poniósł żadnej odpowiedzialności. Zmarł w 1975 roku.

CZEŚĆ II

POZORNA STABILIZACJA

Ja, dumny Niemiec, zostałem swoim własnym wrogiem

Nic nie wskazuje na to, by Roman Hrabar zetknął się osobiście z Alojzym Twardeckim w czasach, gdy był pełnomocnikiem polskiego rządu.

O Alojzego walczy ktoś inny: Małgorzata Ratajczak z Rogoźna Wielkopolskiego.

24 maja 1950 roku pisze do niej dr Krzeczowski, konsul polski w Baden-Baden: „Na pismo Obywatelki (bez daty) adresowane do Obywatela Prezydenta RP w Warszawie, w sprawie repatriacji Jej dziecka Alojzego Twardeckiego zawiadamiam uprzejmie, że mimo interwencji naszych u władz francuskich sprawa jeszcze nie została pozytywnie załatwiona. Wyniki prowadzonych nieustannie we właściwych urzędach interwencji będą Obywatelce podane do wiadomości. Konsulat ma nadzieję, że w najbliższym czasie uda się unieważnić adopcję dziecka i repatriować je do Kraju”.

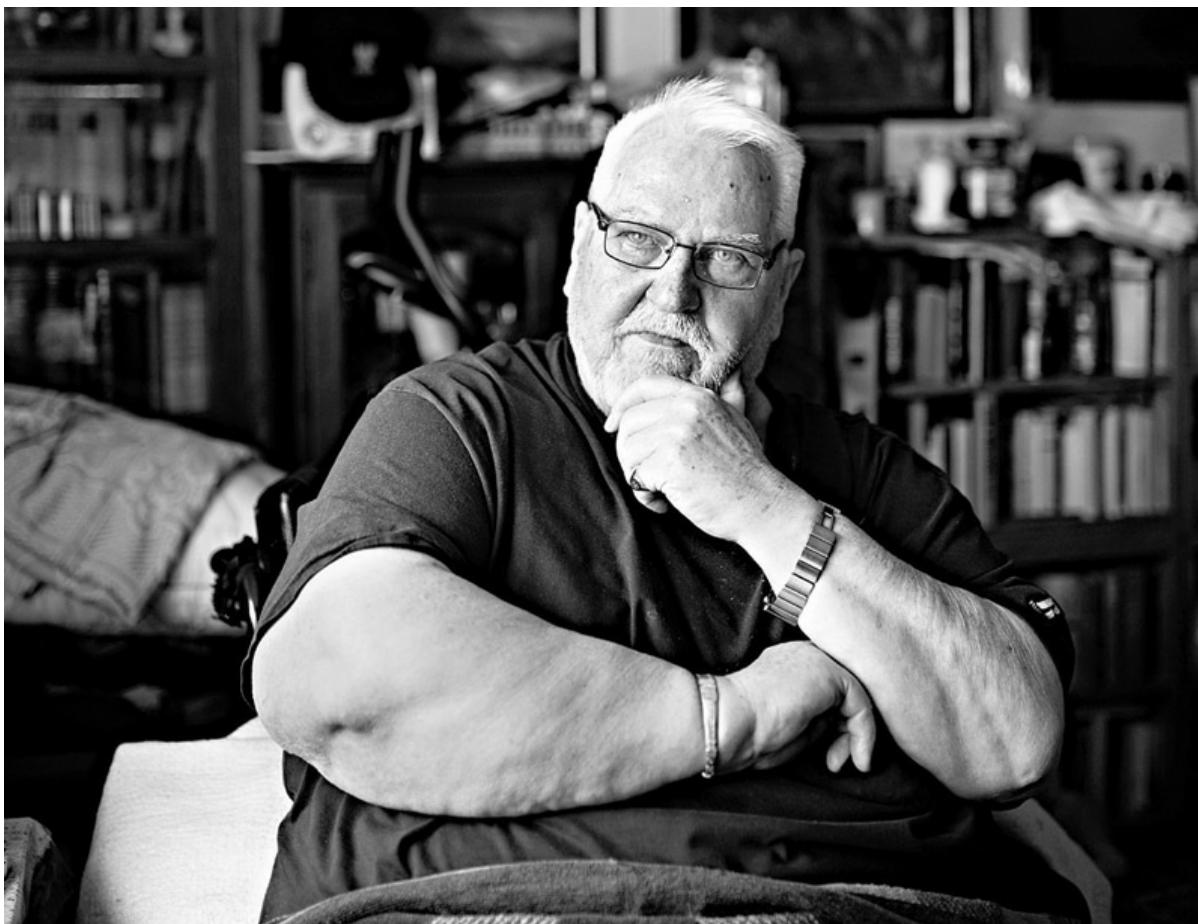


Alojzy Twardecki na planie filmu Romana Wionczka *Człowiek o dwóch nazwiskach*

„Dziecko to zostało rzeczywiście adoptowane jako Hartmann Alfred, narodowości niemieckiej, przez rodzinę Binderberger... Żałuję, że nie udało się uzyskać pozwolenia na przyjazd jego matki do strefy francuskiej – mogłoby to z pewnością ułatwić i przyspieszyć rozwiązanie tej kwestii” – pisze w czerwcu 1950 roku Poignant, dyrektor OIR, Francuska Strefa Okupacyjna w Niemczech do „pana Kamińskiego, delegata

Polskiego Czerwonego Krzyża w Baden-Baden”.

„Urzędnik Service des Personnes Déplacées w Koblencji udał się 5.5.1950 roku do szkoły, do której uczęszcza Alfred Hartmann. Nie udało mu się rozpoznać w tym dziecku poszukiwanego przez rodzinę Twardeckiego, a to ze względu na zły stan techniczny fotografii przekazanej przez Polski Czerwony Krzyż. Ponadto zdjęcie to jest z 1944 roku, dziecko od tego czasu zmieniło się. Pan Levens z Ministerstwa Zdrowia i dyrektor szkoły zgodnie stwierdzili brak podobieństwa między Alfredem Hartmannem a Alojzym Twardeckim” – pisze do delegata PCK szef Service des Personnes Déplacées – Siroux.



Alojzy Twardecki w swoim warszawskim mieszkaniu

Niedługo później, w październiku 1950 roku pan Siroux otrzymuje pismo od Szczypińskiego, delegata PCK na francuską strefę okupacyjną: „Nie udało się nam uzyskać innych danych dotyczących cech fizycznych dziecka, poza zasygnalizowanymi przez jego matkę: włosy jasnoblond, czoło nordyckie, oczy duże, niebieskie... Jeśli chodzi o identyfikację dziecka pozwalam sobie zauważyć, że jedynie lekarz-antropolog byłby zdolny je rozpoznać na podstawie rysopisu: jego charakterystyczne odstające uszy oraz fotografia pozwoliłyby stwierdzić, czy wymieniony Hartmann, znajdujący się w rodzinie Binderberger, mógłby być identyczny z wymienionym Twardeckim”.

– Panie Alojzy, wciąż nie może pan spać?

Potężny mężczyzna na wózku inwalidzkim nie zastanawia się. – Wciąż. Z wiekiem to się wzmaga. Nocą zawsze czuję się najbardziej samotny i opuszczony. Nawet gdy byłem szczęśliwy w małżeństwie, czułem to. Czemu nie śpię? Nie wiem. Może męczy mnie sumienie? To oczywiście żart. Tak, byłem dumnym Niemcem, Nadreńczykiem. Fanatycznie heilowałem, Polaków traktowałem jak coś gorszego, Francuzów nienawidziłem. Imponowali mi mężczyźni w dobrze skrojonych niemieckich mundurach. Mój niemiecki dziadek nie lubił Adolfa Hitlera. Ale tylko dlatego, że miał zbyt niski stopień, by dowodzić armią niemiecką. Zbyt niski stopień! Babcia, nomen omen Adolfine, Hitlera uwielbiała. Pochodziła z wielkiej burżuazji. Słyszałem, że Niemcy dzięki Hitlerowi powstały z kolan. Nasiąkłem tym wszystkim, a po latach musiałem wszystko pozmieniać, zrewidować. Dziesięć lat zajęło mi uporządkowanie mózgu, serca. Wie pani, co to znaczy wyprany mózg? Jako dziecko miałem sen. Jadę autem z rodzicami. Tymi prawdziwymi, nie tymi, którzy mnie zabrali. Mama ma piękne blond włosy. Ojciec w pięknym mundurze SS. Jedziemy autem i padają strzały. Auto przewraca się, ojciec pada za kierownicą, matka krzyczy. Ja w ten sen wierzyłem. Że jechałem z rodzicami, ktoś do nas strzelał, mieliśmy wypadek. Dlatego straciłem rodziców i trafiłem do rodziny adopcyjnej. Boże, jak ja ich pokochałem. A zwłaszcza mamę. Moją niemiecką mamę. Za wcześnie zmarła, za wcześnie.



Po lewej Małgorzata Ratajczak, obok Margarethe Binderberger

– Może gdyby nie zmarła, nie wróciłby pan do Polski. Nie poznałby pan prawdziwej matki.

– Pewnie tak. Margarethe i Małgorzata były takie same. Gdyby poznały się, byłyby najlepszymi przyjaciółkami. Wiem, że obie patrzą na mnie z góry. Margarethe

i Małgorzata zlały mi się w jedność. Wystarczyło, że wtedy wysiadłem z pociągu i popatrzyłem na Małgorzatę. Jej oczy, uśmiech. Wiedziałem, że to moja mama. Małgorzata zmarła w 2015 roku, miała sto jeden i pół roku. Nie raz się wściekam, że w kłótni powiedziałem jej jakieś przykre słowa. Teraz znowu jestem sierotą.

– A kiedy narodził się Alfred?

– W sierocińcu. Przy pieśniach Wehrmachtu i *Deutschland, Deutschland über alles*.

* * *

Pierwsze, największe marzenie małego Alfreda to zostać oficerem. Dzieci ciągle bawią się w żołnierzy. Za wygraną bitwę dostają papierowe ordery. Albo dodatkowy kawałek ciasta. Wolno im wtedy posłuchać z radiowego głośnika przemówienia Führera. „Heil Hitler!” – okrzyk z malutkich gardeł wypełnia świetlicę. Każde dziecko marzy, żeby dostać tatusia oficera. Najlepiej z SS lub Luftwaffe.

W każdą niedzielę przychodzą cioce i wujkowie. Alfred z utęsknieniem wypatruje mężczyzny w nienagannym mundurze i błyszczących oficerkach, który go zabierze. Zamiast niego przychodzi pan w cywilnym garniturze, średniego wzrostu, z ciemnymi włosami i łagodnym uśmiechem. Zabiera go do kawiarni. Alfred jest rozczarowany, zwłaszcza że przy sąsiednich stolikach siedzą prawie sami wojskowi. – Jestem inżynierem, w czasie pierwszej wojny światowej służyłem w stopniu podporucznika – mężczyzna jakby wyczuwa, o czym myśli malec.

Rozczarowanie Alfreda mija wieczorem w sierocińcu. Myśli: ten pan był miły, w końcu to przecież oficer rezerwy. Lepiej mieć tatę takiego niż wciąż czekać i czekać!

Na kolejnym spotkaniu mężczyzna pyta Alfreda, czy pamięta rodziców. – Mój tata został zabity przez polskich bandytów. Jechaliśmy wtedy samochodem.

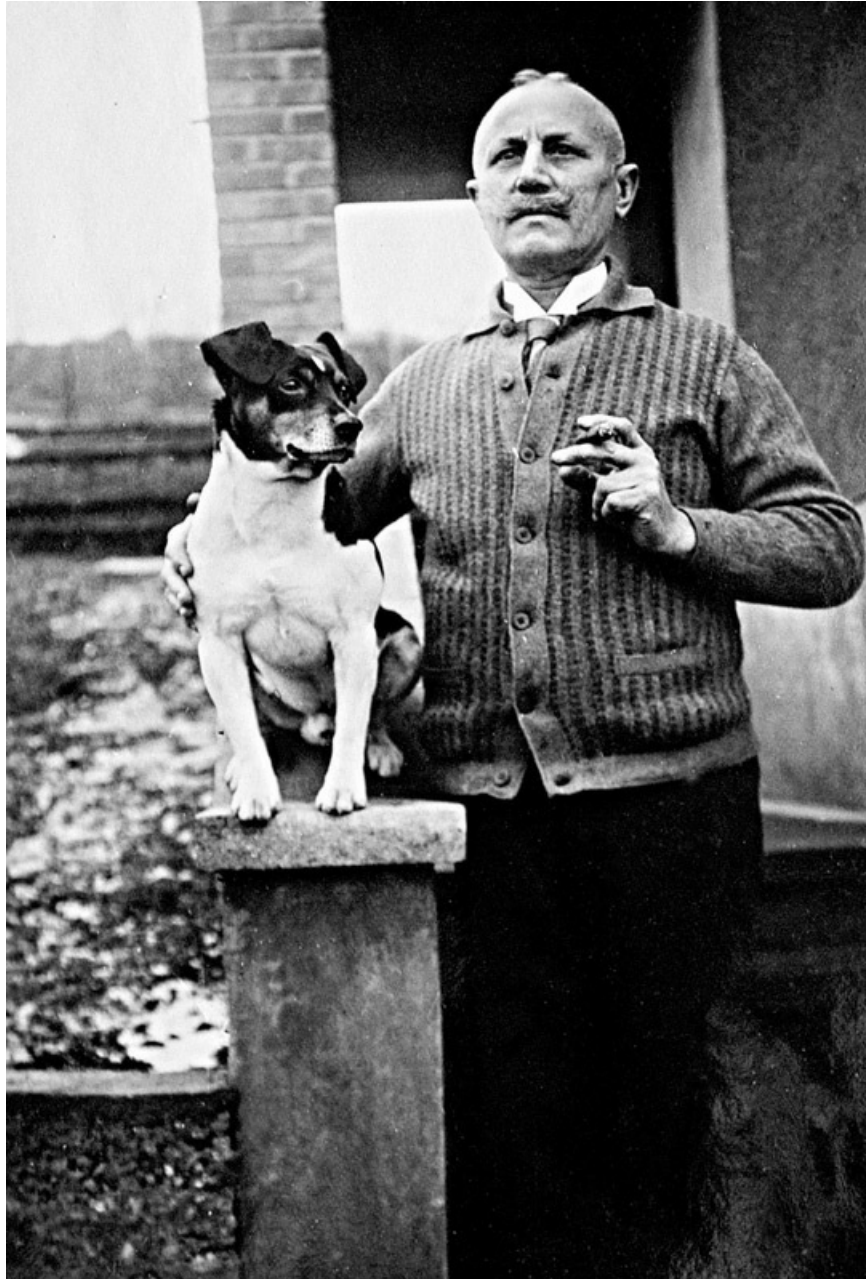
– Mamy ładny dom z ogrodem niedaleko rzeki – mówi pan. – To Ren. Mamy w domu psa. Nie ma się z kim bawić. Czeka na takiego chłopca jak ty. Chciałbyś jechać ze mną? – Alfred tylko na to czeka. Rzuca się mężczyźnie na szyję. Ma tatę, który zabierze go do psa, mamy i nowego domu!

* * *

Pięcioletni Alfred Hartmann zostaje zabrany latem 1944 roku przez Theodora Binderbergera do Koblencji. Zapamięta, że pierwsze wrażenie było baśniowe. Dom pośród kwiatów. Wśród jabłoni, grusz, śliw, moreli, krzewów agrestu i porzeczek.

Na progu czekają czarny pies i dwie kobiety. Młodsza to Margarethe, mama. Starsza, z siwymi włosami i w fartuchu, to babcia. Młodsza przyciąga do siebie chłopca. Szczęście Alfreda gdzieś pryska. Najchętniej by uciekł. Przerażają go nowe, pilnie przyglądające mu się twarze. Chłopcu zbiera się na płacz. Jeszcze bardziej na widok kolejnego obcego mężczyzny. Starszy, opalony, szczupły, wysoki. Z fajką w ręku i w fartuchu ogrodniczym. Dziadek.

Wszyscy namawiają chłopca do jedzenia, picia. Alfred nie chce. Mówi, że jest zmęczony. Chce spać, ale koniecznie z tatą. Życzenie zostaje spełnione. Alfred zasypia utulony w nowego ojca.



Niemiecki dziadek Alojzego. Alojzy będzie go wspominał jako tego, który wpoił mu nienawiść do niepunktualności i kłamstwa

Budzi się rano i obok widzi nową mamę. Z wczorajszego niepokoju już nic nie zostało. Chłopak przytula się do kobiety, uśmiecha się. Po kilku dniach w domu czuje się już zupełnie swobodnie. Nawet w obecności dziadka, którego w tej rodzinie, zauważa Alfred, wszyscy się boją. Dziadek prosi wnuka, żeby mu pomagał przy pracach w ogrodzie. Babcia podtyka smakołyki.

Tata jest dyrektorem. W biurowcu ma pięknie urządzonego gabinet. Mama pracuje w Luftwaffe. Jest kierowniczką sekcji urlopów dla oficerów. Spokojne życie

Binderbergerów przerywają jedynie czasami nocne bombardowania Koblencji.

Pierwszy dzień szkoły we wrześniu 1944 roku to dla całej rodziny prawdziwa uroczystość. Sześcioletni Alfred puchnie z dumy, chce się zapisać do Hitlerjugend.

Kilka miesięcy później życie rodziny już nie jest tak spokojne: Theodor zostaje powołany do wojska. Wyjeżdża. Koblencja jest coraz częściej bombardowana. Władze wydają rozporządzenie: niezdolne do pracy kobiety i dzieci mają zostać ewakuowane. Alfred jedzie z babcią do Jeny, miasta, gdzie naloty nie są tak intensywne. Do domu wracają w lutym 1945 roku. Alfred widzi zrujnowane miasto. Dom rodzinny na szczęście jest cały. I wszyscy żyją. Ojciec wciąż jest poza domem, ale od czasu do czasu przychodzi od niego listy.

Miasto jest ostrzeliwane przez aliantów. Rodzina Alfreda, tak jak wszystkie w okolicy, niemal cały czas spędza w schronie. Po pewnym czasie na ulicach pojawiają się wywieszane białe flagi. Koblencję zajmują Francuzi.

Do domu wraca Theodor. Ktoś na furtce Binderbergerów wypisuje kredą „Nazi”. Podobne napisy pojawiają się przy wielu domach. Sąsiedzi donoszą na siebie. Kiedy w październiku 1946 roku w gazetach pojawiają się informacje o skazanych na śmierć zbrodniarzach wojennych, ludzie są smutni albo wkurzeni.

Każdy dorosły poddany jest denazyfikacji. Theodor przechodzi ją pomyślnie. Choć był w NSDAP, pełnił tam ważną funkcję, ustawili się za nim komuniści. Przed powołaniem do wojska, jako dyrektor Koblenckiego Urzędu Pracy, oddał komuś znaczną przysługę.

Były nazistowski dyrektor nie może jednak znaleźć pracy. W końcu zatrudnia się jako robotnik przy odbudowie mostu. W domu się nie przelewa, ale Alfred jest szczęśliwy. Nie trzeba już nigdzie wyjeżdżać, biec do schronu. Życie wraca do normy. Niestety nie na długo.

Tego popołudnia w 1949 roku Alfred nie zapomni nigdy. Wraca ze szkoły. W salonie mama, tata, babcia i dziadek siedzą i płaczą. Chłopak staje jak wryty. Poraża go zwłaszcza widok dziadka. Ten twardy mężczyzna nawet nie maskuje płynących łez. Alfred przypomina sobie wydarzenia z ostatnich dni: „Co zrobiłem!? Przecież nic takiego, po czym można by tak rozpaczać!”.

– Ty jesteś przecież naszym Alfredem, powiedz, że naszym!? – dziadek łapie chłopca w objęcia.

– Oczywiście, dziadku – w gardle chłopca wyrasta potężna gęsia łuska. Dorośli siedzą jak sparaliżowani. Milczenie przerywa ojciec: – Otrzymałeś list od swojej matki.

Alfred patrzy na ojca: „O czym on bredzi?”. Na głos jednak nie śmie podobnych słów wypowiedzieć. – Tato, mama jest przecież tutaj – gęsia łuska w gardle rośnie.

– Ten list nie jest od mamy. To jest list od twojej matki z Polski. Píše ona, że podobno jesteś Polakiem, a nie Niemcem. Nie nazywałeś się Alfred Hartmann, tylko Alojzy Twardecki.

Przez głowę przelatują myśli: „Bzdura, idiotyzm! Oni wszyscy zwariowali! Co takiego zrobiłem, że oni mi to robią?!”.

* * *

– To był szok. Wyobraża sobie pani? Ma pani trochę więcej niż dziesięć lat i pani rodzice mówią, że nie jest pani Polką, tylko Niemką. Zresztą nawet nie potrafię porównać, podać innej nacji. Realia były inne. Dla Niemców Polacy przecież byli wrogami. No więc ja, dumny Niemiec, miałbym być swoim własnym wrogiem?! Wziąłem ten list. W środku była fotografia jakiejś kobiety. Nawet nie była blondynką, miała ciemne włosy! A przecież matka, którą pamiętałem, która mi się śniła, miała jasne włosy! Wściekły podarłem list i zdjęcie. Wrzuciłem je do kosza. Poszedłem odrabiać lekcje. Wcześniej położyłem się spać. Założyłem maskę obojętności. Ale w środku rozsadał mnie niepokój. Patrzyłem w lustro. Szukałem czegoś, co mnie różni od moich kolegów. Niczego się nie dopatrzyłem! Pytała mnie pani o sen. Może brak snu zaczął się wtedy, gdy moje normalne życie kompletnie wywrócił ten list?

Rok 1949 jest dla Alfreda pasmem nieszczęść. W domu ciężka atmosfera. Czuć niepewność. Alfred po południu wraca ze szkoły. Na korytarzu słyszy podniesione głosy z piętra. Od ojca dowiaduje się, że w domu była jakaś Polka i zażądała widzenia z chłopcem. Rodzice martwią się, że Alfred może zostać uprowadzony.

Co gorsza, zaczyna chorować 42-letnia Margarethe. Alfred jeździ do niej do szpitala codziennie po lekcjach. Matka martwi się o syna. Ojca i męża cały czas prosi, żeby się nim opiekowali. Kiedy umiera, Alfred całą noc płacze, modli się, woła ją.

Po śmierci Margarethe w rodzinie Binderbergerów wszystko się zmienia. Ojciec coraz więcej czasu spędza w pracy. Dziadkowie nie potrafią znaleźć sobie miejsca. Jak grom z jasnego nieba spada na Alferda informacja, że ojciec upatrzył już sobie nową żonę. Interesuje się jedną z kuzynek zmarłej żony – Lilli.

Po ich ślubie chłopak jest wściekły. Macocha stara się przekupić go prezentami, słodyczami, ale to jeszcze bardziej wkurza Alfreda. Wybucha, Lilli biegnie na skargę do ojca. To potęguje niechęć chłopca do niej. Po szkole coraz częściej nie chce mu się wracać do domu. Najbardziej lubi teraz towarzystwo dziadka. Z nim najczęściej chodzi do lasu na spacer. Razem odwiedzają grób Margarethe.

* * *

Siedem lat po zakończeniu wojny, 5 lipca 1952 roku z urzędu w Koblencji do malutkiego Rogoźna wysłano list. „Decyzję w związku z Pani wnioskiem z 15 czerwca 1952 roku o zwrot syna Alojzego Twardeckiego, ur. 23.3.1938 roku w Rogoźnie będzie można podjąć z chwilą, gdy zostanie udowodniona identyczność między Pani synem a Alfredem Hartmannem, adoptowanym przez małżeństwo Binderberger.

Zeznanie małżonka Binderbergera nie potwierdziło słuszności Pani żądania. Nie sprawdził się dzień urodzin: 23.3.1938 roku, podany przez Panią. (...) Zdaniem pana Binderbergera chodzi tu – tak go poinformowano przy adopcji – o dziecko niemieckich rodziców, z których ojciec zginął na wojnie, matka natomiast zmarła przy porodzie. Sąd posiada poza tym oświadczenie w miejsce przysięgi, z którego wynika, że Alfred Hartmann jest dzieckiem zmarłych niemieckich rodziców. Biorąc to wszystko pod uwagę, problem identyczności wymaga dokładnego zbadania.

Ponieważ wspomniała Pani, że dysponuje dokumentami – dowodami pochodzenia, pozostawiamy do Pani uznania przysłanie ich tutaj w celu uzasadnienia złożonego

wniosku. Poleca się również w Pani interesie zgłoszenie wszystkiego innego, co mogłoby się przyczynić do wyjaśnienia identyczności. Prosi się również o doniesienie, jakie kroki przedsięwzięła Pani tymczasem w Misji Wojskowej w Berlinie oraz w polskim konsulacie w Baden-Baden i z jakim wynikiem. Pożądane jest przysłanie ewentualnie treści decyzji tam podjętych. Dopiero wtedy, gdy się okaże bez zastrzeżeń, że Alfred Hartmann jest Pani uprowadzonym w 1943 roku dzieckiem, będzie możliwe przedłożenie Pani wniosku do rozstrzygnięcia odpowiedniej władzy administracyjnej”.

Kilka dni później Małgorzata Ratajczak pisze do Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie: „Proszę o udzielenie zezwolenia na przyjazd do Polski mego porwanego w czasie wojny, w 1943 roku, syna Alojzego Twardeckiego, przepisanego do domu dziecka Lebensbornu na nazwisko Alfred Hartmann. Adoptowany następnie przez rodzinę Binderberger, pozostaje u nich do dziś pod ich nazwiskiem w Koblencji-Horchheim, Bergstrasse 4. Przybrany ojciec mego syna, Binderberger, po przedłożeniu przeze mnie dowodów w postaci zdjęć zgadza się chętnie na przyjazd mego syna do mnie na wakacje (15.7. – 30.8. br).

Gorąco proszę o szybkie załatwienie wszelkich formalności, na ten bowiem moment, tzn. na chwilę spotkania ze swym przeszło dziewięć lat nie widzianym jedynym synem, czekam z niecierpliwością. Proszę zrozumieć strapioną matkę i jej obecną sytuację”.

Niedługo później Małgorzata Ratajczak pisze do kancelarii kanclerza federalnego NRF w Bonn: „29 września 1943 roku niemieckie Schupo zabrało mi wraz z wieloma jeszcze innymi dziećmi naszego miasteczka jedynego syna, Alojzego Twardeckiego. (...) Wielokrotnie zwracałam się do Binderbergera, aby zwrócił mi dziecko, listy moje nie odniosły, niestety, żadnego skutku. Z 16 dzieci porwanych owej nocy wróciło dzięki Czerwonemu Krzyżowi 13, z wyjątkiem mego syna oraz synów pani Ewertowskiej oraz pani Brzostowskiej”.

* * *

Małgorzata Ratajczak myliła się. Bronisława Ewertowska straciła nie syna, ale córeczkę. Pewnego wrześniowego dnia w 1943 roku do mieszkającej w Rogoźnie niedaleko Poznania Ewertowskiej zastukało trzech Niemców i zabrało dziecko. Siedmioletnia Eugenia Ewertowska była jasną blondynką i to ją zgubiło. Matka dzięki pomocy Polskiego Czerwonego Krzyża odnalazła ją po wojnie we Flensburgu.

Mała Eugenia Ewertowska przebywała w brytyjskiej strefie okupacyjnej. O jej powrót do Polski walczył Roman Hrabar. Z dokumentów, do których dotarł, wynikało, że jej rodzice adopcyjni zwrócili się do Lebensbornu o oddanie na wychowanie dziecka któregoś z bohaterów SS zabitego na froncie, by uczcić pamięć ich syna esesmana, który zginął na wojnie.

„Dokument Lebensbornu wskazywał, że dziecko Irene Evert, urodzone 25 grudnia 1935 roku, umieszczone zostało w rodzinie Friedrichshorn we Flensburgu. Nasz kwestionariusz zawiera podobne informacje. Ponieważ wiadomo, że niemal wszystkie dzieci Lebensbornu mają zmienione nazwiska, przeszukałem dalsze kwestionariusze

i znalazłem w dalszej kolejności kwestionariusz dziecka Eugenii Ewertowskiej, urodzonej 25 grudnia 1935 roku z następującymi informacjami: w roku 1943 deportowana do Kalisza, następnie w roku 1944 do Austrii. Evert Irena i Ewertowska Eugenia urodzone są pod tą samą datą. Pierwsze pięć liter ich nazwisk są identyczne. Obie pochodzą z Polski i umieszczone zostały w Austrii. Z Austrii Eugenię przewieziono do Niemiec i umieszczono w rodzinie niemieckiej, która żyje obecnie w strefie brytyjskiej i czyni wszystko, by dziecka nie oddać” – notuje Hrabar. Docierają do niego informacje, że adopcyjni rodzice dziewczynki poruszają wszelkie możliwe koneksje, by ją zatrzymać.

Na tym ślad małej Ewertowskiej się urywa. Świat usłyszy o niej dopiero w latach 70., kiedy powstanie film *W imię rasy* dwójga francuskich dokumentalistów, Marca Hillela i Clarissy Henry. W filmie występuje matka, Bronisława Ewertowska. Filmowcy odnaleźli też ponad 30-letnią Eugenię Ewertowską vel Irenę Evert. Kobieta nie chciała z nimi rozmawiać. Jej adwokat oświadczył przed kamerą, że ma ona męża, dzieci i nie chce wracać do przeszłości.

W 1975 roku na łamach „Trybuny Robotniczej” ukaże się zaś artykuł na temat działalności Lebensbornu nawiązujący do powstałego filmu. W artykule cytowany jest list matki: „Moja kochana Ireno, nie potrafię już tego znieść, napisz do mnie przynajmniej list – zanim umrę. Mam już 67 lat”. Matka nigdy nie dostała na niego odpowiedzi.

O tym, co stało się później z Bronisławą Ewertowską, dowiaduję się z reportażu Włodzimierza Nowaka *Obwód głowy*. Autor chciał się skontaktować z nieszczęśliwą matką. Dowiedział się jednak, że po nakręceniu francuskiego filmu Ewertowska, wysiadając z pociągu, upadła na peron i zginęła. Rodzina wysłała do Ireny wiadomość: „Twoja mama nie żyje”. Córka się nie odezwała.

– Słyszałem o tej historii – mówi Alojzy Twardecki. – Tyle że świat nie zawsze jest czarno-biały. Kiedyś wysoko postawiona urzędniczka powiedziała mi: „Pan powinien płuć na tę niemiecką rodzinę”. Prosiłem wtedy o paszport na wyjazd do Niemiec na pogrzeb ojca. Nie dostałem. Nie byłem na pogrzebie. A niemiecka rodzina to była najlepsza rzecz, jaka wówczas mogła mi się przydarzyć. Ja sam jestem chodzącą nieoczywistością. Niemiecki dziadek wpoił mi nienawiść do niepunktualności, kłamstwa. Z tej strony jestem bardzo niemiecki. A przecież ogólnie czuję się Polakiem. Ale na Polskę też psioczę. Na to, że urzędnik nie jest w stanie przyjechać do przykutego do wózka człowieka, że w moim bloku jest wąska winda, do której nie wjadę. Na naszych polityków, księży, tych, którym wydaje się, że Pan Bóg mówi tylko po polsku, a aniołki śpiewają *Boże, coś Polskę*. Na siebie też się wkurzam.

* * *

Przychodzi kolejny list z Polski. Małgorzata Ratajczak prosi, by Alfred przyjechał choć na trochę ją odwiedzić. Chłopak czyta od niechcienia. Ale w jego głowie powoli zaczyna kiełkować myśl, że może warto. Przynajmniej na jakiś czas uwolni się od ciotki Lilli.

Theo Binderberger odpisuje do Polski w lutym 1953 roku:

„Alfred otrzymał Pani list, początkowo nie chciał go przyjąć, potem jednak zdołaliśmy go nakłonić do tego. Wielokrotnie też mówiłem mu, że powinien odpowiedzieć na Pani list, ale czy to uczynił, nie wiem... Alfreda traktowaliśmy jak własnego syna, byliśmy względem niego zawsze bardzo dobrzy, ale nie ulega żadnej wątpliwości – w przypadku okazania się, że Alfred jest Pani uprowadzonym synem – uznanie Pani prawa z całkowicie zrozumiałych względów: jako naturalnej matki. Trudniej będzie przekonać Alfreda do nowej sytuacji, trzeba będzie postępować z nim z dużą dozą taktu.

Przekazałem już sądowi swego czasu uzupełnienia i dokumenty oraz zdjęcia, pozostaje zatem czekać z ufnością na podjęcie decyzji. (...)

Alfred uczęszcza do gimnazjum, interesować go będzie przypuszczalnie, jeśli się okaże, że jest Pani synem, co Pani zamierza uczynić w zakresie jego dalszej edukacji”.

Dwa miesiące później Binderberger wysyła do Rogoźna zdjęcie Alfreda. Robiono je rok wcześniej, w czasie konfirmacji. Widać na nim, że chłopak przerósł swojego ojca. „Alfred stał się już dziś obcym dla Pani – nie mogę tego zmienić – i im będzie starszy, tym trudniejsze stanie się zadanie skłonienia do odnalezienia drogi prowadzącej do Pani serca” – pisze.

Małgorzata odpowiada w maju. „Dziękuję Panu z całego serca za to zdjęcie, postawiłam je na biurku i nie mogę się na nie napatrzeć. Podjęłam też już odpowiednie kroki w sprawie badania krwi matki i dziecka. Rozumiem, że nie jest Panu lekko rezygnować z Alfreda, że widział Pan w nim swoją podporę w przyszłości. Mogę Pana zapewnić, że stworzymy dziecku jak najlepsze warunki i że nie będziemy mieli nic przeciw jego korespondowaniu z Panem. Wierzymy również, że ku naszej szczerzej radości będzie Pan składał nam często wizytę. Mamy przytulne dwupokojowe mieszkanie, a i jedzenia jest dość. Mój mąż pracuje ostatnio jako kierownik kontroli technicznej. Przykro mi, że zmarła Pańska małżonka. Przez dłuższy czas nie odpisywałam na Pana list, gdyż niespodziewana choroba mej matki, staruszki (83 lata), całkowicie mnie zaabsorbowała”.

Rodzice w korespondencji nie muszą korzystać z pomocy tłumaczy. Małgorzata doskonale zna niemiecki.

Alfred po kolejnej wędrówce, nad brzegiem Renu podejmuje decyzję: „Pojadę! Na przekór ojcu! Niech za mną zatęskni! Niech zostawi Lilli!”. Piętnastolatek wpada do domu i oświadcza: – Tak, pojedę do Polski. Na dwa tygodnie. Powiem tej kobiecie, że się myli.

W ciągu kilku dni dostaje paszport. Pakuje rzeczy do walizki. Zabiera też rower. W dniu wyjazdu zaciska zęby, chce mu się płakać. Przed dom wychodzą babcia z dziadkiem. – Wróć szybko i w zdrowiu! Ja i babcia czekamy! – krzyczy dziadek za odjeżdżającym samochodem.

Prowadzi ojciec, Alfred siedzi obok. Czuje się, jakby jechał na wakacje do ciotki na wieś. Wsiada do pociągu i wyobraża sobie, co takiego w tej Polsce zastanie. Same lasy, pełne niedźwiedzi i wilków? Tak przynajmniej o tych ziemiach daleko od cywilizacji mówił Joseph Goebbels.

– Czy w obcej kobiecie można rozpoznać matkę?

– Rozpoznać nie. Ale intuicyjnie poczuć. Wie pani, dziecko jakoś z brakiem ojca się pogodzi. Ale nigdy z tym, że nie ma matki. Mojej niemieckiej mamy bardzo mi brakowało. Ojca szanowałem, podziwiałem, naprawdę imponował mi. Ale oddalał się. Wchodziłem w wiek buntu. Potrzebowałem zrozumienia. Wydawało mi się, że ojca interesuje tylko jego własne nowe małżeństwo. Dziadkowie... Bardzo ich kochałem, ale dziadkowie nigdy nie zastąpią rodziców. Nie zastąpią matki. Moją prawdziwą matkę po raz pierwszy zobaczyłem wtedy na dworcu. Czekala z jakimś mężczyzną. Później dowiedziałem się, że to Jan Ratajczak, jej drugi mąż. Pierwszy – mój tata, oficer, Leon Władysław Jan Twarddecki-Wieczorkiewicz zaginął w czasie kampanii wrześniowej. Wsiadłem z pociągu i wzroku od matki nie potrafiłem oderwać. Od jej oczu. Nigdy ich nie zapomnę. Z nich bił żar. One mnie pochłaniały. Były cudownie niebieskie. Choć mama miała czarne głósy. Ale te oczy... Wszystko w nich było. Ciepło, miłość. To mnie przyciągało jak magnes. Choć na początku nie byłem miły, mówiłem, że przyjechałem tylko po to, żeby wyjaśnić pomyłkę. Te oczy wciąż patrzyły na mnie tak samo. I tak patrzyły przez całe życie.

Jaką Polskę widzi w 1953 roku piętnastolatek z Koblencji? Rogoźno to ponura nora, z której człowiek ma ochotę jak najszybciej uciec. Dom, w którym mieszka matka, stoi krzywo, ma pęknięcia w murach. W środku strome schody prowadzące na strych. Gazowe światło w domu. Trzy małe pokoiki. Na szczęście czyste. Jest woda i mydło. Ale wodę trzeba wiadrami przynosić! Z pompy na rynku miasteczka! Myć się trzeba w miednicy! Ale za to na śniadanie dużo więcej masła i wędliny niż w Niemczech.

Do domu Ratajczaków przychodzi babcia. „Pamiętasz? Tu na zdjęciu jest twój kuzyn. Pamiętasz?”. Małgorzata płynną niemiecką opowiada, że nigdy nie wiedziałyby, jak szukać syna. Na szczęście Alojzy został zabrany przez Niemców razem ze swoim kuzynem Leonem. On miał wtedy dziesięć lat. Wszystko rozumiał i pamiętał. Leon został wysłany do obozu Hitlerjugend w Austrii. Wcześniej obaj byli w domu dziecka w Kaliszu. Leon wiedział, że Niemcy zmienili dane Alojzego, że nazwali go Alfredem Hartmannem. Szczęśliwie powrócił do Rogoźna z jednym z pierwszych kontyngentów. Od razu powiedział Małgorzacie, że Alojzego trzeba szukać jako Alfreda Hartmanna.

Małgorzata opowiada też o wrześniu 1939 roku. O łapanekach, o męczeńskiej śmierci Maksymiliana Kolbego. To nieprawda! Alfred, nazywany już Alojzym, czuje, że kręci mu się w głowie. Traci poczucie rzeczywistości. Powstanie Warszawskie, Armia Krajowa, obozy koncentracyjne i Auschwitz. Przecież to tylko komunistyczna propaganda. Ile razy Alfred-Alojzy słyszał to w rodzinnym mieście, w domu.

Chłopak po dwóch tygodniach nie wraca do Niemiec. Podjęcie decyzji ułatwia to, że władze zabrały mu paszport.

* * *

Polscy rodzice zastanawiają się, jak zorganizować mu szkołę. Alek uczy się kilku słów po polsku. Udaje się załatwić, że chłopak będzie chodził do gimnazjum jako wolny słuchacz. Alek pisze do Koblencji. Liczy, że ojciec rzuci wszystko i po niego przyjedzie. Zapomni o ciotce Lilli, najważniejszy będzie on, Alfred, czy Alojzy, Alek.

Tymczasem przychodzi list: „Spadło to, jak możesz sobie wyobrazić, zbyt nagle. Chociaż pozostawiliśmy Ci wolną rękę w podejmowaniu decyzji, to jednak wiadomość ta silnie nas dotknęła, ponieważ wszyscy Cię bardzo kochaliśmy (nawet dziadek, choć może niekiedy był surowy, co zresztą należało do jego sposobu bycia, ale chciał Cię, jak ciągle powtarzał, wychować na porządnego mężczyznę) – sam przecież się orientujesz. Z drugiej strony zdajemy sobie jednak sprawę, że Twoja matka ma większe do Ciebie prawo i z tym musimy się pogodzić, mimo że przychodzi nam to z wielkim trudem. W pełni zadowoleni będziemy, odzyskując tym samym względny spokój, jeśli Ci się tam spodoba, jeśli chwalić będziesz swój los, ponieważ wszyscy życzymy Ci jednego, żebyś życie miał dobre i piękne, oby Ci szczęście i pomyślność zawsze towarzyszyły na Twojej drodze życia. Że nas nie zapomnisz, tak jak my Ciebie, jesteśmy przekonani, gdyż zbyt silnie zrośnięci jesteśmy ze sobą. To jednak musisz nam już dziś przyrzec, że każdego miesiąca wyślesz do nas przynajmniej jeden list. Pisz, proszę o wszystkim obszernie, ponieważ wszystko z Tobą związane na pewno nas zaciekawi – Twój tata”.

Ojciec dopytuje też w liście o naukę w szkole, czy Alfred zaczął się już uczyć polskiego. Wspomina też kolegów chłopca. Dieter, Hoffmeier i Wolfgang nie potrafią pogodzić się z decyzją Alfreda. Dieter i Josef czekają na list od niego. Ojciec żałuje, że Alfred nie jest gdzie bliżej, mogliby się częściej odwiedzać. Pyta też o polskie jedzenie i przekazuje ucałowania od dziadków i ciotki Lilli.

Alek czuje się zdruzgotany, przegrany. Lilli wygrała. Wkurza go pełen zrozumienia ton ojca. Jego godzenie się na wszystko. Jego cel nie został osiągnięty. Katastrofa. Do Rogoźna piszą też babcia i koledzy. Babcia martwi się, że już nigdy więcej go nie zobaczy. Dieter przesyła zdjęcia kumpli.

Kolejny list od ojca, który tym razem podpisuje się już jako „Twój koblencki tata”. Ma pretensje, że Alfred się nie odzywa, nie odpisuje. Ale ton listu jest łagodny. Ojciec pisze o zbliżającej się jesieni i śliwkach zebranych w ogrodzie. Przesyła pozdrowienie od znajomych, informuje, kto ze znanych osób zmarł niedawno.

Kilka miesięcy po wyjeździe Alfreda umiera dziadek. Śmierć jest nagła, wylew krwi do mózgu. Alek czuje, że spada na niego prawdziwy cios. Dopadają go wyrzuty sumienia. Jest pewien, że dziadek zmarł przez niego. Gdyby wrócił do Niemiec, dziadek z pewnością jeszcze długo by żył. Najpierw stracił ukochaną córkę, później wnuka. Gorycz chłopca potęguje dodatkowo porażka planu, który miał odseparować ojca od Lilli. Alek zaczyna cierpieć na bezsenność. Noce spędza na rozmyślaniu. W głowie toczy walkę sam ze sobą. Źle zrobił, że w ogóle z Niemiec wyjechał. Był głupi, jeśli liczył, że ojciec się ugnie. Ale może niemiecka rodzina tak łatwo pogodziła się z decyzją, bo wcale go nie chciała? A co z prawdziwą matką? Przecież ona stara się stworzyć mu prawdziwy dom, nadrobić wszystkie lata. Czy to w ogóle możliwe? Co ja tu w ogóle robię? Nie znam tej Polski. Człowiek nie jest maszyną, którą można przeprogramować. Dlaczego mnie to wszystko spotkało? I kim, do cholery, jestem?

Alojzy w końcu musi iść do szkoły. Jest dużo wyższy, poważniejszy od swoich

rówieśników. Jego polski jest wciąż słaby. Mimo to we wrześniu 1954 roku rozpoczyna naukę. Tylko na pozór odważnie wkracza do gmachu liceum im. Przemysława II w Rogoźnie. W środku jest cały spięty. Ogląda wiszącego na ścianie orła, portrety nieznanym mu królów. Zestresowany idzie na uroczystą inaugurację i na pierwszą lekcję. Stres znika dopiero na widok dziewcząt. W jego dawnej klasie byli sami chłopcy. Zresztą dziewczyny wcześniej nie interesowały go zupełnie. Co innego towarzystwo kumpli, sport. Alek patrzy na dziewczyny jak zahipnotyzowany. Taksuje granatowe spódniczki i splecione warkoczki. Ze zdziwieniem stwierdza, że taki widok bardzo mu się podoba. Że chętnie by z dziewczynami porozmawiał. Ale najpierw musi przebrnąć przez tę cholerną gramatykę! Mówić tak, żeby nikt się nie śmiał, nie nabijał.

W domu matka z drugim ojcem, jak nazywa go Alek, decydują, że będą już rozmawiali ze sobą tylko po polsku. Przez pierwszy tydzień w mieszkaniu panuje cisza. Alek próbuje czytać pierwszą książkę po polsku. To *Zew krwi* Jacka Londona. Tłumaczy zdanie po zdaniu. Jedna strona zajmuje masę czasu. Alek klunie, ma ochotę rzucić książką o ścianę. Ale jest uparty, nie poddaje się. Dużo czasu minie, zanim jedną stronę będzie tłumaczył w godzinę.

W klasie Alek zyskuje akceptację kolegów dzięki wrodzonemu poczuciu humoru. Ma szczęście – rzadko kiedy słyszy, że jest szwabem.

Mimo problemów z polskim nauka idzie mu dobrze. W 1955 roku zdaje maturę. Rok później dostaje się na wydział handlu zagranicznego w Szkole Głównej Planowania i Statystyki. Pakuje walizkę i z Rogoźna wyjeżdża do Warszawy. Niedługo później pisze do niego niemiecka babcia. Założyła dla niego konto w kasie oszczędnościowej. Wpłaciła już kilkaset marek. Przesyła numer książeczki.



Kilka miesięcy później pisze „przybrany ojciec”. „Piszesz, że znowu rozpoczęła się prawdziwa harówka. Nie zapominaj jednak, że tego, czego się dziś nauczysz, nikt Ci nie odbierze. Dziś stwarzasz sobie podstawy swego przyszłego stanowiska i miejsca w społeczeństwie” – pisze Theo Binderberger. I obiecuje przysłać kilka książek, obiecuje trzymać kciuki za kolejne egzaminy.

Alek decyduje się pojechać do Auschwitz. Kiedy widzi stosy butów, okularów czy obciętych włosów, chowa się w kącie i płacze. Zastanawia się, czy mógł nosić w Niemczech buty jakiegoś zagazanego chłopca.

Z Niemiec nadchodzą kolejne listy. Ojciec z babcią martwią się, że Alfred zaczął palić papierosy. Wypytyują o studia.

W 1961 roku, osiem lat po przyjeździe Alka do Polski, odwiedza go niemiecki ojciec. Oficjalny powód wizyty – Targi Poznańskie. Alojzy cieszy się na spotkanie. Rozłąka nie zmieniła niczego. Niemiecki ojciec wciąż imponuje mu wiedzą, poglądami na sztukę. Theo Binderberger odgrywa wciąż ważną rolę w jego życiu. Alojzy bardzo chce z nim porozmawiać o swoich planach. Poznał dziewczynę, pierwszy raz traktuje kogoś tak poważnie. Chce się ożenić.

Ojciec z synem spotykają się na terenie Targów Poznańskich. Rzucają się sobie w ramiona, nie wstydzą się łez. Alojzy przerasta ojca o głowę. Widzi, że ojciec przygarbił się, włosy mu zbielały. Alojzy zabiera go do swojego drugiego rodzinnego domu w Rogoźnie. Przywitanie jest serdeczne.

– Wreszcie poznam matkę mego Alfreda – Theo na początku jest trochę zakłopotany, podaje rękę, całuje Małgorzatę. Alojzy patrzy na scenę i nie może uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Rozmowa przy stole toczy się gładko. Theo zostaje na noc. Przed snem myje się w misce w wodzie przyniesionej z pompy na rynku.

– Zabrałbyś mnie, gdybyś wiedział, że jestem Polakiem? – po kilku dniach pobytu Alfred musi zadać to pytanie niemieckiemu ojcu.

– Byłem przeświadczony, że jesteś sierotą. Narodowość nie miała dla mnie żadnego znaczenia. Ale nigdy nie adoptowałbym dziecka porwanego żyjącym rodzicom – zapewnia Binderberger.

Alojzy-Alfred czuje, że musi poważnie porozmawiać o swoich planach, o ślubie, o swojej dziewczynie. – Czy ona ma jakiś posag? – pyta ojciec.

– Przecież to nie jest istotne. Niedługo skończy studia – mówi Alek.

Takie podejście irytuje ojca. Klaruje Alfredowi, że dla takiego człowieka jak on żona z wyższym wykształceniem to nic dobrego. Alfred będzie miał poważną pracę, będzie musiał zarabiać na rodzinę. W domu musi mieć spokój. Wykształcona żona mu go nie zapewni. Poza tym, by stworzyć sensowne podwaliny, naręczona powinna mieć posag!

Konflikt potęgują jeszcze plany Binderbergera: chciałby, żeby Alfred wrócił z nim do Koblencji. Tam powinien podjąć pracę i znaleźć żonę. W Alojzym krew się gotuje, gdy ojciec zaczyna opowiadać o ciotce Lilli. Stawia ją za wzór żony. Awantura wisi na włosku. Atmosfera w niczym już nie przypomina tej z dnia powitania.

Alojzy nie chce kolejnej rewolucji w swoim życiu. Nie chce zaczynać w Niemczech

od nowa.

* * *

– Nigdy tej decyzji nie żałowałem. W Polsce byłem już zakotwiczony, kosztowało mnie to wiele nerwów i pracy. Nie chciałem zostawiać matki. Oczywiście w Niemczech żyłbym w wygodnej willi i zarabiał prawdziwe pieniądze. W Warszawie musiałem się wystrząść o mieszkanie. Po studiach z handlu zagranicznego studiowałem prawo i germanistykę. Pracę dostałem w centrali handlu zagranicznego. Dorabiałem tłumaczeniami z niemieckiego. Niestety moje pierwsze małżeństwo z Jolantą rozpadło się po dwunastu latach. Mam syna Alfreda. Jest znakomitym archeologiem. Po raz drugi ożeniłem się z Grażyną. Ale i to małżeństwo nie przetrwało. Z tego związku mam dwójkę dzieci – Patrycję i Pawła. Oboje mieszkają za oceanem. Szesnaście lat po wyjeździe pojechałem do Koblencji. Ojciec już nie żył. Zmarł w 1962 roku. Odwiedziłem babcię, ciotkę Lilli, kolegów. Wtedy w Rogoźnie z ojcem nie pokłóciliśmy się na dobre. Cały czas mieliśmy ze sobą kontakt. Długi czas miałem kontakt z moimi niemieckimi kolegami. Cały czas też śledziłem to, co mówi się o Lebensbornie, czytałem publikacje. Chciałem się dowiedzieć, dlaczego moje życie jest tak bardzo poplątane.

– Spotkał się pan kiedykolwiek osobiście z Romanem Hrabarem?

– Tylko raz. Na planie filmu *The stolen child*. Kręcili go Anglicy dla BBC. To był początek lat 90. Świetny facet, ciepły człowiek. Rozmawiało nam się tak, jakbyśmy się lata znali. Czy pani wie, co u niego słychać?

– Już nie żyje. Zmarł w Katowicach w 1996 roku.

– Nie żyje? No tak, przecież minęło tyle lat... Czasem mam wrażenie, że wszystko, co wydarzyło się w moim życiu, było tak niedawno, jakby wczoraj.

Od kilku lat Alojzy nie opuszcza swojego mieszkania na dziesiątym piętrze warszawskiego wieżowca. – Miałem wypadek: złamany kręgosłup i biodro. Nie nadaję się do zoperowania. Poruszam się na wózku, bardzo utyłem. Wcześniej biegałem, grywałem w tenisa. Ale ja i mój wózek jesteśmy zbyt szerocy, by zmieścić się w windzie.

* * *

Chcę zobaczyć spotkanie Alojzego z Hrabarem. Na filmie *The stolen child* reżyserka Catrine Clay uwieczniła jedynie scenę, gdy obaj oglądają dokumentację porwanych dzieci. Hrabar opisuje, jak wyglądały kryteria rasowe. Wzrost, postawa, kształt głowy, nos, kości policzkowe, oczy. – Ty masz niebieskie, idealne. Błękitne, prawdziwie germańskie – śmieje się Hrabar. Śmieje się i Twardecki.

Na filmie Alojzy jest już ponad 50-letnim mężczyzną. Wciąż przystojnym, eleganckim i energicznym. Na jego małym palcu połyskuje sygnet. Nosi go do tej pory.

Razem z filmowcami jedzie do Koblencji. Spotka starych kolegów. – Alfred był rozpieszczony, dostawał mnóstwo zabawek. O cokolwiek by poprosił swoją matkę, ta

wszystko spełniała – opowiadają. Razem idą na piwo, odwiedzają swoją szkołę. Alfred-Alojzy stoi przed swym dawnym domem – starą willą obrosniętą bluszczem w jesiennych barwach. Wspomina, jak żyli w czasie wojny, opowiada, że Hitler był jego idolem.



Alojzy Twardecki, lata 70.

Kamera pokazuje też odwiedzinę Alojzego u matki w Rogoźnie. Małgorzata (twarz pokryta lekką siateczką zmarszczek, ciemne włosy upięte w kok) wypatruje go przez okno, wita już na klatce schodowej. Promienieje na widok syna. Tonie w objęciach jego potężnej sylwetki. Kolejne ujęcie – siedzą obok siebie na kanapie. Alojzy co chwilę spogląda czule na matkę. Uśmiecha się, żartuje.

– Mamo, będę u ciebie nocował.

– Już masz łóżko przyszykowane – znowu się przytulają.

Małgorzata płynną niemczyzną opowiada, że nikt nie jest w stanie wyobrazić sobie, co to znaczy stracić dziecko.

Hrabarz pozostawił listy, które w sprawie filmu pisała do niego Catrine Clay. W czerwcu 1992 roku dziękuje mu za spotkanie w Katowicach. Zaprasza na zdjęcia do Warszawy. Kilka miesięcy później dziękuje mu za udział. Chwali jego profesjonalne, a jednocześnie naturalne zachowanie przed kamerą. Dziękuje za podsumowanie, w którym Hrabarz mówi, że terażniejszość musi wyciągnąć wnioski z przeszłości. W lutym 1993 roku reżyserka wysłała kopię filmu do Katowic. W liście informowała, że film został pokazany w telewizji przez BBC 10 lutego. Odniósł sukces – obejrzały go trzy miliony widzów. Wielu później dzwoniło do redakcji, pisało listy. Tylko jeden

z nich był krytyczny. Jakiś Polak pisał, że pokazano kłamstwa.

Alojzy Twardecki umiera 27 września 2016 roku. Kilka tygodni wcześniej zadzwonił do mnie. Długo rozmawialiśmy, wypytywał, co u mnie. – Moja polska mama już tam na mnie czeka – mówił, kiedy się żegnaliśmy.

Wielkanoc bez muzyki

Lubi długo przesiadywać na ławce, w słońcu, zawsze ciepło się ubiera. Mimo ciepłego popołudnia przychodzi w wełnianej kamizelce i kurtce. Ciepło kojarzy mu się z matką.

Jednak pierwsze wspomnienie małego Bogusia to ciepło od pieca, który stał w pokoju domu dziecka sióstr zakonnych jadwiżanek w Katowicach-Bogucicach. To ciepło Boguś dobrze pamięta. Wie, że wcześniej było mu zimno.

Bogumił Uniowski ma 75 lat i po raz trzeci w życiu spotyka się z dziennikarzem. Przynosi mi różę i zaprasza do cukierni z najlepszymi ciastkami w Gliwicach. – Najpierw w roku 1963 pisał o mnie Jacek Maziarski, potem w roku 1976 Krzysztof Kąkolewski. Teraz pani. Na pewno będziemy rozmawiać o matce? O tym, jak ją znalazłem? – upewnia się.

Był rok 1946, gdy ktoś podrzucił go do sierocińca. Kto? Jedna z zakonnice twierdziła, że przy furcie widziała kobietę. Inna, że to była kobieta z mężczyzną. Nigdy się już tego nie ustalili.

Wiadomo tylko, że chłopiec zostawiony pod furtą miał przy sobie kartkę z imieniem i nazwiskiem. Nie wiadomo, ile miał lat, skąd pochodził. Siostry przyjęły, że malec może mieć ze dwa lata. – Może jest z obozu w Oświęcimiu? – zastanawiały się. W miejsce urodzenia wpisały jednak Katowice. Rodzice nieznani. Imię i nazwisko malca przepisane z kartki – Bogusław Uniowski.



Bogumił Uniowski z ukochanym psem w Gliwicach

W Katowicach w 1946 roku setki ludzi szukają się nawzajem. Siostry są pewne, że jeśli ktoś będzie Bogusia szukał, zajrzy i do ich ośrodka w Bogucicach. Nie sprawdzają, czy ktoś o nazwisku Uniowski istnieje. Przyjmują, że jeśli przy dziecku była kartka, to z prawdziwym imieniem i nazwiskiem. Bo po co zostawiać kartkę z fałszywymi danymi? Zresztą, nie mają czasu na sprawdzanie czegokolwiek. Od kiedy skończyła się wojna, do ochronki co chwila przyjmują jakieś dziecko. Nikt nawet nie policzył, ilu wychowanków trafiło tu w 1945 roku. Rok później, gdy przyjmowały Bogusia, dzieci było rekordowo dużo – 247. W ośrodku panowała ciasnota. W 1947 roku

ubyło dziewięć dzieci. Ale rok później było ich znowu 253. W salach łóżka stały upchnięte na każdym wolnym metrze podłogi. Wystarczy porównać – dziś w tym samym budynku mieszka 84 wychowanków! I wszystkie miejsca są zajęte.

Wiek Bogusia siostry też prawdopodobnie zaniżyły. Ostatecznie sąd w nadanej metryce jako datę urodzenia przyjął rok 1942. Skąd pomyłka? Może dziecko było drobne, wątłe, nie mówiło?

* * *

Siostry nie mają problemów z Bogusiem. Nie choruje, przy stole nie grymasi, chętnie po sobie sprząta.

Dzieci w bidulu dużo mówią o mamach. Marzą, że kiedyś one przyjdą i je zabiorą. Boguś też tak mówi, nawet sobie tę mamę wyobraża. Starsza pani, może w okularach? Na pewno w kolorowej sukience. Gdzieś z boku w tych marzeniach stoi starszy pan. To tata. A obok – starsza od Bogusia dziewczynka, siostra. Może mieszkają za granicą?

Boguś wyobraża sobie, jak przytula się do kolorowej sukienki mamy. Jest przekonany, że coś strasznego musiało się stać, że został od rodziny odłączony. Na pewno wyjeżdżali, bardzo się śpieszyli, a on wtedy się zgubił. To tylko wyobrażenie, bo Boguś nic nie pamięta.

Inne dzieci chętnie przyjmują zaproszenia na święta z domów obcych ludzi. A on odmawia. Szkoda czasu, przecież w każdej chwili w drzwiach domu dziecka może się pojawić mama.

Z tą wizją kończy szkołę, zdobywa zawód ślusarza. Jest rok 1962. Według metryki ma dwadzieścia lat. Pierwszą pracę dostaje w warsztacie w Katowicach. Siostry pomagają mu znaleźć pokój przy rodzinie, przy ulicy Sobieskiego.

Gospodyni, pani Basia, podpowiada mu, żeby swoją historię nagłośnił w prasie. Chłopak jest niepewny, bo jak to tak, obcym ludziom o sobie opowiadać? W końcu się przełamuje. Idzie do redakcji „Dziennika Zachodniego”. Jego opowieści wysłuchuje Jacek Maziarski. 8 lutego 1963 roku w gazecie ukazuje się artykuł *Kim jestem naprawdę – w poszukiwaniu początku życiorysu*. „Najważniejszym celem jego życia jest obecnie odnalezienie najbliższych. Wierzy niezachwianie, nie rezygnuje. Obsesja, kompleksy? Niełatwo odpowiedzieć. Skutki wojny dają o sobie znać w sposób nieoczekiwany, odbijają się na ludziach, którzy nie mogą jej nawet pamiętać. Uniowski ma nadzieję, że jego życie stanie się inne, gdy uda mu się odnaleźć bliskich. Ale czy naprawdę?” – pyta autor.

Artykuł z gazety czyta mecenas Roman Hrabar. Wkłada go do teczki z napisem „sprawy warte rozpoznania”.

Kilka dni później odbiera telefon. Dzwoni urzędniczka z kuratorium. – Jest u nas młody człowiek. Szuka rodziców, nic o sobie nie wie. Zdaje się, że wywieziono go kiedyś do Niemiec. Mógłby pan coś pomóc? Nazywa się Bogusław Uniowski.

– Wiem już, o kogo chodzi. Mam wycinek z gazety. Proszę go do mnie przysłać.

Następnego dnia Boguś zakłada pod palto harcerski mundur. Garnituru nie ma. Od lat działa w harcerstwie i wierzy, że mundur doda mu powagi. Mecenas Hrabar zabiera go z kancelarii do swojego mieszkania. Niski, szczupły Boguś drepce speszony

obok wysokiego, eleganckiego adwokata. W przedpokoju mieszkania chłopak ściąga buty i wyjmuję z teczki pantofle.

– Nie trzeba – przekonuje Hrabar.

– Szanuję cudzą pracę. Ktoś przecież musi sprzątać, lepiej nie brudzić – odpowiada Boguś. Potem wyciąga z teczki starannie ułożone dokumenty. Są też świadectwa szkolne, listy, fotografie. – Czy uda mi się odnaleźć rodziców? Czy jeszcze żyją? Kim są? Byłem nawet u specjalisty, by na podstawie moich cech fizycznych i umysłowych określił, z jakiego mogę pochodzić środowiska. Mówił, że z inteligencji – mówi Boguś z przejęciem.

Ale dokumenty niewiele mówią. Hrabar podaje chłopakowi adres biura informacyjnego PCK w Warszawie, dopisuje nazwisko kierowniczkę. Boguś jedzie do stolicy, a Hrabar sprawdza akta opiekuńcze wychowanków w Bogucicach. Nic z nich nie wynika.

* * *

Kilka dni później Boguś wraca do mecenasa. Jest rozgorączkowany, drżącymi rękami wyjmuję z teczki karteczkę. „Maria Uniowska poszukuje syna Bogumiła urodzonego 12.04.1941 roku we Lwowie, syna Stanisława i Marii”. – Czy to może być moja matka? Poszukiwany jest Bogumił, a ja jestem Bogusław.

– Imiona są podobne, mogły się pomieszać. Wygląda też na to, że jest pan starszy o rok, niż wynika z nadanej przez sąd metryki – uśmiecha się adwokat.

Z PCK dostają adres. – Matka mieszka w Gliwicach, 29 km od Katowic. Jutro tam jadę. Tyle lat i tak blisko! – nie może nadziwić się Boguś.

Ale przed wizytą chłopak traci odwagę. Jedzie do domu dziecka w Bogucicach i prosi o pomoc swoją niedawną wychowawczynię. Zakonnica zgadza się mu towarzyszyć. Jest marzec, chłodno. Boguś założył futrzaną czapę. Taksówka zatrzymuje się przed kamienicą w Gliwicach. Wchodzą do klatki schodowej. Na jednej ze skrzynek pocztowych wypisane nazwisko: Uniowska. Boguś czuje, jak ciało zaczyna mu drżeć. I jest mu bardzo zimno. Serce wali jak oszałałe. Chce uciec, ale zakonnica podtrzymuje go za ramię. To ona zapuka do drzwi.

– Kto tam? – odpowiada ostry, damski głos.

– Szczęść Boże, jesteśmy z domu dziecka w Bogucicach – mówi zakonnica. Otwierają się drzwi. Boguś widzi przedpokój z wymalowanymi na różowo ścianami. I czuje, jak spływa na niego fala ciepła. W mieszkaniu stoi kobieta. Siwiuteńka, w fartuchu roboczym. Mama.

Boguś wbija wzrok w podłogę. Widzi, że starannie wyszorowana. Siadają przy stole. Zakonnica wyciąga karteczkę z PCK i zaczyna wyjaśniać powód wizyty. Siwiuteńka pani przestaje słuchać i krzyczy: – Czy to nie mój syn Bogumił?

Siostra ściąga Bogusiowi czapę. Matka rzuca się na niego, tuli, ściska, zanosi się płaczem. Boguś też płacze i wcale się tego nie wstydzi. Do mieszkania Uniowskiej zbiegają się sąsiedzi. – Mój chłopczyk, mój synek. Powiedz: „mama” – kobieta bierze Bogusia na kolana, jak dziecko. Boguś ledwie może mówić. Matka opowiada, że ma młodszego brata, Janusza. I ten brat, choć Bogusia jeszcze nie widział, bardzo go kocha.

Teraz jest w wojsku, ale jak wyślą telegram, to dostanie przepustkę i od razu przyjedzie.

Robi się późno. Zakonnica mówi, że musi wracać do Katowic. Boguś też zaczyna się zbierać do domu. – Tu jest twój dom. Gdzie chcesz iść? – pyta matka. No tak, przecież wreszcie znalazł swój dom, prawdziwy.

Matka przygotowuje mu pierogi, a Boguś opowiada o swoim dzieciństwie. Jak tęsknił, co robił, jak było w szkole. Wieczorem nie potrafi zasnąć. W mieszkaniu dwa łóżka stoją obok siebie. Potężne poduchy, pierzyny. Wygodnie i – co najważniejsze – ciepło. Ale obok leży obca twarz, która pochrapuje. Boguś się jeszcze jej nie nauczył. Czuje się skrępowany.



Boguś w wieku dwudziestu kilku lat

11 marca 1963 roku Hrabar w porannej poczcie znajduje list z Gliwic. „Nie umiem znaleźć słów wdzięczności i uznania dla Pana Mecenasa za tyle pomocy, rad, wskazówek okazanych memu najdroższemu synowi Bogumiłowi Uniowskiemu, odnalezionemu po 20 latach sieroctwa, opuszczenia, niedoli, braku macierzystego domu” – pisze matka. I wyjaśnia, jak było: „Syn mój, Bogumił, mając dwa latka, zachorował na zapalenie oskrzeli i katar kiszek, wobec czego oddałam go do szpitala

na ulicę Kurkową we Lwowie. Przez jakiś czas odwiedzałam Bogumiła w szpitalu. Po krótkim czasie nie zastałam już tam Bogumiła ani też nie potrafiłam w żaden sposób odnaleźć syna, mimo ustawicznych poszukiwań i rozpacz. A musi Pan pamiętać, że był to okres wojenny i ojciec Bogumiła, Stanisław, ukrywał się gdzie się dało przed okupantem jako były oficer polski. Wobec tego cały ciężar zmartwień i kłopotów spadł na mnie. Nie przestałam ani na chwilę myśleć i poszukiwać syna – lecz niestety bezskutecznie. Nastał rok 1944. Urodził nam się drugi syn – cieszyliśmy się ogromnie przed przyjściem jego na świat – ale mój mąż nie dożył tej chwili. Znalazłam się w ciężkiej sytuacji, przechodziłam ciężkie koleje życia wraz z niemowlęciem. Rozchorowałam się ciężko na nerwicę od bomb, aresztowań, nalotów i wojennej pożogi. W roku 1946 wyjechałam na Zachód, na Ziemię Odzyskane, na Śląsk. O Bogumile ani na moment nie mogłam zapomnieć i przypadkowo, wdając się w rozmowę z jedną lwowianką, rzekomo pracownicą ze szpitala na Kurkowej, dowiedziałam się, że syn Bogumił tam zmarł. W sercu pozostała z niepewności ogromna, nie zagojona rana po stracie dziecka. Myśli o Bogumile nieustannie mnie nurtowały. Rozpoczęłam poszukiwania w konsulacie polskim w Kijowie. Następnie w PCK w Warszawie” – opisuje matka adwokatowi. A Bogusiowi dopowiada szczegóły, których w liście nie ma: – W czasie tej wizyty w szpitalu, kiedy cię już nie zobaczyłam, jakiś niemiecki żołnierz zagroził mi drogę. Powiedziane było, że szpital ewakuowano w nieznanym kierunku.

* * *

Boguś specjalnie nie wnika w szczegóły. Leniuchuje. Matka przynosi mu do łóżka jedzenie. Całuje i tuli. Ponad dwudziestoletni mężczyzna czuje się, jakby był małym chłopcem. Dopiero uczy się pieszczot. Często jest zawstydzony, nawet zażenowany.

Sąsiad matki ma samochód. Razem jadą do Katowic po rzeczy Bogusia. Niewiele jest do zabrania. Pierzyna, widelce. – Mamo, ja dopiero zacznę pracować. Będę zarabiać, wszystko ci kupię! – obiecuje matce.

Do domu w Gliwicach przyjeżdża brat Janusz. Młody mężczyzna, podobny do Bogusia. Nikt nie może mieć wątpliwości, że to bracia. Rozmawiają cały dzień i noc. Potem Janusz pisze z wojska: „Ciebie kocham może więcej niż mamusię. Bo mamusię miałem zawsze, a ciebie nie”.

Matka korzysta z pomocy opieki społecznej. Od czasu do czasu handluje na targowisku gumkami do słoików i innymi drobiazgami. Ale od kiedy Boguś się odnalazł, cały czas zajmuje się synem. Rzadko coś sprzedaje. A Boguś chce się pochwalić nowym, prawdziwym domem. Urządza przyjęcia dla kolegów z domu dziecka. Stawia z pieniędzy zarobionych przez matkę wszystko, co najlepsze do jedzenia i picia. To kosztuje. Pieniądze topnieją.

Matka i syn większość czasu spędzają w domu. Ale coraz częściej dochodzi między nimi do kłótni. Matka znajduje Bogusiowi pracę w wyuczonym zawodzie ślusarza, ale on woli zostać w domu.

Nadchodzą święta Wielkanocy. Janusz pisze do Bogusia: „Poproś mamusię, żeby wyprała moją popelinową koszulę z białym sztywnym kołnierzykiem i przygotowała

dla mnie ubranie. Co jeszcze jest nie zrobione w domu? Naprawcie radio, żeby była muzyka”.

Ale muzyki w te święta w domu nie ma, choć matka oddała radio do naprawy.

Teraz, w gliwickiej kawiarni Boguś opowiada mi: – Wszystko się zaczęło jakoś komplikować. Ja chciałem czegoś innego, matka czegoś innego. Dziś złego słowa na mamę nie powiem, bo źle nigdy o zmarłych się nie mówi. Ale wtedy chciałem nadrobić tamte stracone lata. Poczuć, co znaczy mieć prawdziwe dzieciństwo. Mama chyba tego nie rozumiała. Chciała, żebym chodził do pracy. Ja nie chciałem. Wolałem być w domu. Nacieszyć się nią i domem. Tak dziś to widzę. Naprawdę chciałem czuć się małym chłopcem. Z początku tak mnie traktowała, ale z czasem chciała, żebym sobie zaczął życie układać. Jako przykład stawiała Janusza. Zapomniała, że jemu było łatwiej. Nigdy w domu dziecka nie był. Nie, żeby było tam strasznie. Ja na swój dom dziecka złego słowa nie powiem. Ale nie chował się bez matki. Chciałem być rozpieszczany, bo nigdy wcześniej nie byłem. Chciałem, żeby mama tylko mną się zajmowała. Nie chodziła do pracy. A przecież musieliśmy z czegoś żyć. Mamie z czasem przestało się to podobać. Nie mogłem tego zrozumieć: jak to? Ty mnie po tylu latach znalazłaś, powinnaś to przez całe życie świętować. Tak myślałem. Źle, bo powinienem wiedzieć, że po każdym święcie nadchodzi dzień zwykły, proza życia. Ale kto miał mnie tego nauczyć? Ja nigdy wcześniej niczego w swoim życiu nie świętowałem. Wie pani, myśmy się po prostu za późno spotkali. Nasze drogi musiały się rozejść.

* * *

Wiele wyjaśnia Krzysztof Kąkolewski w tekście, który został opublikowany w 1976 roku – Ten dziennikarz przyjechał do mnie do Gliwic. Jak on mnie odnalazł? Już nie pamiętam. Widać musiał ten pierwszy artykuł o mnie przeczytać. Albo ktoś mu o mnie opowiedział – wspomina Uniowski.

Z reportażu Kąkolewskiego dowiaduję się, że w czasie wielkanocnego śniadania u Uniowskich dochodzi do karczemnej awantury:

– Żebyś stał się tak dobrym synem jak Januszek – życzy Bogusiowi matka.

Boguś rzuca widelcem w talerz, biegnie do łóżka i na całe gardło jęczy. – Ojoj, ojoj. Nie wiem, czy tyś mnie urodziła! Wychowało mnie państwo, nie jestem niczym synem.

– Jakbym w grobie była. Drugi raz syna utraciłam. A może on umarł w tamtym szpitalu? On nie żyje. Po cóż ja go szukałam, po co znalazłam? – płacze matka.

W mieszkaniu Uniowskich już regularnie dochodzi do awantur. Przyjeżdża milicja. Matka z synem wzajemnie oskarżają się o szaleństwo i chorobę psychiczną. Janusz bezskutecznie próbuje oboje pogodzić. Kiedy po raz kolejny przyjeżdża z wojska na przepustkę, widzi, jak Boguś pakuje swoje rzeczy do walizki i wychodzi z mieszkania. Dostał pokój w hotelu robotniczym przedsiębiorstwa, w którym pracuje. Matka nie może przeboleć tej wyprowadzki. Idzie ze skargą do dyrekcji zakładu. Mówi, że Boguś niedobry i powinien być w domu. Na drugi dzień przynosi synowi jedzenie do pracy. Ale on hardy, nie przyjmuje. Szef wzywa Uniowskiego. Upomina, żeby życia prywatnego nie mieszać do pracy. Boguś obiecuje poprawę. Prosi w mieście

o przydział mieszkania i dostaje upragnione cztery kąty.

Pisze list do matki, ale dostaje kopertę z adnotacją, że adresat odmówił przyjęcia. Pisze kartkę: „Najdroższa, najukochańsza mamusiu”. Kartka wraca. Słowo „mamusiu” przekreślone. Pisze kolejne listy, ale wszystkie wracają. Prosi, by jego sprawę zbadał prokurator. Może on w końcu pogodzi syna z matką? Żąda od władz, by matce cofnięto rentę. „Bo ja chcę pomagać mamusi, chcę ją utrzymywać. Co miesiąc wręczać jej sumę na znak, że jestem jej synem, w ten sposób ją widywać. A ona nazwała mnie złodziejem i bandytą” – argumentuje w pismach do władz.

Tyle wiemy z reportażu Kąkolewskiego.

Matka zmarła ponad dziesięć lat temu. Boguś nigdy się z nią nie pogodził. Nigdy więcej już jej nie zobaczył. Nie odwiedził, nie poszedł z życzeniami na święta.

– Ona chciała innego syna. A może to ja miałem inne wyobrażenie o matce? Ale zawsze chciałem się z nią pogodzić. Co mnie powstrzymywało? Wierzyłem, że to ona zrobi pierwszy krok. Ona przyjdzie, powie: synu, pogóźdzmy się. Tak wtedy myślałem. Czy dziś bym inaczej zrobił? Wie pani, inaczej patrzy się na człowieka, jego zachowanie po jego śmierci. Dziś złego słowa o niej nie powiem. Ale jak żyła, to wciąż pamiętałem złe słowa, które mi parę razy wykrzyczała. Pamiętałem, że listów nie przyjmowała. Gdyby przyszła do mnie pierwsza, rękę wyciągnęła, inaczej by było. Ja zresztą widać nie byłem do życia w rodzinie stworzony. A może zbyt późno ją zyskałem. Z Januszem też nam było nie po drodze. Kochliwy był, cztery żony miał. Ja nigdy się nie ożeniłem. Ostatnia żona Janusza przybiegła kiedyś do mnie. Mówi, że matka ciężko chora, leży w szpitalu. Kilka dni zwlekałem, chyba się bałem widoku mamy przed jej śmiercią, tego, co mi powie. Może wciąż jeszcze będzie mieć pretensje, przypomni, że nie chciałem iść do pracy, że Janusz jest lepszy. W końcu poszedłem, ale lekarz powiedział, że za późno. Kupiłem pół litra i zaszedłem do kostnicy. Wódkę dałem tam facetowi, żeby mamusię mi pokazał. Leżała siwiuteńka, czyściutka. Przytuliłem ją mocno i za wszystko, co z mojej strony było złe, przeprosiłem.

Janusz już też nie żyje. A Bogumił mówi, że jemu najlepiej jest samemu. – To nie oznacza, że żyję samotnie. Mam psa. Znajomemu powinęła się noga, więc u mnie pomieszkuje. Trzeba sobie pomagać. Ja pomagać innym ludziom bardzo lubię – podkreśla.

* * *

Uniowski nie ma pewności, czy Stanisław – ojciec wspomniany przez matkę, to prawdziwe imię. – Ona specjalnie o nim nie mówiła. Pytałem, gdzie zmarł, gdzie grób? Cisza była. Może moim ojcem żaden Stanisław nie był? Nie daje mi też spokoju ten szpital we Lwowie. Miałem tam być z zapaleniem oskrzeli i katarą kiszek. A ja pamiętam, że nigdy w życiu nie chorowałem! Siostry zawsze chwaliły, jaki to ze mnie okaz zdrowia – zastanawia się Bogumił. – Tych tajemnic już nie odszyfruję, nie będę na sto procent wiedział, jak było.

– Może warto napisać do archiwum wojskowego – podpowiadam.

Dzwonię. Zastrzegam, że dysponujemy niewielką ilością danych: Stanisław Uniowski, oficer polski, ukrywał się we Lwowie. – W kartotece takie imię i nazwisko

nie figuruje. Może udałoby się cokolwiek odnaleźć, gdybyśmy wiedzieli, w jakiej jednostce służył. Albo gdybyśmy mieli zdjęcie w mundurze. Po odznaczeniach, emblematach też moglibyśmy ustalić jednostkę i wówczas być może jakąś informację znaleźć – mówi Iwona Bobrek z Centralnego Archiwum Wojskowego.

Doradza, żeby spróbować w Archiwum Akt Nowych, które dysponuje dokumentacją AK.

Piszę tam e-mail. Po dwóch miesiącach otrzymuję odpowiedź, że brak jakichkolwiek danych o takiej osobie.

– Może powinien pan szukać we lwowskich archiwach? To chyba ostatnia szansa na jakąś informację.

– Pewnie tak – zastanawia się Bogumił.

* * *

Miał więc rację Jacek Maziarski, gdy pytał, czy życie młodego Bogusia przy bliskich stanie się inne, czy nie stało się gorsze.

– Ale przecież ja matkę poznałem. Lepiej wiedzieć, niż żyć z dziurą w sercu. Wymyślać, marzyć, snuć plany. Ja jej dotknąłem, rozmawiałem. Wiem już, jaka była. A że nie wyszło? Trudno. Spotkania z nią nie żałuję. Prawda, nawet najgorsza jest lepsza niż pustka – zapewnia.

Czy gdyby nie został zabrany ze szpitala we Lwowie, byłby innym człowiekiem?

– Na pewno miałbym inny charakter. Od dziecka byłbym przy mamie. Przyzwyczajony do niej, ona do mnie. Nie obrażalibyśmy się na siebie. Bo przecież byśmy się już znali! Do takiej kłótni na pewno by nie doszło! Przecież ja przed spotkaniem z nią nie wiedziałem, czym jest miłość, bliskość. Bardzo tego potrzebowałem, ale nie wiedziałem, jak to jest kogoś kochać i być kochanym. Mama tego nie rozumiała. A ja nie rozumiałem mamy. A przecież ona też swoje przeżyła: straciła dziecko. Dopiero teraz o tym myślę, analizuję. Może gdyby odnalazła mnie, gdy miałem kilka lat, inaczej by było. Zdążyłaby mnie jeszcze wychować, ukształtować. Tylu lat nie dało się nadrobić. Za późno już było, za późno.

* * *

„Kiedyś pisałem, że matka łatwiej przeboleje wiadomość o śmierci dziecka, aniżeli pogodzi się z myślą, że żyje ono gdzieś wśród obcych, nieświadome swego pochodzenia. Potwierdza to historia Bogumiła. Okres od chwili zniknięcia jego z ulicy Kurkowej we Lwowie do chwili odnalezienia w domu dziecka w Katowicach pozostanie zapewne na zawsze tajemnicą. Istnieją dowody, że hitlerowcy wywozili do Niemiec dzieci ze szkół lwowskich, również ze szpitali. Jest najzupełniej możliwe, że taką drogę przebył Bogumił, repatriowany następnie z grupą innych dzieci. Dla Marii Uniowskiej wojenna martyrologia znalazła swój kres właściwie dopiero w marcu 1963 roku po odzyskaniu Bogumiła. Mam przed sobą otrzymany niedawno list z Łodzi. Matka, która po wojnie żyje tylko jedną myślą, że kiedyś odnajdzie dziecko, szuka rady, pomocy. Jej syn, Władysław, urodzony w 1942 roku wywieziony

został do Niemiec i ma przypuszczalnie przebywać gdzieś na Wyspach Fryzyjskich. Podobna historia jest z matką Krystiana z Katowic i wielu, wielu innymi. Dramaty te rozgrywają się w ciszy i milczeniu” – pisze mecenas Hrabar w kwietniu 1963 roku w artykule *Odnaleziony po dwudziestu latach* na łamach katowickiego dwutygodnika „Poglądy”.

Do tekstu jest dołączona czarno-biała fotografia. Trzy uśmiechnięte twarze. Po lewej Bogumił pod krawatem, w białej koszuli, ciemnej marynarce. Po prawej brat Janusz w mundurze wojskowym. W środku mama. W grubych okularach z trwałą ondulacją. Musiała wcześniej odwiedzić fryzjera. Bo widać, że włosy są ciemne, a nie siwe jak w dniu, gdy po raz pierwszy do jej drzwi zapukał poszukiwany syn.

Pytam Bogumiła, czy ma to zdjęcie. – Musiało się gdzieś zawieruszyć. Ale wciąż przechowuję wycinek z tej gazety.

Jesteś fałszywym synem

Rysiek nie lubi nowego mieszkania przy ulicy Grabowej. Wcześniej mieszkali z mamą przy ulicy Wesołej, w schludnym, jednopiętrowym budynku. Dla Ryśka ulica była nie tyle wesoła, co bezpieczna. Chłopiec najwięcej czasu spędzał pod stołem. Mamy często nie było, cały dzień pracowała. Rysiek bał się opuszczać dom. Nikt go nie rozumiał. Nie miał z kim rozmawiać, bawić się. Nawet mama go nie rozumiała. Słuchał każdego jej słowa, powtarzał kilka razy. D-O-M, MA-MA, RY-SIEK. A pod stołem było cicho, spokojnie, bezpiecznie.

Ale mama powiedziała, że trzeba im większego mieszkania. I znalazła je w starym domu przy ulicy Grabowej. Mieszkanie jest brudne, zapuszczone. Najgorzej, że w nowym miejscu są pluskwy. Gryzą. Chłopiec drapie się i boi. Uczy się nowego słowa. RO-BA-KI. Mama stara się to nowe miejsce posprzątać. To tak naprawdę jeden pokój. Piętnaście metrów kwadratowych. Najpierw mają tylko jedno łóżko. Rysiek śpi obok mamy. Potem dostaje swoje łóżeczko. Nie ma misia, do którego mógłby się przytulić. Nie ma żadnych zabawek.



Jedynе zdjęcie – dowód, na podstawie którego Janina Lachmann zabrała syna

Po kilku miesiącach wychodzi na podwórko. A właściwie wysyła go mama. Jest

ciepły dzień, szkoda siedzieć w domu. Na murku, przy trzepaku chmara dzieci. Krzyczą, biegają. Rysiek stoi niepewny. – Chodź z nami – kilkuletnia dziewczynka ciągnie go za rękę. Bawią się w berka. Rysiek nawet nie wie, kiedy dołącza, biega, śmieje się.

Kiedy kończy siedem lat, mama wysyła go do szkoły. Rysiek nie dostaje nowego szkolnego ubrania, tak jak wiele dzieci. Mamę najbardziej cieszy, że szkoła jest przy tej samej ulicy co ich dom.

Czasem w niedzielę jadą tramwajem w odwiedzinach do ciotki, na drugi koniec miasta. Po smacznym obiedzie Rysiek się nudzi. Ale wie, że musi siedzieć grzecznie przy stole. Inaczej mama się pogniewa.

– On mi nie pasuje! – po jednym z obiadów słyszy głos ciotki. Razem z mamą myją talerze.

– Przestań! To mój syn! – krzyczy mama. Rysiek słyszy dalej podniesione głosy. Cały czas mowa jest o synu. Gdy mama wchodzi do pokoju, chłopak boi się ruszyć z miejsca. – Idziemy do domu – z ulgą słyszy, że mama każe się ubierać.

Rysiek najbardziej lubi chodzić do szkoły. Na szkolnych korytarzach spotyka kolegów z podwórka. Przerwy spędzają razem. Po szkole też trudno ich rozdzielić.

– Rysiek! Obiad! – mama woła z okna. Chłopak ociąga się, ale idzie, nie chce złościć mamy.

W 1953 roku Rysiek ma już dziesięć lat. Dawno zapomniał, że kiedyś najchętniej siedział pod stołem. Uwielbia z chłopakami grać w szmacianą piłkę. Zimą do butów przywiązuje patyki. Na tak skonstruowanych łyżwach jeździ najlepiej na całym podwórku.

Tego dnia jak zwykle po szkole biegnie do domu. Na szyi dyndają mu klucze związane tasiemką. Otwiera drzwi. W kuchni widzi mamę i obcego mężczyznę. Na stole leżą jakieś papiery. Obok zdjęcie. Podchodzi bliżej. Na fotografii widzi chłopaka w jego wieku. – Pójdę już – żegna się mężczyzna.

Mama zamyka za nieznanym drzwi i wraca do stołu. – To jest mój syn – podnosi zdjęcie.

– To ja mam brata? – pyta Rysiek.

– Nie, to jest mój syn prawdziwy. Ty nim nie jesteś. Muszę cię oddać do domu dziecka – mama mówi spokojnym głosem. Jak zwykle rzeczowa, z charakterystycznym dystansem. Mijają minuty, zanim do chłopca dociera to, co powiedziała.

– Nie oddawaj mnie! – Rysiek pierwszy raz ośmiela się rzucić na mamę. Obłapuje jej ramiona, ręce, głowę. Uczepiony mamy prosi, błaga, krzyczy. Na koniec krzyk zmienia się w skowyt. Na próżno, mama zaczyna już pakować jego rzeczy.

Nigdy więcej w życiu Rysiek nie będzie płakać w ten sposób.

* * *

Chłopczyk przyjechał do Polski pociągiem repatriacyjnym z innymi dziećmi. Miał około pięciu lat. Był to rok 1947 lub 1948. Dokładna data nie jest ustalona. Przez pracowników UNRRA został zidentyfikowany jako dziecko polskie. Zgodnie z danymi z ostatniej rodziny zastępczej nazywał się Werner Gildemeister. Do Polski przewieziono go z punktu w Iserlohn w Zagłębiu Ruhry.

Jak trafił do Janiny Lachmann urodzonej w 1924 roku, pracownicy zakładów włókienniczych w Łodzi? 15 stycznia 1943 roku Janina Lachmann urodziła w Łodzi synka. Ojcem dziecka miał być Zdzisław Oberbeck. Nie wiadomo, czy rodzice chłopca byli małżeństwem. Sądząc po różnych nazwiskach, raczej nie. Zgodnie z relacją Janiny Lachmann kilka miesięcy po urodzeniu syn został jej odebrany przez Niemców, bo – mimo niemiecko brzmiącego nazwiska – nie chciała podpisać folkslisty. Kim był Zdzisław Oberbeck? Co się z nim stało? Nie wiadomo.

Chłopiec o pszenicznych włosach i błękitnych oczach przybył do Polski zaopatrzony jedynie w fotografię wykonaną w Iserlohn. Nie miał żadnych innych dokumentów.

Janina Lachmann poszukiwała syna. Nie wiadomo, kto i gdzie pokazał jej zdjęcie z Iserlohn. Wiadomo, że w uśmiechniętym chłopcu rozpoznała swego syna! Jak to możliwe? Przecież jej Rysio, gdy go zabierano, miał kilka miesięcy! Jak możliwe, że urzędnicy na tak kruchej podstawie jej uwierzyli?

Wyobrażam sobie spotkanie Janiny Lachmann z jakąś urzędniczką, urzędnikiem w gabinecie.

– To mój syn! Serce matki nigdy nie kłamie! – mogła mówić przejęta Janina Lachmann.

– Chłopiec ma szczątkowe dokumenty. Z tego, cośmy dostali z Niemiec, wynika, że urodził się 15 stycznia 1943 roku w Łodzi. Rzeczywiście, tak jak pani syn! UNRRA nie ustaliła jego prawdziwego polskiego imienia i nazwiska. Podają tylko niemieckie: Werner Gildemeister. Ale wiadomo, jak było: Niemcy mogli zniszczyć dokumenty albo zaginęły – urzędniczka, urzędnik kiwają głową ze zrozumieniem. Po wyjściu Janiny zastanawiają się: czy dla chłopca lepszy będzie dom dziecka? Nie, przecież lepiej mieszkać z matką, nawet taką nieudokumentowaną.

– Tyle mamy dzieci z Niemiec. Dobrze będzie, jak wszystkie znajdą dom, a my wreszcie zamkniemy sprawę – ostateczną decyzję podejmuje zwierzchnik urzędnika lub urzędniczki.

Kiedy w 1953 roku odnalazł się prawdziwy syn Janiny Lachmann, nie było żadnych wątpliwości. Jego tożsamość potwierdzała pełna dokumentacja. Urzędnicy nie mieli najmniejszych wątpliwości, że wcześniej doszło do fatalnej pomyłki.

* * *

Dziesięcioletni Rysiek trafia do pogotowia opiekuńczego przy ulicy Aleksandrowskiej. Nie pamięta, czy odprowadziła go mama. Nie pamięta, czy go pożegnała. W pogotowiu przypomina sobie to, o czym już zapomniał, czas sprzed przyjazdu na ulicę Wesołą. Widzi jakąś kobietę, później salę pełną dzieci. Znowu dorośli. Jakaś starsza, miła kobieta to chyba babcia. Otwierała okno i na parapet wysypywała okruchy chleba dla ptaków. Babcia w kuchni. Obierała śliwki. Widzi też ciemne pomieszczenie. Tam często wchodzi i zamyka się jakiś mężczyzna. Potem znowu sypialnia, a w niej dużo dzieci. I pociąg z piętrowymi łózkami w wagonach. Dzieci było tak dużo, że w jednym łóżku musiały leżeć dwójkami. Rysiek bardzo dobrze to pamięta, bo obok leżał chłopiec. Musiał bardzo źle się czuć, bo na niego zwymiotował. Po pociągu była mama... Rysiek nie chce o niej myśleć.

Już nie płacze. Bawi się z dziećmi, je za dwóch. Przenoszą go do innego domu dziecka im. Maksyma Gorkiego przy ulicy Krajowej. To dawny żydowski sierociniec. Po wojnie mieszka w nim wiele żydowskich dzieci, które przeżyły holocaust. Rysiek zaprzyjaźnia się z kucharkami. Te uśmiechniętemu blondynkowi nie szczędzą dodatkowych przysmaków. Lubi kierownika ośrodka. Niestety, niedługo po jego przybyciu kierownik znika, a jego miejsce zajmuje kierowniczką. Miłośniczką porządku. W ośrodku i wśród dzieci. Gdy znajduje papierek, rzuca cholera. Jak coś poważniejszego, musi być kara. Rysiek doświadcza tego po raz pierwszy, gdy wraca do domu dziecka w zabłoconych kaloszach. Kierowniczką łapie je i okłada nimi chłopca, gdzie popadnie. Po głowie, plecach, nogach.

W niedzielę nie ma odpoczynku. Kierowniczką zarządza, że dzieci mają pomagać w gospodarstwie przy sierocińcu. Są świnię, duży sad i ogród. Wszędzie ma być czysto! Sprzątanie jest właśnie w niedzielę.

W pierwsze Boże Narodzenie sierociniec pustoszeje. Dorośli zabierają dzieci. Ale po niespełna jedenastoletniego Ryśka nikt się nie zgłasza. Zostaje tylko z kilkoma kolegami. Zaczyna znowu myśleć o mamie. A miał już tego nie robić! Znienawidzić ją! Ale coś pcha go do wyjścia. Wkłada czapkę, ciepłą kurtkę, wychodzi. Sypie śnieg, jest strasznie zimno. Ale to go nie zniechęca. Wsiada w tramwaj. Daleko nie ujeżdża. Śnieżnica taka, że tory są zasypane. Ale coś dalej popycha chłopca w kierunku ulicy Grabowej. Brnie przez zasy. Przed drzwiami znanego sobie domu nawet sekundę się nie waha. Drzwi otwiera mu mama. Tego drugiego chłopca, tego prawdziwego syna, akurat nie ma. Mama daje herbaty i coś do jedzenia. Nie składa życzeń i nie przytula. Ale on się tego nie spodziewa. Przyzwyczaił się, że mama nigdy go nie dotyka. – Masz tu prezent – mama wyciąga z szafy pakunek. Rysiek rozdziera szary papier. W środku zielony, ciepłutki dres!

Z pakunkiem pod pachą, przez zasy, na piechotę wraca do bidula. Sam. Mama go nie odprowadza. Tramwaje ciągle nie jeżdżą. W domu dziecka przymierza dres. Pasuje jak ulał! „Ale skąd mama wiedziała, że przyjdę? Przecież mnie nie zaprosiła!”. Rysiek nie ma wątpliwości, dres był dla prawdziwego syna! On dostał, bo mama nie miała dla niego nic innego! Ale się nie gniewa. Zobaczył mamę, pobył chwilę w domu, jest szczęśliwy. Z dresu jest tak zadowolony, że w nim zasypia.

* * *

– Czy chcesz, żebym była twoją prawną opiekunką? – Rysiek od razu czuje, że polubi urzędniczkę z wydziału oświaty. Jutta Lewandowska ma sympatyczną twarz, dobre, spokojne oczy. Pochodzi z rodziny zamożnych łódzkich fabrykantów. Historię fałszywego Ryszarda Lachmanna zna z dokumentów. Bardzo chce chłopcu pomóc. Postanawia ustalić, kim naprawdę jest, znaleźć jego prawdziwą rodzinę. Lewandowska ma syna Krzysztofa, w wieku Ryśka. Chłopcy się zaprzyjaźniają. Rysiek często przychodzi do nich na obiad, pani Jutta daje mu książki do czytania, pomaga załatwić kolonie. Rysiek często wyjeżdża aż na dwa turnusy.

Chłopak ma już szesnaście lat, czuje, że coś znowu pcha go na Grabową. Może to myśl, że nie poznał jeszcze prawdziwego syna mamy? Tym razem zastaje go w domu.

Rzeczywiście wiek ten sam, ale na tym podobieństwo się kończy. Prawdziwy Rysiek ma kręcone, ciemne włosy, jak mama. – Więc to ty jesteś prawdziwym synem mamy – wita się Rysiek. Nie czuje gniewu, zazdrości. Mówi, że chciał go tylko poznać. Prawdziwy uśmiecha się, zaprasza do środka. Szybko łapią wspólny język. Fałszywy syn wspomina wybryki i zabawy z dziećmi na podwórku. Prawdziwy zapewnia, że nic się nie zmieniło. Umawiają się na kolejne spotkanie. Fałszywy przychodzi znów na Grabową. Z prawdziwym żartują: może by tak zrobić mamie niespodziankę? Ona ma zawsze dużo buteleczek z różnymi perfumami. „Zróbmy jej jedne, żeby już nie musiała wybierać, którymi się skropić”. Wlewają do garnka wszystkie pachnidła. Aromat wypełnia całą kuchnię, pokój. Może płyn w garnku zagotować? Gotowanie perfum, tego jeszcze nie było! Podekscytowani stawiają garnek na kuchence. – A co tak pięknie pachnie? – drzwi się otwierają i wchodzi mama. Z powodu zniszczonych perfum Janina Lachmann musi być zła, ale niczego nie okazuje. Nalewa herbatę. Chwilę z chłopcami rozmawia i fałszywy syn wychodzi.

* * *

Rok później wychowawca prosi Ryśka o pomoc. – Jest fucha do zrobienia w innym domu dziecka. Trzeba naprawić światło. Pomożesz mi?

Chłopak się zgadza, tym chętniej, że wychowawca obiecuje za to niezłe kieszonkowe.

Jadą. Na korytarzu wychowawca wita się z pracującym tam kolegą. – Przyprowadziłem do pomocy Ryśka Lachmanna – przedstawia.

– Ryśka Lachmanna? Przecież on jest u mnie! – dziwi się miejscowy wychowawca. – La-chmaaaaaan! – krzyczy na cały korytarz. Z jednej z sal wychyla się ciemna, kręcona czupryna. Rysiek zbyt dobrze ją pamięta, by mieć jakieś wątpliwości.

– Mama mnie oddała – mówi prawdziwy syn fałszywemu. – Mówiła, że sprawiam trudności wychowawcze. Już jej w Łodzi nie ma. Wyjechała do Kanady.

Rysiek wraca do swojego domu dziecka zamyślony. To już nie ma mamy? A może nigdy jej nie było? Dzwoni do pani Lewandowskiej. – Musimy to wszystko jakoś uregulować – mówi opiekunka. I zaczyna załatwiać sprawę w sądzie. Rysiek dostaje nową metrykę i w końcu przestaje być Ryśkiem. Od teraz na imię ma Zdzisław. Nazwisko, spolszczone, po fałszywym, nieznanym ojcu – Oberbecki. Datą urodzenia pozostaje 15 stycznia 1943 roku. W rubryce ojciec: Wiesław Oberbecki, matka: Janina z domu Stefaniak. Miejsce urodzenia: Łódź.

* * *

Zdzisław szybko przyzwyczaja się do nowego imienia. Czuje, że wraz z nim zmieni swoje życie. Kończy osiemnaście lat i znajduje pracę w fabryce transformatorów Elta. Zapisuje się do zaocznego technikum elektromechanicznego. Koniecznie chce mieć maturę.

Ma już dwadzieścia lat, a wciąż mieszka w sierocińcu. O własnym mieszkaniu może tylko pomarzyć. Z pomocą przychodzi kierownik z fabryki. – Dostałem przydział

na mieszkanie w bloku. Mam dwa pokoje z kuchnią w starej kamienicy. Chcesz zobaczyć? – pyta. Zdzisław jest zachwycony. Kierownik pomaga załatwić przydział z kwaterunku i Oberbecki wreszcie wyprowadza się z domu dziecka. Jako wyprawkę dostaje metalowe łóżko i biurową szafę.

Jest rok 1965. Do sąsiadki w nowym domu często przychodzi jej koleżanka Alicja. Ma dziewiętnaście lat i jest sierotą. Zdzisław nieśmiało proponuje, że odprowadzi ją do domu. Coraz częściej bywa u sąsiadki. I za każdym razem odprowadza Alicję. Po którymś spotkaniu zaczynają sobie opowiadać: o dzieciństwie, braku rodziców, samotności. Dwa lata później Zdzisław oświadcza się. – Dosyć już tego spotykania się. Trzeba zacząć żyć razem – przekonuje.

Na ślubie i weselu w roli teściowej Alicji występuje Jutta Lewandowska. Za pieniądze od gości Oberbeccy kupują m.in. żyrandol, który przez całe życie będzie świecić w ich saloniku.

Młoda para często zaprasza Lewandowską. Przy którymś spotkaniu opiekunka wyznaje. – Zdzisiu, wszędzie szukałam twoich rodziców. Pisałam do polskiego i niemieckiego Czerwonego Krzyża. Nic. Znalazłam kilka dokumentów, ale nic nie wyjaśniają. Z wyjątkiem tego, który wydział oświaty wystawił Janinie Lachmann. Kiedy odnalazł się prawdziwy Ryszard Lachmann, urząd zaproponował, że będzie za ciebie płacić. Żeby tylko cię nie oddawała. Janina Lachmann się nie zgodziła.

Alicji wilgotnieją oczy, ale Zdzisław zaciska szczęki. – Napiszę do niej. Może coś pamięta, może dostała jakiś dokument – postanawia.

Od Ryszarda Lachmanna dostaje adres mamy w Montrealu. „Mamo, napisz proszę, co wiesz. To dla mnie bardzo ważne”. „Nic nie wiem. Nie było przy tobie żadnych dokumentów” – dostaje odpowiedź z Kanady.

W 1969 roku Oberbeckim rodzi się syn, Piotr. Jutta Lewandowska czuje się jego babcią i tak każe mówić do siebie. „Mamo, urodził mi się syn” – Zdzisław pisze do Montrealu. W odpowiedzi dostaje list i banknot pięćdziesięciodolarowy.

W 1973 roku Oberbecki dostaje list z Niemieckiego Czerwonego Krzyża. Niejaka Wanda Wiechert poszukuje swojego syna. Urodził się w 1942 roku. Do Niemiec został zabrany jako Walter Egon Schultz. Może chodzi o Zdzisława?! By to sprawdzić, trzeba wysłać do Niemiec próbkę krwi. Alicja i Zdzisław są pełni nadziei. Wyobrażają sobie, kim może być pani Wiechert, jak wygląda. Wszystko kończy odpowiedź z Instytutu Medycyny Sądowej i Socjalnej Uniwersytetu Christiana-Albrechta: „Pani Wanda Wiechert nie może być matką rodzoną Zdzisława Oberbeckiego”.

* * *

Pod koniec lat 70. Zdzisław otrzymuje kolejny list. Tym razem z Katowic. Mecenas Roman Hrabar prosi o spotkanie. Informuje, że przyjeżdża do Łodzi na spotkanie prawników. A że pisze książkę o germanizowanych dzieciach, bardzo mu na spotkaniu z Oberbeckim zależy. Nie wiemy, w jaki sposób Hrabar trafił na historię Zdzisława. Czy ktoś mu ją opowiedział, czy sam natrafił na jakieś dokumenty.

Spotykają się w jednym z łódzkich hoteli. Adwokat zadaje precyzyjne pytania o przeszłość Zdzisława. Coś notuje. Na koniec prosi o możliwość wykorzystania historii

Oberbeckiego w swojej książce. „Trudno dziś orzec, czy Janina Lachmann była faktycznie zdolna zidentyfikować dziecko, którego dłuższy czas nie widziała. Może tak bardzo pragnęła dać upust swym macierzyńskim uczuciom, że nawet cień podobieństwa wystarczył, by uznała Rudolfa (Hrabar podaje takie niemieckie imię Oberbeckiego, z dokumentów wynika, że brzmiało ono Werner) za swego syna. Może w głębi duszy nie wierzyła w odzyskanie własnego dziecka i chciała dać ciepło domu rodzinnego cudzemu. W każdym razie jedno jest pewne – nie przewidziała, jak tragicznie skończy się to dla chłopca” – pisze Hrabar w książeczce *Przeciwko światu przemocy*.

„Matka rozszołała się na dobre.

– To Ryszard, mój syn – powiedziała wśród łkań.

– Jak to, mam, masz dwóch synów i tak samo się nazywają? Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

– Nie, mam tylko jednego syna... Z tobą... to straszna pomyłka... Dowiedziałam się o tym dopiero dzisiaj. Mieszkał cały czas w Berlinie i także nie wiedział, że ma matkę w Polsce... Boże, Boże, co ja zrobię...

Zaczęła mu gorączkowo pokazywać jakieś papiery. – Patrz, tu są dokumenty z Berlina i od naszych władz. Nie ma wątpliwości. Synku, ty nie miałeś żadnych dokumentów... Tylko ta fotografia...

Chłopiec spoglądał na te dokumenty oczyma pełnymi łez. Pojmował z wolna straszną prawdę.

– Więc kim ja jestem? Jak się nazywam? Gdzie jest moja prawdziwa mamusia?

Nie otrzymał odpowiedzi. Objęty go ramiona już nie matki, nie wrywał się, łkał tylko bezgłośnie. Zrodziło się w nim nagle poczucie krzywdy i żalu do wszystkich, do całego świata” – pisze Hrabar.

Tyle że nie tak było. Hrabar scenę podkoloryzował. Po co? Książeczka ukazała się w 1982 roku. W połowie stanu wojennego. Być może autor ugiął się pod wpływem cenzora. No bo przecież matka Polka nie może być bez serca! Obojętna!

Bez względu na upiękzone zachowanie Janiny Lachmann domyślam się, że głównym celem Hrabara było nagłośnić sprawę za wszelką cenę. Może ktoś się zgłosi! Bo znalezienie prawdy o rodzicach zawsze było dla Hrabara najważniejsze.

Oberbecki nie wie, czy Hrabar prowadził w związku z nim jakieś poszukiwania. Jeśli jednak szukał, to nic nie znalazł. Oberbeckim przesłał tylko książkę z dedykacją.

* * *

Oberbeccy wciąż dostają listy z Kanady. Janina Lachmann pisze, że wyszła tam za mąż. Przysyła fotografie. Patrzy z nich jak zwykle elegancka kobieta. Opisuje, że mąż jest dobrze sytuowany, na zimę opuszczają Kanadę, przenoszą się do Miami. Alicja wysyła jej słownik, bo Janina skarży się, że zaczyna zapominać polskie słowa. I zioła lecznicze, bo Janina narzeka, że tylko w Polsce takie można kupić.

Każdy list do Kanady Zdzisław zaczyna od „mamo”. Dlaczego? Jest przekonany, że nie wypada inaczej. Ostatni list Oberbeccy otrzymują od Janiny w 2011 roku. Kobieta informuje w nim, że zdecydowała się zamieszkać w domu opieki.

Prawdziwy Ryszard zmarł w 1991 roku w wieku 48 lat. Do niego matka też pisała. Przynajmniej tak opowiadał Zdzisławowi.

Zdzisław dziś jest już na emeryturze. Całe życie przepracował w Elcie. Od 50 lat mieszkają z Alicją w tym samym mieszkaniu, które pomógł załatwić kierownik. Z tym samym żyrandolem, który kupili po ślubie. Jest ciepło, przytulnie, po domowemu. – Mąż nigdy nie był czuły, nie mówił mi, że mnie kocha – przyznaje Alicja Oberbecka. – Ale ja mu nigdy nie miałam za złe, że taki jest. Od kogo się miał tej czułości nauczyć? Od nikogo miłości nie dostał.



Zdzisław Oberbecki w swoim mieszkaniu w Łodzi

Jeszcze raz analizujemy przeszłość Zdzisława. Ostatnie pismo z 1993 roku z Polskiego Czerwonego Krzyża. Czytamy: „Uprzejmie informujemy, że biuro nasze jest w posiadaniu arkusza ewidencyjnego wywiezionego dziecka, sporządzonego przez Polski Czerwony Krzyż Okręg Śląsko-Dąbrowski w Katowicach oraz innych informacji, z których wynika, że Lachmann Ryszard ur. 15.1.1943 roku Łódź. Ojciec: Oberbeck Zdzisław. Matka: Lachmann Janina ur. 24.6.1924 roku zamieszkała: Łódź ul. Wesoła 23 m.2. Ryszard Lachmann został zabrany od rodziców i wywieziony z Łodzi we wrześniu 1944 roku do Niemiec do Sanglingsheim koło Frehufen. Umieszczony został u Niemki Miller w Klausdorf, następnie u rodziny Gildemeister, która dała dziecku nowe imię i nazwisko – Werner Gildemeister. Z rodziną tą wyjechał do Essen, następnie przebywał w domu dziecka w Essen. Od 20.6.1948 roku do 5.7.1948 roku przebywał w ośrodku repatriacyjno-opiekuńczym dla dzieci. Skąd został odebrany i przekazany matce – Lachmann Janinie”.

– Wygląda, jakby ktoś zlepił ze sobą życiorysy dwóch różnych osób – przyznają Oberbeccy.

Śledzimy odległości między podanymi miejscowościami. Być może w piśmie popełniono literówkę i nie chodzi o Frehufen ale o Freihufen. To wieś Dłoń w Wielkopolsce, w powiecie rawickim. Stamtąd mały Zdzisław lub Ryszard miał trafić do Klausdorf. Nie wiadomo, czy chodzi o dzielnicę Schwentintal – miasto w Szlezwiku-Holsztynie, czy o gminę leżącą też na północy Niemiec. Stamtąd przemierzył co najmniej 400 km, by znaleźć się w Essen. PCK w piśmie nie informuje, że po Essen chłopak trafił do Iserlohn – ponad 60 km od Essen. I tylko o tym ostatnim miejscu możemy mówić z całkowitą pewnością. Świadczy o tym fotografia, ta sama, na której syna rozpoznała Janina Lachmann. Na jej odwrocie znajduje się adnotacja poddelegatury nr 4 PCK w Iserlohn.

Nie wiadomo, jakie koło zatoczył prawdziwy Ryszard Lachmann, zanim w 1953 roku oddano go matce.

– W moim przypadku wszystkie scenariusze są możliwe. Może w ogóle nie jestem Polakiem? Może z Niemiec przewieziono mnie przez pomyłkę? Nikt się o mnie nie upominał, bo rodzice mogli nie żyć, innych bliskich nie było. Ale równie dobrze mogę Polakiem być. Niemcy mogli mnie uprowadzić. A gdy nadeszło wyzwolenie, nikt się po mnie nie zgłosił. Mnie wszystko jedno, jakiej narodowości byli rodzice. Byliby nie byli pijakami, łajdakami – mówi Zdzisław.

– Nigdy nie zapytał pan Janiny, dlaczego pana nie zatrzymała? Wiedział pan, że państwo chciało jej za to płacić.

– Zapytałem. Napisała tylko, że nie poradziłaby sobie z dwójką chłopaków.

– Z jednym też nie dała rady. Dlaczego oddała prawdziwego syna?

– Z prawdziwym Ryśkiem miałem sporadyczny kontakt. Czasem się widywaliśmy. Opowiadał, że w domu u matki się nie przelewał. On święty nie był. Ona nie potrafiła go utemperować. Sprawiał jej poważne problemy różnymi wyskokami. W końcu nie wytrzymała i go oddała.

– A jak to się stało, że Janina Lachmann wyjechała do Kanady?

– Pojechała do swoich dwóch siostr, które tam mieszkały. Dostała zaproszenie na odwiedzinę, z których już nie wróciła.

– Ma pan do niej żal?

– Miałem, gdy byłem małym chłopcem. Nie za to, że mnie oddała. Ale za to, że nie chciała mieć ze mną nic wspólnego. Ja do niej przychodziłem, ale ona do mnie nigdy. To najbardziej bolało. Kiedy byłem już dorosły, ożeniłem się i ból się zmniejszył, bo Ala zawsze była ze mną. Na przeszłość machnąłem ręką. Już nie czułem złości. A ona była jedyną osobą w pewien sposób mi bliską – ją znałem, pamiętałem od wczesnych lat dzieciństwa.

– Gdyby pana nie oddała, byłby pan innym człowiekiem?

– Na pewno moje życie byłoby łatwiejsze. Miałbym kogoś bliskiego. Janina Lachmann mnie nie przytulała. Ale przynajmniej by była. Nie wiedziałbym, czym jest samotność. Nie wiedziałbym, czym jest odrzucenie. Ale czy przez to byłbym lepszym albo gorszym człowiekiem? Nie wiem.

Dwie Renaty

Mama jest taka piękna. Niska szatynka, ale jaka zgrabna! Żakiet eleganckiej garsonki podkreśla talię osy. Delikatny makijaż, na szyi sznur pereł. Mama stoi naprzeciwko mnie. Czekam. To ona musi powiedzieć pierwsze słowo, wykonać pierwszy gest. Mamo, powiedz to wreszcie! Nie musisz brać mnie w ramiona, płakać ze szczęścia na mój widok! Chcę tylko usłyszeć twój głos. Mamo, powiedz, czemu mnie nie szukałaś? Czemu się do mnie nie odezwałaś? Mamo, ja ci wszystko wybaczę, ale musisz mi to powiedzieć!

* * *

16 grudnia 1944 roku rozpoczyna się niemiecka ofensywa w Ardenach. To ostatnia próba przejęcia przez Niemców inicjatywy na froncie zachodnim i rozbicia wojsk alianckich. Ofensywa przekształca się w klęskę. Wojska radzieckie tymczasem zmierzają na Berlin. Wcześniej, 26 listopada Himmler rozkazuje zniszczyć krematoria i komory gazowe w Auschwitz-Birkenau. Komory ostatni raz są użyte dwa dni później. Więźniowie, którym udaje się przeżyć, zostają w styczniu 1945 roku ewakuowani w głąb Rzeszy. Również w styczniu setki tysięcy Niemców ze wschodnich prowincji Rzeszy uciekają w mroźne, zimowe dni przed Armią Czerwoną. Nieuchronnie zbliża się klęska III Rzeszy.



Renia Juras już w Polsce

Tymczasem 14 grudnia 24-letnia Stefania Juras rodzi w domu położniczym przy Hindenburgstrasse 59 w Augsburgu dziewczynkę. Miasto położone w południowo-zachodniej Bawarii jest nękane nalotami alianckich bombowców. Celem ataków są tutejsze fabryki Messerschmitta. W każdej chwili może dojść do kolejnych nalotów. Stefania śpieszy się, dziecko zostaje ochrzczone już kilka godzin po porodzie. Dostaje imię Renata.

Stefania pochodzi z Wojniłowa, 100 km od Lwowa. Nie wiemy, jak trafiła do Niemiec. Czy została zabrana na roboty? Czy była w obozie w Dachau, którego filia

znajdowała się w Augsburgu? Wiadomo, że Stefania pracuje jako tkaczka w tkalni „Aura” przy Kazböckstrasse 4 w Augsburgu. W szpitalu w rubryce „ojciec dziecka” podaje Herberta Sarcha narodowości niemieckiej.

Każdemu dziecku urodzonemu w Niemczech przez polską robotnicę groziło, że przejmie je Lebensborn. Zwłaszcza gdy jego ojcem był Niemiec. Czy mała Renata trafiła pod taką „opiekę”? Jeśli tak, to zapewne w ośrodku Hochland pod Monachium, 100 km od Augsburga. Wiadomo z całą pewnością, że w czerwcu 1947 roku mała Renata jest już w Stuttgarcie. A właściwie w transporcie kolejowym, który z Niemiec zmierza do Polski. Pociąg 1 lipca zatrzymuje się na stacji kolejowej w Katowicach. Renata trafia do miejscowego domu dziecka. Ale jest tam tylko kilka dni. Dziewczynkę zabiera do domu małżeństwo Herwichów. W jej arkuszu ewidencyjnym czytają, że ostatni adres pobytu ojca dziecka jest nieznany. W przypadku matki to UNRRA Team 114 Augsburg w strefie amerykańskiej. To nic innego jak obóz dla dipisów. W adnotacjach „uwagi” zapisano: „Matka odwiedzała dziecko regularnie aż do lutego 1946 roku. Dziecko zdaje się być normalne, dobrze rozwinięte i inteligentne”. Z dokumentu nie wynika, dlaczego matka przestała odwiedzać córkę.

* * *

Nowi rodzice postanawiają, że Renata dalej będzie nosiła nazwisko Juras, bo może kiedyś odnajdą się jej prawdziwi krewni. Józef i Eleonora Herwichowie mają już dorosłych synów – Ferdynanda i Zbigniewa – i nie są już najmłodszy. Eleonora to rocznik 1894, Józef jest od żony pięć lat młodszy. Na zabranie dziecka Eleonorę namówiła koleżanka. Opowiadała, że do Katowic przychodzą całe transporty maluchów. Niektóre z nich nie mają rodziców. Herwichowie chcą oszczędzić jednemu z dzieci traumy dorastania w sierocińcu.

Józef jest lekarzem. W 1935 roku rodzina przyjechała do Katowic z Wielkopolski. Zajmuje duże, wysokie na trzy i pół metra mieszkanie w kamienicy przy ulicy Kochanowskiego, w samym centrum miasta. Wnętrza są gustownie urządzone. Obrazy na ścianach, rzeźbione kredensy, kryształowe lustra, fortepian, na którym często gra mama. Tata towarzyszy jej i akompaniuje na skrzypcach.

Trzyletnia Renia dostaje własny pokój. Pierwszą rzeczą, jaką zapamięta, jest jej własny chrzest: ksiądz, odświętnie ubrani rodzice. Pierwszą zabawkę, którą dostaje od mamy – lalka w krakowskim stroju. Renia prawie nigdy się z nią nie rozstaje. Zabiera ją nawet na spacer do parku Kościuszki. Bo tam najczęściej zabiera ją tata. I chętnie fotografuje: Renia w piaskownicy, Renia biegnie parkową alejką, Renia stoi obok drzewa. Z tatą dziewczynka żartuje, biega. Przy mamie nie ma takiej swobody. Eleonora jest wymagająca i rzadko okazuje córce czułość. Dziewczynka ma się nauczyć dobrych manier, kulturalnego zachowania.



Renia z przybranym ojcem Józefem Herwichem w parku Kościuszki w Katowicach

– Renia, drzwi się zamyka. Nie wolno nimi trzaskać – napomina. Renia przez całe życie będzie o tym pamiętać i nienawidzić odgłosu zatraskiwanych drzwi.

– Renia, jak dorośli rozmawiają, nie przerywaj. Poczekaj, powiesz później. Na pewno chętnie cię wysłuchamy – powtarza Eleonora przy gościach. Renia bardzo chce wszystkie uwagi zapamiętać. Podziwia Eleonorę, która jest spokojna, dystyngowana. Podobnie ojciec. Zawsze ze starannie wypielęgnowanym wąsikiem, w wykrochmalonej koszuli i garniturze. Rodzice nigdy nie podnoszą na nią ręki. Nie ma awantur. Jak Renia coś zbroi, we trójkę siadają przy stole w jadalni i rozmawiają.

– Reniu, za godzinę wychodzę do koleżanki. Wtedy włączysz tę dziwną muzykę – mówi mama. Renia posłusznie wyłącza adapter z płytą ukochanego Czesława Niemena.

W domu alkohol na stole pojawia się tylko w kryształowej karafce. Kiedy Renia będzie miała ponad dwadzieścia lat, na swoje urodziny postawi butelkę wódki na stole. – Renia! Gdzie ty jesteś i z kim?! – woła Eleonora. I grozi, że zaraz zemdleje.

* * *

Dziesięcioletnia Renia bawi się na podwórku. – A twoja mama nie jest twoją mamą! – mówią koleżanki z kamienicy. Renię w środku coś paraliżuje, ale niczego nie daje po sobie poznać. Jak gdyby nigdy nic skacze na skakance. Dopiero po jakimś czasie biegnie do domu, do swojego pokoju. Co robić? Czy o tym, co się zdarzyło na podwórku, powiedzieć mamie? Dopiero po kilku dniach Renia decyduje się na rozmowę.

– Twoja prawdziwa mama nie żyje – przyznaje Eleonora.

– A ty wiedziałaś, że umarła? – pyta dziesięciolatka.

Eleonora potwierdza i na tym kończy się rozmowa. Dla Reni to sprawa zamknięta. Już jako dorosła kobieta będzie rozumieć tamtą odpowiedź matki. – Cóż innego miała mi wtedy powiedzieć? Zburzyć cały mój świat? To, co miałam już poukładane w głowie? To nie miałyby żadnego sensu.

Renia kończy w Katowicach technikum ekonomiczne. Jest towarzyska, ale nie umawia się na randki z chłopakami. – Jak tak będziesz robić, to nie wyjdiesz za mąż – przestrzegają koleżanki. „Małżeństwo? Jakie małżeństwo?” – myśli Renia. Przecież ona w ogóle tego nie potrzebuje. Chce być sama, sama o sobie decydować. Być wolna. Bo wiadomo, że jak małżeństwo, to i dzieci. Renia do dzieci nie łąnie. Na szczęście rodzice nie namawiają, nie popędzają.

Eleonora zamiast o małżeństwie, chce z nią porozmawiać o przeszłości. Dorosłej już Reni wyjaśnia, że kiedyś ją okłamała. Że jako dziecko została przywieziona z Niemiec. Pokazuje dokumenty.



Renia u pierwszej komunii



Renia z przybranymi rodzicami – Józefem i Eleonorą Herwichami

Renia kłamstwa nie ma za złe. Trudno jej uwierzyć, że gdzieś daleko może mieć prawdziwą matkę, prawdziwego ojca. Herwichów kocha, to dla niej jedyni rodzice. Ale musi dowiedzieć się prawdy: kto dał jej życie. – Poszukamy jakiejś informacji. Przecież musi się dać coś ustalić – pociesza ją Eleonora. I pisze do Polskiego Czerwonego Krzyża.

Pierwsze informacje przychodzą o Herbercie Sarchu. – To był żołnierz Wehrmachtu. Zginął pod Pszowem. Tam też został pochowany – matka odczytuje pismo.

Nadchodzi rok 1973. Najpierw umiera ojciec. Miesiąc później mama. To najgorszy rok w życiu Reni. Zostaje na świecie sama jak palec. Przy życiu trzyma ją praca. Najpierw w chorzowskich wodociągach, potem w katowickim Urzędzie Wojewódzkim i w Urzędzie Miejskim w Katowicach. Coraz częściej myśli, że dobrze zrobiła, nie decydując się na dziecko: „Przez jakiś czas bylibyśmy razem, a później ja bym umarła i moje dziecko zostałoby same. Jak teraz ja. Po co miałyby to wszystko przechodzić? Po co miałabym komuś taki los fundować?”.

Wciąż próbuje się czegoś dowiedzieć o swojej przeszłości. Jedzie do Pszowa. Z Katowic to tylko 60 km. Renia rozmawia z księdzem miejscowej parafii. Ten potwierdza: na tutejszym cmentarzu są pochowani niemieccy żołnierze. Sprawdza dokument ze spisem. Potwierdza: tu leży Herbert Sarch.

Renia nie przeżywa, że ojciec był Niemcem, walczył z Polakami. Na Śląsku, choć o tym głośno się nie mówi, prawie w każdej rodzinie ktoś służył w Wehrmachcie. Przez chwilę się zastanawia, czy szukać niemieckich dziadków, jakiejś rodziny ojca. Szybko rezygnuje – dziadkowie pewnie już nie żyją. Lepiej skoncentrować się na poszukiwaniach osoby najważniejszej – matki.

W Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Katowicach pokazuje dokumenty, opowiada o sobie. Jej przypadek bada Roman Hrabar. Renia czeka na jakieś informacje. Bez skutku.

Do Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Katowicach w połowie lat 70. puka też inna Renata. Renata Wiśniewska urodziła się 14 października 1943 roku w Chełmży, małej miejscowości pod Toruniem. Jej ojcem też jest niemiecki żołnierz.

– To była wielka miłość. Mieszkańcy miasta mamy nie potępiali. Mówili tylko, że ładna z nich para. On wysoki blondyn, ona o cygańskiej urodzie. Tata w 1942 roku załatwił mamie pracę telefonistki w sztabie wojskowym, żeby ją uchronić przed wywiezieniem na roboty. Gdy wyjeżdżał w 1944 roku, przyrzekał mamie, że po nas wróci. Pisał listy. Ostatni w 1945 roku. Prosił, żeby mama na niego czekała, bo on na pewno nas ze sobą zabierze. Ale kiedy zaczęło się wyzwalenie, babcia wszystkie zdjęcia, dokumenty spaliła. Zostawiła tylko ten mały skrawek papieru – Renata pokazuje Hrabarowi. Na skrawku jest zapisana jej data urodzenia oraz imię i nazwisko: Fridrich Eitzen.

Hrabar w sprawie poszukiwań Renaty Wiśniewskiej pisze do Niemieckiego Czerwonego Krzyża.

– Mama czekała. Ale w końcu w 1954 roku wyszła za męża. Razem z ojczymem przenieśliśmy się na Śląsk, do Gliwic. Ojczym bił mnie, dokuczał. Byłam uparta, on mówił, że mam w sobie butę niemiecką, hitlerowską. Bardzo często, gdy widziałam mężczyznę przechodzącego ulicą, wyobrażałam sobie, że idzie mój prawdziwy tata – będzie wspominać Renata Wiśniewska w 1993 roku w audycji radiowej I Programu Polskiego Radia *Kimkolwiek jesteś* Hanny Bogoryja-Zakrzewskiej i Jadwigi

Jenczelewskiej.

„Wielce szanowna Pani, Pani ojciec Fridrich Eitzen powiadomił nas przez swego adwokata, że nie zgadza się na podanie adresu. Pani zapytanie spowodowało zakłócenia rodzinne. Ponieważ w międzyczasie upłynęły trzydzieści dwa lata, on nie słyszał o Pani matce i o Pani. Nie chce on uznać, aby podjęcie kontaktów miało jakikolwiek sens” – Hrabar przekazuje Renacie Wiśniewskiej pismo z Niemieckiego Czerwonego Krzyża.

* * *

W 2013 roku z największego archiwum danych osobowych z czasu wojny w Bad Arolsen Renata Juras też otrzymuje nowe dokumenty w sprawie swoich poszukiwań. W jej przypadku to pierwsze konkretne informacje. W czerwcu 1949 roku Stefania Juras wypełniła kwestionariusz. Imię wpisała w zdrobniałej formie: Stenia. Z dokumentu wynika, że w 1938 roku mieszkała w miejscowości Jezierzany w powiecie Borszczów. Dziś to Ukraina. We wrześniu 1939 roku uciekła do Lwowa. W styczniu 1940 roku jej matka i siostra zostały deportowane przez NKWD do sowieckich łagrów. Ona uniknęła deportacji, bo tej nocy spała u znajomych. Z jej informacji wynika, że matka i siostra zmarły w transporcie do łagru. W czerwcu 1941 roku Niemcy zajęli Lwów. Wtedy zaczęła pracować w Cafe Lewandowski. W kwietniu 1944 roku została wywieziona do Niemiec.



Renata Juras w swoim mieszkaniu w Katowicach

Najprawdopodobniej Stefania Juras była już wówczas w ciąży. Herberta Sarcha musiała znać jeszcze ze Lwowa.

Urzednicy pytają Stefanię w kwestionariuszu, czy chce wrócić do domu. Odpowiedź jest krótka: „nie”. „Czy chcesz być repatriowana?” – „nie”. Stefania wyjaśnia, że ziemie, na których wcześniej mieszkała, to już ZSRR. A tam absolutnie nie chce wracać.

Kolejny dokument datowany na 13 czerwca 1949 roku pochodzi z Włoch. To wniosek ze zdjęciem w sprawie wyjazdu do Argentyny!

Według szacunkowych obliczeń Amerykanów pod koniec wojny w samych Niemczech znajdowało się około sześciu i pół miliona przesiedleńców. Zdecydowana większość z nich to robotnicy przymusowi. W czerwcu 1945 roku alianckie Naczelne Dowództwo zorganizowało konferencję dotyczącą przesiedleńców i jeńców wojennych. Przyznano, że tysiące z nich nie mogą wrócić do swoich krajów. Do grupy bezpieczeństwa zaliczono m.in. mieszkańców polskich Kresów Wschodnich.

W 1946 roku w Niemczech, Austrii i Włoszech przebywał nadal milion uchodźców z Europy Środkowej i Wschodniej. Mieszkali oni w dawnych obozach hitlerowskich, nowych, zbudowanych specjalnie po 1945 roku, a także w willach, koszarach, a nawet kinach.

1 lipca 1947 roku po rozwiązaniu UNRRA powołano IRO – *International Refugee Organization*. IRO miało biura nie tylko w Europie, lecz także w Ameryce Południowej, Kanadzie oraz Afryce Północnej. Zawarła nawet porozumienia z kilkoma krajami południowoamerykańskimi, które były zainteresowane przyjęciem nowej siły roboczej. Zachęcała uchodźców do wyjazdu za ocean. Ewakuowała ich nawet z Niemiec i Austrii do Włoch, gdzie w Genui mieli wsiadać na statek. Według umowy zawartej między IRO a włoskim rządem uchodźcy mieli być odsyłani do krajów ojczystych albo nakłaniani do emigracji za ocean. W rzeczywistości byli przenoszeni z miejsca na miejsce. I tak mijały całe lata. Między 1946 a 1956 rokiem tysiące ludzi szukało we Włoszech pracy, kwaterunku albo włączyło się po kraju.

* * *

IRO zakończyło działalność 30 czerwca 1950 roku. Od tej pory odpowiedzialność za uchodźców spoczywała na powołanym przez ONZ urzędzie – Wysokim Komisarzu Narodów Zjednoczonych do spraw Uchodźców.

– Czy mama rzeczywiście chciała jechać do Argentyny? – zastanawia się Renata.

Wspólnie przeglądamy dokument. Jest na nim informacja, że Stefania Juras jest zarejestrowana przez IRO. – Argentyna... Argentyna... W tamtych latach kojarzy się tylko z jednym – przyznaje Renata.

Rzeczywiście, po 1945 roku Argentyna stała się ulubionym krajem zbiegłych nazistów. Już w trakcie wojny Argentyna znana była ze swojego proniemieckiego nastawienia. Dopiero pod presją Stanów Zjednoczonych w marcu 1945 roku wypowiedziała Niemcom wojnę jako ostatni kraj na świecie. Po wojnie była zainteresowana przede wszystkim ściąganiem niemieckich naukowców i specjalistów.

Argentyńczycy stworzyli we Włoszech skuteczny system oficjalnej, ale też

nielegalnej rekrutacji. W tym drugim przypadku pomagali im esesmani i przemytnicy. Według oficjalnych źródeł od 1946 do 1955 roku do Argentyny wyjechało ponad 66 tysięcy osób urodzonych w Niemczech. Ilu trafiło tam nielegalnie? Ze zmienioną tożsamością, narodowością? Trudno ocenić.

Każdy, kto chciał wyjechać, musiał najpierw znaleźć pracę lub uzyskać obietnicę pomocy od znajomych w Argentynie. Dopiero wtedy mógł złożyć wniosek emigracyjny w konsulacie. Z powodu dużego zainteresowania uchodźców cała procedura mogła trwać kilka miesięcy. Trzeba było czekać.

– Najbardziej prawdopodobne wydają się dwa scenariusze. Albo mama została przekonana do wyjazdu przez IRO. I miała wyjechać jak każdy inny uchodźca, który nie chciał wracać do swojego kraju. Albo też poznała kogoś, kto się tam wybierał. I wcale nie jest powiedziane, że był to jakiś zbiegły nazista – mówi Renata.

Szacuje się, że po zakończeniu II wojny światowej do kraju nie powróciło około pół miliona Polaków, którzy osiedlili się nie tylko w Europie Zachodniej czy w Stanach, lecz także w Kanadzie, Australii i Argentynie. Do Argentyny właśnie w latach 1945–1950 wyjechało 20–22 tysiące Polaków.

– Nie wiadomo, czy mama do Argentyny jednak wyjechała. Chciała, złożyła wniosek, ale w tym miejscu ślad się urywa – dodaje Renata.

* * *

Ostatnie znane miejsce pobytu Stefanii to włoskie Merano. Miasto leżało na jednej z tras wędrówki uchodźców do Włoch: z uzdrowiska Nauders w Tyrolu przez przełęcz Resia, wzdłuż rzeki Adygi właśnie do Merano i dalej Bolzano. Wiadomo, że pograniczne Merano w latach 1945–1947 stało się przystankiem dla żydowskich emigrantów zmierzających do Palestyny. W kwietniu 1945 roku załamała je fala uciekinierów z Francji. Byli to kolaboranci rządu Vichy. W miasteczku ukrywał się wówczas Sturmbannführer Alois Schinholzer, w czasie wojny odpowiedzialny za represje przeciw partyzantom i ludności cywilnej we Włoszech. W niedalekim Bolzano zaś – Erich Priebke, gestapowiec odpowiedzialny za rozstrzelanie 335 zakładników pod Rzymem. Ten zbrodniarz przedostał się zresztą do Argentyny, gdzie mieszkał potem pod niezmiennym nazwiskiem.

Miasteczko dało schronienie Antonowi Mallothowi, strażnikowi z obozu Theresienstadt. Żył tam spokojnie przez dziesięciolecia. Żona i syn Josefa Mengele osiedlili się w Merano w 1962 roku. Fałszywe dokumenty otrzymał tam Adolf Eichmann.

Jak do Merano dotarła Stefania Juras? Z dokumentu wynika, że nie przebywała we włoskim obozie dla dipisów, ale mieszkała w miasteczku. Czy była sama? Jeśli tak, to skąd Polka wywieziona na roboty miała na to pieniądze? Jeśli nie, to kto jej towarzyszył?

Stefania wniosek o wyjazd do Argentyny złożyła 13 czerwca 1949 roku. Z dokumentu wynika, że przed dotarciem do Merano, w 1947 roku, przebywała w Monachium. W rubryce „miejsce pracy” w latach 1945–1947 wpisane jest: UNRRA. Z fotografii patrzy młoda szatynka ze sznurem koralu na szyi. Wyglądają na drobniutkie perły.

Ostatni dokument to list do Stefanii z 29 czerwca 1949 roku. Jest zaadresowany do Merano. IRO z Rzymu prosi ją o uzupełnienie wniosku. Urzędnicy nie piszą, o jakie informacje czy dokumenty chodzi. Stefania Juras na uzupełnienie ma dwadzieścia dni. Jeśli tego nie zrobi, jej wniosek zostanie anulowany. Czy Stefania to zrobiła? Czy była jeszcze wówczas w Merano? Czy w końcu wyjechała do Argentyny? Ślad się urywa.

– Nie szukałam już mamy w Argentynie. Informacje z Bad Arolsen dostałam w 2013 roku. Akurat wtedy musiałam zająć się na poważnie sobą i leczeniem. Ale wciąż chciałabym usłyszeć jej wytłumaczenie, dlaczego tak się stało – mówi Renata. – Sama próbuję ją usprawiedliwiać. Nie potrafię uwierzyć, że wymazała mnie ze swojej pamięci. Coś musiało się stać! Oczywiście, ktoś może powiedzieć, że jestem naiwna. Przecież czasem matka zostawia dziecko, nie chce go. Ale moje serce czuje, że mama by tak nie zrobiła! Musiała mieć jakiś powód. Może przed czymś, kimś uciekała? Może się rozchorowała? Może poznała jakiegoś mężczyznę? Postanowiła się z nim związać, wyjechać, zacząć nowe życie. Ale wierzę, że chciała mnie później do siebie sprowadzić. Z drugiej strony wiem, że to tylko teoria stworzona na mój własny użytek. Choć trzeba przyznać, że żaden dokument, w którym matka się mnie zrzeka, nie istnieje! A Niemcy przecież wszystko starannie dokumentowali.

Wiem, że już za późno, mama już mi niczego nie powie. Sama mam 72 lata. Mam problemy z kręgosłupem. Czasem ból jest tak silny, że nie mogę chodzić. Jakiś czas temu zmarła moja suczka Tina. Znowu jestem sama jak ten palec na świecie.

* * *

Próbuję odnaleźć Renatę Wiśniewską. W audycji radiowej *Kimkolwiek jesteś* z 1993 roku śmiało opowiadała o swojej przeszłości. Dziadek czy ojciec z Wehrmachtu przestał być na Śląsku cichą tajemnicą. „Nie zobaczę ojca przez prawo, które chroni swoich obywateli. To rodzaj bariery, tajemnicy. Jak to można przełamać? Przekonać, że ja chcę tylko zobaczyć swojego ojca! Chcę go tylko zobaczyć! Inaczej zostaje żal, niedosyt” – mówiła Renata. Zapewniała, że z drugiej strony go rozumie. Założył rodzinę i nieślubne dziecko z Polką byłoby kompromitacją. „Ale ja nic od niego nie chcę. Chciałabym go spotkać i spojrzeć mu w oczy”.

Jadę do Gliwic. Drzwi otwiera mi starszy mężczyzna. – Moja żona już dawno temu zmarła. Kilka lat po tej audycji – rozkłada ręce. Zaprasza do kuchni. – Jej ojciec z Niemiec nigdy nie zmienił zdania. Ona pisała co pewien czas, dopytywała się w Czerwonym Krzyżu, ale on konsekwentnie się nie zgadzał. Przeżywała to bardzo. Przed śmiercią żałowała, że nigdy go nie poznała – opowiada.

* * *

Zastanawiam się, co zrobiłaby Stefania Juras, gdyby dotarła do niej jej córka. Renata wciąż wyobraża sobie, że mama stoi naprzeciwko niej. Piękna, elegancka. Renata bardzo chce usłyszeć jej głos. Mama jednak stoi i Renata nie widzi już nic więcej. Taką scenę odtwarza sobie w głowie całe życie i nigdy nie widzi jej zakończenia.

– Moja mama rozwiła się jak poranna mgła. Nie raz miałam do niej żal. Ale nigdy

jej nie przeklełam. Potem żal minął, myślałam: a jakie ona miała życie? Co ona przeszła? Młoda dziewczyna bez rodziny, znajomych, domu, wywieziona do obcych na roboty. Przez tą moją poplątaną przeszłość zdecydowałam się na samotność. Nigdy nie chciałam zakładać rodziny. Bałam się sprowadzić własne dziecko na świat. Nigdy nikomu w stu procentach nie wierzyłam. Nikogo nie byłam pewna. Gdyby mnie nie rozdzielono z mamą, pewnie byłabym inna. Może miałabym siostry, braci, dużą rodzinę. Spotykalibyśmy się na świętach, urodzinach. Pewnie wyszłabym za mąż i miała własne dzieci. Dobrze by się żyło. Wesoło, bezpiecznie, wśród bliskich i przyjaciół. W całym życiu tylko przez chwilę tak było: dawno temu w mieszkaniu na Kochanowskiego.

Zmarli nie noszą okularów

„Jerzy Antoni Walaszek naskiĝis en 1943 en Linz (Aŭstrio) en la Durchgangslager n-ro 39 (la germana dum milita deviglabora portempa bagno). Administra laboranto, lektoro pri Esperanto, bibliotekisto, guidanto de aŭtobusaj ekskursoj, 1997–2006 membro de Ĉefa Estraro de PEA” – czytam w Wikipedii. Bibliotekarz, kierownik wycieczek autobusowych, 1997–2006 członek Zarządu Głównego Polskiego Związku Esperanto. Jerzy Antoni Walaszek o esperanto może mówić godzinami. Zawsze chciał dobrze poznać jakiś obcy język. Próbował łaciny, francuskiego. Bez powodzenia. W 1958 roku, mając piętnaście lat, w księgarni w rodzinnym Sosnowcu znajduje cieniutkie *Esperanto w 10 lekcjach*. Kupuje. W domu od razu czyta. Ale po kilku stronach odkłada niepokieszony. W książce brakuje wyjaśnień fonetycznych, nie wiadomo, jak słowa się wymawia.

Po roku z ogłoszeń miejscowego domu kultury dowiaduje się o kursie tego języka. Uczy się wymawiać słowa z literami opatrzonymi daszkami i z dalszych zajęć rezygnuje. Nie lubi zorganizowanych lekcji, na których ktoś stoi nad głową, patrzy na ręce, przepytuje. Uczy się sam, w domu. Po dwóch miesiącach zaczyna szukać informacji o spotkaniach esperantystów. Nawiązuje kontakty i, co najważniejsze, wreszcie może porozmawiać w obcym języku! Jaka satysfakcja, jaka przyjemność! Zwłaszcza że Jerzy, jak sam o sobie mówi, wieloma sukcesami nie może się pochwalić.

W 1965 roku obywatel Jerzy Antoni Walaszek ma już uprawnienia do nauczania esperanto na wszystkich poziomach. Jeździ na kongresy za granicę. Poznaje ludzi nie tylko z Europy, lecz także ze Stanów czy z Japonii, z którymi bez problemów może korespondować. W 2009 roku dostaje międzynarodowe uprawnienia do nauczania.

Jerzy sypie faktami, nazwiskami słynnych esperantystów.

– Dziś to jednak język niszowy – zauważam.

– Bo mamy wszechobecny angielski, tak jak kiedyś był francuski, a jeszcze wcześniej łacina. Ale mnie ten język wciąż zachwyca. Bo mogę swobodnie się komunikować. Bo tak się go dobrze nauczyłem. A przecież nawet studiów nie skończyłem. Chciałem być budowniczym, kształtować otoczenie. Przeczytałem mnóstwo książek. Ale nic z moich planów i marzeń nie wyszło – wzdycha. – Gdyby nie wojna, ukończyłbym studia. Miałbym jakąś pozycję zawodową. Zapewniłbym mojej rodzinie lepsze, wygodniejsze życie. Nie miałbym nerwicy. Byłbym zdrowym, pewnym siebie człowiekiem. Znałbym mamę. Wychowałaby mnie tak, że wierzyłbym w siebie, we własne możliwości. Odnosiłbym zawodowe sukcesy, a mama by się cieszyła, mówiła: „Synu, zawsze w ciebie wierzyłam”.

* * *

Miejscowość Wels koło austriackiego Linzu. W gospodarstwie u bauera jest kilkoro

dzieci. Wśród nich trzyletni Anton. On z tego miejsca na zawsze zapamięta wysoki mur z dużą bramą okalający dom. I dorożkę, którą wywożono dzieci. Znikają po kolei, aż Anton zostaje sam. Któregoś dnia słyszy: – Czeka cię podróż. Chodź do kuchni, musisz się porządnie najeść.

Anton dostaje solidną pajdę chleba i kubek gorącego mleka. Szybko pije do końca, parzy język. Dorośli wsadzają go do dorożki. Stukot kół i wypite mleko po chwili usypiają chłopca. Budzi się dopiero na dworcu w Linzu. Na peronie czekają na niego siostry zakonne. Są też inne dzieci: dziewczynka z obandażowaną nogą i trzech chłopców. W przedziale jest ciasno. Anton śpi w schowku na bagaż. Od czasu do czasu otwiera oczy. Za oknem pociągu widzi wirujące płatki śniegu. W końcu zakonnice budzą, każą się ubierać. Pociąg zatrzymuje się na stacji Katowice.

Na dworze jest zimno. Siostry z dziećmi idą pośpiesznie ulicami. Nocują w jakiejś kamienicy. Anton dostaje tam prawdziwy kożuch.

Na drugi dzień wszyscy jadą do miejscowości Sarnów, kilkanaście kilometrów od Katowic. Tam w dużej willi mieszkają już inne dzieci. Wszystkie uczą się mówić po polsku. Jest listopad 1946 roku.

* * *

W Sosnowcu Helena traci jedynego syna. Janusz miał tylko dwanaście lat. Wypadek nie wyglądał groźnie. Janusz biegł wzdłuż muru szkolnego budynku. Zza rogu niespodziewanie wybiegł inny chłopak. Zderzyli się. Janusz głową uderzył o ziemię. Niby nic, wstał, otrząsnął się, poszedł dalej. Po lekcjach wrócił do domu. Powiedział tylko, że boli go głowa i żołądek. Zmarł kilka dni później.

Helena nie potrafi ukoić bólu. Coraz gorzej dogaduje się z mężem. Występuje o rozwód. Znajduje sobie mieszkanie przy ulicy Sadowej. Wciąż pracuje jako pielęgniarka w sosnowieckim szpitalu.



Jurek z przybranymi rodzicami – Heleną i Janem Walaszkami

Nie wiadomo dokładnie, w jakich okolicznościach, być może w pracy, w szpitalu Helena poznaje Jana Walaszka. Wrócił właśnie z obozów. Był w Dachau i Gusen. To wrak człowieka. Helena chce się nim zaopiekować. Szybko decydują się na ślub. W 1946 roku ona ma 37 lat, on dwa lata mniej. Uważają, że są zbyt starzy, aby mieć dzieci. Od razu więc decydują się na adopcję. Dowiadują się o ośrodku dla dzieci w Sarnowie.

Walaszkanie jadą do domu dziecka. Helenie zależy na chłopcu. Najlepiej, żeby był choć trochę podobny do przybranych rodziców. I żeby choć trochę przypominał

utraconego Janusza. W grupce dzieci na podwórku przed willą widzi chłopczyka o kruczoczarnych włosach. Walaszkanie też są ciemni. – Będzie pani miała kłopot z tym dzieckiem. Chłopak jest uparty – przestrzega siostra zakonna. Pokazuje dokumenty. Z wypisanej czarnym gotykiem metryki wynika, że chłopczyk to Anton Schepke urodzony w Linzu 3 kwietnia 1943 roku. Nie wiadomo, kto jest ojcem dziecka. W dokumentach o matce jest tylko tyle, że nie żyje, a na roboty do Austrii została wywieziona w wieku 22 lat z Nowego Sącza. Nazywała się Maria Schepke. Po polsku to jakby Maria Rzepka.

Helena i Jan decydują się. W 1947 roku, na Matki Boskiej Zielnej jadą do Sarnowa. Zabierają Antona do Sosnowca na ulicę Sadową. Od tej pory nazywa się Jerzy Antoni Walaszek.

* * *

Jurek przez rok nie chodzi do szkoły. Musi się nauczyć mówić biegle po polsku. Ale potem szybko znajduje kolegów.

- A ty jesteś adoptowany – oznajmiają mu pewnego dnia.
- Co to znaczy, że ja jestem adoptowany? – Jurek pyta Walaszków w domu.
- Twoi rodzice zginęli na wojnie. A myśmy cię wzięli. I teraz to my jesteśmy twoją mamą i twoim tatą – wyjaśnia Helena.
- Aha – mruży chłopak i na długi czas o wszystkim zapomina.



Kilkunastoletni Jurek Walaszek

Na honorowym miejscu w domu Walaszków wisi duże zdjęcie Janusza. W ramie szerokiej na metr i wysokiej na półtora. – To Jurek? Zupełnie niepodobny – dziwią się niektórzy goście.

Jurkowi nikt nie zrobił zdjęcia. Helena nigdy nie przytula chłopca. Od czułości woli rozmowę. O książkach, nauce, polityce. Jurek lubi rozmawiać, ale cierpi, gdy matka wspomina Janusza. Kłóćą się. Bo Janusz na pewno zrobiłby coś lepiej, byłby lepszym uczniem i synem. Jan zwykle się nie wtrąca, ma problemy ze zdrowiem. Z żadnej oceny Jurka Helena nie jest zadowolona. A Jurek uczy się dobrze. I coraz więcej rozumie. – Skąd wiesz, że moi prawdziwi rodzice zginęli? Przecież była wojna, chaos. Ludzie nic o sobie nie wiedzieli – pewnego popołudnia Jurek wraca do sprawy.

– O ojcu nic nie wiem. Ale matka cię porzuciła – komunikuje Helena.

– Skąd wiesz? Widziałas to na własne oczy? – drąży Jurek. Helena stoi jak zamurowana. Jurek nigdy nie widział jej tak milczącej i zaciętej. Matka kończy rozmowę bez słowa i wychodzi z pokoju.

Jurek nie daje za wygraną. Postanawia, że za wszelką cenę musi dowiedzieć się prawdy. Pierwsze kroki po osiemnastych urodzinach kieruje do Urzędu Stanu Cywilnego. Dowiaduje się, że jego matką jest nieżyjąca Maria Schepke, a ojciec jest nieznany. Później przez kilka dni boli go żołądek. Musiał się czymś struć. Pije parzone przez Helenę zioła, ale ból nie ustępuje. Tępy, świdrujący, przechodzący wprost do mózgu. Jurek poci się, drżą mu ręce. Nie potrafi ani myśleć, ani na niczym się skoncentrować. Co mu dolega? Nie wiadomo. Po kilku dniach bóleści mijają. Chłopak wraca do nauki i książek. Bez problemu dostaje się na studia, na budownictwo na politechnice.

Problemy zaczynają się na drugim roku w czasie sesji zimowej. Znany ból żołądka powraca z jeszcze większą siłą. Jurek nie może spać ani patrzeć na jedzenie. Lekarz stwierdza nerwicę. Jurek na podleczenie się bierze rok dziekanki. Po przerwie wraca na studia. Kiedy zbliżają się egzaminy końcowe, historia się powtarza. Jurek wyje z bólu. Chce już tylko spokoju. Rzuca studia. Znajduje pracę w biurze projektowym. Po kilku miesiącach czuje, że jej nie wytrzyma. Ciągłe ktoś mu coś rozkazuje, ciągle od niego wymaga. „Przynieś”, „zrób”, „źle”, „popraw”, „niedobrze”. Jurek ma wrażenie, że wszyscy patrzą na niego wrogo. Znajduje biurowy etat w innym przedsiębiorstwie. Po roku jest tak zestresowany, że nie może wstać rano z łóżka.

W ciągu trzydziestu lat Jurek pracuje w piętnastu różnych miejscach. Najlepiej jest mu w bibliotece Akademii Muzycznej w Katowicach. Cisza, spokój, mili petenci, żaden szef nie sterczy nad głową. Ale idylla nie trwa długo, Jurek dostaje wypowiedzenie. Powodem, jak czyta, jest brak wykształcenia muzycznego.

* * *

Ewę poznaje na spotkaniu esperantystów. Ona dopiero uczy się języka. Jurek mówi już płynnie. Może właśnie dlatego przy dziewczynie czuje się ośmielony. Zaczyna się z nią umawiać. Kiedy się pobierają, on ma 23 lata, ona 21.

Helena nie jest zadowolona. W roli synowej widziała inną kandydatkę. A wcześniej

planowała, że Jurek zostanie księdzem. – Nie nadaję się! – wścieka się Jerzy. – Pamiętasz, jak chciałaś, żebym został ministrantem? Zostałem, bo chciałaś, ale wytrzymałem tylko dwa tygodnie. Nawet czytałem książki o religii, żeby z tobą później rozmawiać. Ale nie to mnie w życiu interesuje.

Jerzy wybiega na spacer. Chce jak najszybciej przerwać kłótnię. Żeby tylko ból nie wrócił.

W 1977 roku Jerzy ma już dwuletnią córkę, Joannę. Jest jego oczkiem w głowie. Przestał myśleć o swojej przeszłości.

Ale którejs nocy ma sen, którego nigdy nie zapomni. Budzi się zlanym potem. Patrzy na zegarek. Jest 4.45. Budzi Ewę i mówi: – Widziałem własną matkę. Nie Helenę, ale tę, która mnie urodziła! Taka pani po pięćdziesiątce z ciemnymi włosami. Miała okulary. A przecież zmarli nie noszą okularów! Powiedziała tylko jedno słowo: „Rowno” – krzyczy Jurek. Biegnie do regału. Szuka encyklopedii. Rowno – po rosyjsku, po polsku – Równe. Miasto na Ukrainie.

„Pojadę, dowiem się czegoś. Mama dała mi wskazówkę” – myśli Jurek. Ale jak dostać paszport? Jurek zaczyna szukać książek o przymusowych robotnikach dla Rzeszy. Kim mógł być mój prawdziwy ojciec? Austriakiem? Ukraińcem? Polakiem? Wiadomo, że związki między robotnikami były zakazane. Dzieci robotnic po porodzie były zabierane. Czy mama rzeczywiście umarła? Czy dziecko zostało jej odebrane siłą? Jurek sprawdza i zdaje sobie sprawę, że Maria Rzepka wcale nie musi pochodzić z Nowego Sącza. Stamtąd po prostu mogła zostać zabrana na roboty. Do miasta w czasie wojennej zawieruchy mogła trafić zupełnie przez przypadek! Co robić? Jak znaleźć? Jak poznać prawdę?

Ktoś ze znajomych radzi Jerzemu jechać do Katowic i znaleźć mecenasa Romana Hrabara. – Jest pan moją ostatnią deską ratunku – oznajmia Jerzy adwokatowi. Wręcza mu swoją metrykę. A Hrabar obiecuje, że sprawę zbada.

* * *

Kiedy Jurek ma 30 lat, umiera Jan. Helena zostaje sama. Jurek stara się ją odwiedzać chociaż raz w tygodniu. Obiecuje sobie, że do starych spraw już nie będzie wracał. Pomaga w zakupach, sprzątaniu. Z niepokojem czeka na ustalenia Hrabara. Po pewnym czasie mecenas zaprasza na spotkanie. Jerzy jest rozczarowany. Mecenas nie był pomocny. Uporządkował tylko fakty: „Robotnica rolna Maria Schepka (zapewne Czepka lub Rzepka) urodzona 13 marca 1922 roku, rzekomo w Nowym Sączu, urodziła 3 kwietnia 1943 roku w obozie przejściowym nr 39 w miejscowości Linz w Austrii. Urodzenie dziecka zgłosił kierownik okręgowej kliniki kobiecej w Linz pismem z 8 kwietnia tego roku”. Taka jest treść zapisów w akcie urodzenia. „Jerzy Walaszek poszukuje bezskutecznie śladów swojej matki Marii. Urząd Stanu Cywilnego w Nowym Sączu nie zdołał odnaleźć jej aktu urodzenia. Trudność ta może wynikać ze zniekształcenia nazwiska przez administrację w Linz lub błędnego wpisu miejsca urodzenia matki” – notuje Hrabar. Niestety nic więcej nie ustala.

Jerzy po pięćdziesięciu latach, po raz ostatni, próbuje rozmawiać o sobie z Heleną. – Dlaczego traktowałaś mnie z takim dystansem?

– Bo przecież ty nie jesteś moim prawdziwym dzieckiem – mówi starsza pani. Jerzy wie, że kiedyś na takie słowa wybuchnąłby płaczem. Ból żołądka rozsadziłby mu całe ciało. Ale dziś na staruszkę patrzy ze smutkiem i docenia jej szczerłość. Myśli: Przecież u Walaszków krzywda mi się nie działa. Co by się ze mną stało, gdyby wtedy mnie nie wzięli? Gdzie bym trafił? Może jeszcze gorzej. Przynajmniej wyrosłem u nich na porządnego człowieka. A nerwica i ból to już nie ich wina. Przecież życie miałem dobre. Helena wychowała mnie tak, jak umiała. Mam żonę, córkę, która studiuje w Krakowie. Tylko moich studiów i pracy żal. To jedno bym zmienił.

Helena Walaszek umiera w 1998 roku, mając blisko 90 lat.

W 2000 roku Jurek chce jechać na Ukrainę. Ale znowu ma dziwny sen. Jakiś głos w głowie huczy: „Nie jedź, bo możesz nie wrócić!”. Jurek odkłada wyjazd. Czyżby stał się przesądny? A może boi się powrotu bólu?

* * *

Do marca 1943 roku Niemcy nie podejmowali żadnych działań w stosunku do ciężarnych robotnic i ich dzieci urodzonych na terenie Niemiec. W Niemczech obowiązywał zakaz aborcji. Ale ciąża osłabia siły robotnicy. A rodzące się dzieci wzmacniają siłę biologiczną wrogich narodów. Dopuszczono więc aborcję wśród robotnic. By zachować pozory legalności, przerwanie ciąży miało się odbywać na wniosek kobiety. Odbywało się to w ten sposób, że ciężarnej wręczano do podpisania odpowiedni formularz. Odmowa oznaczała wysyłkę do obozu koncentracyjnego.

Ale już niedługo później, w lipcu 1943 roku, zapadły ustalenia, że wartościowe dzieci zrodzone z robotnic innych narodowości należy zachować dla narodu niemieckiego i wychować jako dzieci niemieckie. W przypadku zakwalifikowania rodziców jako rasowo wartościowych dzieci miano umieszczać w zakładach dla rasowo wartościowych lub w rodzinach zastępczych. Robotnice w ciąży szczególnie wartościowe rasowo należało przekazywać pod opiekę Lebensbornu.

Skąd taka zmiana nastawienia? Niemcy musiały zmodyfikować swoją politykę demograficzną ze względu na rosnące straty na frontach i perspektywę długotrwałej wojny. Ale wszystko odbywało się z zachowaniem czystości rasy. Jeszcze w lutym 1944 roku przypominało o tym pismo skierowane do wszystkich placówek kierowniczych SD: „Mało wartościowy pod względem rasowym płód robotnic wschodnich i Polek powinien być, jeśli to tylko możliwe, usunięty. Wprawdzie zabieg przerywania ciąży może nastąpić jedynie za zgodą brzemiennej, zgodę tę jednak należy w każdym przypadku przeforsować”. Dzieci rasowo bezwartościowe – o ile już się urodziły – miały być kierowane do „dziecięcych zakładów opiekuńczych dla obcokrajowców”, gdzie szybko umierały. Zalecenia wykonywano skrupulatnie.

Roman Hrabar dotarł do zeznań dziewiętnastoletniej wówczas Anieli Błażej, która przebywała na robotach przymusowych w fabryce konserw Albert Daubert w Brunzshwiku. W zakładzie urzędniczką do spraw robotników cudzoziemskich była Anna Jäger. „W grudniu 1944 roku urodziłam dziecko płci żeńskiej, które miałam ze swym obecnym mężem, Szymoniakiem Stanisławem. Połóg odbyłam w szpitalu,

dokąd wysłana zostałam przez Annę Jäger. Gdy po urodzeniu dziecka chciałam powrócić do fabryki i zabrać ze sobą dziecko, wtedy obsługa szpitala dziecko mi zabrała, komunikując, że czyni to z polecenia Anny Jäger. Zaznaczam, że przed odesłaniem mnie do szpitala Jäger wezwała mnie do siebie i zapowiedziała mi, bym nie ważyła się przywozić ze sobą dziecka, bo wezwie Gestapo, które mi dziecko odbierze i umieści w zakładzie wychowawczym. Odebrane mi dziecko umieszczono w zakładzie wychowawczym, gdzie dziecko to, urodzone 11 grudnia 1944 roku, zmarło 5 stycznia 1945 roku. (...) Wiadomo mi, że Jäger zmuszała dziewczyny będące w ciąży do poronień sztucznych i w tym celu wydawała im zlecenia do lekarza. Między innymi zmusiła ona do sztucznego poronienia: Berdę Marię, Pokorską Wandę, Pełkównę Stefanię oraz wiele innych dziewcząt, których nazwisk nie przypominam sobie. Ja chodziłam w ciąży tylko dlatego, że mój stan brzemienny specjalnie ukrywałam przed Jäger, tak że ona dowiedziała się o tym, gdy byłam w siódmym miesiącu ciąży” – zeznawała przed Polską Misją Wojskową w Niemczech. Dlaczego dziecko Anieli Błażejka nie przeżyło? Dlaczego nie urodziły się dzieci Marii, Wandy, Stefanii? Bo matki miały czarne włosy, ciemne oczy, śniadą cerę? Były drobne, niskie? Chrome?

Po wyzwoleniu w 1945 roku Anna Jäger została aresztowana przez Polską Misję Wojskową. Przyznała się, że zmuszała polskie robotnice do oddawania nowo narodzonych dzieci. Usprawiedliwiała się tym, że realizowała jedynie odgórne polecenia. Jäger została jednak zwolniona z więzienia przez brytyjskie władze okupacyjne. Hrabar, opisując ten przypadek, nie odnalazł powodów tej decyzji. W swojej książce *Skazane na zagładę* napisał tylko, że Polska Misja Wojskowa została postawiona przed faktem dokonanym.

* * *

Robotników przymusowych w Rzeszy obowiązywał zakaz zawierania małżeństw. Stąd częsta informacja, że ojciec narodzonego dziecka pozostaje nieznanym.

Inny zakaz dotyczył stosunków seksualnych Niemców z osobami „odmiennymi rasowo”. Tłumaczono to obawą przed „biologiczną infiltracją”. W 1940 roku lokalni działacze partyjni wzywali członków NSDAP do „ochrony niemieckiej krwi”. W miejscowości Lingen koło Osnabrück młoda Niemka zatrudniona w kuchni szpitala dla jeńców wojennych zaprzyjaźniła się z młodym Polakiem. Na rozkaz władz, którym o tym doniesiono, publicznie obcięto jej włosy i ogolono głowę. Zdarzały się przypadki, gdy kobietom zadającym się z Polakami publicznie wieszano na szyi tablicę „polska kurwa i polska świnią”. W miejscowości Chomutov w północnych Czechach kobiety musiały nosić plakaty z napisami „My świnię puszczałyśmy się z jeńcami wojennymi”. Gdy szesnastoletnia Niemka zaszła w ciążę z Polakiem, sąd skazał ojca dziecka na rok więzienia. Interweniowało jednak gestapo. Polak został powieszony. Następnie rozkazano, by inni przymusowi robotnicy przemaszerowali przed jego zwłokami.

* * *

W tym samym transporcie, w którym jechał Jerzy Walaszek, była też mała Krysia – dziewczynka z obandażowaną nogą. Już jako dorosła kobieta skontaktowała się z mecenasem Hrabarem po jednej z audycji radiowych z jego udziałem. Mecenas obiecał jej pomoc. I słowa dotrzymał. Ustalił, że Krysia urodziła się 31 marca 1944 roku w tym samym co Jerzy Walaszek obozie przejściowym w Linzu. Jej matka figurowała w dokumentach jako pracownica pomocnicza.

Jako dziecko polskie Krysia 12 listopada 1946 roku została repatriowana z domu dziecka UNRRA w Rindbach koło Ebensee w Austrii. Już w grudniu tego roku została zabrana przez rodzinę zastępczą. Przypadkowo nowi rodzice noszą takie same nazwisko jak prawdziwa matka dziewczynki. „Wprawdzie miała bardzo dobrych rodziców, którzy ją przysposobili i wychowali, ale brak jej było tego, co innym wojennym sierotom – spokoju wewnętrznego i jakichkolwiek wiadomości o swojej rodzinie. Pisywała pełne tęsknoty i liryzmu wiersze do nieznannej matki” – zanotował Hrabar.

Mecenas słowa dotrzymał. Znalazł matkę Krysi. Po wojnie wróciła z robót do swojej rodzinnej wioski na Kielecczyźnie. Tam wyszła za męża, urodziła dzieci. Mąż ani nikt we wsi nie wiedzieli, że na robotach urodziła córkę. Hrabar odnalazł bardzo skromny domek, a w nim zapracowaną kobietę. Przygotowywała jedzenie na wesele syna. Wiadomość, że Krysia się odnalazła, była dla niej szokiem. Poprosiła Hrabara, by nikomu nic nie mówił. Błagała o czas. Oczywiście, zapewniała, że z córką się spotka, ale na spokojnie, po weselu. I rzeczywiście do spotkania doszło. Ale tylko jednego. Matka wyszła z niego zapłakana, córka milcząca, zamknięta w sobie. Żadna z nich nie powiedziała Hrabarowi ani słowa. Wiadomo, że nie spotkały się już nigdy więcej. Dlaczego? Co zadecydowało? Rozczarowanie? Niezrozumienie? W końcu spotkały się dwie obce sobie osoby z dwóch różnych światów. Prosta kobieta ze wsi i ubrana szykownie córka, która całe życie spędziła w mieście.

Po latach próbuję o tym porozmawiać z Krystyną. Mieszka w Sosnowcu jak Jerzy Walaszek. W rozmowie telefonicznej zgadza się, podaje adres. Wpuszcza mnie do mieszkania. Ale po kilku pierwszych pytaniach robi się nerwowa. – Lepiej będzie, jak pani już pójdzie – wyprasza mnie. – Nic z tej rozmowy nie będzie.

Dzieci z bańką na mleko

Irena Porajska na szpitalnym łóżku myśli tylko o tym, żeby umrzeć. Już nie ma dla kogo żyć. Mieszkali z mężem na Wołyniu, w wiosce Worobiówka, niedaleko Krzemieńca. Była w szóstym miesiącu ciąży. Tamtego dnia w 1942 roku na polu niedaleko domu zbierała kapustę. Mąż poszedł po konie. Był już daleko, ale Irena jeszcze go widziała.

– Dzień dobry – ścieżką przy polu szło dwóch młodych mężczyzn. Irena wciąż stała zapatrzona w sylwetkę męża. Po chwili usłyszała strzał. Widziała, jak mąż upadł. Mężczyźni odwrócili się w jej stronę. Irena poczuła, że coś zapiekło ją w nogę. Co było później, już nie pamięta.

Obudziła się w szpitalu. Ktoś powiedział, że została postrzelona. – Pani mąż nie przeżył. Straciła pani dziecko, urodziło się nieżywe – usłyszała od lekarzy.

Irena nie wie, czym oboje z mężem podpadli banderowcom. Chyba tylko tym, że byli Polakami.

* * *

Sterlingowie mieszkają w Garnsee przy Inzelstrasse 1, w domu tuż obok kościoła. Paul i Helene z domu Golembiewski mają dwójkę dzieci – Horsta i Ruth. W 1942 roku Paul otrzymuje powołanie do Wehrmachtu i wyjeżdża. Niedługo później przychodzi zawiadomienie: „Podoficer Paul Sterling przy ciężkich walkach obronnych na północny zachód od Woroneża, wierny swemu sztandarowi w wypełnianiu żołnierskiego obowiązku, poniósł śmierć bohaterską w dniu 12.08.1942 r.”. Nie wiadomo, dlaczego to nie Helene, ale Ursula, przyrodnia siostra Paula, otrzymuje zawiadomienie. Między rodziną Paula a Helene nie ma dobrych relacji. Ursula o śmierci Paula w ogóle nie informuje bratowej.



Paul i Helene Sterling z dziećmi – Ruth i Horstem

W 1945 roku Ruth ma sześć lat, Horst o dwa więcej. Helene pakuje rzeczy i ucieka z dziećmi na północ. W tłumie uciekinierów znajduje furmankę, a woźnica zgadza się ich zabrać. Dojeżdżają do Preußisch Stargard (Starogardu Gdańskiego). Czy Helene stara się dotrzeć na pokład statku Wilhelm Gustloff, którym ma się odbyć ewakuacja cywilów? To nie jest pewne. Wiadomo, że z dalszej podróży rezygnuje. Być może dzięki temu cała trójka nie ginie w lodowatej toni Bałtyku 30 stycznia 1945 roku, gdy statek z dziesięcioma tysiącami uciekinierów tonie trafiony radzieckimi torpedami. Może droga ewakuacji została odcięta? A może Helene po postu się rozmyśliła? W końcu, gdy Paul wróci, gdzie będzie ich szukał?

Tak czy owak Helene z dziećmi wędrują w mróz kilkadziesiąt kilometrów z powrotem. Wracają do Garnsee, ale nie do domu. Zamieszkują u pana Krugera.



Paul Sterling

Wkrótce do wioski wchodzi Sowieci. Plądrują domy. Szukają cennych przedmiotów, wódki, kobiet. Wpadają do domu Krugerów. Głośno krzyczą. Ruth widzi, jak popychają matkę na łóżko. Siedzi na małym zydlu i widzi, jak wokół łóżka stoją mężczyźni w mundurach. Matka krzyczy, ale Ruth nie może podejść. Żołnierze śmieją się, wesoło pokrzykują. Gdy wychodzą, na podłodze Ruth widzi czerwone plamy. Krew. Na łóżku leży zakrwawiona matka w poszarpanym ubraniu. Gospodyni przebiera Helene, sprząta izbę. Matka się nie podnosi. – Mama jest chora – mówi gospodyni, gdy Ruth jak zwykle na noc wchodzi do wspólnego łóżka. Ruth przytula się do matki. Ale ona jest gorąca! Dziewczynka obejmuje rozgrzane, mokre ramię.

Dwie, może trzy noce później gospodyni budzi przyklejoną do matki Ruth. – Idź do łóżka do brata. Twoja mama umarła.

Wczesnym ranem do domu Krugera przychodzą dwaj chłopci. Za budynkiem gospodarczym kopią grób. Płytki, bo ziemia zamrznięta.

Dzieci nadal mieszkają u Krugera. Pewnego dnia oboje idą przez wioskę po mleko. Z jednego z domów wychodzi mężczyzna. Ruth na zawsze zapamięta, że ma on na sobie biały kitel. To chyba rzeźnik. Woła Horsta i zabiera go z sobą do domu. Ruth

z bańką na mleko czeka na ulicy. Ale drzwi się nie otwierają. Mijają godziny, Ruth stoi i stoi, a Horsta nie ma. Zrobiło się już ciemno i Ruth wraca do domu. Następne dni to w jej pamięci czarna dziura.

* * *

Irena jako repatriantka zza Buga trafia do Puław. Dostaje etat nauczycielki w szkole. Praca pochłania ją bez reszty. Jest sama na świecie, a w szkole, wśród dzieci czuje się potrzebna. Trudno jej tylko wracać wieczorem do pustego pokoju. Z czasem coraz częściej myśli o zaopiekowaniu się jakimś dzieckiem. Najlepiej siedmioletnim, żeby mogło chodzić razem z nią do szkoły, bo z nauczycielskiej pensji nie stać jej na nianię.

Ucząca w szkole zakonnica opowiada, że w wakacje wybiera się do Kwidzyna. Będzie tam pomagać w sierocińcu. – Proszę dla mnie wypatrzeć jakieś dziecko – decyduje się Irena.

Przychodzą wakacje 1947 roku i Irena dostaje od zakonnicy wiadomość, że w sierocińcu jest odpowiednie dziecko. Jedzie do Kwidzyna. Podróż trwa całą noc i pół dnia z całą masą przesiadek. Irena nie czuje zmęczenia, tylko ekscytację: „Wreszcie będę miała dziecko!”.

W sierocińcu zakonnica prowadzi Irenę do pokoju. Wpada cała gromada dzieci. – Niech pani mnie weźmie! – krzyczą i ściskają Irenę. Tylko jedna dziewczynka stoi z boku. Czarnulka. Nic nie mówi, tylko patrzy dużymi, piwnymi oczami. – To ona – mówi zakonnica. – Jakby pani chciała się czegoś o niej dowiedzieć, to jest u nas kobieta, która u jej rodziców prała.

Ale Irena jest wyczerpana. Nic wiedzieć nie chce, bo niewiele więcej wytrzyma. Zresztą, po co ma wiedzieć? Ma w końcu dziecko! Nic innego się nie liczy. Na słowa zakonnicy, że dziewczynka to Niemka, reaguje stanowczo. – Uczyłam różne dzieci. Polskie, ruskie, żydowskie. Żadnego znaczenia to dla mnie nie ma!

Wieczorem Irena bierze dziewczynkę za rękę i obie idą na stację kolejową. W rejestrze kwidzyńskiego domu dziecka z lat 1947–1948 pod numerem 40 figuruje Ruta Szterling. W spisie z lat 1949–1950 już jej nie ma. Nie ma jednak żadnych dokumentów informujących, w jaki sposób opuściła sierociniec.

* * *

Dziewczynka nie może się nacieszyć Ireną. Przytula się, śpi z nią w łóżku. W bidulu nie miała koleżanek, nikt z personelu z nią nie rozmawiał. Czowała się inna niż wszyscy. Ale nowa pani ją zaakceptowała. To jest jej nowa mama. Do szkoły zawsze dziewczynka chodzi za Ireną. Nigdy przed, bo boi się, że gdy się odwróci, nowej mamy nie będzie. Cały czas musi ją widzieć. Ale najlepiej chodzi się za rękę.

Irena myśli: otoczę ją taką miłością, że o wszystkim zapomni. Dziewczynce daje na imię Elżbieta.



Ela Porajska

Dziecku trzeba załatwić dokumenty. Irena prosi zakonnice, żeby przysłały jakiś wypis z metryki chrztu małej Eli. Ale zanim odpisały, matka z córką są już w nowej miejscowości pod Puławami, gdzie Irena dostaje stanowisko dyrektorki szkoły. – Przecież nikt nie będzie miał o to pretensji – myśli Irena i w nowej gminie podaje dane córki: Elżbieta Porajska. W rubryce ojciec wpisuje dane zmarłego męża, przy matce własne. Te same dane podaje przy chrzcie. Ruth Sterling rozpląwa się w powietrzu. Rodzi się Elżbieta Porajska.

Gdy Irena dostaje odpis metryki od zakonnicy, wrzuca papier do szuflady i zupełnie o nim zapomina. Po kilku latach, podczas robienia porządków papier wyrzuca. Jest święcie przekonana, że do niczego nie jest już potrzebny. Ela dobrze się chowa. Czasem tylko pyta o brata. Wciąż pamięta, jak stoi na ulicy z bańką na mleko. Nowej mamie mówi, że brata zabrał człowiek w białym kitlu, a przecież ona czekała pod drzwiami. – Mamo, a jakby on był, to byś go też wzięła?

– Tak, ale jego nie ma – ucina Irena.

Czasem Ela widzi twarz swojej pierwszej matki. Gdy znajduje w gazecie zdjęcie jakiejś podobnej pani, wycina je i kładzie na szafkę przy łóżku. Irena dyskretnie je

zabiera. – Przepraszam, robiłam porządki – uśmiecha się. Ela się nie gniewa. Rzadko się kłóca. Jeśli już, to o sprzątanie. Kiedyś Ela, sprzątając, zagląda do szuflady. Widzi, że brakuje w niej pewnej karteczki. Dobrze wie, że tu leżała, bo ją oglądała. Tylko przez sekundę. Papier jakby poparzył ją w rękę. Jedyne, co z niego zapamiętała, to napis: Ruth Sterling. Od tamtej pory podświadomie wiedziała, że Ruth Sterling to ona.

* * *

Elżbieta uczy się w technikum pedagogicznym dla przedszkolank w Chełmie Lubelskim. Przyszłego męża poznaje w pociągu w drodze do szkoły. Zbigniew jest geodetą z Krakowa. Prosi o adres Elżbiety, chce się spotkać. – Szykowny, miły chłopak – chwali po wizycie Irena. Elżbieta wzrusza ramionami. Ale ze Zbigniewem zaczyna się systematycznie spotykać. – Weźcie ślub – namawia Irena. Bardzo chce, żeby córka założyła rodzinę, miała dzieci. Elżbieta nie czuje się zakochana. Ale jest przekonana, że matka ma rację. W 1960 roku, mając 21 lat, wychodzi za Zbigniewa i przenosi się do Krakowa. Młodą mężatkę coraz częściej jednak dręczą pytania: Kim jestem? Kim byli moi prawdziwi rodzice? Co się stało z bratem? Brat jej się śni, ciągle widzi, jak stoi na ulicy z bańką i czeka. Czuje, że on gdzieś jest, że żyje.

Elżbieta jedzie do matki na poważną rozmowę. – Kim ja jestem?

– Byłaś w domu dziecka w Kwidzynie. Nie było tam twojego brata. Nic więcej nie wiem.

– Ruth Sterling to ja?

– Tak było w papierach, ale nic więcej nie wiem na twój temat.

Elżbieta wyrzuca Irenie, że coś wie, ale ukrywa. Irena bije się w piersi. – Ja tylko chciałam mieć dziecko. Ty mnie też potrzebowałaś – płacze. Elżbietę dopadają wyrzuty sumienia. Przeprasza. Ale w głębi serca ma żal.

Zaczyna dręczyć ją strach, że ludzie się dowiedzą, że ona to nie ona. Jeszcze gorzej sypia.

Spokój wraca dopiero, gdy zachodzi w ciążę. Rok po ślubie rodzi się Ilonka. W 1963 roku – Piotr, a 1973 roku – Agnieszka. Elżbieta w roli matki czuje się doskonale. Zbigniew często jeździ w teren na delegacje. Elżbieta nie pracuje. Zajmuje się dziećmi i sporo czasu spędza z nimi u Ireny, pod Puławami. Irena też jest szczęśliwa, że może pomagać córce.

Przeszłość wraca do Elżbiety tylko 1 listopada. Przechadza się po krakowskich cmentarzach. Szuka mogił bezimiennych. Zapala świece. Dla prawdziwych rodziców i brata.

W 1988 roku widzi w telewizji starszego mężczyznę, który opowiada, jak udało mu się odnaleźć rodziny polskich dzieci wywiezionych do Niemiec. Elżbieta nastawia głośniej dźwięk w telewizorze. – Do tej pory zwracają się do mnie osoby, które szukają swoich korzeni – Elżbieta klęczy już przed telewizorem. Na ekranie pojawia się adres, pod którym zainteresowani mogą się kontaktować: mecenas Roman Hrabar w Katowicach.

Elżbieta myśli: „Napiszę, co mi zależy”. Od razu bierze kartkę i długopis. Opisuje swoje życie, prosi o kontakt, podaje adres. Po tygodniu: pukanie. W drzwiach ten sam

mężczyzna, którego widziała w telewizji. Rozmawiają ze sobą, jakby się znali z dziesięć lat. – Kocham mamę, ale muszę wiedzieć, kim jestem – mówi Elżbieta, a Hrabar obiecuje, że podejmie się sprawy.

* * *

Mecenas w sprawie Elżbiety kontaktuje się z Niemieckim Czerwonym Krzyżem. Odpowiedź przychodzi błyskawicznie. Ruth Sterling jest poszukiwana przez ciotkę Ursulę z Hamburga.

Hrabar po raz kolejny jedzie do Krakowa. Z Elżbietą ustalają, że się zgłosi. Na odpowiedź nie czeka długo. Dowiaduje się, że jej brat Horst żyje. Jest w Niemczech. W tłumaczeniu listów pomaga Hrabar.

– Więc jestem Niemką... Przecież ja po niemiecku słowa nie powiem. Jako dziecko mówiłam. Teraz już wiem, czemu się ode mnie odsuwali w domu dziecka – Elżbieta nie wie, czy się śmiać, czy płakać. Przez całe życia miała czarne włosy. Myślała, że Ruth Sterling to może być Włoszka lub Węgierka. Niemka? Nigdy jej to nie przyszło do głowy. W domu – szok. Dzieci i mąż nie mogą uwierzyć. Elżbieta pisze do Horsta. Dostaje w odpowiedzi list z paczką. Horst pisze, że wysyła trochę drobiazgów, bo przecież w Polsce nic nie ma. Kiedy Elżbieta widzi swoje prawdziwe imię i nazwisko na paczce, biegnie do urzędu. Zmienia dane. Jest już Ruth Sterling, po mężu Rogowska. Zaprasza Horsta do Krakowa. Umawiają się, że przyjadzie razem ze swoją rodziną.

Na spotkanie Ruth zaprasza też Hrabara.

Jest 1990 rok. Ruth ubiera się w najładniejszą bluzkę, z nerwów pali papierosa za papierosem. W salonie czekają już odświętnie ubrana Irena, która po przejściu na emeryturę mieszka razem z nią w Krakowie, syn, córki i mąż. Przyjeżdża Hrabar.

Kiedy Ruth słyszy dzwonek do drzwi, czuje, że serce skacze jak oszalałe. Otwiera i wybuchają płaczem. Płacze też niski, gruby mężczyzna. Wchodzą do przedpokoju, obejmują się i długo płaczą. Dorośli ludzie, którzy nie potrafią już rozpoznać w sobie rodzeństwa. Horst coś mówi, Ruth nie rozumie. Woła Hrabara. – Mówi, że nie poznałby swojej małej siostrzyczki – uśmiecha się mecenas.

Ruth i Horst płaczą dalej. Cała rodzina przytula się i ściska. W końcu zasiadają za stołem. Ruth przygotowała tradycyjne dania.

– W Polsce byłem aż do 1957 roku. Jako młody robotnik wyładowałem w Nowej Hucie. Tam znalazł mnie Niemiecki Czerwony Krzyż. Ciotka Ursula mnie poszukiwała – mówi Horst. Za pośrednictwem Hrabara opowiada Ruth, co się stało, gdy poszli po mleko. – Ten facet w białym fartuchu zabrał mnie z ulicy i nie pozwolił wyjść. Musiałem pomagać mu w gospodarstwie. Lał mnie. Powiedział, że zostałam zastrzelona. Jak nie pracowałem, jak trzeba, nie dawał jeść. To był Polak, ale mówił po niemiecku. Później oddał mnie innemu gospodarzowi. Jego już w ogóle nie rozumiałem. Nauczyłem się jednego: „Kurwa, zapierdalaj”. Oj, przekleństwa polskie mam w małym palcu. Ten gospodarz był jeszcze gorszy. W końcu stwierdził, że do niczego się nie nadam. Oddał mnie do jakiegoś domu dziecka i stamtąd przewieźli mnie do Nowej Huty. Wiesz, Ruth, co ja w tej Polsce przeszedłem... W życiu

by moja noga tu nie stanęła. Przyjechałem tylko dla ciebie. I po ciebie – mówi Horst.

* * *

Kilka dni później rodzeństwo jedzie do swojej rodzinnej wioski. Garnsee to już Gardeja niedaleko Kwidzyna. Dom Krugera ciągle stoi. Horst i Ruth odnajdują miejsce za domem, gdzie została pochowana matka. Leży tam gnojówka, spacerują kury. Na gnoju ustawiają dwa znicze i znowu płaczą. Wracają do Krakowa.



Pierwszy z prawej Horst Sterling. Druga z lewej jego siostra Ruth w pobliżu grobu matki. Z mikrofonem towarzyszy im Ewa Bober, dziennikarka radiowa

Ruth ma pretensje do Ireny. – Nie mogę zrozumieć, że zdecydowałaś się na jedno dziecko. Dostałaś wypis z domu dziecka. Tam musiała być informacja, że mam brata. Nigdy go nie szukałaś!

– To był mój grzech. Wzięłam dziecko jak pakunek – próbuje tłumaczyć Irena. – Ale to nie było z wyrachowania. Nie chciałam, żebyś się denerwowała. Miałaś dom, koleżanki, męża. To było twoje życie – tłumaczy Irena. Awantura wisi w powietrzu. W obronie babci stają wnuki. – Babcia zrobiła dla ciebie wszystko, co mogła – przekonują.

Ruth złości się, ale w końcu przyznaje: – Wiem już wszystko. Nic mi więcej nie trzeba. W końcu jestem spokojna.

Niedługo później z mężem i dziećmi jedzie do Horsta w odwiedzinę. Jak tu elegancko, kolorowo! Oglądają sklepy, ładne domy. W jednym z nich mieszka Horst, choć jest tylko operatorem koparki. Horst urządza przyjęcie. Zaprasza całą rodzinę

i znajomych. Przy stole, po obiedzie, Ruth wyciąga paczkę papierosów. Bardzo chce się jej palić. Brat patrzy krzywo. Odnalezioną siostrze nie pozwala zapalić nawet w ogrodzie. Ruth snuje się po osiedlowej uliczce. Nie potrafi na zawołanie rzucić nałogu i zaczyna się go wstydzić.

W salonie atmosfera momentami siada. Ruth zauważa, że Horstowi więcej czasu zajmuje pilnowanie wnuków, by nic nie zbroili, niż rozmowa z odzyskaną siostrą. Choć cały czas jest z nimi niemiecki dziennikarz, który tłumaczy na polski, momentami nie ma o czym rozmawiać.

Na drugi dzień w kuchni między rodzeństwem dochodzi do kłótni. – Co to za kawa?! – krzyczy Horst do Ruth, która do kubków wsypała po dwie czubate łyżeczki i zalała je wrzątkiem. – No, zwykła. Robię jak zawsze – denerwuje się Ruth. Krzyki przyciągają domowników i gości. – To nie jest kawa. Tak jak to całe polskie jedzenie. Te wasze bigosy, rosół – wścieka się Horst.

Ruth wybiega na uliczkę zapalić papierosa. Cała się trzęsie: „Gdzie ja jestem? Co ja tu robię? Jak mam do cholery gotować? Po niemiecku?!”. W domu rodzina próbuje pogodzić zwaśnionych. Jadą na wycieczkę. Ale do końca pobytu Elżbieta jeszcze nie raz usłyszy, jak Horst pomstuje na wszystko, co polskie.

Ruth odwiedza swoją rodzinę w Niemczech jeszcze tylko raz. Nie nauczy się niemieckiego.

* * *

Zbigniew zmarł w 2012 roku. Córki rozjechały się po świecie. Ruth-Elżbieta mieszka w Krakowie z synem Piotrem. Schorowana, już prawie w ogóle nie wychodzi z mieszkania.

Oglądamy zdjęcia. – To Horst, już nie żyje. Szczerze? Jak go pierwszy raz zobaczyłam, wydał mi się brzydki. Inaczej sobie brata wyobrażałam. Gruby, rubaszny. Nasze relacje też się nie bardzo ułożyły. Nie da się odtworzyć, naprawić czterdziestu pięciu lat rozłąki. Byliśmy już dorośli, ukształtowani. I bardzo od siebie różni. Ja Niemką się nie czuję. Jestem Polką. A Horst Polski nienawidził. Zbyt dużo mu tu złego zrobili. Różniła nas mentalność, nawyki. Tej awantury o kawę nie zapomnę. Pani zrobiłam taką samą i pani pije. W Niemczech ładnie, ale porządek jak spod linijki. Sztuczne to wszystko mi się wydało. To nie był mój kraj, nie moje miejsce do życia.



Ruth Sterling/Elżbieta Rogowska w swoim mieszkaniu w Krakowie

Pytam o Irenę. Zmarła kilka lat po tym, jak Elżbieta odnalazła brata. Czuła się w końcu spokojna, że jej adoptowane dziecko znalazło biologiczną rodzinę. – Przeszliśmy w ogóle o przeszłości rozmawiać. Tylko raz mama wystraszonym głosem spytała, czy wyjadę do Niemiec na stałe. Powiedziałam: „Nie wygłupiaj się, nigdy nie zostawię cię samej!”. Kochaliśmy się! Z wiekiem byłyśmy sobie coraz bliższe. Jak dwie przyjaciółki. Ona ze swoim ciężarem, ja ze swoim. Tamtego dnia mama wstała wcześniej niż zawsze. Stała w kuchni przy zlewie. Zobaczyłam ją tylko z przedpokoju. Wróciłam do swojego pokoju, przebrałam się. Mamy już w kuchni nie było. Leżała na łóżku. Jej twarz była spokojna. Tak jakby zasnęła. Jest osobą, której najbardziej mi brakuje – przyznaje.

Czy dobrze znać przeszłość? Tak, bo to daje spokój. Nie żałuję, że ją poznałam. Przeszłam się bić z myślami.

Kim bym dziś była, gdyby nie wojna? Oczywiście Niemką. Pewnie też miałabym inny charakter. Mam wrażenie, że Polacy są bardziej wrażliwi. Niemcy to tacy służbiści. Pewnie też bym taka była.

Ale w moim życiu nie ma prostych odpowiedzi. Ojca zabrali do wojska. Matkę zgwałcili żołnierze. Przez wojnę straciłam rodziców. Ale po wojnie miałam drugą mamę. Wiem, jak bardzo mnie kochała. Jaką wagę przykładła do mojego wychowania.

Jednak wojna wypaliła we mnie dziurę, którą długo musiałam wypełniać: dowiedzieć się, kim jestem, spotkać brata. Były bezsenne noce, bicie się z myślami.

Kim jestem? Skąd jestem? Kim byli rodzice?

CZEŚĆ III

WOJNA WCIAŻ TRWA

Bad Polzin

– Dawny ośrodek Lebensbornu? Tam w czasie wojny produkowali dzieci. Tu wszyscy o tym wiedzą. Tam, za tym ośrodkiem, była polana. Wieczorami ustawiali tam stół. I ucztowali. Dorodni esesmani i dorodne kobiety: blondyny, niebieskookie, biuściaste, Polki, Żydówki, wszystko jedno. Byleby dobrze wyglądały. Potem, jak się ściemniało, dzielili się w pary i szli w las. Pani oczywiście wie po co! No i kobiety były w ciąży. Rodziły, znowu zachodziły i tak z kilka razy. Dzieci zabierali do Niemiec. Chłopców na pewno. Dziewczynki pewnie też. A kobieta jak się po kilku takich porodach zużyła, to do gazu. Tak się tutaj działo – mówi mi starsza gospodyni, u której wynajęłam pokój.



Sanatorium Borkowo, widok współczesny

Przyjechałam do Połczyna-Zdroju, dawnego Bad Polzin, zobaczyć miejsce, o którym opowiadały Barbara Gajzler-Paciorkiewicz i Alodia Witaszek-Napierała. Być może były tu też inne dzieci, z którymi rozmawiałam. Ale o tym nie wiedziały.

Moja gospodyni nie ma pojęcia, że w domu Lebensbornu mieszkały porwane polskie dzieci. Nie ona jedna. Również w świadomości Niemców Lebensborn był przez lata ekskluzywną siecią państwowych domów publicznych. Młode, zdrowe Niemki

miały uprawiać seks z esesmanami, by jak najszybciej zachodzić w ciążę i rodzić „rasowe” dzieci.

W 1961 roku do niemieckich kin trafił film *Lebensborn*. Autorem scenariusza był dziennikarz Will Berthold. To opowieść o miłości kobiety i mężczyzny, którzy zostali odgórnie wyznaczeni do spółdzenia dziecka. Do filmowego ośrodka Lebensbornu trafiają dziewczęta z BDM-u – Bund Deutscher Mädel, czyli Związku Niemieckich Dziewcząt oraz żołnierze i esesmani odkomenderowani do „kursu biologicznego”. Dziewczęta wiedzą, że będą musiały podarować dziecko Führerowi. Ale nie o tym, że wcześniej zostaną skojarzone ze specjalnie wybranymi mężczyznami. Kiedy to sobie uświadamiają, buntują się. Jedna z nich popełnia samobójstwo. Główna bohaterka razem ze swoim ukochanym uciekają z domu Lebensbornu. Ale podczas ucieczki on zostaje zastrzelony. Ona trafia do więzienia. Okazuje się, że jest w ciąży. Rodzi dziecko, które zostaje jej odebrane.

Taka wizja Lebensbornu pojawia się również w beletrystyce. Na przykład w powieści Judith Kuckart *Piękna kobieta* wydanej w 1994 roku. Bohaterka dowiaduje się, że jej matka urodziła się w domu Lebensbornu. Trafiła tam, bo babka bohaterki chciała realizować swoje poligamiczne upodobania seksualne. Bohaterka filmu również odczuwa silną skłonność do seksu anonimowego.

* * *

Połczyn-Zdrój na Pojezierzu Drawskim to niewielkie uzdrowisko otoczone lasami i polami. Rynek, park zdrojowy, poniemieckie wille i browar, w którym produkuje się miejscowe piwo.

„Do 1688 roku Połczyn-Zdrój nie wyróżniał się niczym szczególnym spośród rozszanych w całym regionie niewielkich miasteczek – czytamy na tablicy ustawionej w parku. – Miejscowy pastor Joachim Titel umieścił w swoich notatkach taki oto zapis: »Wszelako źródło lecznicze wybił w miesiącu maju 1688 roku z dość wysokiego wzgórza, nieopodal puszczy... Źródło to bije nierówno, czasami mocniej, czasami słabiej; przynosi ze sobą minerały, ale w zmiennych ilościach, obficie wtedy, gdy silniej wylewa, o czym wnosić można i z kolorytu, i z zapachu«.



Pamiątkowa tablica. „W domu tym w latach 1943–1945 przebywały odebrane przez hitlerowców polskim rodzinom dzieci przeznaczone do zniemczenia”

W taki oto sposób rozpoczęła się historia Połczyna-Zdroju jako miasta uzdrowiskowego. Źródło lecznicze opisane przez pastora to prawdopodobnie to samo źródło, które do dziś oglądać można w pobliżu sanatorium Borkowo. W pierwszych latach po odkryciu źródła wodę z niego wożono w beczkach do miasta, gdzie pili ją mieszkańcy i kuracjusze. Dopiero w pierwszej dekadzie XVIII w. zaczęły powstawać pierwsze domy zdrojowe oferujące pokoje przyjezdnym... Na początku XIX w. jednemu z domów zdrojowych nadano nazwę Luisenbad. Na jego miejscu w 1908 roku zbudowano nowe sanatorium, jednak nazwa nadana na cześć Luizy, królowej Prus, pozostała. Jest to dzisiejsze sanatorium Borkowo” – czytamy na tablicy.

Wędruję dalej parkowymi alejkami. Mijam monumentalny przedwojenny budynek. „Sanatorium Podhale. Sanatorium początkowo nosiło nazwę Niemiecki Wschód, a w latach 1918–1927 było zarządzane przez połczyński magistrat i było zwane po prostu Sanatorium Miejskim. W latach 60. XX w. Podhale stało się specjalistycznym ośrodkiem leczenia chorób kobiecych, a szczególnie niepłodności z wykorzystaniem borowiny. Przyczyniło się to do powstania żartobliwego hasła promocyjnego: Chcesz mieć córkę albo syna, przyślij żonę do Połczyna” – informuje kolejna tablica.

Nigdzie nie znajduję jednak informacji o tym, że w dawnym domu Luisenbad, obecnie Borkowo, Lebensborn utworzył swoją placówkę Heim Pommern.

Dzwonię do Romana Kucierskiego, kierownika Borkowa. Sanatorium leży w lesie,

z dala od miejscowości i parku zdrojowego. Prowadzi do niego boczna droga. Wjeżdżamy przez bramę. Tę samą, przez którą przywożono do ośrodka dzieci. – Nic nie wskazuje na to, by posesja była kiedyś ogrodzona. Nie znaleźliśmy nigdy resztek murów. Zresztą gmach ma naturalne ogrodzenie: gęsty las – pokazuje Kucierski.

Sanatorium przypomina elegancki hotel. – Budynek po wyzwoleniu był w bardzo dobrym stanie. Do tej pory zachowały się oryginalne schody, poręcze, parkiety oraz boazerie – pokazuje Roman Kucierski. – Oczywiście robiliśmy remonty, przede wszystkim przeróbki związane z łączeniem pokoi, budową łazienek. W zeszłym roku wymieniliśmy tapety, część podłóg – dodaje kierownik.

Na ścianie głównego budynku umieszczono tablicę: „W domu tym w latach 1943–1945 przebywały odebrane przez hitlerowców polskim rodzinom dzieci przeznaczone do zniemczenia”.

Długim korytarzem wędrujemy do sali z półokrągłymi oknami. To tu na szerokim parapecie siedziała Basia Gajzler. Patrząc na trawnik, na który ona też patrzyła. I wierzę, że dla kilkuletniej dziewczynki rzeczywiście musiał być całą łąką.

Idziemy na kolejne piętra. Próbuję sobie wyobrazić, że na ścianach wiszą flagi ze swastyką, stoją popiersia Hitlera. W potężnej sali – obecnie jadalnianej – zachowała się scena.

* * *

Pensjonariuszki każdego domu Lebensbornu tworzyły coś na kształt wspólnoty. Początkowo ciężarnym kobietom przydzielano nawet identyczny ubiór – fartuchy, by żadna nie wyróżniała się garderobą. Z pomysłu zrezygnowano, gdy zaczęły skarżyć się, że przypominają więźniarki. W ośrodkach Lebensbornu rodziły nie tylko panny, ale też mężatki. Dla nich taki dom – położony poza miastem, w spokojnym, ustronnym miejscu – był komfortową kliniką położniczą. Taka praktyka stała się popularna w czasie wojny.



Kobiety trzymają dzieci przed badaniami na czystość rasy w jednym z ośrodków Lebensbornu

Nie każde dziecko urodzone w Lebensbornie automatycznie przeznaczano więc do adopcji. Również w przypadku dzieci panien. Zdarzały się sytuacje, gdy samotna matka zostawiała w ośrodku dziecko na pewien czas i po nie wracała. W międzyczasie znajdowała nową pracę, mieszkanie. Posiłki w domach Lebensbornu spożywano w określonych porach. W 1941 roku w menu znajdowały się przede wszystkim jarzyny, dużo ziemniaków, cztery razy w tygodniu mięso, czasem owoce na deser. Matki skarżyły się na pojawiającą się w daniach kapustę, która powodowała wzdęcia u niemowląt. Himmler z kolei w swoim osobistym piśmie zalecał serwowanie owsianki, ze względu na „owies, który wzmacnia nerwy i dlatego jest dobry”. Prowadzono kursy pielęgnacji niemowląt, gotowania, szycia i cerowania ubrań. Pensjonariuszki wspólnie słuchały radia – głównie przemówień Hitlera i Goebbelsa. Wspólnie śpiewały narodowe pieśni. Specjalnie dla nich organizowano prelekcje, które miały „wychować młode matki na dobre, narodowe socjalistki”.

W półczyńskim ośrodku w listopadzie 1938 roku jedna z pracownic personelu czytała fragmenty *Mein Kampf* Hitlera, inna urządziła pogadankę o literaturze z gatunku „płaszcz i szpada”, a następnie zorganizowano prelekcję o problemach niezamężnych matek. We wszystkich domach Lebensbornu obowiązkowo były prelekcje na temat rasy i jej pielęgnowania, polityki ludnościowej, badania więzi rodowych oraz SS jako wspólnoty narodowej.

Wśród podopiecznych Lebensbornu dominowały kobiety pracujące. Sekretarki, stenotypistki, księgowy, pracownicy biurowe, ekspedientki. Ojcowie dzieci

w większości mieli wykształcenie wyższe, zajmowali kierownicze stanowiska albo byli naukowcami. Volker Koop w swojej książce *Organizacja Lebensborn. Rozrodzcie stajnie Himmlera* cytuje fragmenty wspomnień jednej z kobiet, która przebywała w ośrodku w miejscowości Wernigerode w 1942 roku. „Ośrodek położony jest przepięknie na obrzeżach miasta, w ciągu kilku minut jest się w lesie i podczas wielogodzinnych spacerów można się oderwać od codzienności (...). Rano wspólna kawa, przed tym trzeba pościć łóżka i sprzątnąć pokój. Przed południem pojedyncze osoby zostają skierowane do lekkiej pracy albo w szwalni, albo w gorącym maglu, do prac kuchennych (...). Wspólny obiad. Zawsze obowiązkowy poobiedni odpoczynek. Nieobowiązkowa kawa i czas wolny do godziny 19.00. Po kolacji na przepięknej werandzie albo w ładnym pokoju klubowym można czytać, zajmować się robótkami ręcznymi lub pisać”.

Jednak jak podaje Koop, stosunki między podopiecznymi a personelem nie zawsze układały się wzorcowo. I cytuje list, który jedna z matek z ośrodka Ostmark pod Wiedniem wysłała w 1942 roku do samego Himmlera. „Od czasu, kiedy siostra przełożona Gerda jest w ośrodku, między personelem, siostrami i matkami zepsuła się atmosfera. (...) Dochodzi nawet do tego, że o osobistych sprawach matek rozprawia w obecności innych matek, a o jednej z matek (pani Ingebordze) powiedziała, że ma już nieślubne dziecko. (...) Tymczasem dla jednej z matek, u której ojcem dziecka był wyższy dowódca SS, robi wyjątki. (...) Matka ta do końca swojego pobytu będzie mieszkać sama w dwuosobowym pokoju. (...) Obecnie ośrodek jest przepełniony. (...) Na urodziny tej matki specjalnie przyjechało policyjne auto i przywiozło jej urodzinowe prezenty, które nam potem pokazała”.

Jedną z najważniejszych uroczystości było nadanie imienia nowo narodzonemu dziecku. Była to właściwie zsekularyzowana forma chrześcijańskiego chrztu. Przy okazji dziecko oddawano pod opiekę „wspólnoty rodowej SS”. Pod popiersiem Hitlera ustawiano rzędy krzesel, na których zasiadały matki z dziećmi, pensjonariuszki, personel, esesmani. Grała muzyka, mistrz ceremonii zadawał pytania matce i chrzestnemu z SS tak jak ksiądz w kościele. Zdarzało się, że chrzestnym był sam Himmler. W punkcie kulminacyjnym na ciele dziecka kładziono sztylet. Wygłaszano też specjalne przemówienie. „Podczas tej uroczystości musimy uświadomić sobie wielkość naszych czasów. Niemcy prowadzą teraz decydującą walkę; chodzi o to, czy obronią swe prawo do życia lub czy te prawo utracą. Dlatego jest to walka wielka i decydująca o naszej przyszłości. Przyszłość to życie naszych dzieci (...). Po to nasi młodzi mężczyźni stoją dziś na froncie i ryzykują własne życie. Na tym świecie niczego nie dostaniemy za darmo, wszystko musimy sobie wywalczyć. Także wam, drogie matki, nikt tych dzieci nie podarował. Także wy, w czasie, kiedy nosiłyście te dzieci pod sercem, jak również wtedy, gdy w wielkich bólach wydałyście je na świat, stoczyłyście bitwę z siłami życia, co zrównuje was z żołnierzami na froncie. Führer powiedział kiedyś: każda kobieta, która darowuje narodowi dziecko, wraz z narodzeniem się dziecka wygrywa bitwę o życie naszego narodu” – usłyszeli zgromadzeni na uroczystości nadania imienia 17 kwietnia 1940 roku w ośrodku Hochland w Steinhöring. Można się spodziewać, że przemówienia w podobnym tonie wygłaszano przy każdej uroczystości w każdym ośrodku.

Gdzie mieszkaly porwane dzieci? Alodia Witaszek-Napierała pamięta, że razem

z siostrą spały na parterze. Nie wie, gdzie były pokoje matek i noworodków. Ale pamięta, że w słoneczne dni na tarasie ustawiano dziecięce wózki. Całe mnóstwo wózków ze śpiącymi małymi dziećmi.

Wewnątrz gmachu znajduje się dziedziniec. Za nim osobna część, w której dziś znajduje się zakład przyrodolecznicy. Być może tam znajdowała się porodówka Lebensbornu.

* * *

Kucierski kierownikiem sanatorium jest od dwóch lat. Ale dwadzieścia lat pracował w firmie, która wykonywała różne roboty dla ośrodka. W sanatorium pracowała też jego mama. – Znam to miejsce na wylot – opowiada. – W latach 70. pracowało tu 800 osób. To było samowystarczalne przedsiębiorstwo. Z pralnią, szwalnią, zakładem piekarniczym. Każdy z miejscowych zna ośrodek, ale mało kto wie, że mieszkały tutaj dzieci przeznaczone do germanizacji. Na budynku wisi wprawdzie tablica pamiątkowa, ale ludzie specjalnie się tym nie interesują.

Czy do Borkowa przyjechał kiedyś ktoś, kto w czasie wojny w tym budynku mieszkał?

– Nie przypominam sobie. W ciągu ostatnich dziesięciu lat raczej takich gości nie było.

Wojenną historię sanatorium postanowiła przypomnieć mieszkańcom w 2015 roku Bożena Łukomska, nauczycielka ze Szkoły Podstawowej nr 1 w Połczyniu-Zdroju. – Obchodziliśmy 70-lecie polskiego miasta. Z kilkoma osobami zorganizowaliśmy wystawę o Lebensbornie. Nakręciliśmy też film *Miasto pokoleń*. Zawiera relacje pierwszych osadników – opowiada.

Starsi mieszkańcy wspominali o miejscu, które ona zna z opowiadań. – W pobliżu Borkowa, niedaleko zbiornika znajduje się drewniana kapliczka. Z całą pewnością stała już w maju 1945 roku. Starsi mieszkańcy, również mój ojciec, który przyjechał tu zaraz po wojnie, mówią, że w tym miejscu są pochowane małe dzieci, nawet noworodki – opowiada Łukomska.

Nauczycielka w tej sprawie napisała do warszawskiego IPN. – Otrzymałam odpowiedź, że muszę poinformować szczeciński oddział IPN.

Miejscowi opowiadają, że chowano tam dzieci, na których Niemcy przeprowadzali eksperymenty. Wydaje się, że to jednak plotka. Jeśli rzeczywiście w miejscu kapliczki znajduje się mogiła dzieci, to mogą to być niemowlęta, które po prostu zmarły w domu Lebensbornu. W pierwszych latach działalności w ośrodkach Lebensbornu umierało trzy procent noworodków. Wyraźnie poniżej średniej krajowej, która wynosiła sześć procent. Sytuacja zaczęła się zmieniać od 1940 roku. Domy były przepełnione, dzieci chorowały częściej. Śmiertelność niemowląt wzrosła do trochę ponad cztery procent.

Niektórzy badacze Lebensbornu informują z kolei, że podawana trzyprocentowa śmiertelność jest nieprawdziwa, bo według stanu na 1 kwietnia 1942 roku najniższa śmiertelność wynosiła 3,88 procent. Opóźnione w rozwoju czy kalekie niemowlęta były odsyłane do innych zakładów. W Lebensbornie dla dzieci z zespołem Downa czy

z zajęczą wargą nie było miejsca.



Niemieccy policjanci prowadzą dzieci w okupowanej Jugosławii. Część z nich zostanie poddana badaniom rasowym i zabrana przez Lebensborn

Tak jak dla Jürgena W., który w Bad Polzin urodził się pod koniec 1941 roku albo na początku 1942 roku. Dziecko cierpiało na nieokreśloną bliżej chorobę. W dokumentach mowa jest jedynie o kosztach, jakie wiązały się z wieloletnią opieką nad dzieckiem. Świadczy o tym korespondencja prowadzona między ośrodkiem Heim Pommern, Brandenburskim Zakładem Lecznym w Görden i centralą Lebensbornu w Monachium. W lutym 1942 roku Jürgen został przeniesiony z Bad Polzin do Görden zgodnie z zarządzeniem Maxa Sollmanna, szefa Lebensbornu. Tam dziecko żyło jeszcze dwa lub trzy tygodnie. W zakładzie w Görden był specjalny oddział psychiatrii dziecięcej. Małych pacjentów poddawano tam „specjalnej terapii”. Za pomocą tabletek luminalu i zastrzyków morfiny dzieci wprowadzano w stan otępienia. Przystawały jeść, pojawiała się gorączka, umierały.

Zbigniew Mikorski, który od pięćdziesięciu lat oprowadza wycieczki po Połczynie, w rewelacje o zbiorowej mogile dzieci nie wierzy. – To legenda. Kapliczka jest po prostu miejscem kultu – uważa. W Połczynie mieszka od 1960 roku. Przyjechał tu ze Szczecina za żoną. – I zakochałem się w tym miejscu. Zacząłem gromadzić materiały, książki. Z czasem zostałem przewodnikiem. Kiedy oprowadzam kuracjuszy, nigdy nie omijam Borkowa. Mówię o Lebensbornie. Także o tym, że Niemcy trzymali tu porwane polskie dzieci. Niestety tylko garstka wycieczkowiczów jest tą historią zainteresowana i zadaje jakieś pytania. Zdecydowana większość przyjmuje to

obojętnie.

Szukam Hrabara

Kobieta ma idealną sylwetkę. Pochyla się, podtrzymując szatę opasującą jej biodra. Z gracją przechyla głowę, eksponuje doskonały profil. Delikatnie uśmiecha się spod półprzymkniętych powiek. Marmurowa Wenus.

– To kopia antycznej rzeźby wykonana na przełomie XIX i XX wieku. Trafiła do nas w marcu 1982 roku – opowiada Jadwiga Lipońska-Sajdak, była dyrektorka Muzeum Historii Katowic. – Przyszedł do nas starszy już pan. Bardzo uprzejmy, z przedwojennymi manierami, wielką wiedzą. Poprosił, żebym poszła z nim na ulicę Warszawską, do klubu Marchołat. Wyjaśnił, że stoi w nim rzeźba, jego własność, którą chciałby nam podarować. Mówił, że to Wenus, którą jego matka przywiozła z Włoch. Przez wiele lat stała w jego rodzinnym domu w Kołomyi. Jeszcze przed wojną trafiła do Katowic i dzięki temu udało się ją zachować. Mój gość miał ze sobą kilka książek. Powiedział, że jest ich autorem i także chce je przekazać do naszej biblioteki. Zerknęłam na okładkę i powiedziałam: „Ależ ja pana znam, czytałam pana książki”. Rozpromienił się. I tak Roman Hrabar został naszym pierwszym darczyńcą. Muzeum formalnie zaczęło działać rok przed naszym spotkaniem.

Hrabar opowiadał, że rzeźbę Wenus oddał do studenckiego klubu Marchołat na przechowanie, bo w jego mieszkaniu zrobiło się zbyt ciasno. Ale studenci nie traktowali Wenus z szacunkiem. Wieszali na niej czapki, na jej marmurowych ramionach rysowali sprośne rysunki. Właściciel musiał być niezłe poirytowany. Ale niczego po sobie nie dał poznać. – Rzeźba jest potężna – mówi Jadwiga Lipońska-Sajdak. – Do pomocy w przewozie musieliśmy poprosić wojsko. Żołnierze skonstruowali nosze, wciągnęli Wenus do ciężarówki, a potem do muzeum. Wynajęliśmy konserwatora, który ją czyścił, a Hrabar znowu nas odwiedził. Tym razem przyniósł portret ojca i kilka obrazków, które namalowała jego matka. Bardzo się ucieszyliśmy. Opowiadał, że nie ma żadnych spadkobierców, ale ja nie dopytywałam. Nigdy więcej już go nie spotkałam. Zobaczyłam tylko jego nekrolog w gazecie.

Roman Hrabar umarł w 1996 roku. Miał 87 lat. Zmarł w katowickim szpitalu przy ulicy Francuskiej, niedaleko kamienicy, w której mieszkał. Dwadzieścia lat później w Katowicach, mieście, w którym spędził większą część swojego życia, na próżno szukać jakiegokolwiek formy upamiętnienia adwokata.

* * *

Z ulicy Szafranka, gdzie mieści się Muzeum Historii Katowic, idę na ulicę Rymera. Znajduję kamienicę numer 7. Tu, pod szóstką, mieszkał pełnomocnik polskiego rządu do odzyskiwania germanizowanych dzieci. Ale na elewacji budynku nie ma tablicy, która by o tym przypominała.

Na eleganckiej klatce schodowej spotykam lokatorkę. – Pan mecenas Roman Hrabar? – Jadwiga Tarnawska od razu wie, o kim mówię. – Dobrze go pamiętam. Mieszkał pod nami. Często wyjeżdżał do Niemiec. W ogóle dużo podróżował. Czasem w domu słyszeliśmy, jak gra u siebie na pianinie. Przystojny, postawny i elegancki mężczyzna. Dzieliła nas duża różnica wieku, więc osobiście kontaktu z nim nie miałam. Od rodziców wiedziałam, że to znany adwokat. Po latach dowiedziałam się też, że zajmował się odzyskiwaniem dzieci z Lebensbornu. On moim rodzicom nigdy się tym nie pochwalił. Taki ciekawy człowiek, a rzeczywiście zupełnie zapomniany – przyznaje.

Dowiaduję się, że do mieszkania Hrabara urząd miasta w latach 80. dokwaterował rodzinę lekarzy z dziećmi.

– To mieszkanie miało bardzo duży metraż – mówi Elżbieta Kelm, lekarka, która dziś już nie mieszka na Rymera. – Mieliśmy wspólną łazienkę i kuchnię. Z Hrabarem dzieliły nas pokolenia. Mógłby być moim dziadkiem. Był niesamowicie kulturalny, pięknie się wystawiał. Ale nie był specjalnie rozmowny. Dobrze nam się mieszkało, bo Hrabar rzadko bywał w domu. Pomieszkiwał gdzie indziej. Do domu przychodził raz na kilka dni. Posiedział trochę w swoim pokoju i znowu wychodził. Nie pytaliśmy dokąd. O tym, czym się zajmował, dowiedzieliśmy się już po jego śmierci. Pani pisze o Hrabarze? Bardzo dobrze, bo ludzie w ogóle go już nie kojarzą.

W 1974 roku mieszkanie przy ulicy Rymera odwiedziła francuska dziennikarka Clarissa Henry. „W uzgodnionym terminie mieszkanie moje zapełniło się Francuzami i sprzętem telewizyjnym. Z Clarissą Henry rozmawialiśmy w kilku językach. Włada ona w sposób doskonały francuskim, angielskim, niemieckim i włoskim. Podziwiałem niezwykłą umysłowość, błyskawiczny refleks i dynamizm tej drobnej, wątej blondynki. Zainteresowana była głównie działalnością Lebensbornu. Udzieliłem obszernego wywiadu, udostępniłem do sfilmowania niektóre oryginalne dokumenty będące w moim posiadaniu. Udzieliłem wskazówek i udostępniłem adresy dla rozwinięcia scenariusza. Ekipa przejechała w Polsce tysiące kilometrów, żeby spotkać się z rodzicami, którzy stracili syna, córkę, niekiedy nawet dwoje dzieci w celu germanizacji” – pisał Hrabar w *Janczarach XX wieku*.

Czy w czasie spotkania Clarissa Henry opowiedziała mu, że ona i jej mąż Marc Hillel, też dziennikarz, spotkali się z głównymi wykonawcami wizji Heinricha Himmlera?

Francuskie małżeństwo w swoich poszukiwaniach dopuściło się pewnej mistyfikacji – Clarissa podawała się za Francuzkę urodzoną w jednym z domów Lebensbornu. Postać była autentyczna, dziennikarka dobrze znała jej akta. Marc Hillel przedstawiał się jako jej mąż, który zamierza napisać książkę o skomplikowanym dzieciństwie żony.

Mała Sollmanna, Standartenführera SS, szefa Lebensbornu, odwiedzili w jego komfortowym mieszkaniu na peryferiach Monachium. Sollmann wyglądał młodo jak na swoje 70 lat. W bibliotece obok Biblii trzymał oprawiony w skórę egzemplarz *Mein Kampf*. Gości przyjął czerwonym winem. Tak początek rozmowy opisuje Hillel w swojej książce *Au nom de la race* (przetłumaczonej przez Hrabara jako *W imię rasy*):

„Mówi, że radził Himmlerowi, swemu bliskiemu przyjacielowi: Należałoby zamieścić w dzienniku SS parę artykułów o Lebensbornie, zapobiegłoby to fałszywym poglądom. A Reichsführer mu odpowiedział: Kochany Sollmann, mamy »czysty surdut« (w bawarskiej gwarze – spokojne sumienie) i absolutnie nie potrzebujemy się

usprawiedliwiać.

– Napiszcie o tym. Nikt dotąd nigdy o tym nie pisał. Ja nic w tej sprawie nie mogę już przedsięwziąć, z uwagi na pracę i stan zdrowia. Nie jestem już bojownikiem. To zadanie dla przyszłych pokoleń. Być może, uzna się wówczas, iż założenia Lebensborn były słuszne i że szanse, jakie mogły zaoferować, zostały zaprzepaszczone”.

Sollmann zapewniał, że nic nie wiedział o obozach koncentracyjnych. Dał nawet na to „słowo mężczyzny”. Opowiadał, że sam z żoną nie mógł mieć dzieci. W końcu żona poddała się serii operacji. Udało jej się zajść w ciążę po czwartej. Urodziła martwe dziecko w 1945 roku, kilka dni po aresztowaniu przez Amerykanów. „A wie Pan, co zrobili Amerykanie? Ułożyli martwe niemowlę na brzuchu mojej żony! No i co pan na to? Takie barbarzyństwo! Nigdyśmy z tego nie ochłonęli. Proszę pomyśleć, nasze jedyne dziecko! Z nawiązką zapłaciliśmy za nasze ideały! A jednak wszystko, czego dokonaliśmy, czyniliśmy tylko w imię miłosierdzia, pomocy bliźniemu (...). Wszystko, co mówi się teraz o tej organizacji, jest błędne, wymyślone przez tych, którzy dla spokoju swojego sumienia zwalają winę na nas. Wszyscy Niemcy, proszę mi uwierzyć, poszli za Hitlerem, wszyscy. Ale kozłami ofiarnymi jesteśmy my, esesmani” – opowiadał Sollmann dziennikarzom.

W czasie spotkania Sollmann szczególnie odnosił się do Clarissy Henry. Troskliwie, wręcz z czułością wypytywał, jak była traktowana w ośrodku Lebensbornu, czy jest szczęśliwa. Był przekonany, że rozmawia z jedną z „podopiecznych” swojej organizacji.

Z Gregorem Ebnerem, Oberführerem SS, szefem departamentu zdrowia w Lebensbornie, dziennikarze spotkali się niedługo przed jego śmiercią. Mieszkał we wsi w pobliżu jeziora Starnberger See niedaleko Monachium. Schorowanym, unieruchomionym w łóżku człowiekiem opiekowała się żona. Ebner nie mógł już mówić. Hillel rozmawiał więc z panią Ebner:

– Dlaczego do Lebensbornów wybierano blondynki o niebieskich oczach?

– Wtedy była taka moda. Wiecie, jak to bywa. Dziś także jest moda na pewien typ kobiet. Kiedyś eksponowano typ nordycki, to znaczy wysokie blondynki... Taka była moda...

– A reputacja stadnin ludzkich i domów schadzek, co o tym należy sądzić?

– Wstyd jest rozpowiadać takie rzeczy o Lebensbornach. Oczernia się je tylko dlatego, że podlegały SS. Proszę pomyśleć, ile nieślubnych dzieci urodziło się w Niemczech po wojnie z ojców amerykańskich i Murzynów. Wówczas matki pragnęłyby również mieć do dyspozycji tak znakomite instytucje, by móc spokojnie urodzić swoje dzieci. Teraz, kiedy Murzyni i Amerykanie wyjechali, dzieci pozostały bez zasiłków. W Lebensbornach pomagano przynajmniej matkom i opiekowano się dziećmi.



Inge Viermetz zeznaje w procesie norymberskim

Pani Ebner zapewniała, że do domów Lebensbornu przyjmowano nawet Żydówki. A dzieci cudzoziemek były tam bardzo dobrze traktowane. Himmlera wspominała jako człowieka miłego w obejściu, dobrego, prostolinijnego, gotowego do usług. „Niestety, podczas wojny widywaliśmy go bardzo rzadko, z powodu pracy, jakiej dostarczali mu ci wszyscy więźniowie w obozach”. Francuscy dziennikarze próbowali też dotrzeć do Güntera Tescha, Sturmbannführera SS, szefa departamentu prawnego Lebensbornu. Był adwokatem w Dortmundzie. Nie chciał się jednak z nimi spotkać, bo „po tym spotkaniu nie spodziewał się niczego dobrego”. Rozmawiali z Inge Viermetz, która w Lebensbornie odpowiadała najpierw za przyjmowanie sierot wojennych, a następnie za m.in. adopcje, przyjęcia do ośrodków. Ale kobieta przypominała sobie jedynie charytatywną działalność tej instytucji.

Czy o tych spotkaniach drobna blondynka, której umysłowość tak podziwiał Hrabar, opowiadała w katowickim mieszkaniu? Czy Hrabar dowiedział się o nich później z książki lub filmu, który ukazał się pod tym samym tytułem?

Dziewiętnaście lat później, w 1993 roku w nagraniu radiowym dla Hanny Bogoryja-Zakrzewskiej i Jadwigi Jenczelewskiej Hrabar mówił: „Dokładnych danych grabieży nie jesteśmy w stanie podać. Ja podaję szacunkową liczbę – około 200 tysięcy dzieci zagrabionych z terenów Polski. Jak również dzieci urodzonych z polskich robotnic przebywających na robotach przymusowych na terenie Niemiec. Co pozwoliło na taką ocenę? Na polecenie władz amerykańskich i brytyjskich administracja niemiecka

została zobowiązana do przedłożenia wszystkich metryk urodzenia dzieci polskich, i nie tylko, władzom okupacyjnym. Napłynęło przeszło 40 tysięcy metryk urodzonych dzieci z matek Polek. A gdzie wywiezione dzieci z Zamojszczyzny, z zakładów opiekuńczych na Śląsku czy w poznańskim? One automatycznie były skazane na germanizację”.

O dzieciach, którym pomagał, mówił krótko: „Rany zadane przez II wojnę światową są nadal otwarte. Okrucieństwo wojny nie zakończyło się. Jest wielu ludzi, którzy noszą ranę, którzy szukają swoich korzeni. Dla nich wojna jeszcze się nie skończyła”. Hrabar w tej rozmowie z 1993 roku poruszył jeszcze jedną sprawę. „Gwałty na kobietach dokonywane w czasie wojen powinny być uznawane za zbrodnie przeciwko ludzkości. A nawet jako ludobójstwo! Tak samo jak uznano grabież dzieci, mimo że nie ma tego elementu zabijania. Ale to jest zabijanie duszy! Zabijanie indywidualności! A gwałt na kobiecie to zabijanie duszy tej kobiety” – porównywał mecenas.

* * *

Z ulicy Rymera siedem minut zajmuje mi spacer na ulicę Ligonja. Tu swoją siedzibę ma Radio Katowice. Tu pracowała emerytowana już dziennikarka Ewa Bober. W 1989 roku Bober zaprosiła Romana Hrabara do studia. Rozmowa została wyemitowana po kilku dniach. Z dziennikarką tym razem rozmawiał nie o Lebensbornie i poszukiwaniu dzieci, ale o ekologii. O tym, że stworzył własny termin „przyrodobójstwo”.

„Czym wyróżnia się XX wiek? Ludobójstwem i przyrodobójstwem. Ludzkość idzie ku zgubie ekologicznej. Muszę przytoczyć poglądy Günтера Grassa, z którymi w zupełności się zgadzam. On widzi nadciągającą apokalipsę. To nie wizja, katastrofizm, ale fakty! Jeżeli ludzkość nie zejdzie z dotychczasowej drogi, to będzie klęska. Grass podkreśla, że jeśli chcemy przetrwać, to musimy się nauczyć rezygnować. Każdy z nas w jakimś stopniu jest odpowiedzialny. Nawet za to, że puszcza zbyt dużo wody w kranie” – słucham na nagraniu głosu o miękkim, wschodnim akcencie.

Ekologia była wielką pasją katowickiego adwokata. Napisał nawet poemat – *Quo vadis „Homo Sapiens”?*, który – jak mówił – był „aktem oskarżenia w formie poezji”.

Hrabar zostawił po sobie dziesiątki opublikowanych artykułów na tematy ekologiczne. *Prawo w sukurs przyrodzie* z 1972 roku w „Trybunie Robotniczej”, *Piekło Buszmenów* oraz *Był las...* w 1985 roku w „Panoramie”, *Kodyfikacja dobrej nadziei* z 1980 roku w „Poglądach”.

– Ekologia to rzeczywiście był konik Romana – przyznaje Ewa Bober. – Nasza znajomość zaczęła się od audycji o jego pracy, o poszukiwaniu dzieci, ale szybko zaczęliśmy się spotykać na gruncie prywatnym. Zaprzyjaźniliśmy się. Rozmowa z nim to była prawdziwa intelektualna przyjemność. Miał kolosalną wiedzę: historyczną, literacką. Plus to dobre przedwojenne wychowanie. Spotkanie z nim to było jak przejście do tamtego nieistniejącego świata. Ucieczka od szarzyzny, która nas wówczas

otaczała. Pięknie opowiadał o swoich przedwojennych podróżach do Włoch. Jeszcze kiedy odwiedziłam go w szpitalu, na kilka dni przed śmiercią, powiedział: „Wiesz, najchętniej znalazłbym się teraz na Capri. Słońce, Włochy to by mi dobrze zrobiło”. A potem zaczął dyskutować o filozofii. Nigdy nie słyszałam, żeby na coś narzekał. Nawet przed śmiercią.

Dowiaduję się, że Roman Hrabar przez całe lata był związany z dużo młodszą od siebie kobietą. Wciąż mieszka ona w Katowicach. Udaje mi się namówić ją na spotkanie. O związku z Hrabarem nie chce jednak rozmawiać. Twierdzi, że najlepiej o nim opowie jego praca: książki, notatki, fotografie, które mi wręcza. – Roman, jeśli coś zaczynał robić, angażował się w pełni. Odszukiwanie dzieci, łączenie rodzin było dla niego misją. Ale nie dlatego, że w jego życiu prywatnym coś o tym zdecydowało. Nie dlatego, że któremuś z jego bliskich przydarzyła się tak tragiczna historia. On po prostu po wojnie otrzymał pracę, zadanie do wykonania. Z czasem, gdy wiedział już, na jaką skalę zabierano dzieci, zrozumiał, że jego powinnością jest nie tylko je znaleźć, lecz także całą sprawę jak najbardziej nagłośnić. Dlatego pisał książki, udzielał wywiadów, prowadził własne badania. Był przekonany, że o tej zbrodni nie wolno nigdy zapomnieć. Pomagał, jeśli ludzie go o to prosili.

* * *

Na czarno-białej fotografii smukłe nastolatki w nieskazitelnie białych podkolanówkach i harcerskich mundurkach. Między nimi starszy, wysoki mężczyzna w garniturze. Dziewczęta się uśmiechają. Starszy pan wygląda na wzruszonego. Roman Hrabar został w 1985 roku Kawalerem Orderu Uśmiechu. W „Dzienniku Zachodnim” z 3 czerwca 1985 roku czytam, że kapituła, która w imieniu dzieci przyznawała odznaczenie, w przypadku Hrabara odstąpiła od zasady, że wnioski mogą składać tylko dzieci. W tym przypadku do Radosława Ostrowicza, przewodniczącego kapituły, redaktora naczelnego „Kurieria Polskiego”, zwrócił się dorosły. Aleksander Nowak z Mikołowa wystąpił w imieniu dzieci, byłych więźniów Polenlagru we Frysztacie i obozu w Ravensbrück. W uzasadnieniu Nowak napisał: „Dzięki takim ludziom jak Roman Hrabar wiele polskich dzieci wróciło do swoich rodzin, odnajdując radość i szczęście w gronie najbliższych”.



Roman Hrabar w czasie uroczystości mianowania na Kawalera Orderu Uśmiechu

Hrabar w czasie uroczystości nadania odznaczenia nie był jedynym uhonorowanym. Order Uśmiechu otrzymali też wówczas m.in. rysownik Gwidon Miklaszewski, dwaj lekarze z holenderskiego szpitala – Johannes Walter Stoop i Josef Francois Hitchcock, którzy przeprowadzili operacje kardiochirurgiczne u polskich dzieci, oraz Wiaczesław Kotienoczkina, reżyser radzieckiego serialu telewizyjnego o wilku i zającu.

Zgodnie z ceremoniałem każdy laureat po pasowaniu na Kawalera Orderu Uśmiechu otrzymuje do wypicia puchar z sokiem z wyciśniętej cytryny. Ciekawe, czy Roman Hrabar uśmiechnął się po tym bardziej promiennie niż na zdjęciu.

* * *

Idę do katowickiego Instytutu Pamięci Narodowej, w skład którego wchodzi Główna Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Przed laty komisja mieściła się w jednej z kamienic przy ulicy Warszawskiej. To kolejny katowicki adres, pod którym można było spotkać Hrabara. Ale biuro na Warszawskiej zostało zlikwidowane. Przeniesiono je do siedziby IPN na ulicy Kilińskiego, a później na ulicę Józefowską. – Na Warszawskiej był stary, zakurzony magazyn. Znaleźliśmy w nim dwa ładne przedwojenne zdjęcia – pokazuje dr Grzegorz Bębniak, historyk w oddziałowym biurze edukacji publicznej katowickiego IPN. Na jednej z fotografii młody, kilkunastoletni Roman Hrabar. Poważna twarz pod krawatem. Na drugim jego matka z synami. Starszy brat Romana w mundurku. Matka obejmuje Romana ramieniem. Grzywki chłopców równiutko obcięte. Jak pod linijkę. Cała trójka bardzo poważna, zapatrzona w jeden punkt.

To nie jedyne pamiątki, jakie po Hrabarze odnajduję w katowickim IPN. W archiwum mieści się teczka TW Romana, numer ewidencyjny 6591. Oglądam ją wspólnie z Bębniem. – Widać, że część tych akt została zniszczona w 1989 roku. Zachowała się teczka osobowa i część dokumentacji z teczki pracy – mówi Bębniak.

TW Roman został pozyskany do współpracy 5 października 1963 roku w katowickim hotelu Polonia. Wcześniej, od 13 września, funkcjonariusze SB się z nim spotykali. – Prowadzono najpierw dość ogólne rozmowy. O polityce, stosunkach międzynarodowych. Z czasem zaczęły one schodzić na to, że państwu trzeba pomóc. Trudno powiedzieć, dlaczego do współpracy zaczęto nakłaniać go dopiero w 1963 roku. Ktoś wreszcie uznał, że Hrabar ze swoimi kontaktami, zwłaszcza za granicą, może być przydatny – uważa Bębniak.

– Nie ma jego podpisu – zauważam. – Jest jedynie informacja, że to „honorowy charakter współpracy, nie opartej na wynagrodzeniu materialnym lub na przymusie”. I że „nie pobrano od niego zobowiązania, wychodząc z założenia, iż egzekwowanie jego mogłoby wpłynąć w sposób negatywny na dalszy przebieg współpracy”.

– Bardzo często zdarzało się tak na przykład, gdy SB nawiązywała współpracę z księżmi. Uważano, że taka forma będzie bardziej elegancka. Obawiano się też, żeby wymagając podpisu, kogoś nie przepłoszyć. Ale podpis Hrabara jest widoczny w jednym miejscu. W 1973 roku pokwitował on odbiór 2 tys. zł tytułem realizacji zadań na terenie RFN. Przeciętne wynagrodzenie w 1973 roku wynosiło 2798 zł – mówi Bębniak.

Adwokat nie składał raportów na piśmie. Informacje przekazywał ustnie. Czasem był nagrywany. Taśmy jednak zaginęły. – Cały czas osobą prowadzącą Romana był szef SB na Katowice. Osoby na tym stanowisku się zmieniały, ale zawsze Romanem zajmowała się osoba tej rangi. Nie był więc płótką. Niewiele wiemy na temat tego, co TW Roman przekazywał lub realizował, ogólnie określano to jako „zadania operacyjne o charakterze rozpoznawczym”. W aktach jest m.in. wymieniony Werner Richard, dyrektor kombinatu metalurgicznego w RFN, produkującego sprzęt wojskowy na potrzeby NATO. W informacjach padają też kryptonimy jakichś akcji, w których informacje od Hrabara miały być przydatne.

– Czy polski wywiad mógł wykorzystywać wiedzę Hrabara związaną z nazistowską przeszłością Niemców?

– W tych dokumentach nie ma o tym ani słowa. Pojawia się za to wzmianka pozwalająca sądzić, że dostarczał też informacji na temat środowiska adwokackiego, katowickiej inteligencji. W tym kontekście wymieniane są nazwiska m.in. pisarza Wilhelma Szewczyka i poety Tadeusza Kijonki. Ostatnie spotkanie Romana z funkcjonariuszem SB miało miejsce w kwietniu 1975 roku. Kontakty zostały później zawieszane przez służby. Hrabar zataił bowiem informację, że w czasie ostatniej wizyty w Austrii nawiązał kontakt z jednym z pracowników Radia Wolna Europa. Stracono do niego zaufanie. Osiem lat później starano się odświeżyć z nim kontakt. Ale widać, że oficer, który prowadził tę sprawę, niespecjalnie się do niej przykładał. Pisał notatki, że Romana nie można zastać w miejscu pracy, w domu. Odpuszczono sobie. Już wcześniej, za czasów gierkowskiej odwilży coraz więcej ludzi dostawało paszporty. Hrabar przestał być atrakcyjny.

– Dlaczego ktoś taki zdecydował się na współpracę?

– Hrabar ze względu na swoją rodzinę – brata w RPA, oraz z powodów zawodowych regularnie wyjeżdżał na Zachód. Wydanie paszportu uzależnione było od SB. Mógł się więc zastanawiać, jak wyglądałoby jego życie, gdyby odmówił. Na podstawie tych skąpych materiałów trudno rozstrzygnąć, jak było w jego przypadku. Z tego samego powodu trudno też jednoznacznie jego postawę ocenić. Choć opinie wystawiane mu okresowo przez „prowadzących” go oficerów SB są nader pochlebne. Ta z 1965 roku podająca, iż jest to „jednostka zdyscyplinowana, realizująca dokładnie i chętnie otrzymane wytyczne”, jest bodaj najmniej z nich wszystkich entuzjastyczna – mówi Bębniak.

Z dokumentów w teczce dowiaduję się jeszcze, że Roman nie palił i nie nadużywał alkoholu. W teczce jest też informacja, że jego brat zmarł w Johannesburgu w 1985 roku.

* * *

Wspomniany w materiałach zteczki Wilhelm Szewczyk zmarł w 1991 roku. Tadeusz Kijonka zaś nie wierzy we współpracę Hrabara z SB. – Szewczyk w którymś momencie musiałby się zorientować, że ma jakieś przykrości, że ktoś mu szkodzi. Hrabar był jego przyjacielem. Darzyli się zaufaniem. Przez lata Szewczyk był redaktorem naczelnym „Poglądów”. W tej redakcji również ja pracowałem. Hrabar do redakcji przychodził regularnie. Pożyczał niemieckie gazety, które dostawał Szewczyk. Obaj byli bardzo zainteresowani tym, co się działo w Niemczech. Hrabar był uprzejmy, zawsze miał coś miłego do powiedzenia. Nie uważam, by w jakikolwiek sposób mi zaszkodził. Trzeba pamiętać, że jego zainteresowania zawodowe wymagały wyjazdów. Żeby wyjeżdżać, mógł coś podpisać, mówić, ale na pewno nie szkodził – uważa Kijonka. I odsyła do Józefa Musioła, który w latach 50. był aplikantem sądowym w Sądzie Wojewódzkim w Katowicach, później dyrektorem Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich oraz sędzią Sądu Najwyższego. – Oni też się dobrze znali – podpowiada.

– Roman Hrabar? Oczywiście, że pamiętam, z wielu powodów. Jak się było sędzią, trudno było nie zauważyć adwokata nieco innego niż wszyscy. Był znany w środowisku jako społecznik. Nie gonił za pieniędzmi, nie wywyższał się. Często był wyznaczany jako obrońca z urzędu. W środowisku wiedzieliśmy, że zajmował się odzyskiwaniem polskich dzieci. To była wielka sprawa! Uwielbiał grać na fortepianie. Interesował się ochroną przyrody. Kiedy tylko mieliśmy okazję, dużo rozmawialiśmy. Nie było między nami tematów tabu. Nigdy nie zdarzyła się sytuacja, sygnał, że on mógł na mnie sypać. A poruszaliśmy takie tematy, że – proszę mi wierzyć – musiałoby to wypłynąć – podkreśla Musioł.

W siedzibie Okręgowej Rady Adwokackiej w Katowicach przy ulicy Gliwickiej oglądam akta osobowe mecenasa Hrabara. Dołącza do mnie mecenas Andrzej Dzieciół, były dziekan rady. – Pan mecenas pracował w zespole numer 5. Większość jego kolegów już nie żyje. Dużo lepiej niż ja – młody wówczas człowiek – znał go mój ojciec, też adwokat. Zawsze mówił o nim pochlebnie, że to solidny adwokat, zawsze dobrze przygotowany do rozpraw, elokwentny, precyzyjny. Mówił, że Hrabar ma wrodzone poczucie sprawiedliwości, dążenia do niej. Hrabar w 1983 roku odszedł

na emeryturę. Nie dostał z ministerstwa zezwolenia na prowadzenie indywidualnej kancelarii. Zapamiętałem go jako człowieka niezwykle spokojnego, ciepłego, o nienagannych manierach – mówi Dzieciół.

* * *

W sierpniu 1987 roku w wywiadzie dla „Trybuny Robotniczej” Hrabar przyznał, że wśród wszystkich spraw, które prowadził, najwięcej satysfakcji przyniósł mu przypadek odnalezienia i sprowadzenia do Polski sióstr Witaszek. Najtrudniejszą zaś była historia Eugenii Ewertowskiej. „Były dokumenty, zgłosiła się rodzina, ale dziewczynka tak została przerobiona przez nowych niemieckich opiekunów, że nie chciała wrócić do Polski. Brytyjskie władze nie wykazały w tej sprawie stanowczości” – wspominał adwokat.

Jedną z ostatnich spraw, jaką zajmował się Hrabar, dotyczyła połączenia matki i syna z dwóch kontynentów. W 1986 roku adwokat otrzymał list z Port Hedland w Australii od Marka Winogrońskiego.

W Polsce Winogroński przebywał w kilku zakładach opiekuńczych. Ostatnim z nich był dom dziecka w Gaworowie, w ówczesnym województwie wrocławskim. W jego dokumentach jako datę urodzenia podano 14 czerwca 1944 roku. Brakowało w nich jednak miejsca urodzenia. Winogroński ustalił, że jego matka nazywała się Helena Witt i urodziła się 15 stycznia 1919 roku najprawdopodobniej w Wilanowie pod Warszawą. Gdy skończył siedemnaście lat, sąd jako miejsce urodzenia wpisał mu Wrocław. Winogroński sam o to poprosił. Wybrał Wrocław, bo lubił to miasto. Tyle danych z listu.

Hrabar zaczął badać sprawę. Najpierw dowiedział się, że Helena Witt nie figuruje w Centralnym Biurze Adresowym. Państwowy Dom Dziecka w Gaworowie został w 1977 roku zlikwidowany. Ale pomocne były informacje z Niemieckiego Czerwonego Krzyża w Monachium. Dzięki nim Hrabar ustalił, że matka Winogrońskiego urodziła się w Kępie Zawadowskiej koło Wilanowa, a w 1969 roku mieszkała w Stanach, w Los Angeles. Nazywała się wówczas Helene Reeder. W piśmie z Monachium informowano, że nie wiadomo, czy kobieta mieszka tam dalej. Ale podano adres ciotki Winogrońskiego w Kanadzie.

Hrabar przekazał te wiadomości Winogrońskiemu i jakiś czas później dostał od niego list. Mężczyzna pisał, że dzięki Hrabarowi udało mu się znaleźć nie tylko matkę, lecz także młodszego brata i siedem ciotek!

Próbuję odnaleźć Marka Winogrońskiego. Piszę list na jego domowy adres do Australii. Nie dostaję odpowiedzi. Szukam go przez różne polonijne organizacje w Australii. Nikt nie potrafi mi pomóc. Nie wiem więc, jak kończy się ta ostatnia sprawa Hrabara. Czy Marek Winogroński i jego matka potrafili nadrobić stracone lata? Czy dwoje dorosłych ludzi potrafiło się zaakceptować, pokochać? Czy Marek jak Alojzy Twardecki nie mógł oderwać wzroku od oczu matki? Czy wystarczyło im tylko jedno spotkanie, by ukoić ból jak w przypadku Elżbiety Rogowskiej? A może skończyło się rozgoryczeniem jak u Bogumiła Uniowskiego?

* * *

Artur Ossowski z łódzkiego oddziału IPN po raz pierwszy zawodowo zetknął się z nazwiskiem mecenasa w 2004 roku. – Zaczęliśmy wtedy przygotowywać materiały do wystawy „Germanizacja dzieci polskich”. Roman Hrabar to Polak, który miał najbardziej rzetelną wiedzę na ten temat. Zwrócił uwagę na to, co w ogromie zbrodni nazistowskich – strat biologicznych i materialnych – było pomijane. Mówił o podcinaniu korzeni, pozbawianiu dzieci rodziców, ojczyzny, przeszłości, tradycji. Nie bał się podawać liczb. Ciągłe utrzymywał, że 200 tysięcy dzieci było germanizowanych. Do kraju wróciło 30–33 tysiące. Dzięki staraniom Hrabara wynaradawianie zostało uznane przez Zgromadzenie Ogólne ONZ za zbrodnię ludobójstwa, która nie podlega przedawnieniu. To jego kluczowe osiągnięcie!

Pytam, czy słuszne było odbieranie dzieci z kochających niemieckich rodzin tylko po to, by wróciły do polskiego sierocińca. – Oczywiście, dziś kierowalibyśmy się dobrem dziecka. Trzeba jednak pamiętać o ówczesnych realiach. Wobec ogromu strat w ludności i zbrodni dokonanych przez Niemców Polacy kierowali się przede wszystkim pobudkami patriotycznymi. Polskie dzieci trzeba było zabrać do domu, nawet jeśli miałyby być to dom dziecka. Ale polski dom dziecka. To, co się wydarzyło w czasie wojny w Polsce, było tak traumatyczne, że późniejsze indywidualne dramaty nie miały – w odbiorze opinii społecznej – większego znaczenia. Roman Hrabar ich nie rozpamiętywał. Dla niego obowiązkiem było odzyskanie tych dzieci – podkreśla Ossowski.

Od zakończenia wojny minęło ponad siedemdziesiąt lat. Ale wciąż są ludzie, którzy odnajdują swoje rodziny, dowiadują się o swoich korzeniach, poznają zupełnie nowe rodzinne historie. Hrabar, gdyby żył, wciąż jeszcze miałby dużo pracy.

Wanda ma tylko Wojtka

W pokoju na honorowym miejscu w bujanym fotelu siedzi plastikowa lalka. To Wojtek. Wanda Cofała znalazła go na śmietniku. W domu zabawkę umyła, a w sklepie z używaną odzieżą kupiła ubranka. I tak Wojtek zajął honorowe miejsce w saloniku małego mieszkańca w bloku w Raciborzu. – W dzieciństwie miałam identyczną lalkę. Nazwałam ją Wojtek. Proszę popatrzeć – Wanda pokazuje zdjęcia.



Wanda Cofała w swoim mieszkaniu w Raciborzu

- Moje dzieciństwo było wspaniałe. Tatę kocham do tej pory – zapewnia.
- Ale ojciec oddał panią do domu dziecka! – nie rozumiem.
- Nie miał wyjścia – Wanda uśmiecha się smutno. – Ale to był dobry człowiek.
- Zamiast pani wybrał życie z inną kobietą.
- W domu dziecka naprawdę było dobrze – mówi Wanda i wyciąga dokumenty.

* * *

1947 rok – Wanda ma dwa lata. Nie chodzi, ma wrzody, problemy ze wzrokiem. Z domu dziecka w Głubczycach na Opolszczyźnie zabierają ją Maria i Jan Muszakowie. Mieszkają w tym samym mieście. Jan jest introligatorem. Maria pracuje w sklepie

nasiennym. Nowa mama poświęca dziecku cały wolny czas. Uczy ją chodzić, leczy, systematycznie zabiera do okulisty, który przepisuje dziewczynce okulary.

Pierwszą zabawką, jaką Muszakowie kupują córce, jest duża plastikowa lalka w chłopięcych ubrankach. Wanda nadaje jej imię Wojtek i rzadko się z nią rozstaje.

Bezpieczne dzieciństwo Wandy kończy się w 1953 roku. Dziewczynka ma osiem lat. Ojciec tłumaczy jej, że mama została aresztowana. W sklepie było manko i dlatego jest w więzieniu. Wanda bardzo tęskni. Każdego dnia w oknie wypatruje, czy mama nie wraca. Nie spodziewa się jeszcze najgorszego. Jan Muszak otrzymuje pismo, że Maria zmarła w więzieniu.

Trwają przygotowania do pogrzebu. Wanda widzi, że koło ojca kręci się znajoma. Dla Wandy jest nieuprzejma, dziewczynka już jej nie lubi.

W kościele Wanda stoi przy katafalku. Mamę chce przytulić, głośno płacze. – Nie musisz tak rozpaczać, bo to nie jest twoja prawdziwa matka – szepcze jej do ucha kobieta, której Wanda nie lubi. Dziewczynka szlocha jeszcze bardziej. Biegnie do ojca i tuli się do niego.



Wanda stoi z ulubioną lalką. Na lewo od niej przybrana matka – Maria Muszak. Pierwszy z prawej – przybrany ojciec Jan Muszak

Po śmierci mamy Wanda zapada na gruźlicę. Ojciec kiepsko sobie w domu radzi. Pomagają sąsiadki. U niektórych nawet Wanda pomieszkuje. – To nie są warunki dla małej dziewczynki. Musisz mieć ciepłe posiłki, odrobione lekcje – mówi ojciec. Dodaje, że lepiej będzie jej w domu dziecka.

Sierociniec w Głubczycach prowadzą siostry zakonne. Wanda zna go, bo ojciec pomagał siostrze w różnych pracach i czasem zabierał ją ze sobą. Dziewczynka dostaje łóżko w przytulnym pokoju, zaprzyjaźnia się z innymi dziećmi. Jest zadowolona.

Mamy już nie ma, nie ma za kim tęsknić. Ojciec czasem ją odwiedza. Ale coraz rzadziej. Podczas jednej z wizyt mówi córce, że ponownie się ożenił. Jego wybranką jest kobieta, której Wanda nie lubi. Więc Wanda jest przekonana, że dużo lepiej jest jej w domu dziecka, niż byłoby w dawnym domu. Nie potrafi sobie wyobrazić, żeby mogła mieszkać pod jednym dachem z kobietą, która zajęła miejsce matki. Matki? Coraz częściej przypominają się jej słowa, które usłyszała nad katafalkiem. Zachodzi w głowę, czy to prawda. A jeśli tak, to kim ona jest? Po długim czasie zbiera się na odwagę i idzie z problemem do zakonnicy. – Jesteś Wanda Muszak. Urodzona 22 listopada 1945 roku w Wunstorf. Hmm, to w Niemczech – mówi siostra. Wanda jeszcze mniej rozumie. Próbuje rozmawiać o tym z ojcem, ale on milczy.

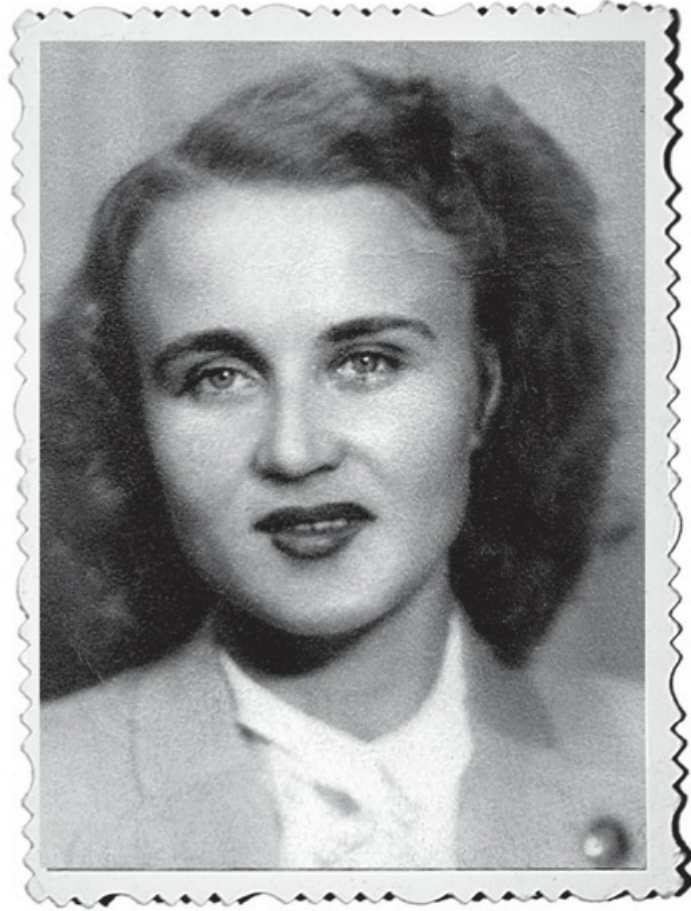
Po podstawówce Wanda wybiera szkołę z internatem. Z Głubczyc przenosi się do Raciborza i uczy na pielęgniarkę. Zaraz po szkole znajduje pracę w miejskim szpitalu. To jej wymarzone zajęcie. Lubi pomagać. Zwłaszcza dzieciom. Dwanaście lat pracuje na oddziale dla noworodków. Marzy, że będzie miała własną rodzinę i dzieci. Bardzo jej tego brakuje.

Ale od czasu do czasu w jej głowie odzywa się myśl o prawdziwej matce. Pisze do Polskiego Czerwonego Krzyża. Ten potwierdza, że urodziła się w Niemczech, a jej matką jest Angelina Famulewicz urodzona w 1926 roku we Lwowie. Ojciec jest nieznan.

* * *

26-letnia Wanda wychodzi za mąż. Po dziewięciu latach małżeństwo kończy się rozwodem. Dziś o życiu prywatnym nie chce w ogóle rozmawiać. – Bardzo chciałam mieć rodzinę. Ale zamiast sielanki przyszło gorzkie rozczarowanie – wyznaje.

W 1982 roku, gdy Wanda jest już po rozwodzie, przyjaciółka namawia ją, żeby odnalazła biologiczną matkę. Wanda pisze do Niemieckiego Czerwonego Krzyża. Drżącymi dłońmi otwiera odpowiedź. Dowiaduje się, że po urodzeniu mieszkała w domu dziecka w Niemczech. W 1947 roku z grupą polskich dzieci została przewieziona do Polski. „Udało nam się nawiązać kontakt z poszukiwaną matką. W osobistej rozmowie z naszym przedstawicielem oświadczyła jednak, że w związku z tym, że zawarła związek małżeński, zrzeka się swojego dziecka. W 1951 roku złożyła notarialne oświadczenie o wyrzeczeniu się swojej córki, a równocześnie podała, że nie życzy sobie, żeby jej adres oraz jakiegokolwiek wyjaśnienia zostały córce wydane. Odpis takiego oświadczenia znajduje się w naszych aktach. Dziecko zostało wydane do rodziny Jana i Marii Muszaków. Niestety pani Maria Muszak zmarła w 1953 roku, a jej mąż po ponownym zawarciu związku małżeństwa oddał małą dziewczynkę z powrotem do domu dziecka. Po latach córka Wanda dowiedziała się nazwiska swojej rodzonej matki i zwróciła się do PCK w Warszawie o poszukiwania matki. Polska jednostka zwróciła się do nas z prośbą o wszczęcie poszukiwania pani Angeliny Famulewicz, zaznaczając, że córka jest zupełnie samotna i nie ma żadnej rodziny i pomimo wielkich trudności pani Famulewicz powinna być poinformowana o poszukiwaniach córki. Jest nam bardzo przykro, że nie możemy Pani pomóc” – piszą urzędnicy z Czerwonego Krzyża.



Angelina Famulewicz



Wanda (w okularach) z koleżanką w szkole średniej

List nie ścina Wandy z nóg. Przyzwyczała się już do tego, że jest sama. Nie czuje nic do matki. Jej matka przecież zmarła. Tamtej kobiety nie widziała na oczy. Nie ma nawet żalu, że ją zostawiła w szpitalu. Mówi sobie, że nic więcej nie chce o tym wiedzieć.

* * *

Aż do kwietnia 2015 roku. Wtedy dostaje list z PCK. „Do naszego biura zwróciła się

Pani Catherine Breen Osborne z USA, z prośbą o poszukiwanie krewnych jej matki – Angeliny z domu Famulewicz. Zwracała się Pani do naszego biura z prośbą o pomoc w odnalezieniu biologicznej matki – Angeliny Famulewicz. Przypuszczamy, że jest Pani siostrą przyrodnią Pani Catherine Breen Osborne. Czy jest Pani zainteresowana nawiązaniem kontaktu z wnioskodawczynią?”.

Wanda po raz kolejny w życiu sztywnieje. Biegnie do zaprzyjaźnionej sąsiadki: „Co robić?!”. Długo się zastanawiają. W końcu Wanda decyduje się podać swój adres i numer telefonu. W pierwszym liście dostaje zdjęcia Angeliny – swojej biologicznej matki. Z fotki patrzy piękna kobieta o zmysłowych ustach i zalotnym spojrzeniu. Są też zdjęcia matki Angeliny i Catherine.

Niedługo później przyrodnia siostra dzwoni do domu. Wanda nie zna angielskiego, ona polskiego. Obie do słuchawki płaczą. Potem ze Stanów przychodzi kolejny list. Wanda dowiaduje się, że matka niedługo po tym, jak ją zostawiła w niemieckim szpitalu, wsiadła na statek płynący do Australii. Na statku poznała chłopaka – Irlandczyka. Bardzo się w sobie zakochali. W Australii byli rok i przenieśli się do Stanów. Wzięli ślub, a Angelina urodziła ósemkę dzieci. Troje z nich zmarło.

„Jestem taka szczęśliwa, że się odnalazłyśmy w końcu. Widzę, że będziemy miały trudności, ponieważ ja nie znam polskiego, a Ty angielskiego. Jest tyle tego, co chciałabym Ci powiedzieć, że nawet nie wiem, gdzie mam zacząć. Napisałam już list do Ciebie, ale go nie wysłałam ze względu na błędy, a nie byłam w stanie wrócić do biblioteki, żeby je poprawić. Ja też nie mam komputera. Moje umiejętności pisania nie są dobre, więc odłożyłam to. Jednakże teraz wysyłam Ci mój oryginalny list ze wszystkimi błędami. Dowiedziałam się o Tobie z usług międzynarodowego archiwum poszukiwań, które znajduje się w Muzeum Holocaustu w Waszyngtonie DC. Jest tam prawie 100 stron dokumentów odnośnie Ciebie i naszej matki. Nasza matka zrzekła się praw rodzicielskich do Ciebie, gdyż powiedziano jej, że jest polska rodzina, która chciała Ciebie adoptować. To był wtedy warunek, że nie będzie dalszego kontaktu, gdyż w tamtych czasach tak robiono adopcje. Jest list pracownika socjalnego, który przeprowadzał rozmowę z moimi rodzicami w tamtym czasie i bardzo oczywistym jest, jak bardzo cierpiąca była matka, ale była pod wpływem swojego męża oraz była bardzo wyobcowaną osobą w dziwnym kraju z bardzo małym dzieckiem i ciężkiej ciąży z następnym. Mój ojciec wyjaśnił, że jego rodzina była bardzo krytyczna oraz że osądziliby naszą matkę za posiadanie dziecka pozamałżeńskiego. Na tyle, na ile wiem z mojej szczegółowej dokumentacji, wszystkie Twoje późniejsze wysiłki, aby się z nią skontaktować, nigdy do niej nie dotarły. Czerwony Krzyż najwidoczniej zdecydował, że pierwotna decyzja zostanie utrzymana i nie dokonano żadnego wysiłku, aby sprawdzić, czy nasza matka zmieniła zdanie na temat dalszych kontaktów. Znając moją matkę, czuję się całkiem pewna, że kiedy trójka z jej dzieci zmarła, ona odebrała to jako karę Boga za oddanie swojego pierwszego dziecka. Wiem, że zatrzymałaby Ciebie, gdyby mogła. Możliwe jest również, że była żoną Twojego ojca. W ostatnich miesiącach swojego życia zaczęła mówić o swoim pierwszym mężu, ale nie zawsze z sensem. Raz powiedziała, że była zamężna przez szesnaście miesięcy w Niemczech. Powiedziała, że jej mężem był ukraiński chłopak, którego poznała w obozie. Powiedziała, że został zabity. Nigdy mi nie powiedziała jego imienia. Ale używała imię »Ivan« i raz powiedziała, że na nazwisko miał Dagmar. Musimy tyle

nadrobić. Jesteś zameżna? Masz dzieci? Wnuki? Wiem, że jesteś pielęgniarką, co jest ironiczne, gdyż nasza matka chodziła krótko do szkoły pielęgniarskiej w Uman, zanim Hitler nie najechał Ukrainy” – pisze Catherine.

Z wszystkich dzieci Angeliny to tylko ona i brat chcą poznać Wandę. Reszta nie jest zainteresowana. Wanda nie wie, czy matka komukolwiek prócz Catherine opowiedziała o jej istnieniu.

* * *

– Ma pani do niej żal? – pytam Wandę.

Matka zostawiła ją w szpitalu w listopadzie 1945 roku, pół roku po kapitulacji Niemiec. Nie ma mowy, by dziecko odebrał Angelinie Lebensborn w ramach tak zwanej polityki rasowej. Choć mała Wanda nadawałaby się do tego celu świetnie: miała jasne włosy, niebieskie oczy.

Angelina, rodząc Wandę, miała dziewiętnaście lat. – Młoda dziewczyna w tak trudnym czasie, z małym dzieckiem. Staram się ją zrozumieć. Mogła nie mieć wyjścia – zastanawia się Wanda.

Kto mógł być ojcem? Robotnicy przymusowi nie mogli bez zezwolenia zawierać związków małżeńskich. Angelina, tak jak pisze Catherine, mogła mieć chłopaka, narzeczonego. Ale mogła też urodzić dziecko pochodzące z gwałtu.

A adopcyjny ojciec? Wanda dalej złego słowa o nim nie powie. – Został sam z małym dzieckiem. Tamta kobieta jeszcze mu w głowie namieszała. Nie chciał źle. A mnie w domu dziecka krzywda się nie stała – zapewnia. Z przybranym ojcem miała kontakt przez całe jego życie. Spotykali się, ale nie rozmawiali o przeszłości. Wanda cały czas opiekuje się grobami Muszaków.

Wanda prosi, żeby o życie prywatne nie pytać. – Z mężem żyło mi się bardzo źle. Czarę goryczy przelały liczne zdrady. Nie tolerowała mnie teściowa. Nie byłam taka, jaką sobie wyobraziła. Nie stąd. Nie Ślązaczka. Tylko nie wiadomo kto i skąd.

A dzieci?

– Mam dwóch synów. Jeden mieszka w Niemczech, drugi w Raciborzu. Nie mamy ze sobą kontaktów. Nie poradziłam sobie z nimi. Może dlatego, że mnie tak naprawdę nikt nie wychowywał. Prócz adopcyjnej mamy. Ale to tak krótko trwało – kończy Wanda.

* * *

Kiedy rozmawialiśmy pierwszy raz, Wanda postanowiła zbierać na bilet do Stanów. Łatwe to nie było, ale nowej rodziny, której przecież nie zna, o pieniądze nie zamierzała prosić. A bardzo chciała poznać Catherine.

Po pewnym czasie Wanda dzwoni i informuje, że swojej nieznannej siostry pewnie nigdy nie zobaczy. – Jest poważnie chora na osteoporozę. Sprzedała auto, dom. Jest w domu opieki. Teraz przenoszą ją do kolejnego. Między tamtejszym rodzeństwem są chyba jakieś nieporozumienia. Nie chcę w to wnikać. Dla mnie jest ważne, że dzięki tej nieznannej siostrze tyle dowiedziałam się o mamie. Jestem spokojna, bo wszystko sobie

poukładałam w głowie.

Dzwonię po kilku miesiącach. – Catherine się nie odezwała. Ale napisała do mnie siostrzenica. To znaczy Czerwony Krzyż w jej imieniu zapytał, czy mogą przekazać mój adres. Zgodziłam się. Ale na razie nie napisała.

– Kim byłaby pani, gdyby mama w Niemczech pani nie oddała? – pytam.

– Gdyby mama mnie nie oddała, tobym może nie żyła. Przecież rodzice adopcyjni, Muszakowie, zabrali mnie w opłakanym stanie. Mama na pewno zostawiła mnie w szpitalu na leczenie. Co innego mogła zrobić? Sama, w obcym kraju. Na pewno nie miała wyjścia.

– Później zadeklarowała, że nie chce z panią żadnych kontaktów.

– Musiała. Miała męża, dzieci jej się rodziły. Nie chciała burzyć swego życia. Zresztą odpokutowała za mnie. Catherine napisała przecież, że zmarło jej troje dzieci i ona to odebrała jako karę od Boga. Czego mam chcieć więcej?

– Wszystkich Pani usprawiedliwia.

– Bo nie ma we mnie gniewu, złości. Może to nie jest normalne. Ale wolę to, niżbym wszystkich dookoła miała przeklinać.

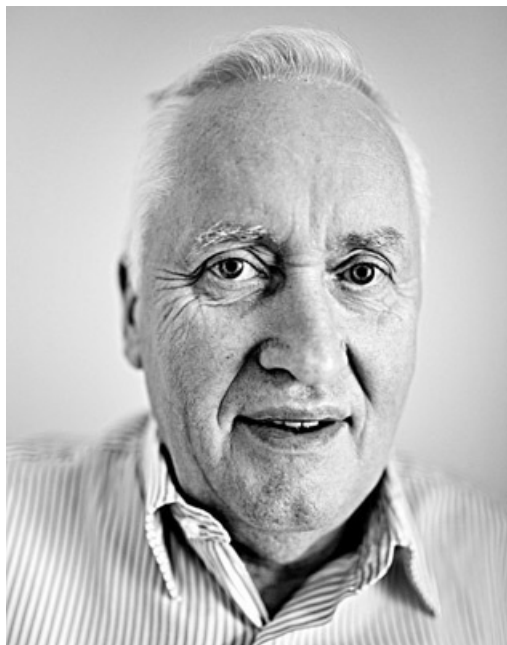
Koszula musi być w kratkę

24 sierpnia 2015 roku osoby oczekujące w hali przylotów warszawskiego lotniska oglądają niezwykłą scenę. Mężczyzna w koszuli w kratkę dźwiga potężny bukiet biało-czerwonych róż. W drugiej dłoni trzyma chusteczkę, którą co kilka minut przeciera załzawione oczy. Dookoła niego tłum dziennikarzy, kamery. W końcu pojawia się osoba, na którą wszyscy czekają. To mężczyzna w podobnym wieku, w podobnej koszuli w kratkę. Padają sobie w objęcia. Płaczą. Kim są dla siebie? – Bracia forever! – krzyczy jeden z nich i rozwiewa wątpliwości. Nie dodaje, że bracia bliźniacy. Choć podobną mają tylko sylwetkę. Ten, który czekał, ma jasne oczy, szczuplejszą twarz. Ten, który przyleciał, ma oczy piwne, silniej zarysowaną szczękę.

Po raz kolejni mężczyźni padają sobie w objęcia. Ludzie biją brawo. Spotkanie relacjonują stacje telewizyjne, opisuje prasa.

* * *

Odwiedzam jednego z braci po kilku miesiącach od spotkania na Okęciu. I od początku się zastanawiam, co powiedzieć, kiedy dorosły mężczyzna płacze. Lucjan – wysoki, barczysty 69-latek siedzi przy stole i łyży ciekłą mu po policzkach. – Wie pani, jaką krzywdę mi zrobił? Po prostu świństwo. Czym sobie na to zasłużyłem?! A tak się cieszyłem, że odzyskałem brata! Najbardziej w życiu boję się samotności. Nigdy jej nie lubiłem. A w domu byłem jedynakiem! Nieraz ojcu i matce mówiłem, że chcę mieć siostrę, brata. Ale oni już nie mogli mieć dzieci. A ja nie chciałem być sam! Muszę mieć towarzystwo, drugiego człowieka. Nie wyszło mi jedno małżeństwo, znowu się ożeniłem. Drugie też się rozpadło, to znalazłem trzecią żonę. Jak żona spóźnia się z pracy, dzwonię: „Gdzie jesteś? Siedzę i czekam na ciebie”. Pusto mi, cicho. Telewizor włączam, ale wolę rozmowę. Nie mogę być sam, nie potrafię – Lucjan uspokaja się po chwili.



Lucjan Poznański

– Pani musi wiedzieć wszystko od początku – mężczyzna wyciąga z portfela dowód: Lucjan Poznański, urodzony 30 czerwca 1946 roku w Kassel. – A to moja matka – pokazuje na portret, który wisi na ścianie obok telewizora. Ładny profil, piwne oczy, brązowe włosy wysoko upięte nad czołem. Patrzą na podobieństwo. Lucjan ma niebieskie oczy. Ale uśmiecha się podobnie. Ta ładna kobieta z portretu to Elżbieta Jankowska z Chełmna. Pracowała przymusowo w Henschel und Sohn GmbH w Kassel. W fabrykach przedsiębiorstwa produkowano lokomotywy, autobusy, ciężarówki i czołgi. Kiedy Elżbieta została wywieziona na roboty? Nie wiadomo. Do fabryki w Kassel przybywa 10 maja 1944 roku.

Wiadomo, że w czerwcu 1946 roku Elżbieta trafia do szpitala w Kassel. Tam 30 czerwca rodzi bliźniaki. Chłopcom nadaje imiona Lucjan i Jerzy. Ojciec dzieci jest nieznany. Kto mógł nim być? Elżbieta musiała zajść w ciążę w październiku 1945 roku, już po wyzwoleniu. Dlaczego nie wróciła wówczas do Polski? Może nie miała do kogo? Może straciła bliskich, a na miejscu w Niemczech był ktoś dla niej ważny? Kto? Wszystkie scenariusze są możliwe. Może był to inny przymusowy robotnik, który też nie chciał wracać? Miejscowy chłopak, który spodobał się młodej Polce? Amerykański żołnierz, który obiecywał, że po wszystkim zabierze ją ze sobą?



Elżbieta Jankowska

Elżbieta po urodzeniu bliźniąt ciężko chorowała i została przewieziona do szpitala Marxhausen w Kassel. Chłopcy z kolei – do szpitala w miejscowości Hofgeismar. Matkę wypisano ze szpitala w grudniu 1946 roku. Jednak w arkuszu ewidencyjnym Lucjana sporządzonym przez PCK po przyjeździe chłopca do Polski czytamy: „Nic się więcej nie słyszało o matce”.

* * *

Lucjan i Jurek ze szpitala zostają przewiezieni pociągiem do Polski jeszcze w 1946 roku, prawdopodobnie zanim matka opuściła szpital. Stacja docelowa to Katowice. Z Katowic trafiają do domu dziecka w Rybniku. Jurek zostaje adoptowany jako pierwszy w 1947 roku. Chłopca zabiera małżeństwo Skrzyneckich z Sosnowca. Najprawdopodobniej wiedzieli, że chłopiec ma brata bliźniaka. Skrzyneckcy już nie żyją, nie dowiemy się, dlaczego nie zdecydowali się zabrać obydwu braci.

W domu dziecka Lucjan zostaje sam. Aż w maju 1949 roku Urząd Wojewódzki powiadamia obywatela Feliksa Poznańskiego i jego żonę Feliksę, że jest zezwolenie na wzięcie dziecka. Poznańscy pochodzą z Żurawicy, wsi na Podkarpaciu. Feliksa na roboty wywieźli Niemcy. Wrócił z chorymi płucami. Feliksę z dwójką małych dzieci na Syberię wywieźli Rosjanie. Wróciła tylko z jednym synem. Czteroletni Miecio na Syberii utopił się w rzece. Pięć lat starszy Rysio po powrocie do Polski zachorował i zmarł. Lekarz powiedział Feliksie, że serce chłopca nie wytrzymało. Feliksa w Żurawicy została zupełnie sama. Gdy się dowiedziała, że Feliks transportem z Niemiec wrócił do Polski i jest w Nysie, spakowała dobytek w tobołek i pojechała na Opolszczyznę. Znaleźli dom w Domaszkowicach, wiosce kilkanaście kilometrów

od Nysy.

Dziecko to dla Poznańskich powrót do normalności. Feliks pracuje w fabryce w Nysie, Feliksa zajmuje się małym gospodarstwem: hoduje świnie, kury, obrabia kawałek pola. Lucjan często choruje. Angina za anginą. Zawsze będzie pamiętał, jak matka szczerze owija go kocem i wszędzie ze sobą nosi. Poznańska ma smykałkę do interesów. Handluje jajkami, warzywami. Za zarobione pieniądze kupuje Lucjanowi zegarek, później małe radjko. Feliks struga synowi z drewna hulajnogę. Chłopiec najbardziej lubi pobiec na wieś do kolegów, biorą patyki, udają, że to karabiny, i bawią się w wojnę. Albo cała ferajna idzie do lasu. Lucjan najbardziej lubi jesień i zbieranie grzybów.

* * *

W 1964 roku Lucjan dostaje powołanie do wojska. Rodzice postanawiają wyprawić mu pożegnalny obiad. Do domu zapraszają kolegów i koleżanki syna. Feliksa upiekła ciasto, Feliks postawił butelkę wina. Przy zastawionym stole Feliksa wybuch płaczem. – Lutek, muszę ci coś powiedzieć. Zostałeś adoptowany, nie ja cię urodziłam – Lucjan pierwszy raz widzi matkę w takim stanie.

Co skłoniło Feliksa do takiego wyznania? Świadomość, że syn jest już dorosły, idzie do wojska? Strach, że ktoś inny mu powie? Że sam znajdzie adopcyjne papiery?

– Nie martw się, mamu. Ty moją mamą będziesz zawsze – Lucjan jest oszołomiony, ale waga informacji nie specjalnie do niego dociera. Rozmyślać zaczyna dopiero w pociągu, w drodze do jednostki w Szczecinie. Prawdziwa matka pewnie nie żyje. Jakby żyła, to sama by szukała. Nie ma do czego wracać. Matka adopcyjna to jedyna matka, jaką zna. I jaka dobra. Po co to burzyć? Lucjan postanawia więcej do sprawy nie wracać.

Ze Szczecina wojsko przenosi Lucjana do Warszawy. Na przepustce, w miejskim parku, przysiada się do młodej dziewczyny. Umawiają się na kolejne spotkania, w końcu pobierają. Lucjan zamieszkuje z młodą żoną i jej matką w małym mieszkaniu.

Feliksa Poznańska nie jest zadowolona z decyzji syna. – Tu na wsi tyle dziewczyn. A ty do rodziny takich panieńskich poszedłeś – mówi w czasie którejś wizyty.

Lucjan, choć wyuczył się na budowlańca, pracuje jako fryzjer. Jego specjalność to fryzura na Beatlesów. Niedługo po ślubie rodzi się córka. Ale Lucjan czuje, że dłużej w tej rodzinie nie wytrzyma. Krytykuje go żona. Krytykuje teściowa.

Zanim nastąpi rozwód, umiera Feliks.

Lucjan znajduje pracę jako dozorca i zawiera kolejne małżeństwo. Rodzi mu się troje dzieci. Ale również z drugą żoną się rozwodzi. W końcu w 1987 roku poznaje Małgosię, kucharkę z pobliskiej restauracji. Biorą ślub. Lucjan jest szczęśliwy, bo znowu nie jest sam. Zwłaszcza że niedługo później umiera Feliksa.

* * *

Zdążyli jeszcze porozmawiać z nią o przeszłości Lucjana. Temat drażni Małgosię. – Jak

Lucjan się urodził w Niemczech zaraz po wojnie, to może jakieś odszkodowanie mu się należy? – zastanawia się. Namawia męża do zgromadzenia dokumentów. Trzeba znaleźć te z domu dziecka.

W 2011 roku Lucjan dzwoni do Rybnika. – Oczywiście, wszystkie dokumenty udostępniemy. Ale musi pan odebrać je osobiście. I najlepiej, żeby ktoś z panem przyjechał. Ktoś bliski z rodziny – słyszy.

Lucjan ma sporadyczny, ale poprawny kontakt z dziećmi z drugiego małżeństwa. Do Rybnika jedzie z córką i synem. Kiedy późnym wieczorem wraca do mieszkania w Warszawie, Małgosia widzi go spląkanego. – Mam brata bliźniaka! – oznajmia Lucjan i pada na kanapę.

Lucjan znowu o pomoc prosi jedną z córek, podpisuje upoważnienie. Najpierw otrzymuje wiadomość, że poszukiwanego Jerzego Skrzyneckiego w Polsce nie ma. Później, że nie ma takiego na terenie Europy. Po miesiącach dostaje list ze Stanów Zjednoczonych. Dowiaduje się, że George Skrzynecky z Kalifornii przed laty poszukiwał brata Lucjana.

Miesiąc później do Warszawy przychodzi list. Amerykański Czerwony Krzyż przesyła pytania George'a Skrzyneckiego: „Jak się dowiedziałeś, że masz brata bliźniaka? Czy masz kopię aktu urodzenia? Czy mógłbyś przesłać swoją fotografię i kopię swojego dowodu? Uzyskane od Ciebie informacje pozwolą uprawdopodobnić całą sytuację” – czyta Lucjan. Nie bardzo taką nieufność rozumie. Ale Małgosia odpowiada: wysyłaj.

Po miesiącu George pisze maila do córki Lucjana: „Jeśli chodzi o Twoją babkę (a moją matkę), nie jestem do końca pewien, gdzie się urodziła. Wiem, że umarła przez gorączkę reumatyczną, która uszkodziła jej serce. Była również mowa o załamaniu psychicznym. Znalazłem też informację, że odbywała pracę przymusową w Niemczech w 1944 roku. We wczesnych latach 70. wróciłem do Niemiec po ucieczce z Polski. Odwiedziłem cmentarz w Monachium, na którym została pochowana. Jednakże ponieważ nikt nie opiekował się jej grobem, nie istnieje już żaden nagrobek. W tamtym czasie jej nazwisko figurowało w księgach na cmentarzu. Przyjechałem do USA w 1971 roku. Dowiedziałem się także, że Lucjan i ja zostaliśmy wysłani do Polski przez pomyłkę. Ponieważ urodziliśmy się w Kassel, w Niemczech, powinniśmy zostać w Niemczech. Zaraz po naszych narodzinach matka była już na tyle chora, że musiała zostać w szpitalu w Niemczech na długi czas. Jakimś sposobem przetransportowano nas do Polski (pamiętaj, że był to rok 1946). To wszystko działo się, kiedy nasza matka przebywała w szpitalu. Nie miała ona pojęcia, że taka rzecz ma miejsce. Kiedy jej się polepszyło, odkryła, że jej synów wysłano do Polski. Starła się z całych sił, żeby nas znaleźć, ale nie wiem, czy udało jej się w końcu odnaleźć rodziców adopcyjnych Lucjana, czy nie. Odnalazła moich adopcyjnych rodziców. Jednak oni nie chcieli jej mnie zwrócić. Dużo informacji pochodzi z Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie i z International Search Institute w Niemczech. Nasze przybycie do Polski jest możliwe w połowie września. Muszę jednak wiedzieć, jak długo Nadine i ja możemy przebywać u Ciebie lub u Lucjana. Jeśli oczywiście u Was znajdzie się pokój dla nas. W razie czego musimy już zacząć szukać jakiegoś miejsca na pobyt. Proszę, daj nam wkrótce znać, jak wygląda sytuacja, żebyśmy mogli zacząć działać. Podałem Ci wiele informacji. Nie chcę tkwić w przeszłości, jesteśmy bardzo szczęśliwi, że się odnaleźliśmy. Spoglądajmy lepiej w przyszłość. Wszystkiego dobrego

ode mnie i Nadine”.

Córka przekazuje maila Lucjanowi. On czyta go ze sto razy. Prosi córkę, żeby zdobyła numer telefonu do brata. Kiedy go dostaje i córka mailowo umawia termin rozmowy, od rana nie może usiedzieć w jednym miejscu. Wieczorem na dźwięk dzwonka cały pokrywa się potem. Drżącą ręką odbiera. – Halo, Lucjan? – słyszy męski, zachrypnięty głos.

– Braciszku, bracie, Jureczku najukochańszy! – z Lucjana wylewa się potok słów nigdy wcześniej niewypowiedzianych.

– Mów wolniej, bo ja już nie pamiętam wszystkiego dobrze – słyszy.

Umawiają się na kolejny telefon. I następny. Dzwonią regularnie.

Kolega przynosi Lucjanowi laptopa i włącza Skype’a. Łączą się z Jerzym. Lucjan patrzy na ekran komputera i nie może uwierzyć. To jego brat! Krew z krwi, kość z kości! Ma bardziej pucułowatą twarz, ale reszta się zgadza. Dowiaduje się, że Jerzy mieszka dwie godziny jazdy samochodem od Los Angeles. Ma dziewięć godzin jazdy, by zobaczyć kanion Colorado.

– Zostałem adoptowany do Sosnowca. Jak miałem siedemnaście lat, dowiedziałem się, że Skrzynecky nie są moimi prawdziwymi rodzicami. Znalazłem papiery i listy naszej prawdziwej matki. Błagała, żeby oddali jej dziecko. Próbowałem o tym ze Skrzyneckimi rozmawiać, ale nie chcieli. Niedługo później wyjechałem na wycieczkę do Austrii i już z niej nie wróciłem. Po prostu uciekłem. Potem pojechałem do Niemiec, a stamtąd do Stanów. Wyuczyłem się na technika stomatologa. Na zajęciach poznałem swoją żonę Nadine – opowiada Jerzy.

Jerzy wysyła Lucjanowi skan dokumentu, z którego wynika, że ich matka Elżbieta zmarła 28 grudnia 1952 roku w Monachium. Wcześniej tułała się po obozach w Niemczech jako *displaced person*.

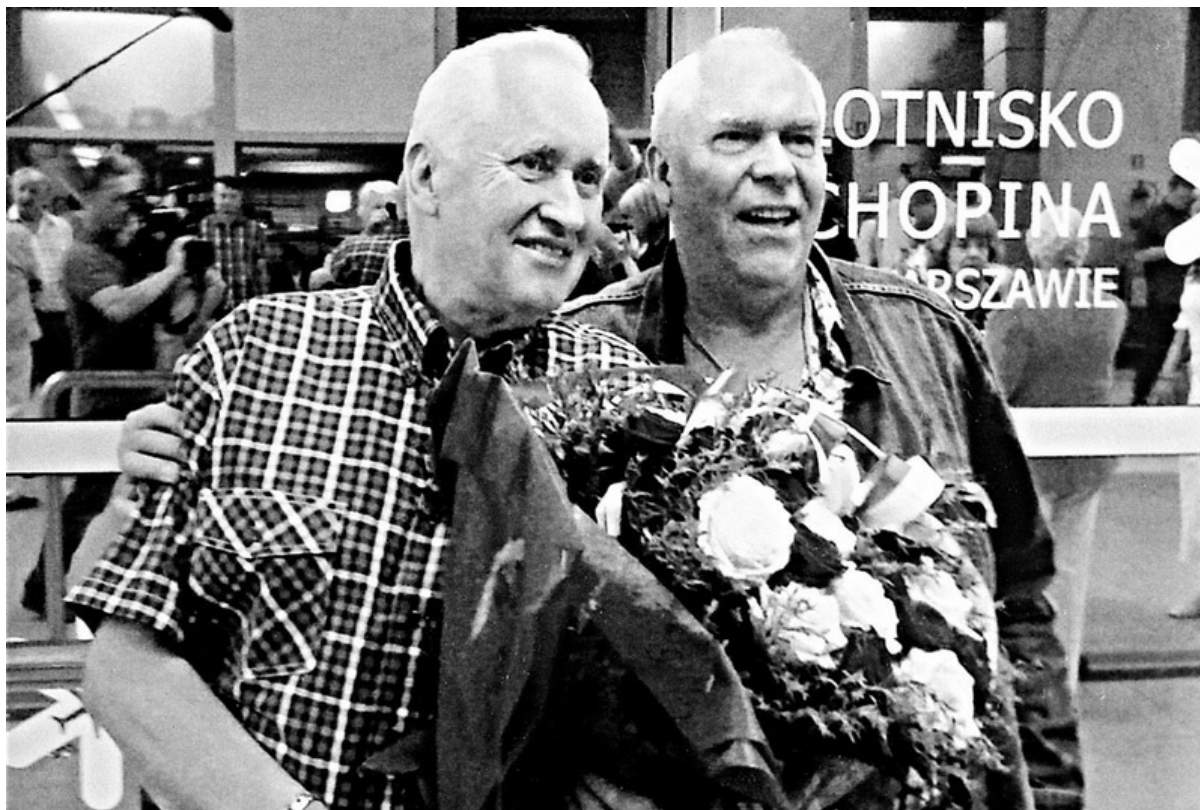
* * *

Jak było z Elżbietą? Czy nie chciała wrócić do Polski? Nie mogła? Jak się dowiedziała, że Jurek jest u Skrzyneckich w Sosnowcu? Dlaczego nie dostała żadnych informacji o pobycie drugiego syna? Myślę o mecenasie. Kto jak nie Hrabar pomógłby to rozwikłać.

– Często myślę o matce – mówi Lucjan. – Ten portret to powiększone zdjęcie, które dostałem od brata. On jakoś je znalazł w Niemczech. Tam, gdzie matka została sama, na obczyźnie. Bez dzieci. Tęsknota ją dobiła, zżarła – mówi Lucjan. – Próbuję sobie wyobrazić młodą kobietę. W obozie dla dipisów, samotną, tęskniącą za dziećmi. Zmarła 28 grudnia. To trudny czas. Boże Narodzenie, Wigilia, zbliżający się Nowy Rok. Ciekawe, jaka była. Czy mam jej charakter? A może jestem podobny do ojca?

Małgosia, żona Lucjana, przynosi herbatę: – Wie pani, jak myśmy na przybycie Jurka się przygotowali?! Nie chciał z żoną mieszkać w bloku. Więc wynajęliśmy od znajomego domek. Samochód dla niego też został wynajęty. Bukiety kwiatów na powitanie to już tydzień wcześniej zamówiliśmy. Ja jestem kucharką i sama przygotowałam całe jedzenie. Golonczki, kotleciki, zupy, sałatki. W lodówce wódka się mroziła. I czekaliśmy. Siedzieliśmy jak na szpilkach – wspomina.

W sierpniu 2015 roku Lucjan z Małgosią i dziećmi czekają na Okęciu. Towarzyszą im dziennikarze, kamery. Małgosia ufryzowana, nerwowo ściska bukiet. Trochę się denerwuje, że Lucjan nie włożył garnituru, ale Jerzy prosił, żeby miał na sobie koszulę w kratę. On też taką założył. W końcu jak bliźniacy, to muszą być podobnie ubrani!



Przywitanie braci na lotnisku

– Są! – krzyczy Lucjan. W terminalu pojawia się mężczyzna w koszuli w kratkę. W blasku fleszy i kamer Jerzy i Lucjan padają sobie w objęcia. Ściskaniu się nie ma końca. Później czas na wywiady. Jadą do wynajętego domu. Żona Lucjana rzuca się do przygotowania stołu. Flaki, śledzie, gołąbki, schabowe, ziemniaki z koperkiem, marchewka z groszkiem. Nadine prosi tylko o zupę. Ale Jerzy się zajada. Przy stole siedzą do drugiej w nocy. Małgosia szuka między braćmi podobieństw. Podobne ruchy, gesty i taki sam apetyt.

Od rana dzwonią dziennikarze. Każdy chce porozmawiać z braćmi, którzy nie wiedzieli o sobie nic przez całe życie. Jerzy chce jechać do Częstochowy. Jadą. Później do Rybnika, do domu dziecka. Też jadą. Ale Lucjan z Małgosią nie mają samochodu. Każdy wyjazd muszą specjalnie organizować. Bo jadą też pracownicy Czerwonego Krzyża i dziennikarze.

Jak było dalej?

Relacja Lucjana: – Kolejny wyjazd Jerzy organizuje już dla siebie i żony. Razem jadą nad polskie morze. Potem jedzie do Tomaszowa odwiedzić kogoś z rodziny Skrzyneckich. Wraca i pokazuje Lucjanowi i Małgosi tysiące zdjęć, które zrobił.

Córka Lucjana zabiera wujka z ciotką do teatru, na warszawską Starówkę, do Łazienek. Lucjan uważa, że brat zachowuje się jak turysta. Jerzy jedzie z żoną do Zakopanego. – Aleśmy mało ze sobą pobyli, porozmawiali – Lucjan zwierza się żonie. – Zadzwoń do niego, niech wraca – radzi Lucjanowi Małgosia.

Przez kilka dni Jerzy nie odbiera telefonu. W końcu podnosi słuchawkę i mówi, że Nadine się przeziębila, rozchorowała. – Wracajcie do nas. Ja ją podleczę – Małgosia odbiera telefon Lucjanowi. Jerzy obiecuje, ale nie wraca.

Trzy dni przed planowanym odlotem do Stanów Lucjan martwi się na dobre. Jerzy nie odbiera. Lucjan dzwoni do znajomego, który wynajął domek dla brata. – Jestem na miejscu. Zaraz dam ci Jurka – mówi.

Co powiedzieli sobie bracia?

– Córka się na ciebie poskarżyła. Ty i twoja żona jesteście moimi wrogami numer jeden. Tyle się dowiedziałem! Ale powiem kiedy indziej. Zadzwonię, a może napiszę – Jerzy odkłada telefon.

Lucjan błędnie. Nie śpi całą noc. Do Poznańskich dzwonią dziennikarze. – Ale wstyd! – denerwuje się Małgosia. Unika znajomych, sąsiadek. Bo wszyscy pytają: „Jak brat? Kiedy wy pojedziecie do Stanów?”.

Małgosia widzi, że Lucjan się załamał. Od czasu do czasu płacze. Siedzi i myśli. – Taka przykrość. Nie ubliżyłem mu, przywitałem – powtarza co kilka dni. Jerzy do Lucjana ani nie zadzwonił, ani nie napisał.

Piszę więc ja do niego maila. – W czasie rozmów z bratem zauważyłem, jak bardzo jesteśmy różni, jak inne mamy osobowości. Usłyszałem też niezbyt pochlebne dla niego historie od innych członków rodziny. Dobrze było odwiedzić Polskę i spotkać się z bratem. Ale nie jestem pewien, jaki rodzaj relacji będziemy mieć w przyszłości – pisze George Skrzynecky.

O tym, co się stało, próbuję porozmawiać z córką Lucjana. – Wujek wobec brata miał inne oczekiwania. Wujek się dowiedział, że jego brat nie zawsze był święty. Też był rozczarowany. Obaj spodziewali się czegoś innego niż dostali na miejscu – przynajmniej córka, ponad 40-letnia kobieta.

– Mnie brat, który tak się zachowuje, potrzebny nie jest. Jeśli tak by to miało wyglądać, wolałbym nie wiedzieć, że mam brata – mówi Lucjan.

Jak wyglądałoby życie Jerzego i Lucjana, gdyby zostali w Niemczech? Albo gdyby Elżbieta ich odnalazła? I odzyskała? Czy dziś bracia byłiby kochającą się rodziną?

* * *

Jerzy Skrzynecki wybrał Stany Zjednoczone sam. Ale wiele polskich dzieci zostało wywiezionych do USA prosto z Niemiec.

Taką historię, kolejną, w której przecięto emocjonalny związek z nową rodziną, opisał Hrabar na dwa lata przed śmiercią na łamach tygodnika „Panorama”. Zatytułował ją *Rozdarte serca*. Streścił w niej reportaż, który obejrzał w Niemczech 2 stycznia 1994 roku. Sara Palmer, autorka dokumentu, pokazuje starego człowieka z wioski Brunnadern w Badenii-Wirtembergii. „Kreśli portret niezwykłego wieśniaka Gottfrieda Eichkorna, który pracę w oborze potrafi harmonijnie łączyć z malarstwem

artystycznym, rolnictwo ze sztuką”. Dziennikarka dowiaduje się od Eichkorna, że dwadzieścia sześć lat wcześniej w jego domu wychowywała się sześciolatnia dziewczynka. Mała Mariela urodziła się w jego gospodarstwie w 1944 roku. Była dzieckiem Edmunda, polskiego jeńca wojennego, i Tatiany, robotnicy pochodzenia ukraińskiego. Hrabar nie napisał, co się stało z rodzicami dziecka. Załóżmy więc, że oboje nie żyli. „Mariela pozostaje z gospodarzem, ten przywiązuje się do dziecka, traktuje jak własne, opromienia mu ono samotne życie. Dziecko, jak mówi, łaknęło miłości, której mu nie szczędził. Najcięższy cios w jego życiu następuje po pięciu latach, kiedy w roku 1951 zjawia się w domu urzędniczka z Urzędu Młodzieżowego i zabiera Marielę jako dziecko obcokrajowców zatrudnionych niewolniczo w Niemczech. Tymczasowy opiekun nie ma żadnych szans na zatrzymanie dziecka przy sobie, nie ma podstaw do przysposobienia go” – opisywał Hrabar. Przytoczył też słowa rolnika: „Nigdy więcej serce moje nie przywiąże się do żywej istoty”.

Eichkorn zmarł w wieku 84 lat w 1985 roku. Nie udało mu się poznać dalszych losów Marieli. Dziennikarka Sara Palmer ustaliła, że Mariela została przekazana Międzynarodowej Organizacji Uchodźców we Freiburgu, a następnie oddana amerykańskiej, zupełnie obcej rodzinie. Po siedmiu latach od tych ustaleń Palmer odnalazła poszukiwaną Marielę – Marie Jungmann zamieszkałą w Castroville w stanie Texas. Dziennikarka poleciała do Stanów. Mariela miała męża i trójkę dzieci, pracowała w banku. Nie mogła sobie przypomnieć lat wczesnego dzieciństwa. Dlatego obie pojechały do wioski Brunnadern. Hrabar zacytował słowa Marieli: „Jest mi smutno – mówi do głębi wzruszona – może dlatego, że Eichkorn był tak samotny. Żałuję, że nie wiedziałam o tym wcześniej”.

„Mariela, córka Edmunda i Tatiany, nie jest pierwszym dzieckiem, które po wojnie wywieziono z Niemiec do Stanów Zjednoczonych. Delegatura Główna PCK w Niemczech stwierdziła, że do połowy 1949 roku około 400 dzieci polskich z Niemiec znalazło się w USA” – konkludował adwokat. W ostatnim akapicie tekstu przypomina, że grabież dzieci uznana została za zbrodnię ludobójstwa.

Można odnieść wrażenie, że autora najbardziej boli fakt, że dziecko zostało bezprawnie zabrane do Stanów. Że znów górę bierze w nim prawnik, dla którego trzymanie się przepisów prawa jest czymś nadrzędnym. Ale jednak Hrabar pokazuje w tym tekście uczucia – rozżalonego starego człowieka, zaskoczonej, poruszonej kobiety. Hrabar tej sytuacji nie komentuje, nie pisze wprost: „Mariela powinna zostać w gospodarstwie Niemca”. Ale czy tak jednak nie myślał?

Co Hrabar miałby do powiedzenia o historii bliźniaków? Czy winę za sytuację zrzuciłby na powojenny chaos, problemy z komunikacją? Co powiedziałyby o Elżbiecie, która wiedziała, że synowie zostali wywiezieni do Polski? „Matka łatwiej przeboleje wiadomość o śmierci dziecka, aniżeli pogodzi się z myślą, że żyje ono gdzieś wśród obcych, nieświadome swego pochodzenia” – pisał mecenas.

Czy jestem córką mojej Mutti?

– Dzień dobry, proszę nawet nie pytać. Nie mam żadnych nowych wieści. Nie wierzę, że coś znajdę, ustalę – Anna Zielińska zawiesza głos.

Poznałam ją w 2014 roku, gdy pisałam o niej reportaż do „Dużego Formatu” – *Umowna data urodzenia*. Życiorys Anny jest jedną wielką zagadką. Ta 72-letnia kobieta wciąż nie wie, kim jest: Polką, Ukrainką, Austriaczką, Niemką?



Anna Zielińska w swoim mieszkaniu w Warszawie

Jej pierwsze wspomnienia to wioska Öblarn w austriackich Alpach. Ukochany miś, kochająca Mutti, która śpiewa kołysanki. Duże gospodarstwo, w którym z innymi dziećmi bawi się, piecze ziemniaki w ognisku. Miejscowi wołają na nią „Anjjja”, przeciągając „j”. Ma kilka lat, jasne włosy, niebieskie oczy. Razem z Mutti mieszka w domku niedaleko gospodarstwa. Któregoś wieczora po Anię przychodzą żołnierze. Mutti płacze, ubiera ją w najlepszy płaszczyk. Granatowy, z kołnierzem z królika. Na głowę zakłada ciepłą czapkę, podaje lalkę. A misio? Ania pamięta, że chce zapytać o misia, ale żołnierz szarpie ją za rękę. Dlaczego Mutti nic nie mówi!? Płacze, więc Ania też. Łzy skleją jej powieki. Więcej nie pamięta.

Budzi ją miarowy stukot. Leży na materacu w wagonie bydłowym. W rogu żelazna koza i puszki z napisem UNRRA. Ania potrafi już czytać. Mutti ją nauczyła, ale tylko

drukowane litery. W pociągu są też kobiety w białych czepkach. Z podróży nic więcej nie zapamiętała.

Budzi się w sali z rzędami łóżek. Ktoś do niej mówi, ale Ania nie rozumie. Śmieszne słowa, buczące, świszczące. Kiedy nieśmiało się odzywa, obcy ludzie patrzą na nią zimno. – Gdzie Mutti? Gdzie mój miś? – pyta Ania.

Jest 1948 roku. Sala mieści się w sierocińcu w Katowicach.

* * *

„O ile rodzina Anny Berezowskiej nie odnajdzie się, nic nie stoi na przeszkodzie do wzięcia małej przez panią na wychowanie” – Halina Świerczewska w 1947 roku dostaje pismo tej treści z Czerwonego Krzyża w austriackim Villach.

W Katowicach urzędnicy wypisują Ani nową metrykę: „Anna Berezowska zabrana z obozu niemieckiego. Urodzona w 1943 roku”. Metryka zachowała się do tej pory.

Zamieszkała w Katowicach Halina Świerczewska zostaje opiekunką prawną Ani. Ale nie zabiera dziewczynki do siebie. Dlaczego? Nie wiadomo. Po latach Ania dowie się, że z sierocińca zabrali ją znajomi Haliny. Jedzie z nimi do Wisły. Do starego domu w stylu góralskim, z szyldem „Wojnarówka”. To pensjonat. Na poddaszu mieszka starsza pani. Tam swój pokój ma też Ania.

W czasie podróży do Wisły Ania gubi lalkę. Do dziś pamięta, że chciała jej szukać. Pamięta też, że chciała znaleźć Mutti. Myślała: wystarczy, że przejdę te góry, może za nimi jest dom.

Nocą wybija szybę w drzwiach wejściowych i idzie szukać Mutti. Zasypia w szopie. Rano znajdują ją tam dorośli.

Po jakimś czasie inni obcy ludzie zabierają Anię do innego domu wczasowego. Uczą ją po polsku: „Chcę jeść”. Ania powtarza obce słowa: „chcę spać”, „chleb”, „słońce”, „pies”. W ośrodku pracuje kobieta, która trochę rozumie Anię. To żona inżyniera z kopalni. Ania po latach się dowie, że też jest znajomym Świerczewskiej.

Kilkuletnią dziewczynkę wysyłają do kolejnej rodziny, w Jastrzębiu-Zdroju. Gdy będzie starsza, odtworzy trasę swojej tułaczki po Polsce. Następne były Międzyzdroje, nad morzem. W tej rodzinie było kilkoro dzieci. Ania już trochę rozumie i próbuje się z nimi bawić. Jeden chłopczyk wszedł do wraku starego samochodu na podwórzu i drzwi się za nim zacięły. – Anka go tam zamknęła! – meldują dzieci dorosłym. Ania zapamiętuje: „niemiecki bękart”. Nie wie, co to znaczy, ale czuje, że nic dobrego. W nocy ucieka. Przecież musi w końcu znaleźć swoją Mutti. Bez Mutti czuje się potwornie samotna. W Polsce żaden z dorosłych nigdy jej nie przytula, nie bierze na kolana.

Ania maszeruje wzdłuż plaży. Nie boi się, bo wierzy, że znajdzie góry i swój dom. Zmęczona zasypia na leżaku. Tam ją rano znajdują.

* * *

– Jaki ty masz akcent! I to „r” takie twarde. Koniec, masz mówić poprawnie! – Ania wróciła do Wisły. Jest 1950 rok. Ania jest w pierwszej klasie podstawówki.

Nauczyciele krzyczą, bo nie potrafi mówić. Ania w duchu sobie obiecuje, że bardziej się przyłoży, bardziej postara. Znowu mieszka u starszej pani w „Wojnarówce”. W pensjonacie odpoczywa kilka miłych Ślązaczek. Lubią małą blondyneczkę. – Wszystkie dzieci mają swoje urodziny. A twoje nie wiadomo, kiedy są. Ge-burs-tag. U-ro-dziny – powtarzają. Ania wkuwa słówka.

Towarzystwo Ślązaczek lubi najbardziej. Kiedy między sobą rozmawiają, przypominają jej kobiety z gospodarstwa. I Mutti. Kiedyś w drodze do szkoły Ania widzi kobietę w brązowej sukience. Mutti miała taką brązową sukienkę. Biegnie, ile tchu. Nie, to nie ona. Rozczarowanie.

W szkole jest coraz gorzej. Od dzieci uczy się nowego słowa: „przybłęda”.

Czas mija jej na nauce. Nauczyciele mówią, że gdyby nie język polski, byłaby całkiem pojętna. To jej największy problem, bo w domu wczasowym niczego jej nie brakuje. Ma ładne ubrania, zabawki i słodycze. Kiedy choruje na zapalenie uszu, dorośli rozpakowują dużą paczkę. Mówią, że na szczęście przysła penicylina.

Z pierwszego świadectwa szkolnego za rok szkolny 1950/1951 dowiaduje się: „Urzędowo oddana pod opiekę Haliny Świerczewskiej”. I jeszcze, że urodziła się w Hargelsbergu w 1946 roku. Niemożliwe, jest przecież starsza, ale nikt jej nie słucha.

Po roku Ania znowu musi wyjechać. Tym razem do szkoły z internatem prowadzonej w Rybniku przez siostry urszulanki. Zakonnice mają wybić z głowy Ani niemieckie słowa. Dziewczynce brakuje towarzystwa Ślązaczek. Żeby dodać sobie animuszu, siada na ławce, macha nogami i podśpiewuje *Deutschland, Deutschland über alles*, jak często śpiewali starsi chłopcy przy ognisku.

– Wyciągnij ręce – rozkazuje nauczycielka. Na dłonie Ani spadają razy wymierzone drewnianą linijką. I tak za każdym razem, kiedy powie niemieckie słowo.

W 1954 roku jest w piątej klasie, gdy zakonnica oznajmia, że jej miejsce w jadalni jest przy stole dla uczennic karanych. Podają tam gorsze jedzenie: chleb ze smalcem i czarną kawę.

– Przecież nic złego nie zrobiłam – zastanawia się Ania. Po pewnym czasie orientuje się, że gorsze traktowanie musi mieć związek z pieniędzmi. Bo jednocześnie przestaje dostawać nowe ubrania i rzeczy.

Na święta Bożego Narodzenia w 1953 albo w 1954 roku Ania ma jechać do Katowic. – Zostałaś zaproszona przez znajomych Haliny Świerczewskiej, twojej prawnej opiekunki – mówią siostry.

Wsiada do pociągu zadowolona, że nie będzie musiała spędzać świąt z zakonnicami. Znajomi mają czekać na peronie, ale na stację nie przychodzą. Milicjanci zabierają Anię na dworcowy posterunek. Spędza tam noc. Rano odbierają ją znajomi Świerczewskiej. – Siostry powiedziały, że przyjedzie dopiero dziś – tłumaczą.

W domu przyszykowano dla niej łóżko – w przedpokoju, za szafą. Pod choinką leży cała góra prezentów. Dla Ani książka o osiągnięciach socjalizmu. W domu jest dziewczynka w jej wieku. Dostaje słodycze, spódnice i sweterki. Ania kładzie się za szafą i tęskni za internatem u sióstr.

W siódmej klasie znów musi zmienić miejsce. W 1957 roku jedzie do Kętrzyna na Mazurach. Siostry mówią, że jest tam akcja łączenia rodzin niemieckich. Ania nie wie, o co chodzi, ale jedzie. Ale jej Mutti tam nie ma.

Przyjmują ją do Domu Małego Dziecka w Otwocku. O przeżyciach w tej placówce

nigdy nikomu nie opowie.

Kiedy kończy dziewiątą klasę, wychowawcy mówią, że może się już starać o samodzielne mieszkanie. Na początku lat 60. idzie do Prezydium Rady Narodowej w Otwocku. – Ładna jesteś, blondynka – chwali ją urzędnik. Ania słyszy, że mieszkanie dostanie, jak pójdzie z nim do łóżka. Ucieka. Udaje jej się załatwić w Otwocku pokój przy rodzinie. Ma miłych sąsiadów. Lubią popić, ale Ani nie zaczepiają. Ona zapisuje się do szkoły dla laborantów medycznych w Warszawie. Problemem są jej dokumenty, nic się w nich nie zgadza.

W PCK Ania opowiada o swojej sytuacji. Urzędnicy wpisują umowną datę urodzin: 24 kwietnia 1944 roku. W rubryce „rodzice” wpisują imię Halina – w końcu zgodnie z dokumentami to wciąż jej prawna opiekunka.

* * *

Ania za wszelką cenę chce się spotkać z Świerczewską. Musi parę rzeczy wyjaśnić. Jedzie do Katowic, na ulicę Poniatowskiego. Zgodnie ze świeżą metryką ma wtedy dziewiętnaście lat. Drzwi otwiera jej starsza kobieta. Ania wyrzuca z siebie: – Wiesz, co przeżyłam!? Jak się tułałam! Jak mną rzucali z kąta w kąt, od jednych do drugich!?

Starsza pani próbuje wyjaśniać: w czasie wojny działała w konspiracji, potem miała problem z władzami. – Nękali mnie. Zaczęło się wtedy, jak już zostałam twoją opiekunką. Bardzo chciałam cię zabrać z sierocińca. Też byłam sama, bo Niemcy rozstrzelali moją mamę, męża i dziecko. Kiedy ty przyjechałaś do Katowic, zostałam zatrzymana. Prosiłam znajomych o pomoc. Chciałam cię chronić – mówi.

Ania nie wie, co myśleć. Wybaczysz? Pewnie tak, bo po jakimś czasie jedzie na kolejne spotkanie. Już bez pretensji. Wreszcie ma kogoś, z kim może szczerze porozmawiać. – Kończę szkołę, będę pracowała w centralnej pożywkarni w Warszawie – chwali się. Halina się cieszy. Ma 64 lata, jest już na emeryturze. Obiecują sobie, że pierwszy urlop Ani spędzą razem.

– Zakochałam się, chcę wyjść za mąż – oznajmia Ania swojej opiekunce. Bardzo chce mieć własną rodzinę. Wychodzi za mąż w 1968 roku. Na świat przychodzi syn Filip, oczko w głowie babci Haliny. Ania często przyjeżdża z nim do Katowic. Spacerują z Haliną po parku Kościuszki, robią zakupy. Ania nigdzie indziej nie czuje się tak dobrze jak na Śląsku. Na ulicach słyszy gwarę, wracają wspomnienia. Ale o nic Haliny nie pyta. – Ważne jest to, co teraz – myśli.

Przy następnej wizycie Świerczewska wyciąga z szuflady plik dokumentów. – Powinnaś wiedzieć. Przeszłaś przez Lebensborn. Zanim Niemcy oddali cię austriackiej matce Rossie Stauder do Öblarn, zostałaś dokładnie zbadana. Nie masz żydowskiej krwi, byłaś dzieckiem zdrowym, w typie nordyckim. Nadawałaś się do adopcji. Twoja prawdziwa mama była Polką. Nie wiem, co się z nią stało. Pewnie poszła do komory gazowej – mówi Świerczewska. Te słowa Ania zapamięta do końca życia.



Jedyné zdjęcie – pamiątka z Austrii. Ania – pierwsza z lewej. Do tej pory nie wiem, kim jest towarzysząca jej kobieta z dzieckiem

Opiekunka nie mówi nic więcej. Ani jak matka miała na imię, ani skąd wie, że była w obozie, ani jak się dowiedziała o istnieniu dziewczynki.

Ania nie drąży przeszłości. Wie, że Halina choruje na białaczkę. W 1977 roku jadą na krótki wypoczynek do Wisły, zabierają ze sobą Filipa. – Zostaw mi wnuka jeszcze na trochę w Katowicach – prosi Świerczewska. Babcia pokazuje Filipowi kąpielisko Fala, Planetarium, jadą do jej znajomych do Gliwic, idą na sok do ulubionej kafejki przy ulicy Kościuszki. Cztery dni później Halina umiera.

Ania w Warszawie rzuca się w wir pracy. Najpierw w laboratorium, później w Instytucie Kardiologii. Psuje się jej małżeństwo, rozwodzi się. Na szczęście jest syn. Po 1989 roku Filip namawia matkę, żeby pojechała do Austrii. Öblarn to już nie wioska, ale małe miasteczko. Nie ma śladu po gospodarstwie, a domek, w którym Ania mieszkała wraz z Mutti, popadł w ruinę. Ania nie potrafi przypomnieć sobie słowa po niemiecku. – Skutecznie ze mnie wybili ten język – myśli.

Po powrocie nawiązuje kontakt z austriackim archiwistą z Öblarn. Mężczyzna obiecuje, że porozmawia ze starszymi mieszkańcami. Potem pisze, że gospodarstwo, które Ania pamięta, prowadzili Niemcy. Pod koniec lat 40. opuścili miejscowość i wrócili do siebie. Rossa Stauder zmarła w domu starców w Öblarn w 1983 roku.

Najprawdopodobniej Rossa miała siostrę, ale dziś nikt nie jest w stanie stwierdzić, gdzie przebywa.

„Jedna z mieszanek pamięta, że w 1944 roku pracowała tu polska robotnica Anastazja. Urodziła córkę. Ojcem dziecka był ukraiński robotnik. Matka dziecka była piękna, o blond włosach. Miejscowy kierownik NSDAP chciał wysłać Anastazję do obozu koncentracyjnego, ale w końcu zdecydował inaczej. Po porodzie dziecko zostało jednak od razu matce odebrane” – pisał archiwista.

Anna sprawdza informacje. Pisze do Bad Arolsen, gdzie działa największe na świecie archiwum danych osobowych z czasów II wojny światowej, gromadzonych przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Drżącymi rękami otwiera list. „Anna Berezowska urodziła się w 1944 roku w Krakowie. Została ochrzczona 8 września 1946 roku w Öblarn. Ojciec Julian Genyk vel Berezowski. Matka Mirosława z domu Kowalska. Polscy uchodźcy, którzy z Austrii wyjechali do Kanady”. W liście nie ma jednak informacji, na podstawie jakich dokumentów to wiadomo, skąd te dane.

Anna prosi znajomych w Toronto o pomoc. Ci ustalają, że jacyś Berezowscy rzeczywiście przyjechali do Kanady i tam też zmarli.

Anna sprawdza w krakowskim urzędzie stanu cywilnego: żadna Anna Berezowska w 1943 ani w 1944 roku w Krakowie się nie urodziła!

Pisze jeszcze raz do Bad Arolsen. Że przesłane informacje się nie zgadzają, że prosi o dalsze wyjaśnienia. Dostaje jedynie listę dzieci odnalezionych po wojnie. Anna Berezowska została zarejestrowana przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż w Austrii w 1948 roku. W dokumentach nie pada nazwa Lebensborn.

Znowu jedzie do Austrii. Dowiaduje się, że niedaleko Öblarn był szpital położniczy, do którego przywożono rodzące kobiety, i ośrodek Hitlerjugend.

Pomoc w poszukiwaniach obiecuje kilku niemieckich naukowców, ale w końcu rozkładają ręce.

– Kim jestem? Polką, Niemką, Austriaczką? Czy w ogóle Anna Berezowska to ja? Właściwie wcale się nią nie czuję – myśli niemal każdej nocy.

Z Anną spotykamy się po raz pierwszy w listopadzie 2014 roku w jej mieszkaniu

na warszawskiej Pradze. Wyszła po raz drugi za mąż. Oglądamy dokumenty i zdjęcia, również to jedyne z Austrii. Było w dokumentach, które przekazała jej Halina Świerczewska. Widać na nim młodą kobietę i dwójkę małych dzieci. Jedno z nich to Ania. – Nie mam pojęcia, kim jest to drugie ani kim jest kobieta. To nie Mutti – zastrzega.

Siedzimy i się zastanawiamy. Skąd się wzięła Halina Świerczewska? Czy rzeczywiście w przekazaniu Ani maczał palce Lebensborn? Skąd się wzięła Anna Berezowska? Czy istnieje jakaś austriacka lub niemiecka rodzina Rossy Stauder?

– Wydaje mi się, że Mutti, a może jej rodzina, przysyłała dla mnie pieniądze, ubrania, paczkę z penicyliną. Potem coś się musiało wydarzyć i jak byłam w piątej klasie podstawówki, przestali – mówi Anna. Ale dodaje, że pewności żadnej nie ma, to tylko hipoteza.

– Pani przyjechała do mnie z Katowic – stawia na stole ciasto. – Jak teraz wygląda to miasto? Nie wiem, co od tylu lat robię w Warszawie. Na Śląsku bardziej czułam, że jestem u siebie. W Austrii też. Czasem myślę, że nie jestem Polką, bo mam inną mentalność. A Polska dała mi popalić. Moje dzieciństwo, młodość – do czasu, aż zaczęłam pracować, założyłam własną rodzinę – to była wielka poniewierka. Zawsze sama, zawsze obca i z łatką „Ta Niemra”.

Zastanawia się: – Czy mogli mnie zabrać przez pomyłkę? Czy przypisano mi czyjeś nazwisko? A może byłam córką Mutti? Czy Berezowscy, uciekając, mogliby zostawić własne dziecko? Czy w ogóle mieli dziecko?

Anna w ostatnich latach zaangażowała się w działalność różnych organizacji, m.in. Fundacji Moje Wojenne Dzieciństwo. Kupuje książki dotyczące Lebensbornu, jeździ na wszystkie ważne spotkania i konferencje naukowe. – Ciągle myślę o tym, że w życiu miałam trzy matki: tę, która mnie urodziła, moją Mutti i Halinę Świerczewską, która dla mojego syna stała się prawdziwą babcią – mówi.

* * *

W Katowicach próbuję dowiedzieć się czegoś o Halinie Świerczewskiej. Na ulicy Poniatowskiego nikt jej już nie pamięta. W Muzeum Historii Katowic też nikt o takiej osobie nie słyszał. W katowickim oddziale IPN nie ma o niej nawet wzmianki. – Jeśli ta osoba była zatrzymana czy w ogóle UB się nią interesowało, na sto procent powinniśmy mieć jakieś dokumenty w archiwum – mówią urzędnicy.

Co wiemy o niej? Niewiele. Prawdopodobnie od końca okupacji mieszkała przy ulicy Poniatowskiego. A przed wojną prawdopodobnie w Sosnowcu. Jej mąż Witold był inżynierem w tamtejszej kopalni Renard.

Niedawno Anna się dowiedziała, że w 1947 roku Świerczewska pracowała jako kierowniczką domów wczasowych. Gdzie dokładnie? Nie wiadomo. Na początku 1951 roku dostała pracę w Centralnej Przychodni Ochrony Macierzyństwa i Zdrowia Dziecka w Katowicach, jako inspektor prewentoriów – placówek sanatoryjnych dla dzieci i młodzieży.

Czy więc Halina mówiła nieprawdę? Jak to możliwe, że niedługo po tym, gdy miała być nękana przez bezpiekę, pracowała na stanowisku inspektora prewentoriów?

W katowickich archiwach zachowało się jej podanie o pracę w Centralnej Przychodni Ochrony Macierzyństwa i Zdrowia Dziecka z 1951 roku. Jest przy nim krótki życiorys: „Ojca straciłam wcześniej. Byłam wychowana przez matkę w Warszawie, gdzie ukończyłam szkołę średnią, a następnie studiowałam na Uniwersytecie Warszawskim na wydziale humanistycznym przez rok. Do czasu zamążpójścia. W okresie małżeństwa nie pracowałam zawodowo, prowadząc gospodarstwo i wychowując dziecko. Od śmierci męża pracuję: w okresie okupacji jako pracownik fizyczny, a następnie po wyzwoleniu jako kierowniczką domów wczasowych”.

Świerczewska do pracy została przyjęta, ale po roku, w marcu 1952, z niej rezygnuje. „Uprzejmie proszę o zwolnienie mnie z dniem 1 czerwca” – tyle w lakonicznej notce. Nie ma żadnego uzasadnienia.

Kolejne pismo Świerczewskiej jest z 16 maja 1952 roku: „Uprzejmie proszę o skrócenie mojego okresu wypowiedzenia”. Czy Świerczewska czegoś się obawiała i chciała jak najszybciej wyjechać z Katowic? A może po prostu dostała lepszą pracę?

W archiwach zachowała się prośba Ministerstwa Zdrowia do Urzędu Wojewódzkiego w Stalinogrodzie (tak wówczas nazwano Katowice) o opinię na temat Haliny Świerczewskiej. 11 listopada 1953 roku do resortu napisano: „W pracy zawodowej ruchliwa z inicjatywą nieco chaotyczną. Politycznie bezpartyjna, ustosunkowana pozytywnie do dzisiejszej rzeczywistości, moralnie bez zarzutu”. Czy Świerczewska była wówczas przeświatlana? A może starała się o inną posadę?

– Wiele hipotez jest możliwych. Mogła mówić prawdę albo konspirację i prześladowanie wymyśliła. Może chciała coś przede mną ukryć. Albo sprawić, bym nie czuła się bardziej skrzywdzona. Prawda może być banalna. Chciała wziąć obce dziecko, później się rozmyśliła. Może ją to przerosło? Miała inne problemy na głowie? Nie lubiła mówić o przeszłości. Ja byłam zajęta codziennymi sprawami. Ona pomagała mi wychowywać Filipa. W ten sposób się zrehabilitowała. Dziś mogę jedynie żałować, że nie zadałam jej przynajmniej kilku pytań. Ale czy by odpowiedziała? Całą prawdę zabrała do grobu – mówi Anna.

Reportaż ukazał się w grudniu 2014 roku. Od tamtej pory co kilka miesięcy dzwonię do Anny.

Po publikacji Anna jeszcze raz napisała do wszelkich możliwych instytucji.

– Julian i Mirosława Berezowscy byli Ukraińcami! To pewne! A archiwiści z Bad Arolsen utrzymują, że Berezowscy są moimi rodzicami – mówi Anna w trakcie jednej z rozmów.

Jak ukraińskie małżeństwo znalazło się w Austrii i stamtąd wyjechało do Kanady? Dlaczego ich dziecko – Anna – miałyby się urodzić w 1944 roku w Krakowie? Pewne jest, że Berezowscy pod koniec wojny przebywali w Austrii i to, że ochrztili Annę Berezowską w 1946 roku w Öblarn.

Na początku wojny Ukraińców przekonywano do wyjazdu do pracy do Rzeszy. W gazetach drukowano materiały propagandowe, w zakładach pracy rozwieszano

plakaty, w kinach wyświetlano film *Przybywajcie do słonecznych Niemiec*. Ochotnicy się zdarzali. Wielu Ukraińców witało wojska niemieckie chlebem i solą jako wyzwolicieli spod władzy radzieckiej. W styczniu 1942 roku z towarzyszeniem grającej orkiestry tysiąc pięciuset młodych mężczyzn z Kijowa wsiadło do ozdobionego kwiatami pociągu i wyjechało do Niemiec. W lutym wysłano dwa kolejne pociągi. Ale po kilku miesiącach Ukraińcy przestali się zgłaszać na ochotnika. Do okupowanego kraju docierały informacje o traktowaniu robotników. Byli zamykani w obozach za drutem kolczastym „żeby nie mogli rozsiewać komunistycznej propagandy”. Kiedy ochotnicy się skończyli, Ukraińców zabierano siłą i pod przymusem. Ale ciągle byli tacy, którzy jechali dobrowolnie.

Po klęsce ofensywy niemieckiej na łuku kurskim w lipcu 1943 roku Armia Czerwona przeprowadziła z sukcesem kontratak. 6 listopada zajęła Kijów. Znane są przypadki Ukraińców, którzy w tamtym okresie uciekli na Zachód. Jak na przykład Aleksander Woropaj, który wraz z żoną wyjechał konnym zaprzęgiem w styczniu 1944 roku. Woropaj był agronomek, w latach 1932–1933 doświadczył na Ukrainie wielkiego głodu. Władze Związku Radzieckiego narzuciły wówczas chłopom obowiązkowe nieodpłatne kontyngenty dostaw produktów rolnych. Daniny przekraczały możliwości wsi. Wieś głodowała. Dochodziło do kanibalizmu. Szacuje się, że z głodu mogło umrzeć nawet siedem milionów ludzi. Swoje wspomnienia z tego okresu Woropaj opíše później w książce *The Ninth Circle In Commemoration Of The Victims Of The Famine of 1933 (Dziewiąty Okrąg ku czci Ofiar Głodu 1933)*.

Woropajowie dotarli do Berlina. Umieszczono ich w obozie dla obcokrajowców. Później dzięki pomocy lokalnego Ukraińskiego Komitetu Pomocowego dostali pracę w gospodarstwie rolnym w Bawarii.

Czy Berezowscy Ukrainę opuścili z podobnych pobudek i przedostali się do Austrii? Jak stamtąd trafili do Kanady?

Margaret McNeill, kwakierka z Belfastu, która przyjechała do wyzwolonych Niemiec jako pracownica humanitarna, opisywała, że w przeciwieństwie do Polaków Ukraińcy w obozach dla dipisów „nie wpadali w furję na samą wzmiankę o Niemcach. O latach, które spędzili w Rzeszy, wypowiadali się raczej z pogardliwą rezygnacją. Natomiast ilekroć ktoś wspominał o Związku Radzieckim, od razu się nakręcali”.

W 1945 roku Zachód nie przeciwstawił się Stalinowi, nie zabiegał o utworzenie państwa ukraińskiego. Mimo to wielu Ukraińców zdecydowało się na powrót. W książce *Rozejm* Primo Levi, włoski Żyd, więzień Auschwitz, opowiada o swej wielomiesięcznej podróży do domu po wyzwoleniu obozu. O napotkanych repatriantkach z Ukrainy pisał: „(...) wracały pod ciężarem wstydu, pozbawione radości i nadziei. Zwycięska Rosja nie okazała im pobłażania. Wracały do domu w towarowych wagonach, nieraz odkrytych, podzielonych na pewnej wysokości poziomą warstwą desek, aby było w nich więcej miejsca. Po sześćdziesiąt, osiemdziesiąt kobiet w wagonie. Cały ich bagaż stanowiły wytarte, wypłowiałe sukienki, które nosiły na sobie. Ciała młode, krzepkie jeszcze i zdrowe, ale twarze znękanе i ponure, wylękły wzrok, wstrząsające, zwierzęce upokorzenie i rezygnowanie”.

Część Ukraińców wracać nie chciała. Najbardziej bali się ci, którym udało się uciec na Zachód. Agronom Woropaj w czerwcu 1945 roku w swoim bawarskim

gospodarstwie usłyszał, że w pobliskim obozie dla dipisów w Augsburgu „polują na naszych i siłą zabierają ich do Sowietów”. Ale Woropaj z żoną niedługo później sami uciekli do obozu. Pojawiła się plotka, że Amerykanie wyłapią wszystkich Ukraińców i Sowietów, którzy przebywali w ich okolicy, i przekażą ich Moskwie. Pogłoski jakiś czas później się sprawdziły. Dantejskie sceny rozegrały się na przykład w obozie Kempten w południowej Bawarii. Amerykanie siłą wyciągali ukraińskich dipisów, którzy ukryli się w kaplicy. By nie trafić do przymusowej wywózki, podrabiano dokumenty. Ukraińcy stawali się obywatelami Polski. Bo mieszkali na jej terytorium przed 1939 rokiem. Czy z takiej fałszywki skorzystali Berezowscy? I podali, że są uchodźcami z Polski, a ich córka urodziła się w Krakowie?

W lipcu 1945 roku Ukraińskie Komitety Pomocowe istniały już Stanach Zjednoczonych, Francji i Kanadzie. Do Hamburga tymczasem przybył porucznik Bohdan Panchuk z Kanadyjskich Sił Powietrznych, żeby pomagać potrzebującym rodakom. „Czasami udawało się zablokować repatriację, czasem nie. Robiliśmy, co w naszej mocy. Ale i tak setki tysięcy ludzi odesłano wbrew ich woli” – wspominał. Dopiero pod koniec 1945 roku, gdy relacje aliantów z Moskwą zaczęły się psuć, repatriacje stały się dobrowolne. I dlatego w 1948 roku Aleksandrowi Woropajowi z żoną udało się przedostać z Niemiec do Wielkiej Brytanii.

* * *

W powojennych latach Kanada przyjęła około 35 tysięcy Ukraińców. Władze kraju liczyły m.in. na to, że w ten sposób osłabną wpływy komunistyczne w istniejącej już ukraińskiej społeczności. Wśród przybyłych mniej więcej dziewięć tysięcy Ukraińców pochodziło z ukraińskiej Dywizji SS „Galizien”.

– Czy Berezowscy sympatyzowali z nazistami? Niekoniecznie. Mogli po prostu za wszelką cenę nie chcieć wracać tam, gdzie byli komuniści. Ale proszę spojrzeć – mówi Anna.

W internecie można znaleźć wydanie gazety „The Ukrainian Weekly” z 27 maja 1990 roku. Znajduje się w nim krótka notatka o tym, że Narodowa Galeria Sztuki w Kanadzie zakupiła ostatnio rzeźbę Lilliane Berezowsky z Montrealu. I że jest ona córką znanego ukraińskiego artysty i akademika, nieżyjącego już profesora Juliana Genyka-Berezowskiego z Uniwersytetu w Krakowie.

– Profesor? Może to zbieżność nazwisk? – przecieram oczy.

– Absolutnie nie! Napisałam już w tej sprawie do władz Uniwersytetu Jagiellońskiego – Anna pokazuje odpowiedź. Archiwum uczelni informuje, że Julian Genyk-Berezowski pracował jako wykładowca języka ukraińskiego. Urodził się 20 czerwca 1906 roku w miejscowości Łucze, powiat Peczeniżyn, jako syn Mychajła i Heleny. W 1926 roku ukończył gimnazjum w Kołomyi. W 1931 roku ukończył studia na wydziale filozoficznym UJ. Po zakończeniu II wojny światowej pracował jako wykładowca języka ukraińskiego, polskiego i rosyjskiego w austriackim Gratz i kanadyjskim Toronto. Zmarł 16 listopada 1952 roku w Toronto. – Napisałam kolejne pismo do USC w Krakowie. Dowiedziałam się, że Genyk-Berezowski w 1942 roku ożenił się z Mirosławą Kowalską.

Czy Berezowski został zatrzymany w czasie Sonderaktion Krakau, kiedy to 6 listopada 1939 roku Niemcy aresztowali na uczelni ponad 180 naukowców? Nie wiadomo. Część naukowców, którym udało się przeżyć, zwolniono później z obozów koncentracyjnych. – Nie dowiemy się, jak Berezowscy znaleźli się w Austrii – przyznaje Anna.

– Ale trzeba sprawdzić Lilliane Berezowsky. Przecież to może być pani siostra!

– Nie może. Wystarczy sprawdzić w internecie – uśmiecha się Anna. Rzeczywiście. Rzeźbiarka Lilianna Berezowsky urodziła się w 1944 roku w Krakowie. W 1948 roku wraz z rodziną wyemigrowała do Kanady. – We wszystkich dokumentach, które mam z IRO, z Bad Arolsen jest Anna Berezowska, córka Juliana Genyka-Berezowskiego i Mirosławy Berezowskiej. Nigdzie nie ma Lilianny czy Anny Lillianny. Ale Anna Berezowska nie istnieje! Była tylko Lilianna Berezowska. I to ona ze swoimi rodzicami z Austrii wyjechała do Kanady!

– A wspomniana przez jedną z kobiet z Öblarn polska robotnica Anastazja? Ta, która była w ciąży z ukraińskim robotnikiem? Której dziecko od razu po porodzie zostało odebrane? To chyba ostatni trop.

– Dość szczątkowe informacje. Ktoś coś zapamiętał. Może na imię miała inaczej. Może wcale nie pracowała w Öblarn, tylko w innej wiosce gdzieś w pobliżu. To szukanie igły w stogu siana.

– Ale chyba warto spróbować?

– Warto.

* * *

Katarzyna Kubicius, kierowniczka Krajowego Biura Informacji i Poszukiwań Polskiego Czerwonego Krzyża opowiada, że wciąż zgłaszają się dzieci urodzone w czasie wojny lub tuż po niej. – Wiele z nich bardzo późno się dowiedziało, że miało innych biologicznych rodziców. Czasem znaleźli coś, porządkując dokumenty po śmierci rodziców adopcyjnych. Albo prawdę decydowały się wyjawić matki – już stare i ciężko chore. Bardzo często łączymy przyrodnie rodzeństwa. Od 1945 roku udało się ustalić losy 650 tysięcy osób. Liczba ta obejmuje też przypadki osób zmarłych, kiedy to udało się znaleźć grób poszukiwanej osoby. W naszym archiwum mamy prawie 35 tysięcy kart dzieci poszukiwanych i odnalezionych tuż po wojnie. Mamy 2739 kopert z danymi dzieci – koperty zawierają dokumentację UNRRA z terenu byłej III Rzeszy. To są te przypadki, którymi zajmował się Roman Hrabar. Nie możemy jednak powiedzieć, że jest to dokumentacja kompletna. Na przykład pojawiła się u nas niedawno kobieta, która jako kilkulatka została repatriowana z Niemiec, ale jej koperty w archiwum nie ma – opowiada kierowniczka.

– Czasem poznanie prawdy wiąże się z rozczarowaniem.

– Rzadko mamy ponowny kontakt z osobami, które udało nam się połączyć. Więc trudno powiedzieć, jak te relacje później wyglądają. Ludzie, którzy szukają przez wiele lat, idealizują poszukiwaną osobę. Potem iluzja często pryska. Ale nie zmienia to faktu, że każdy chce wiedzieć. Nawet ci, którzy zdają sobie sprawę, że prawda nie zawsze może być różowa. Lepsze to niż nic.

Epilog

– Czy pani wie, że 70 lat po wojnie wciąż żyją niektórzy ludzie, którzy nie wiedzą, kim są? – spytała mnie Eulalia Rudak, prezeska fundacji Moje Wojenne Dzieciństwo. Fundacja zbiera relacje na temat wojennych losów polskich dzieci. Wydała już dziewiętnaście tomów wspomnień. Jej założycielka Eulalia Rudak (rocznik 1932) opowiedziała mi historię Anny Zielińskiej, która w 1948 roku jako Anna Berezowska została przywieziona z Austrii do Polski w transporcie innych polskich dzieci.

Napisałam o niej reportaż do „Dużego Formatu” (reporterski dodatek do „Gazety Wyborczej”). Tekst ukazał się w grudniu 2014 roku. Kilka miesięcy później napisała do mnie doktor Wiebke Lisner, historyczka z Leibniz Universität w Hannoverze. Przeczytała reportaż, a ponieważ wybierała się właśnie do Katowic, poprosiła o spotkanie. Rozmawiałyśmy o tragediach dzieci odebranych rodzicom, o Lebensbornie oraz mitach i półprawdach, które wyrosły wokół organizacji. – Człowiekiem, który najwięcej o Lebensbornie wiedział, był Polak, Roman Hrabar z Katowic – powiedziała mi Wiebke. Pomyślałam: niemożliwe! Przecież Katowice to moje miasto! Znam je dobrze i o kimś takim musiałabym słyszeć! A jednak. Okazało się, że nie byłam odosobniona. O Hrabara pytałam znajomych, kolegów w redakcji. Nikt o nim nie słyszał.

Tymczasem Roman Hrabar był jedną z pierwszych osób, która po kapitulacji Niemiec zdemaskowała prawdziwe oblicze organizacji Lebensborn. Powołana do życia w 1935 roku przez Reichsführera SS Heinricha Himmlera oficjalnie pomagała niezamężnym matkom i ich nieślubnym dzieciom. W Niemczech i Austrii Lebensborn prowadził osiem domów matek i dwa domy dziecka. To jedno, oficjalne, charytatywne oblicze Lebensbornu.

Drugie, które po wojnie ujawniał Hrabar, jest zbrodnicze. Lebensborn odbierał dzieciom tożsamość. Od początku wojny zajmował się rabowaniem „rasowo cennych” dzieci z krajów okupowanych przez Niemcy. Wystarczyło, że miały niebieskie oczy, jasne włosy. W poszukiwaniu odpowiednich dzieci przeczesywano sierocińce, sprawdzano rodziny zastępcze. Dzieci odbierano też rodzonym rodzicom. Umieszczano je w zakładach w Bruczkowie, Kaliszu. Zanim pojechały dalej w głąb Rzeszy, musiały nauczyć się nowego życia: mówienia po niemiecku, nowego imienia i nazwiska. Ta nauka prowadzona była twardą ręką. Za każde polskie słowo groziło bicie. Niektóre dzieci były zbyt małe, by pamiętać, że zabrano je od rodziców czy opiekunów. Ale pamiętają, że w ośrodkach Lebensborn tkwiły w stanie otępienia, często faszerywane środkami uspokajającymi. Starsze dzieci potwornie tęskniły, bały się, że już nigdy nie wrócą do domu, że nikt ich nigdy nie przytuli. Zrabowane dzieci tkwiły w makabrycznej próżni do czasu, aż do ośrodka Lebensbornu nie zapukali ich nowi niemieccy rodzice. Ale chłopcy, którzy byli zbyt duzi, by ktoś ich chciał zabrać do domu, trafiali do ośrodków szkolących żołnierzy na mięso armatnie dla armii.

Lebensborn zabierał też rasowo cenne dzieci urodzone przez przymusowe robotnice.

Rabunek dzieci był częścią Generalnego Planu Wschodniego, który miał doprowadzić do całkowitego zniemczenia nadającej się do tego ludności z terenów Europy Środkowo-Wschodniej i Wschodniej, deportację nienadającą się i zasiedlenie tych ziem przez Niemców. Lebensborn był jednym z narzędzi w wykonywaniu planu. Nie jedynym. Za rabunkiem dzieci stały też inne instytucje III Rzeszy, takie jak na przykład Narodowosocjalistyczne Towarzystwo Opieki Społecznej.

Z szacunków podawanych przez Hrabara wynika, że zagrabiono ponad 200 tysięcy polskich dzieci. Po wojnie udało się odnaleźć z tej grupy 30 tysięcy. Jak potoczyły się losy uprowadzonych dzieci? Czy były szczęśliwe, że wróciły do ojczyzny, do matek i ojców?

O takich powrotach często pisała ówczesna prasa. Historie opisywał też w swoich książkach i artykułach Hrabar. Postanowiłam sprawdzić, jak potoczyły się dalsze losy tych dzieci. Jak wyglądało ich dorosłe życie? Zapytać, kim byłyby, gdyby nie zostały zrabowane, wywiezione?

Okazuje się, że dla tych ludzi już nic nie było łatwe. Poznałam syna, który jako dwudziestolatek odnalazł matkę i zaraz ją stracił. Oboje nie potrafili wznieść się ponad drobne nieporozumienia i zerwali kontakt na zawsze. Spotkałam kobietę, która odnalazła brata, o którym śniła przez całe życie, ale okazało się, że są sobie obcy. Braci bliźniaków, którzy nie spełnili swoich wzajemnych oczekiwań i rozczarowani zawiesili kontakty. Dzieci ponownie oddawane do sierocińców.

Oderwanie od kochających osób wypaliło w sercach tych dzieci dziury. Pogmatwało ich losy. Niektórym nie udało się założyć szczęśliwych rodzin. Nie wytrwali w swoich związkach przez lata. Inni bali się w ogóle zaufać drugiemu człowiekowi.

Ale w trakcie tych rozmów padało też inne pytanie: czy trzeba było nas powtórnie odbierać – tym razem niemieckim rodzinom? Zwłaszcza wtedy, gdy dziecko dostawało w nich miłość i opiekę, a w Polsce czekało na nie jedynie piekło sierocińców? Albo tułaczka po dalekich – nie zawsze życzliwych – krewnych? Czy zawsze polska rodzina była lepsza od niemieckiej?

Hrabar często powtarzał: „Wojna nie kończy się w dniu, w którym walczące strony składają broń”. Dla bohaterów mojej książki trwa ona do tej pory.

Podziękowania

Ta książka nie powstałaby gdyby nie moi bohaterowie. Dlatego dziękuję w pierwszej kolejności wszystkim „dzieciom”, które zgodziły się ze mną spotkać. Niektórych z nich niełatwo było odszukać. Ale znalazły się osoby, które mi w tym pomogły. Oraz takie, które w mojej pracy wspierały mnie merytorycznie i mentalnie. Bardzo dziękuję (w porządku alfabetycznym): dr. Grzegorzowi Bębnikowi z katowickiego oddziału IPN; Ewie Bober, emerytowanej dziennikarce Radia Katowice; Dariuszowi Kortce, redaktorowi naczelnemu katowickiego oddziału „Gazety Wyborczej”; Józefowi Krzykowi, redaktorowi z katowickiego oddziału „Gazety Wyborczej”; Jadwidze Lipońskiej-Sajdak, emerytowanej dyrektorze Muzeum Historii Katowic; Ariadnie Machowskiej, redaktorze „Dużego Formatu”; Arturowi Ossowskiemu z łódzkiego oddziału IPN; Jackowi Sieblowi, dyrektorowi Muzeum Historii Katowic; Martynie Wawer, mojej siostrzenicy. Bardzo dziękuję też pewnej starszej pani, która poprosiła o zachowanie anonimowości, a która przekazała mi bezcenny dla tej książki materiał – artykuły, notatki, maszynopisy Romana Hrabara.

Bibliografia

Dobra krew

- Roman Hrabar, *Janczarowie XX wieku*, Katowice 1983.
Volker Koop, *Organizacja Lebensborn. Rozrodzce stajnie Himmlera*, Warszawa 2014.
Dorothee Schmitz-Köster, *W imię rasy. Dzieci dla Führera – mity i rzeczywistość*, Warszawa 2000.

Przed nami wielka niewiadoma

- Zakończenie wojny na Górnym Śląsku*, pod redakcją Zygmunta Woźniczki, Katowice 2006.
Śląska codzienność po drugiej wojnie światowej, pod redakcją Zygmunta Woźniczki, Katowice 2006.
Roman Hrabar, *Janczarowie XX wieku*, Katowice 1983.
Ben Shephard, *Powrót*, Warszawa 2016.

Dziecko szczęścia

- Roman Hrabar, *Janczarowie XX wieku*, Katowice 1983.
Volker Koop, *Organizacja Lebensborn. Rozrodzce stajnie Himmlera*, Warszawa 2014.

Byłaś młodsza, byłaś blondynką

- Roman Hrabar, „*Lebensborn*”, czyli źródło życia, Katowice 1976.
Roman Hrabar, *Janczarowie XX wieku*, Katowice 1983.
Roman Hrabar, *Przeciwko światu przemocy*, Katowice 1982.

Musicie służyć swojemu Führerowi

- Roman Hrabar, *Janczarowie XX wieku*, Katowice 1983.
Dzieci polskie wyzwolone z niewoli nazistów w Barcelonie 1946–1956. Strona internetowa Konsulatu Generalnego RP w Barcelonie: http://www.barcelona.msz.gov.pl/pl/poloniam_w_katalonii/dzieci_polskie

Mali świadkowie

- Roman Hrabar, *Janczarowie XX wieku*, Katowice 1983.
Anna Maria Sigmund, *Seks w III Rzeszy*, Warszawa 2015.
Z kart historii polskich janczarów XX wieku, pod redakcją Barbary Paciorkiewicz, Łódź 2000.
Volker Koop, *Organizacja Lebensborn. Rozrodzce stajnie Himmlera*, Warszawa 2014.

Roman Hrabar, *Na rozkaz i bez rozkazu. Sto i jeden wybranych dowodów hitlerowskiego ludobójstwa na dzieciach*, Katowice 1968.

Walter Laqueur, *Historia Europy 1945–1992*, Londyn 1993.

Gustave Mark Gilbert, *Dziennik norymberski*, Warszawa 2012.

Chrzestna z Indersdorf

Roman Hrabar, *Skazane na zagładę*, Katowice 1989.

Bilet do Katowic? Nie ma takiego miasta

Roman Hrabar, *Janczarowie XX wieku*, Katowice 1983.

Roman Hrabar, *Niemieckie obozy dla Polaków na Śląsku w czasie II wojny światowej*, „Polenlager”, Katowice 1972.

Roman Hrabar, *Przeciwko światu przemocy*, Katowice 1982.

Zygmunt Woźniczka, *Katowice–Stalinogród–Katowice (1953–1956)*, „Dzieje Najnowsze” 2007, R. 39, z. 3.

Grzegorz Bębniak, *Od Katowic do Stalinogrodu, czyli zmiana na telefon*. Strona internetowa IPN: <http://pamiec.pl/pa/tylko-u-nas/13546,OD-KATOWIC-DO-STALINOGRODU-CZYLI-ZMIANA-NA-TELEFON-tekst-dr-Grzegorza-Bebnika.html>

Zbrodnie hitlerowskie wobec dzieci i młodzieży Łodzi oraz okręgu łódzkiego. Materiały z sesji naukowej zorganizowanej 12.06.1979 r. w Łodzi. Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich i Wojewódzki Obywatelski Komitet Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa w Łodzi, Łódź 1979.

Tomasz Kruszewski, *Samorządowa opieka społeczna i medyczna na Śląsku w okresie Trzeciej Rzeszy*, „Studia nad Autorytaryzmem i Totalitaryzmem”, „Studia nad Faszyzmem i Zbrodniami Hitlerowskimi” 2008, z. XXX, s. 301–330.

Ja, dumny Niemiec, zostałem swoim własnym wrogiem

Alojzy Twardecki, *Szkoła janczarów. Listy do niemieckiego przyjaciela*, Olsztyn 1978.

Włodzimierz Nowak, *Obwód głowy*, „Magazyn” nr 34, dodatek do Gazety Wyborczej nr 197, wydanie z dnia 24.08.2000, s. 6.

Wielkanoc bez muzyki

Jacek Maziarski, *Kim jestem naprawdę – w poszukiwaniu początku życiorysu*, „Dziennik Zachodni”, 1963, 8 lutego, s. 3.

Dariusz Kortko, Lidia Ostałowska, *Pierony. Górny Śląsk po polsku i niemiecku. Antologia*, Warszawa 2014.

Roman Hrabar, *Odnaleziony po dwudziestu latach*, „Poglądy” nr 8 (12), 1963, s. 1.

Jesteś fałszywym synem

Roman Hrabar, *Przeciwko światu przemocy*, Katowice 1982.

Dwie Renaty

Roman Hrabar, *Skazane na zagładę*, Katowice 1989.

Janusz Piekalkiewicz, *Kalendarium wydarzeń II wojny światowej*, Janki k. Warszawy 1996.

Gerald Steinacher, *Zbiegli naziści. Jak hitlerowscy zbrodniarze uciekli przed sprawiedliwością*, Wołowiec 2015.

Volker Koop, *Organizacja Lebensborn. Rozrodcze stajnie Himmlera*, Warszawa 2014.

Zmarli nie noszą okularów

Roman Hrabar, *Skazane na zagładę*, Katowice 1989.

Anna Maria Sigmund, *Seks w III Rzeszy*, Warszawa 2015.

Dzieci z bańką na mleko

maszynopis Romana Hrabara

Bad Polzin

Dorothee Schmitz-Köster, *W imię rasy. Dzieci dla Führera – mity i rzeczywistość*, Warszawa 2000.

Volker Koop, *Organizacja Lebensborn. Rozrodcze stajnie Himmlera*, Warszawa 2014.

Szukam Hrabara

Marc Hillel, *Wybierali tylko najpiękniejsze*, „Kultura” 1975, nr 49, s. 1.

Roman Hrabar, *Skazane na zagładę*, Katowice 1989.

Koszula musi być w kratkę

Roman Hrabar, *Rozdarte serca*, „Panorama” 1994, nr 8, s. 10.

Czy jestem córką mojej Mutti?

Gerald Steinacher, *Zbiegli naziści. Jak hitlerowscy zbrodniarze uciekli przed sprawiedliwością*, Wołowiec 2015.

Ben Shephard, *Powrót*, Warszawa 2016.